

LILLO13

BARBARA WYSOCZAŃSKA

Aktoreczka

FILIA

Moim siostrom Ani i Emilce – niezmiennie
pierwszym czytelnikom.

ROZDZIAŁ 1

1950 rok

Nowy Jork, Stany Zjednoczone

Inni przybywali tu po lepsze życie, szansę od losu i by spełniać marzenia. On zjawił się wyłącznie po to, żeby odnaleźć sprawiedliwość i odkupić swoje winy. Nawet teraz, w tak zwyczajny dzień jak ten, owa frapująca myśl nie opuszczała go choćby na chwilę.

Kafejka, mimo że usytuowana w samym sercu Manhattanu, była malutka i nieciekawa, można by rzec – podrzędna, z ledwie kilkoma skromnymi stolikami, zajętymi zresztą przez przypadkowych przechodniów. Serwowano tu jednak zaskakująco doskonałą kawę, którą można było popijać, delektując się nie tylko jej wybornym smakiem, ale i widokiem na fragment Central Parku.

Konrad Rogowski pomyślał, że niegdyś, przed wojną, gdyby miał ochotę się napić naprawdę dobrej kawy, w Warszawie musiałby się udać do wytwornej kawiarni lub restauracji, bo tylko takie dawały gwarancję smaku. Natomiast tu, w miejskiej dżungli Nowego Jorku, wystarczyło wejść do pierwszego lepszego lokalu, przysiąść na niezbyt wygodnym krześle przy chybotliwym stoliku, który nie wróżył nic wykwintnego, a mimo to otrzymywało się właśnie to, czego się pragnęło. W myśl tego mężczyzna upił kolejny łyk wyśmienitej czarnej kawy i popatrzył na swojego rozmówcę.

Teodor Raczek zmarszczył wysokie czoło. Przekroczył już sześćdziesiątkę, ale nadal nieźle się trzymał. Wyprostowany jak struna, dystyngowany, z aurą polskiego inteligenta ukrytego za szykownym krawatem i dobrze skrojonym garniturem, funkcję prokuratora reprezentował z należytą godnością. Od wybuchu II wojny światowej należał do Komitetu Narodowego Amerykanów Polskiego Pochodzenia, a jeszcze wcześniej jako człowiek światowy i mocno zaangażowany w polską politykę bywał w Nowym Jorku na spotkaniach z Ignacym Paderewskim. Po wojnie, otrzymawszy status emigranta, osiadł w Ameryce na stałe, choć wciąż – jak wielu innych polskich patriotów, usilnie zabiegał o uwagę Amerykanów, starając się ją skierować na sytuację w powojennej Polsce. Uważał, że to ugodowa polityka aliantów wobec Stalina i ZSRR i skrajnie nieudolna polityka międzynarodowa polskiego rządu na uchodźstwie, reprezentowana podczas okupacji przez generała Władysława Sikorskiego i premiera Stanisława Mikołajczyka, doprowadziły po wojnie do przejęcia władzy w Polsce przez komunistów.

Konrad Rogowski – były żołnierz walczący w podziemnych szeregach Armii Krajowej – był odmiennego zdania, bo darzył szczególnym szacunkiem zmarłego tragicznie generała Sikorskiego i kultywował pamięć o nim. Tylko że Konrad, w przeciwieństwie do prokuratora Raczka czy jemu podobnych, nie łudził się, że jakakolwiek inicjatywa aliantów czy samej Ameryki jest w stanie zmienić bieg tego, co wydarzyło się w Polsce po 8 maja 1945 roku. Dla niego ojczyzna, oddana w ręce komunistów, była stracona; uważał, że tylko opowiadanie na głos w szerokim świecie o tym, czego dopuścili się naziści i Sowieci w Polsce, jest jedyną sensowną polityką. Był jednak w tym myśleniu odosobniony, o czym przekonał

się niejednokrotnie, rozmawiając z przebywającymi licznie na emigracji Polakami. Wszyscy – choć bez wątpienia też sfrustrowani i rozczarowani – radzili mu jednak powściągliwość, by nie stwarzać niepotrzebnych nieporozumień w stosunkach z Ameryką. On jednak uparcie zabiegał o publikację zdjęć, które wykonał podczas wojny, a które stanowiły świadectwo tego, jak okrutnie naziści i sowiecka Armia Czerwona poczynali sobie z ludnością cywilną w Polsce. Ale nawet teraz prokurator Raczek nie pozostawił mu złudzeń co do zgody na publikację tych materiałów.

– Byłem pewien, że w końcu da mi pan zielone światło – odparł Rogowski, nie ukrywając irytacji. – Zapewniał pan, że działa w tym temacie i że zrobi wszystko, żeby w końcu się udało. Przecież macie znajomości wśród amerykańskich polityków, czy tak trudno zdobyć ich zgodę? Naprawdę wciąż musimy się godzić na przymykanie oczu?

Prokurator Raczek westchnął z rezygnacją. On sam również wiele przeżył, wojna dotknęła go osobiście, bo stracił jedyne go syna, który był żołnierzem cichociemnym zrzuconym do Polski i został bestialsko zamordowany przez Gestapo.

– Konradzie, sprawa jest bardzo delikatna i trudna do zrealizowania. Dobrze wiesz, że publikacja tych zdjęć wywoła burzę. Amerykański Kongres ma spore obiekcje. Uważają, że to nie jest właściwy czas na zaostrzanie międzynarodowej sytuacji politycznej, która i tak jest wyjątkowo nieprzyjemna.

– Bzdura! – rzucił Konrad drwiąco. – Chodzi o to, że Amerykanie zatrudniają nazistów do prac naukowych. Dają im wizy, mieszkania, nowe życie. Tylko o to chodzi! Więc jak w takim wypadku mogą chcieć publikować moją prawdę? Naszą prawdę! Wszystko, co ci

naziści robili podczas wojny, w cudowny sposób zostało im wybaczone.

Raczek potarł czoło.

– Wiem, to pogwałcenie międzynarodowych ustaleń. Mnie też złości, że nasz głos jest ignorowany, ale mamy coraz mniejszy wpływ na cokolwiek. Polska jest w tej chwili słabym partnerem dla Ameryki jako państwo satelitarne Stalina. Oni nas sobie odpuścili, Konrad. Uważają, że sam fakt wpuszczenia do USA setek tysięcy wojennych przesiedleńców i utworzenie Kongresu Polonii Amerykańskiej oraz Instytutu Józefa Piłsudskiego tu, w Nowym Jorku, jest wystarczającą inicjatywą z ich strony. A my na nic więcej nie możemy w tej chwili liczyć. Nie zapominaj, że jesteśmy tylko jedną z wielu populacji emigracyjnych w tym kraju... I nawet nie najliczniejszą.

– Więc powinienem łaskawie podziękować za gościnę i z pokorą schylić głowę przed wielkością Ameryki, która z zadowoleniem korzysta z wiedzy nazistowskich uczonych? – zadrwił Rogowski.

– Tak właśnie powinieneś zrobić. Dla siebie i dla nas wszystkich. Jesteś tu, żyjesz i masz się całkiem dobrze. Pomyśl, co by było, gdybyś został w Warszawie.

Konrad przez chwilę milczał. W końcu wykonał nieokreślony ruch ręką.

– Pewnie leżałbym w jakimś bezimiennym, usypanym na szybko grobie. Jak mój ojciec...

Prokurator Raczek odchrząknął.

– Wiem, że to, co stało się z twoim ojcem, bardzo ci ciąży...

– Nie – odparł Konrad z kamienną twarzą. – Bardziej ciąży mi coś innego. Skoro Kongres jest przeciwny ujawnianiu moich zdjęć, to pozwólcie mi pokazać je prezydentowi Trumanowi. Chcę, żeby

zobaczył je osobiście i sam zdecydował. Roosevelt zlekceważył sprawę Polski podczas wojny, może Truman tego nie zrobi.

– Nie! – zareagował gwałtownie Raczek. – To wykluczone. Jeśli chcemy zachować tu swoją pozycję, musimy działać ostrożnie. Pamiętaj, że w Polsce zostały miliony obywateli, którzy zapłacą wysoką cenę za twoje zdjęcia, jeśli je opublikujesz. Świat, owszem, dowie się o zbrodniach, ale nie tylko niemieckich, lecz i sowieckich. I nie zmieni to niczego poza tym, że rzesze Polaków zapłacą za to życiem. Sam wiesz, co zrobiono ze sprawą Katynia. Nikt, absolutnie nikt nie może nawet napomknąć, że wie, co Sowieci zrobili polskim oficerom, między innymi twojemu świętej pamięci ojcu.

Konrad był wściekły. Emigrując do Ameryki z narażeniem życia swojego i córki, przemycał cenne mikrofilmy ze zdjęciami. Uważał, że to, co na nich uwiecznił, stanowi niezbity i twardy dowód dla wszelkich trybunałów sprawiedliwości. Udokumentowane okrucieństwa nie pozostawiały wątpliwości, a on robił to wszystko w strachu, z narażeniem życia i ze świadomością, że większości tych obrazów nigdy nie będzie w stanie wymazać z pamięci. Okazało się jednak, że w czasach prowizorycznego, szytego grubymi nićmi pokoju nikt nie traktował jego wojennej pracy poważnie. Jego świadectwo wręcz ignorowano. Jakby to, czego był świadkiem, nie miało znaczenia. Jakby cierpienie tysięcy ludzi nikogo nie obchodziło, bo wojna dobiegła końca i należało o niej zapomnieć.

– To po co pan mnie tu wezwał? – zapytał z pretensją i dopił kawę.

Odczuwał bezsensowność tej rozmowy. Prokurator Raczek, prosząc go o spotkanie, zapewniał, że sprawa jest pilna i ważna, więc Konrad był pewien, że chodzi właśnie o zdjęcia. Tymczasem teraz

miał wrażenie, że prokurator chciał go jedynie uciszyć, aby się zbyt nie wychylał ze swoją wojenną prawdą.

– Widzę, że jesteś rozgoryczony – podjął Raczek – ale mam coś dla ciebie – dodał ugodowym tonem. – Coś, na czym bardzo ci zależy, więc a nuż poprawi ci to samopoczucie. Znaleźliśmy ślad, który może nas doprowadzić do Rudolfa Schultego.

Twarz Konrada stężała.

Czekał na tę informację od dawna, tak naprawdę od chwili przybycia do Nowego Jorku. Wiedział, że gdzieś tu z pewnością ukrywa się człowiek, który przyczynił się do śmierci jego żony. Wierzył też, że kiedyś uda mu się odnaleźć mordercę, choćby miał poświęcić na to całe życie. Tak naprawdę pragnął tego prawie tak samo mocno jak zdrowia dla swojej jedynej córki. Od pięciu lat tropił każdy ślad na temat SS-Obersturmführera Schultego. Jeszcze nim dotarł do Nowego Jorku, zebrał wszelkie dostępne informacje na jego temat, które złożyły się na obraz człowieka bezwzględnego, bez reszty oddanego ideologii nazistowskiej i ślepo wierzącego swojemu przywódcy Hitlerowi. Według ustaleń Konrada jeszcze przed wojną Rudolf Schulte jako młody berlińczyk wstąpił do formacji SS. Był podobno skryty, ale uprzejmy. A do tego niezwykle przystojny. Starał się kreować na człowieka inteligentnego i z klasą, lecz w rzeczywistości nie miał ani zbyt wysokiego wykształcenia, ani koneksji rodzinnych. W szeregach SS upatrywał szansę na karierę wojskową. Podczas wojny z upodobaniem znęcał się nad ludnością cywilną Warszawy, wydając rozkazy częstych łapanek, przypadkowych rozstrzelań czy publicznych egzekucji na młodych powstańcach. Nie oszczędzał również kobiet, na które według świadków tamtych zdarzeń patrzył ze szczególną pogardą.

- Skąd macie pewność, że tym razem to nie jest fałszywy trop? Szukamy go od dawna, więc sukinsyn na dobre mógł zapaść się pod ziemię. Mielście kilka pomysłów, gdzie mógłby się ukrywać, i każdy okazał się niewypałem.

- To prawda, ale tym razem odkryliśmy tożsamość kogoś, kto może nas zaprowadzić do Ingi Petersen, dawnej kochanki Schultego. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że Petersen wie, gdzie ukrywa się Schulte.

- Może też tego nie wiedzieć – odparł Konrad kpiąco.

- Owszem, zwłaszcza że Petersen była jego kochanką jeszcze przed wojną. Ale jeśli Schulte ukrywa się tu, w Stanach, i ona też tu jest, warto sprawdzić. Według naszych źródeł to najpewniejszy trop.

- Skąd wiecie, że ta Inga Petersen mieszka w Ameryce?

- Nie wiemy. Tego właśnie musisz się dowiedzieć od kobiety, którą powinieneś poznać.

Konrad poczuł nagły ucisk w piersi. Przypuszczalnie znalazł się bliżej celu, choć jednocześnie miał wrażenie, że jeszcze nigdy nie był od niego tak daleki. Świadomość, że w końcu być może trafiono na trop kata jego żony – bo inaczej nie mógł tego osobnika nazwać – ciążyła mu niczym ołów. A Teodor Raczek z lubością położył ów ciężar na jego piersi.

Dwa lata temu pod osłoną nocy Konrad uciekł z Polski; przebył tysiące kilometrów, przepłynął się przez ocean, żeby odszukać Schultego, który z dużym prawdopodobieństwem mógł ukrywać się w Ameryce. Jednak pomimo wysiłków ludzi skupionych wokół polskiej emigracji nie znalazł nawet małego śladu obecności nazistowskiego zbrodniarza. A teraz okazało się, że być może jednak coś mieli, może coś znaleźli. Powinien się cieszyć; lecz póki co

zmroziła go nagła myśl, że znowu będzie grzebał tępym patykiem w niezagojonej ranie, rozdrapywał strupy, sącył krew. Ale sprawiedliwości musiało stać się zadość.

- Kim jest ta kobieta? Gdzie ją znajdę? - zapytał chrapliwym głosem.

Próbował nie okazywać emocji, ale czuł, że z trudem nad sobą panuje.

Prokurator uśmiechnął się pod przystrzyżonym wąsem i ta reakcja zaskoczyła Konrada; nie przypominał sobie, żeby ten stary wyga był kiedykolwiek czymś rozbawiony. Prokurator Raczek podchodził do życia raczej z powagą i powściągliwością, lecz teraz w jego jasnych, okolonych zmarszczkami oczach czaił się szelmowski błysk.

- To dość osobliwe, bo ta kobieta... No cóż. Zapewne ją znasz, choć myślę, że nie osobiście.

Konrad uniósł brew w wyrazie oczekiwania.

- To Lauren Evans - wyjaśnił krótko Raczek.

Rogowski przez chwilę patrzył na starszego mężczyznę, nie rozumiejąc. Czyżby prokurator stroił sobie z niego żarty?

- Lauren Evans? - zapytał głupio. - Ta... - urwał, niedowierzając.

- Ta aktorka - dokończył za niego prokurator.

Konrad wiedział, kim była Lauren Evans. Natychmiast ujrzał w wyobraźni hollywoodzką gwiazdę, którą kochała cała Ameryka. Piękna, młoda kobieta ostatnimi czasy stała się niezwykle popularna, a jej wizerunek można było oglądać niemal wszędzie. Konrad widział ją w jednym czy dwóch filmach, a teraz podobno zagrała w kolejnym dla gigantycznej wytwórni 20th Century Fox i ten film stał się dla niej trampoliną na hollywoodzki szczyt.

- Lauren Evans zna Ingę Petersen?

- Lauren Evans to według naszych potwierdzonych informacji w rzeczywistości Lara Petersen. Przybyła do Nowego Jorku czternaście lat temu z matką, której na imię Inga.

Konrad na chwilę zaniemówił.

- Czyli... - odezwał się wreszcie. - Lauren to córka Ingi, kochanki Schultego? I przyjechały prosto z Rzeszy? W tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku?

- Tak.

- Ciekawe dlaczego... Czyżby nie polubiły się z Hitlerem?

Prokurator skrzywił się z przekąsem.

- Lara, gdy tylko zaczęła starać się o role w filmach, natychmiast zmieniła nazwisko na Lauren Evans. Nietrudno się domyślić, że nie chciała być kojarzona z Rzeszą, zwłaszcza że zaczynała grać, kiedy Hitler jeszcze był u władzy. Obecnie raczej nikt nie wie, że panna Evans jest Niemką o prawdziwym nazwisku Petersen. Wygląda jak typowa amerykańska gwiazda i doskonale mówi po angielsku.

- Typowa gwiazda - zadrwił Konrad. - A w rzeczywistości kobieta, która skrzętnie ukrywa swoją prawdziwą tożsamość, w dodatku być może mająca coś wspólnego z SS-Obersturmführerem Rudolfem Schultem.

- Nie bądź dla niej zbyt surowy. Ameryka to dobre miejsce, żeby zapomnieć o swoim pochodzeniu i zacząć od nowa. Ty, zdaje się, jesteś tu z podobnego powodu.

- Jestem tu z wielu powodów, między innymi dlatego, że chcę odnaleźć zbrodniarza, który odebrał mojej córce matkę.

- I postawić go przed organami sprawiedliwości - dodał prokurator z wyraźnym naciskiem. - Pamiętaj, że wraz z komitetem

pozwalamy ci na współpracę tylko dlatego, że obiecałeś podejść do sprawy uczciwie. Nie zapominaj, że masz dla kogo żyć.

– Zawsze o tym pamiętam.

Prokurator miał głęboko powątpiewającą minę, jakby nie do końca wierzył w deklarację Rogowskiego. Konrad zdawał sobie sprawę, że w środowisku emigrantów wojennych uważano go za anioła zemsty, który domagał się schwytania nazistowskiego oprawcy swojej żony. Ale on nie zamierzał się mścić. Żądał jedynie sprawiedliwości. Chciał zobaczyć, jak człowiek, który dopuścił się najgorszych zbrodni, staje przed sądem, co gwarantowały konwencje podpisane jednomyślnie przez Organizację Narodów Zjednoczonych. Jednocześnie miał bolesną świadomość, że nie tylko Schulte powinien poczuć na karku sprawiedliwą dłoń Temidy, bo zbrodniarzy jak on, popełniających najgorsze bestialstwa na ludności cywilnej podczas wojny, było niezliczenie wielu. A procesów takich jak ten w Norymberdze – zdecydowanie za mało. Jednak obecne czasy w żaden sposób nie sprzyjały uczciwym rozliczeniom, bo wielcy przywódcy próbowali jako tako podtrzymać wątpliwy pokój na świecie. Cała ta sytuacja doprowadzała Konrada do wściekłości. Jedyne, co mógł zrobić, to samemu odnaleźć Rudolfa Schultego i oddać go w ręce sprawiedliwości. W gruncie rzeczy liczył na to, że jeśli tak się stanie, on sam w końcu choć częściowo odzyska wewnętrzny spokój.

– Wiemy, że Inga Petersen przybyła do Ameryki w trzydziestym szóstym, ale nie mamy informacji, czy nadal tu jest, bo po jakimś czasie ślad po niej zaginął – wyjaśnił Raczek.

– Pomyślałby kto, że próbuje się ukryć – rzucił Konrad ze złośliwą ironią.

- Nie bądź cyniczny, chłopcze.

Rogowski uśmiechnął się mimo woli. Miał prawie trzydzieści pięć lat, był wdowcem z dziesięcioletnią córką, do tego przeżył wojnę, która go utemperowała i zahartowała, a Raczek wciąż widział w nim chłopca. Stwierdził teraz w duchu, że z pewnością ma to związek z relacją, jaka dawniej łączyła prokuratora z ojcem Konrada. W młodości mężczyźni przyjaźnili się i Raczek nieraz miał okazję widzieć syna swego druha, gdy młodzieniec przez swe lekkomyślne zachowanie nawet nie przypominał poważnego człowieka.

- To, że jesteś fotografem, może nam się przydać - kontynuował Raczek. - Dzięki temu łatwiej nawiążesz kontakt z panną Evans. Z racji swej profesji nie powinna się dziwić, gdy pojawisz się na jej drodze, oczywiście jeśli właściwie to rozegrasz. Bo lepiej, żeby nie zorientowała się w temacie. Dzięki sławie ma dojścia i mogłaby narobić nam kłopotu.

- Chyba że jest na tyle inteligentna, by od razu zwietrzyć podstęp. Raczek spojrzał uważnie na Konrada.

- Już twoja w tym głowa, żeby rozegrać to właściwie. Raczej nie powinieneś się jej obawiać. Nasi ludzie dowiedzieli się o niej wszystkiego, co możliwe, i z dużym prawdopodobieństwem możemy stwierdzić, że panna Evans nie ma obecnie już nic wspólnego z krajem swoich przodków. - To mówiąc, podsunął Rogowskiemu sporych rozmiarów kopertę. - W środku znajdziesz informacje na jej temat, czyli wszystko, co o niej wiemy.

Konrad nawet nie zerknął na kopertę, tylko zgarnął ją ze stołu i schował do wewnętrznej kieszeni marynarki. Nauczył się już, że z pewnymi sprawami lepiej zapoznawać się w samotności, kiedy nikt nie może zajrzeć ci przez ramię.

- Ale nie okaże się drugą Matą Hari?

Raczek skarcił go spojrzeniem.

- Nie żartuj. Postaraj się, żeby ta urocza kobieta doprowadziła cię do Ingi Petersen, a my zajmiemy się całą resztą. I nie próbuj działać na własną rękę, bo tylko sobie zaszkodzisz.

- Zrobię, co w mojej mocy, panie prokuratorze - odparł Konrad z przesadną estymą, co wyraźnie wzmogło czujność starszego mężczyzny.

Konrad rzeczywiście był fotografem, do tego - jak sam uważał - całkiem niezłym, choć nie ukończył w tym kierunku żadnej szkoły ani specjalnego kursu, który by go do tego zajęcia przygotował. Wprawdzie jeszcze kilka lat temu jego codzienne zajęcia wyglądały inaczej niż obecnie, bo choć działał pod groźbą zdemaskowania go przez SS albo Gestapo, co wiązało się z natychmiastowym rozstrzelaniem, to fotografował rzeczywistość, wierząc, że jego praca nie pójdzie na marne. Tymczasem teraz, w Nowym Jorku, po zakończeniu wojny, kiedy przekłete dni walki o życie miał już za sobą, zarabiał pieniądze głównie na fotografowaniu modelek do reklam i wydarzeń kulturalnych. Jego zdjęcia publikowano w poczytnych magazynach, które kochała Ameryka.

Zmiana okazała się diametralna, ale też i jego życie po wojnie zmieniło się nie do poznania. Konrad miał wrażenie, że opuszczając Polskę i uciekając do USA, przeniósł się do zupełnie innego świata. Wciąż pamiętał strach i niepewność, jakie towarzyszyły mu przez całą długą drogę. Pamiętał, w jakich okolicznościach wraz z Emilką i Heleną wydostali się z Warszawy, uciekając niemal sprzed nosa tropiącym go ubekom. Żał mu było towarzyszy broni, którzy gnili w ubeckich katowniach, czekając na wyroki, oraz tych, którzy po

niesprawiedliwych oskarżeniach gryźli piach. On cudem tego uniknął. Uciekł i przeżył. Ale w zamian obiecał sobie solennie, że poświęci swoje marne – jak uważał – życie na głoszenie prawdy o minionej wojnie i poszukiwanie byłego esesmana Rudolfa Schultego. Przede wszystkim jednak musiał jak najwięcej poświęcić siebie córce, która potrzebowała go bardziej niż ktokolwiek inny. Tak naprawdę wszystko, co robił, było podyktowane troską o Emilkę i potrzebą odkupienia win, które spowodowały, że jego córka doznała tak dotkliwego cierpienia.

Pamiętał swoje zdumienie, kiedy opuściwszy Ellis Island, na której przetrzymywano ich jako enemy aliens, spojrzął na Nowy Jork. Na przytłaczające drapacze chmur i gwarne ulice, gdzie hałas był tak potężny, że jego pulsowanie Konrad czuł w niemal każdej komórce ciała. Miał wrażenie, że wysokie onieśmialające majestatem budynki napierają na niego, a feerie świateł to tylko ułuda. Dotąd nie miał do czynienia z taką eskalacją swobody, różnorodności i nowoczesności, choć w młodości bywał w większych europejskich miastach i zdążył nawet zakochać się w Londynie, w którym przebywał przez chwilę w trakcie wojny jako emisariusz do generała Sikorskiego. Nic jednak nie dało się porównać z tą tętniącą gwarem amerykańską metropolią.

Nie przypuszczał, że tak szybko wsiąknie w hałaśliwy i wielokulturowy rytm Nowego Jorku. Podświadomie jednak szukał spokoju, stabilizacji i bezpieczeństwa, bo to wszystko było niezbędne do życia jego jedynej córce.

Teraz, zerkając na ruchliwą ulicę za witryną malutkiej kawiarni, na krótką chwilę skierował myśli na Lauren Evans. Aktorka była u szczytu sławy – nie tylko piękna, ale i szalenie popularna,

pobudzała wyobraźnię. Ludzie czekali na wszelkie smaczki na temat jej życia. Pragnęli sensacji, plotek, barwnych opowieści z wielkiego świata, do którego nie mieli dostępu. Chcieli wiedzieć wszystko o tej bez wątpienia rozkapryszonej, zmanierowanej damulce, emanującej grzesznym i pociągającym seksapilem, który z jednej strony oburzał, a z drugiej podniecał amerykańską publiczność.

– Panna Evans za parę dni przyjeżdża do Nowego Jorku na premierę najnowszego filmu Nieczysta gra. Powinieneś tam być – zasugerował Raczek.

– Będę.

Raczek odchrząknął.

– Ona... podobno bardzo lubi mężczyzn, więc masz pole do popisu.

– Co pan sugeruje?

– Nic, absolutnie nic. Po prostu mógłbyś być dla niej nieco miłszy niż dla innych. Wtedy szybciej osiągniemy cel.

– Uważa pan, że nie jestem miły dla kobiet?

– Chodzą słuchy, że bywasz dość... oschły.

Konrad zmarszczył brwi.

– Pan wie, że kobiety mnie nie interesują. Zwłaszcza rozpieszczone aktoreczki pokroju Lauren Evans.

Prokurator skwapliwie przytaknął.

– Wiem, choć pamiętam ciebie też jako młodzieńca bardzo lubiącego towarzystwo dam. Rozumiem, że wciąż jesteś w żałobie po Annie, ale gdybyś w przypadku panny Evans mógł nieco poluźnić swoją niechęć do płci przeciwnej, byłoby to z korzyścią dla sprawy. Nie zaprzeczysz, że to czarująca kobieta, a do tego zapewne przyzwyczajona do adoracji, więc spróbuj wykrzesać z siebie trochę

męskiego uroku. Tylko rób to dyskretnie, bo nikomu z nas nie zależy na tym, byś znalazł się na czołówkach gazet.

Konrad dopił kawę i uśmiechnął się pobłaźliwie.

– A czemu nie? – zapytał przewrotnie. – Może dzięki aktoreczce i jej sławie ktoś zainteresuje się publikacją moich zdjęć.

– Do diabła! – Raczek trzasnął dłonią o stół. – Po raz kolejny powtarzam: odpuść, bo nie czas na to!

Rogowski uniósł ręce w poddańczym geście.

– Spokojnie, zrozumiałem, co ma pan na myśli. Proszę się nie martwić. Przecież to mnie najbardziej zależy na tym, żeby odnaleźć tego sukinsyna, więc będę uprzejmy dla panny Evans tak bardzo, że aż ją zemdli. Więc kiedy ta premiera?

– W przyszłym tygodniu.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Konrad trawił słowa prokuratora.

– A zmieniając temat – przerwał ciszę Raczek. – Jak Emilka? Coś się zmieniło? Jakieś postępy?

– Nie, niestety bez zmian.

Na twarzy prokuratora pojawił się cień współczucia.

– Gdybyś czegoś potrzebował...

– Nie, dziękuję. Już dość mi pomogliście. Samo wyrwanie mnie z Polski było niezłym wyczynem.

– Wiesz, że całe polonijne środowisko ma głęboki szacunek do twojego ojca i do ciebie. Dlatego nie chcemy zostawić cię w sytuacji, gdy...

– Wiem – przerwał mu Konrad. – Ale ja nie jestem taki jak mój ojciec. A z Emilką poradzę sobie sam.

Prokurator sapnął z rezygnacją.

- A swoją drogą wiesz, że nasz komitet chętnie przyjmie cię w swoje progi. Jesteś byłym akowcem, zatem znajdzie się dla ciebie odpowiednia i godna praca.

- Polityka, którą prowadzicie, mnie nie interesuje. Chcę jedynie opublikować zdjęcia, znaleźć tego sukinsyna i móc żyć po swojemu. Praca, którą mam, w zupełności mi wystarcza.

- Ale jest dość osobliwa i mocno poniżej twoich umiejętności. Twój ojciec był pułkownikiem, a matka szanowaną córką profesora...

- Dla mnie jest właściwa - upierał się Konrad.

Nie lubił, kiedy przypominano mu, z jakiej rodziny pochodził, bo tamte czasy minęły bezpowrotnie.

- Skoro tak, no cóż... To chociaż przyjdź do instytutu uporządkować rzeczy po ojcu. Chcielibyśmy z nich zrobić właściwy użytek. To pamiątki po polskim oficerze, które są niezwykle cenne dla zachowania pamięci.

- W porządku, przyjdę - mruknął Konrad od niechcienia.

Wiedział, że prędzej czy później będzie musiał to zrobić, ale z jakiegoś powodu wciąż odwlekał to w czasie. Może dlatego, że był pewien, iż każda pamiątka po ojcu będzie krzyczała mu w twarz, że on sam nigdy nie był i nie będzie taki nieustraszony i honorowy jak świętej pamięci pułkownik Rogowski, który został zamordowany w Katyniu przez NKWD strzałem w tył głowy.

- W takim razie czekamy na ciebie. Panna Krysia pomoże ci uporządkować, co trzeba. To bardzo skrupulatna dziewczyna.

Raczek wstał i zaczął szykować się do wyjścia. Na odchodne podał Konradowi dłoń.

- Życzę ci powodzenia z panną Evans. Myślę, że to będzie dla ciebie bardzo ciekawe doświadczenie.

ROZDZIAŁ 2

Fotoreporterzy przepychali się jeden przez drugiego, napierając na szyby lśniącej limuzyny, która sunęła majestatycznie w stronę brodwayowskiego teatru. Błysk fleszy oślepił siedzącą na wygodnej skórzanej kanapie Lauren Evans, choć jeszcze nie wysiadła z auta, jeszcze nie wystawiła się na widok publiczny. Wyczuwała jednak szal i podniecenie fotografów oraz dziennikarzy i sama również czuła się podekscytowana. Tego wieczoru należała do nich. Była ich królową. Od kilku godzin ustawiali się wzdłuż ulicy i rozwiniętego czerwonego dywanu, żeby zająć jak najlepsze miejsce na zrobienie idealnego ujęcia.

Lauren, choć w pełni świadoma swojej urody, niespokojnie przejechała dłonią w długiej jedwabnej rękawiczce po lśniących złotych włosach. Były idealne.

Kątem oka zerknęła na siedzącego obok Garretta Moore'a. Uśmiechnął się do niej pobłażliwie, niemal po ojcowsku, ale aktorka знаła go na tyle, żeby wiedzieć, iż to tylko poza, bo Garrett był gotowy rzucić ją na pożarcie gawiedzi. Ba, wręcz nie mógł się tego doczekać. Chciał, żeby ludzie na nią patrzyli, podziwiali ją, oklaskiwali. Pragnął w ich błyszczących z podniecenia oczach zobaczyć zachwyt. Bo Lauren była jego aktorką. Jego trofeum. I Lauren tę prawdę musiała akceptować, bo jak dotąd żaden inny wysokiej klasy reżyser nie powierzył jej roli, która otworzyłaby przed nią tak ogromne możliwości i zaprowadziła tak wysoko. To nic, że po

filmie Nieczysta gra okrzyknięto ją pierwszą hollywoodzką femme fatale, z powodzeniem mogącą konkurować z Marilyn Monroe, a prasa prześcigała się w wymyślaniu określeń na perfidną, wyniosłą i wyrachowaną Lauren, utożsamiając ją z rolą, którą grała. A to znaczyło, że wypadła w niej doskonale. I była z tego dumna.

Limuzyna zatrzymała się przy krawężniku, tuż przed czerwonym dywanem, który rozpościerał się aż do głównego wejścia Palace Theatre. Wisiały nad nim imponujące billboardy z wizerunkiem Lauren i partnerującego jej w filmie Petera Jonesa. Tkwili na nich w namiętym uścisku à la Vivien Leigh i Clark Gable z Przemiętło z wiatrem. To tu, w tym najbardziej znanym broadwayowskim teatrze, miała się odbyć uroczysta, druga już premiera Nieczystej gry. Całe Hollywood huczało o tym filmie od dobrych kilku tygodni. Pierwsza premiera, w Los Angeles, okazała się spektakularnym sukcesem i w siedem dni przyniosła produkcji zarobek rzędu czterech milionów dolarów. Lauren jednak zależało na sukcesie tu, w Nowym Jorku. Bo to było jej miasto, które kochała miłością szaloną, prawdziwą i pełną tęsknot. Mieszkając na co dzień w Los Angeles, zawsze szukała okazji do odwiedzenia Nowego Jorku. A kiedy już się w nim znalazła, odwlekała wyjazd, jak tylko się dało, i obiecywała sobie, że kiedyś, gdy zrezygnuje z kariery aktorki, na stałe przeniesie się do miasta, które nigdy nie zasypia.

Zerknęła przez szybę limuzyny i uśmiechnęła się lekko, próbując stłumić narastające zdenerwowanie. Trema przed osaczającym tłumem nigdy jej nie opuszczała, a teraz wydawała się jeszcze większa, odkąd Lauren stała się powszechnie uwielbianą aktorką. Przez pięć lat kariery powinna przywyknąć, przyzwyczać się, a jednak każdy kontakt z fanami, którzy uważali, że Lauren jest

dobrem powszechnym i w związku z tym mają do niej prawo, powodował u niej nerwowe napięcie całego ciała. W Hollywood było inaczej, bo tam publiczność stanowili ludzie filmu – aktorzy, reżyserzy, producenci. W Hollywood każdy był z branży. Tutaj, w Nowym Jorku, musiała zmierzyć się z prawdziwą publicznością. Zwykłymi ludźmi.

– Ten wieczór należy do ciebie, laleczko – mruknął Garrett, szczerząc do niej idealnie białe zęby.

Był przystojny, elegancki i pewny siebie. Wiedział, że stworzył film bardzo dobry, wręcz wybitny, więc nie szczędził pełnych satysfakcji uśmiechów i przybrał pozę kogoś, kto osiągnął szczyt szczytów.

Miał jednak rację – ten wieczór należał do Lauren. Czekala na to długie miesiące. Odliczała dni, wyrywając kartki z kalendarza. Złotym piórem zapisywała w osobistym notatniku każdy krok, który należało wykonać, żeby ten wieczór był jedyny i wyjątkowy. Żeby ona była wyjątkowa. Długie lata ciężkiej pracy i mozolnego wspinania się po szczeblach aktorskiej kariery w końcu przywiodły ją do tego miejsca. I dziś czuła, że jest najlepsza, najbardziej pożądana. Z nikomu nieznannej tancerki stała się hollywoodzką gwiazdą, o której marzyli reżyserzy i którą podziwiali miliony Amerykanów. W końcu udowodniła, ile jest warta.

Drzwi limuzyny otworzyły się i Lauren wysunęła z auta kształtne nogi. Jej stopy z pomalowanymi na czerwono paznokciami zdobiły złote sandały na wysokich obcasach od włoskiego projektanta Salvatore Ferragamo. Nie było wątpliwości, że jutro każde liczące się pismo modowe w Ameryce wydrukuje zdjęcia tych niebotycznie drogich butów, a pospolite Amerykanki będą wzdychać i po cichu

marzyć, że może kiedyś i one choć raz włożą na swoje stopy coś tak oszałamiająco pięknego.

Wśród ludzi skandujących jej imię Lauren niczym bogini wysiadła z limuzyny. Nagły błysk fleszy w pierwszej chwili jak zawsze ją oślepił; jej jasna twarz z wygiętymi w idealny łuk ciemnymi brwiami i karminowymi ustami rozszerzonymi w uśmiechu znalazła się w obiektywach dziesiątek strzelających aparatów.

Była piękna. Czowała to. Widziała to w zachwyconych spojrzeniach wpatrzonych w nią mężczyzn. Sunęli wzrokiem po jej idealnej sylwetce otulonej jasnoróżowym jedwabiem sukni wieczorowej, z plecami odkrytymi na całej głębokości. Okazały i długi na niemal dwa metry tren ozdobiony był miękkimi piórami w pasteloworóżowym kolorze. Jeszcze nigdy Lauren nie miała na sobie tak zjawiskowej kreacji z kolekcji haute couture rozchwytywanego francuskiego projektanta Christiana Diora. Ale ten wieczór był jedyny i niepowtarzalny, więc wymagał wyjątkowej oprawy.

Po drugiej stronie ulicy tłum gapiów zaczął histerycznie krzyczeć i nawoływać, domagając się choć odrobiny uwagi hollywoodzkiej gwiazdy. Lauren, oszołomiona splendorem, jakim otoczyli ją fotografowie, w blasku fleszy nie zdołała dostrzec twarzy tamtych zwykłych nowojorczyków, ale odruchowo i dobrze wyuczonym gestem pomachała w ich kierunku. Niech wiedzą, że słyszy te pełne uznania okrzyki, że docenia ich uwielbienie dla niej. Bez podziwu widzów byłaby przecież nikim.

Stąpała lekko po czerwonym dywanie, uśmiechając się i płynnie kołysząc biodrami, a imponujący tren falował za nią jak wielkie

skrzydło łabędzia. Tanecznym krokiem okręcała się to na prawo, to na lewo, by każdy z fotografów mógł zrobić jej jak najlepsze ujęcie.

Garrett Moore wysiadł z limuzyny i teraz szedł kilka kroków za nią, puszczając się jak paw i przyjmując wyrazy uznania, które jemu należały się równie zasłużenie jak jej. W końcu to on stworzył ten film i Lauren jako główną gwiazdę.

Aktorka cieszyła się, że w swoim egoizmie i potrzebie poklasku Garrett nie chciał iść z nią przez czerwony dywan ramię w ramię, trzymając ją, jak zwykł to robić, zaborczo za ramię. W tej chwili pragnął, żeby fotoreporterzy robili zdjęcia wyłącznie jemu, bez jakiegokolwiek asysty – nawet jeśli miała to być piękna i uwielbiana aktorka. Chciał, żeby jutrzejsze nagłówki gazet pisały o nim jak o królu amerykańskiego filmu, który niczym wizjoner tworzy nowe klimaty dla filmu noir, jakim bez wątpienia była Nieczysta gra. Nie zabrał nawet żony, która żyjąc w cieniu sławnego męża, została w domu w Los Angeles z czwórką ich dzieci.

Wśród okrzyków i braw do uszu Lauren dotarł odgłos silnika limuzyny podjeżdżającej pod Palace Theatre. Domyśliła się, kto nią przyjechał.

Peter Jones jak mało kto pobudzał wyobraźnię zakochanych w nim po uszy kobiet. Niezwykle przystojny, z figlarnym uśmiechem zadziornego chłopca i głębokim spojrzeniem ciemnych oczu sprawiał, że każdej damie w jego towarzystwie miękły kolana. Swoim męskim urokiem mógł konkurować chyba jedynie z młodym Marlonem Brando.

Lauren też dała się złapać w pułapkę magnetyzmu Petera i nie bez zazdrości patrzyła teraz na słodką, wystrojoną w tiule i koronki jego towarzyszkę, Betty Lee. Pomimo że Betty była uznaną

śpiewaczką w nowojorskiej Metropolitan Opera, robiła wrażenie głupiutkiej panienki. Od jakiegoś czasu spekulowano, że Peter Jones zapewne ożeni się z panną Lee, bo była jak dotąd jedyną kobietą, z którą ogłosił oficjalny związek, a ten trwał już od roku z okładem. Lauren uśmiechała się tajemniczo na te niemądre plotki, przypominając sobie namiętne chwile, które spędzała w ramionach amanta. Teraz zerknęła na niego tylko przelotnie, kiedy wyłonił się z limuzyny, skupiając na sobie uwagę wpatrzonych w nią i Garretta fotografów.

„Później się z nim spotkam” – pomyślała. Po premierze, kiedy będą już tylko we dwoje w jej prywatnym apartamencie, powie mu, jak śmiesznie wygląda z tą swoją śpiewaczką. A później pozwoli mu zdjąć z siebie łabędzią suknię i będą się kochać, dopóki zmęczeniu nie zasną w swoich ramionach.

Otrząsnęła się z tych obiecujących wyobrażeń, bo tłum fotografów rozstał się i pozwolono jej wejść do Palace Theatre. Tymczasem na czerwonym dywanie pojawiali się kolejni twórcy filmu, między innymi drugi aktor, Arnold Brown, grający w Nieczystej grze męża Lauren.

– Lauren, kochanie! Wyglądasz bosko! Nieziemsko! Och, skarbie, tak się cieszę! – W eleganckim holu teatru, wśród zebranych na premierze gości, do Lauren dopadła Elizabeth Watson, jej najlepsza przyjaciółka.

Zwykle bardziej powściągliwa, teraz wprost kipiała z dumy i radości, ściskając Lauren tak mocno, aż ta niemal straciła oddech. Lecz gdy otulił ją ciepły, delikatny zapach perfum przyjaciółki, od razu poczuła się dobrze i znajomo, jakby wróciła do domu.

– Liczyłam na to, że przyjdiesz.

Elizabeth z entuzjazmem klasnęła w dłonie.

– Och, jak mogłabym nie przyjść! Nie opuściłabym takiego wydarzenia, zwłaszcza jeśli moja ukochana przyjaciółka odgrywa w nim główną rolę!

Lizzie Watson również wyglądała szalowo. Młoda, tryskająca zdrową energią, wystroiła się w szmaragdowozieloną i idealnie dopasowaną, długą do ziemi suknię ozdobioną etolą z lisa. Gęste, sięgające ramion rude włosy ufryzowała w miękkie fale opadające na kark, a jej nieskazitelną twarz zdobił perfekcyjny makijaż. U boku Lizzie stał jej mąż Robert Watson, wysoki i dystyngowany, nad wiek poważny. Był politykiem Izby Reprezentantów Kongresu Stanów Zjednoczonych z ramienia demokratów, więc swoją postawą i powierzchownością starał się zawsze sprawiać godne wrażenie. Lauren za nim nie przepadała, uważając go za sztywniaka i twardego moralistę, ale Lizzie była z nim obrzydliwie szczęśliwa, więc tylko to się liczyło. Państwo Watsonowie pobrali się pięć lat temu i pomimo że nadal nie doczekali się potomka, jak dotąd nie dotknął ich żaden małżeński kryzys, a Lizzie ciągle zapewniała Lauren, jak bardzo są w sobie zakochani.

– Gratuluję premiery, Lauren – odezwał się Robert z nadzwyczajnym jak na niego podziwem w głosie. – Cały Nowy Jork mówi tylko o tobie. Jesteś królową!

– Och, dziękuję! – odparła Lauren, skupiając jednak całą uwagę na drogiej przyjaciółce.

Nie mogła się nadziwić, jak Elizabeth z idealnej pani domu, którą się stała od czasu wyjścia za mąż, tak łatwo przeistoczyła się w wyrafinowaną damę. Jakby na co dzień wcale nie zarządzała wielkim domem i nie przygotowywała samodzielnie posiłków dla

męża i jego politycznych przyjaciół. A przecież ilekroć Lauren dzwoniła do przyjaciółki z Los Angeles, ta tłumaczyła, że właśnie albo piecze ciasto, albo przyrządza koktajle, albo przygotowuje obiad dla kilku lub nawet kilkunastu osób.

– Nie możesz zatrudnić kucharki? – sugerowała Lauren, myśląc równocześnie, że ona nawet kanapki nie robi sobie sama. – Przecież twój mąż jest cholernie bogaty.

Była to szczerza prawda. Robert Watson odziedziczył bowiem po swoim ojcu, znanym nowojorskim bankierze, naprawdę niezłą fortunę.

– Oszalałaś? Jakby to świadczyło o mnie jako o żonie? – mówiła wówczas zgorszona Lizzie.

Teraz jednak w niczym nie przypominała wzorowej pani domu, za jaką starała się uchodzić, lecz piękną, światową kobietę, którą stać było na luksusowe stroje i biżuterię od Tiffany'ego. Kiedyś, podobnie jak Lauren, była brodwayowską tancerką i wiedziała, jak zaprezentować się ze swej najlepszej strony.

– Jesteś taka piękna! – paplała Lizzie w podnieceniu, wciąż obejmując Lauren ramionami. – Ten film będzie hitem, zobaczysz! Zresztą już nim jest! Zasłużyłaś na to, kochanie. Wiem, że ciężko nad nim pracowałaś. – Raptownie odsunęła się od przyjaciółki i zerknęła na wchodzącego do holu Petera Jonesa. – Przyszedł z nią? Naprawdę? – Spojrzała na Lauren znacząco. – Myślałam, że tego wieczora będziecie razem. Mówiłaś przecież...

– Bo będziemy – odparła Lauren cicho, uśmiechając się z przymusem do otaczających ich ludzi.

Nie chciała, żeby mąż Lizzie dosłyszał, o czym rozmawiały.

– Umówiliśmy się po premierze w moim apartamencie – dodała.

- Ale oficjalnie jest tu z nią - upierała się Lizzie, nie odrywając wzroku od pięknej pary. - Nie z tobą - mruknęła z wyraźną przyganą.

- Och, Lizzie, nie bądź taka drobiazgowa. Wiesz, że to skomplikowane.

- Skomplikowane? Skoro spotykacie się ukradkiem od miesiący, sypiacie ze sobą, to nie ma w tym nic skomplikowanego. Chyba nie chcesz dać się wyrolować? Nie ty, która z takim zacięciem walczyłaś o zdobycie pozycji! Byłam pewna, że wkrótce oznajmisz mi, że jesteś zaręczona, a tu proszę...

Kolejny błysk fleszy. W holu tłoczyło się coraz więcej fotografów i dziennikarzy, którzy uważnie obserwowali głównych aktorów. Lauren widziała w ich oczach głód i pożądanie. Domyślała się, że każdy z nich chciałby znaleźć się z nią sam na sam.

Uśmiechając się szeroko, odwróciła twarz w stronę Petera. On jednak nie patrzył na nią. Uśmiechał się do obiektywów i zaborczo obejmował ramieniem uroczą Betty Lee, której oblicze promieniało szczęściem. W pewnym momencie na oczach rozgrzanego do czerwoności tłumu mężczyzna złożył na jej ustach namiętny pocałunek. Gwiazdorski. Filmowy. Spektakularny.

Lauren szybko odwróciła głowę od tego żalosego w jej mniemaniu widowiska, ale poczuła gwałtowny rumieniec wstępujący na policzki. Nie chciała, żeby któryś z fotografów nieopatrznie zrobił jej zdjęcie, uwieczniając głupią zazdrość. Nie chciała również, żeby Lizzie spostrzegła jej rozczarowanie.

Garrett Moore podszedł do Lauren i bezpardonowo ujął ją za łokieć. Zawsze tak robił, i to w tak zaborczy sposób, że czuła przy tym nieprzyjemny dreszcz.

- Uśmiechaj się szeroko, laleczko. Taki dzień może się nie powtórzyć – mruknął jej do ucha niskim, ochrypłym głosem.

Do Lauren doszedł zapach alkoholu. Kiedy Garrett zdążył sobie łyknąć? Gdy wychodziła z limuzyny? Odrobinę pożałowała, że nie poszła w jego ślady, bo może po kilku łykach czegoś mocniejszego widok Petera mizdrzącego się do śpiewaczki byłby jej zupełnie obojętny.

Duża dłoń Moore'a bez wahania przeniosła się z ramienia Lauren na jej odkryte plecy. Kobieta poczuła, jak dłoń reżysera sunie powoli w dół, na jej opięte materiałem sukni pośladki. Zesztywniała.

- Spójrz, oni są tu dla ciebie – szeptał gorączkowo mężczyzna, wyraźnie podniecony. - Jesteś ich gwiazdą, Lauren.

- To nie powód, żebyś kładł swoje łapska na moim tyłku – syknęła cicho.

Policzki bolały ją od nieustannego rozciągania ust w szerokim uśmiechu, a wiedziała, że przed nią jeszcze cały długi wieczór, kiedy będzie musiała naginać się dla przyjemności zebranych.

- Nie zapominaj, że to cena, którą musisz płacić, jeśli chcesz być na szczycie. - Dłoń Garretta powędrowała z powrotem w górę, wzdłuż jej kręgosłupa. - Chyba nie zamierzasz robić z siebie męczennicy? - zapytał z brutalną szczerością.

Uśmiech na moment znikł z twarzy Lauren.

- Nie. Nie zamierzam.

W jej wyobrażeniu miał to być wymarzony dzień. Ukoronowanie sukcesu, na który pracowała ciężko, najciężej z całej ekipy. A mimo to, wbrew sobie, z dławiącym gardło obrzydzeniem, pozwalała, żeby niemal dwadzieścia lat starszy od niej Garrett Moore obmacywał ją wielką, obleśną łapą, którą tak samo bezczelnie dotykał inne

aktorki, asystentki, sekretarki i wiele kobiet, które go otaczały. Lauren pozwalała mu na to, bo był panem każdej sytuacji. I tak jak mógł ją wynieść na szczyt, tak samo łatwo mógł ją z niego zepchnąć wprost w czeluści zapomnienia.

Wciąż pamiętała tamten raz, kiedy Garrett posunął się za daleko i po hucznym bankiecie w Los Angeles przyszedł do jej sypialni. Lauren wypijała wówczas dużo alkoholu i kompletnie straciła świadomość. Obudziła się następnego ranka w łóżku, u boku zupełnie nagiego reżysera, który z obleśnym uśmiechem zadowolenia zaczął zapewniać ją, ile dała mu rozkoszy.

- Oczywiście nikt nie musi o tym wiedzieć, zwłaszcza moja żona. Ona jest taka przewrażliwiona – powiedział na koniec.

Lauren czuła wówczas wstyd i upokorzenie, które obudziły w niej bolesne demony. Nie pamiętała nic z tamtej nocy, ale podświadomie wiedziała, że nie poszła do łóżka z Garrettem z własnej woli. Bała się jednak i wstydziła drażnić temat, a co dopiero mówić o tym komukolwiek, więc zepchnęła to w zakamarki świadomości i oficjalnie udawała, że do niczego nie doszło. Z drugiej strony przez kilka następnych tygodni zagłuszała wewnętrzny krzyk alkoholem i lekami, które pomagały jej utrzymać się w pionie. Z Garrettem nie wracała do tematu, choć on kilkakrotnie próbował jeszcze ją podejść. Nagabywał ją, usiłował obłapiać, nawet zaprosił na wystawną kolację, aż w końcu odpuścił, nazywając zimną rybą. Lauren myślała o tym, ilekroć jej dotykał, ilekroć gestem czy spojrzeniem dawał jej do zrozumienia, że nie powinna czuć się bezpieczna, bo którejś nocy znowu może do niej przyjść wbrew jej woli i świadomości.

Bogato zdobiona złotą sztukaterią i czerwonym materiałem sala widowiskowa Palace Theatre tonęła w podnieconym tłumie zaproszonych na premierę gości. O główną rolę w Nieczystej grze starało się kilka znakomitych aktorek i teraz te, które przebywały w Nowym Jorku, przyszły obejrzyć głośne dzieło, w którym nie dane im było zagrać. Lauren pomyślała, nie bez satysfakcji, że pewnie zazdrościły jej sukcesu, ale ten film od początku miał być jej. Garrett obiecał, że zrobi z niej gwiazdę na miarę Rity Hayworth czy samej Greta Garbo – i słowa dotrzymał.

Tak jak Lauren przewidywała, ich wejście na salę widowiskową okraszono gromkimi brawami. Równie entuzjastycznie zareagowano, kiedy na sali pojawili się Arnold Brown z żoną oraz Peter Jones wraz z Betty Lee. Towarzyszka Petera promieniała szczęściem, jakby to ona była dzisiejszego wieczora gwiazdą, a Lauren na jej widok poczuła kolejne ukłucie zazdrości pomieszanej z gorzką niechęcią.

Projekcję filmu oglądała z wyjątkowym zaangażowaniem, skupiając się na granej przez siebie postaci. Występowała już w kilku filmach, ale po raz pierwszy jej bohaterka była tak wyrazista i równocześnie pełna sprzeczności i niedomówień. Lauren wcieliła się w z pozoru potulną żonę uzależnioną od swojego męża milionera, który wykorzystywał jej słabość do luksusowych rzeczy i w perfidny sposób szantażował, bo powstrzymać ją od wszelkich przejawów wolności osobistej. W końcu zdesperowana kobieta dokonuje przemiany i ucieka od męża z nowo poznanym mężczyzną, którego grał Peter.

Lauren i Peter byli w filmowej miłości szaleni i bezgranicznie szczęśliwi, a napięcie między nimi aż iskrzyło, choć konserwatywny,

spisany w latach trzydziestych Kodeks Haysa zabraniał pokazywania w filmach seksu, nagości czy zmysłowych tańców. Aktorzy mieli więc przed sobą niemałe wyzwanie, żeby ukazać miłosną fascynację, nie gorsząc przy tym widzów niemoralnymi scenami.

Lauren, patrząc teraz, jak jej filmowy partner całuje ją na ekranie, gorączkowo myślała o tym, jak wspaniale robi to w życiu prywatnym, i poczuła przyjemny dreszcz.

Kochankami w prawdziwym życiu zostali bardzo szybko. Lauren nie chciała tego romansu, wręcz unikała prywatnych spotkań z Peterem poza planem, ale on nie dawał za wygraną. Któregoś wieczoru, po całym dniu na planie zdjęciowym, zapukał do jej pokoju hotelowego z butelką szampana w dłoni i czerwoną różą w zębach, po czym zadeklarował beczelnie szczerze, że jeszcze na żadną kobietę nie czekał tak długo i żadnej tak nie pragnął. Był przy tym nieprzyzwoicie przystojny i tak pociągająco arogancki, że Lauren, od dawna samotna i spragniona mężczyzny, nie opierała się wcale. W tamtym momencie już nie miała na to ani siły, ani ochoty. Peter jej się podobał. Był szalenie seksowny, a ten jego zawadiacki uśmiech doprowadzał ją niemal do obłędu.

Tak, wiedziała, że Peter ma kobietę. Betty Lee była już wtedy obecna w jego życiu, ale Lauren naiwnie uwierzyła, że skoro Peter jej pragnie, to tamta szybko zostanie odstawiona na boczny tor.

Tak się jednak nie stało.

Teraz więc, bardziej niż kiedykolwiek, gorycz rozczarowania paliła jej wnętrze.

Lauren czuła coś na kształt złości, zazdrości i upokorzenia. Była dziś na oczach i ustach setek dziennikarzy i fotoreporterów. Niezliczone ilości fanów skandowały na jej widok, a jedyny

mężczyzna, którego uwagi i podziwu pragnęła, siedział na sali widowiskowej z inną kobietą. W dodatku zajmował miejsce tuż obok niej, ale jego spojrzenie skupiało się wyłącznie na ekranie albo na uczeptionej jego boku Betty. Na Lauren zupełnie nie zwracał uwagi, jakby nieświadom jej obecności. Jakby nie siedziała przy nim i nie czuła tak dobrze znanego męskiego zapachu jego perfum, którymi przesiąknięta była pościel w jej sypialni. Lizzie miała rację – dziś powinni pojawić się na premierze jako para. Lauren nie chciała jednak tej oczywistości potwierdzić, udawała więc twardą, bo wstydziała się upokorzenia. Weszła w kolejną rolę, udawała, że ta sytuacja jest przez nią w pełni akceptowana. Ale tak nie było, bo jakim prawem ten zadufany w sobie, arogancki piękniś okazywał uczucia innej kobiecie, skoro noc zamierzał spędzić w łóżku Lauren!

Panna Evans obiecała sobie, że dziś, gdy tylko spotkają się sam na sam, stanowczo oznajmi Peterowi Jonesowi, że taki układ przestał jej pasować. Że albo ona, albo Betty Lee. Nic innego nie wchodziło w grę.

ROZDZIAŁ 3

Rogowski nie spodziewał się takiego splendoru. Jeśli wydawało mu się, że wie, jak popularna jest Lauren Evans, to teraz dotarło do niego, że jedynie mu się wydawało. Aktorka skupiała na sobie uwagę całego tłumu zebranego wokół i w samym Palace Theatre. Ludzie wpatrywali się w nią z podziwem i niemal histerycznym uwielbieniem, jakiego nigdy wcześniej nie widział. Ale musiał przyznać, że i on z trudem odrywał od niej spojrzenie, pomimo że już dawno postanowił sobie, iż nie pozwoli, by jakakolwiek kobieta wzbudziła w nim fascynację.

Lauren była olśniewająca. Posągowo piękna. Tak naprawdę chyba nigdy nie widział kobiety równie świadomej swojej urody i potrafiącej zrobić z niej takie widowisko. Pewna siebie rozdawała uśmiechy, rzucała spojrzenia, a mężczyźni niemal padali jej do stóp. Chciało się na nią patrzeć bez końca – na jej subtelne rysy, lśniące rudoblond włosy i oczy. Te wydawały się niezwykle, wręcz hipnotyzujące. Były jasne, w odcieniu lodowatego błękitu, i przeszywały mocą spojrzenia. W całej jej harmonijnej postaci, którą otaczała aura luksusu, było coś nieuchwytnego, jakiś niuans, który sprawiał, że niemal każdy był w niej choć trochę zakochany.

Konrad zastanawiał się, czy przypadkiem nie przecenił swoich możliwości. Był pewien, że dotarcie do aktorki okaże się banalnie proste, ale teraz jego pewność zamieniła się w pusty śmiech. Patrzył na nią i gorączkowo rozmyślał, jak do cholery ma tę kobietę zapytać

o jej matkę, rzekomą kochankę nazistowskiego zbrodniarza. Nagle wydało mu się to absurdalne. Przecież samo zbliżenie się do niej wydawało się niemożliwe.

Robił Lauren zdjęcia z oddalenia, stojąc w tłumie innych fotografów, zastanawiając się intensywnie, czy jest jakiś sposób, żeby jeszcze dziś mógł ją poznać osobiście. Bo jeśli tego nie zrobi, uzna wieczór za kompletnie zmarnowany. A później będzie już tylko trudniej.

Nie bez ironii pomyślał o wszystkich rautach i przyjęciach, w których brał udział jeszcze przed wojną jako młody i bezczelnie świadomy swojego męskiego uroku młodzieniec. Wówczas żadna, nawet najbardziej porządna i umoralniona panna nie zdołała oprzeć się oferowanej przez niego przelotnej miłostce. Ale to działo się dawno, w czasach, kiedy był głupi i nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo można kogoś skrzywdzić. Teraz brzydził się na samą myśl, że kiedyś posuwał się do tak okrutnych zachowań. Więc jak miałby to dziś powtórzyć?

* * *

Tak jak się spodziewano, film dostał owacje na stojąco. Żadna wcześniejsza rola Lauren Evans nie wzbudziła takiego zainteresowania i entuzjazmu, a ona jak nigdy przedtem była tego w pełni świadoma. Duma powinna rozsadzać ją od środka, radość porażać, a tymczasem... Czuła dziwną pustkę. Uśmiechała się, ale sztucznie, wymuszenie, jakby niezwykłość tego, co się działo, nie dotyczyła jej, tylko kogoś zupełnie innego.

Weszli wraz z Garrettem Moorem na rozświetlone reflektorami podium. Tuż za nimi na scenie pojawił się gwiazdorski Peter

i niespodziewanie objął ją w talii, po czym przyciągnął do siebie i z szelmowskim uśmiechem popatrzył w stronę błyskających fleszy.

– Jesteś piękna... – wyszeptał jej nagle do ucha.

Lauren mimo woli zadrżała, bo jego niski, nieco ochryply głos dotarł do najskrytszych zakamarków jej ciała. Przypomniała sobie, że tak właśnie szeptał podczas ich miłosnych uniesień, kiedy ich mokre od potu i splecione w uścisku ciała pragnęły siebie więcej. Szybko jednak powędrowała wzrokiem w stronę siedzącej w pierwszym rzędzie śpiewaczki.

– A ty jesteś z Betty Lee – odpowiedziała złośliwie, choć również ledwo słyszalnie.

Peter zerknął na nią krótko i przelotnie.

– Chyba nie jesteś zazdrosna? Przecież każdy facet na tej sali chciałby...

– Przestań! – wysyczała. – Jeśli mamy ten wieczór spędzić razem...

– Właśnie – przerwał jej, szczerząc idealnie białe zęby w stronę aparatów fotograficznych. – Jeśli chodzi o dzisiejszy wieczór, to nie mogę się z tobą spotkać. Betty nalegała, żebym... Więc sama rozumiesz...

Lauren poczuła nagły, bolesny ucisk w klatce piersiowej. Suknia, którą miała na sobie, nagle zrobiła się za ciasna i Lauren zaczęło brakować powietrza. Zepchnęła z siebie ramię Petera i odsunęła się od niego, odwracając w stronę reżysera. Ten pewnym ruchem chwycił ją za rękę i uniósł w geście triumfu jak po wygranej walce bokserskiej.

– Panie i panowie, nasza błyszcząca gwiazda Lauren Evans!

Rozległy się gromkie brawa. Ktoś triumfalnie wykrzyknął jej imię.

Powinna się cieszyć, z radością przyjmować ten skierowany w jej stronę aplauz zachwyconych filmem widzów. A ona tymczasem czuła wyłącznie dławiący ucisk. Miała wrażenie, że jej uszminekowane na karminowo usta zastygły w jakimś bolesnym grymasie. Zbyt dużo emocji wzięło górę, a do tego doszła wściekłość na Petera. Ten pieprzony sukinsyn udawał, że nic się nie stało! Uznał, że może tak po prostu oznajmić jej, iż dzisiejszy wieczór spędzi z tą głupią idiotką, wpatrzoną w niego Betty Lee!

Uśmiechała się ze sceny, przyjmowała wyuczone pozy gwiazdy filmowej, ale w środku czuła przeraźliwą pustkę, która ogarniała ją już wiele razy w życiu.

– Jesteś blada – zauważyła Lizzie, kiedy stały w rzęsiście oświetlonej sali bankietowej.

W powietrze strzelały korki od szampana, a w tle brzmiał recital Binga Crosby'ego, który zaszczycił swą obecnością imprezę popremierową.

– Pewnie od nadmiaru wrażeń – odparła Lauren wymijająco, a jej wzrok padł na jednego z fotografów.

Mężczyzna stał nieco z boku i obserwował ją, trzymając w dłoni aparat. Tak jak inni ubrany był w elegancki smoking – niby nic szczególnego, ale wyróżniała go jakaś sztywność i surowa powaga, będąca przeciwieństwem nonszalancji, jaką charakteryzowali się fotoreporterzy.

„Ciekawe, ile zrobił zdjęć i za ile je jutro sprzeda” – pomyślała Lauren z nutą goryczy. Ten ktoś, podobnie jak dziesiątki innych, zarabiał na niej. Na jej twarzy, ciele, na całej postaci. Ale godziła się

na to. To była jej praca. Dzięki niej wyrwała się z piekielnego życia, o którym chciała zapomnieć.

Fotograf przyglądał się jej uważnie, wręcz magnetyzował ją spojrzeniem tak, że poczuła nagły dreszcz. Oczekiwała, że mężczyzna zaraz się uśmiechnie, może z uznaniem skinie głową, jak zrobiłby to każdy na jego miejscu, ale on tylko patrzył na nią przenikliwie ciemnymi oczami.

– Chcę szampana – rzuciła Lauren do Lizzie, odrywając spojrzenie od fotografa.

– Przyniosę – zaoferował się Robert, ale Lizzie powstrzymała go ruchem ręki.

– Chyba właśnie idzie. – Wskazała na Garretta, który zmierzał w ich kierunku z dwiema lampkami złocistego alkoholu.

– Drodzy państwo, czas wznieść toast za naszą błyszczącą gwiazdę! Twoje zdrowie, Lauren!

Evans z entuzjazmem przyjęła od niego trunek i z lubością wypijała niemal od razu całą zawartość kieliszka. Od tej pory wznosiła toast za toastem i wymieniała podawane przez kelnerów szkło, nie patrząc na Petera, który w drugiej części tłocznej sali brylował ze swoją towarzyszką, zajadał wykwintne przystawki podawane przez kelnerów na srebrnych tacach i śmiał się ochoczo. Z toczących się wokół rozmów Lauren wywnioskowała, że jej kochanek właśnie oznajmił wszem wobec, iż zaręczył się z Betty Lee.

Nie powinna być zaskoczona. Wręcz powinna się tego spodziewać. W końcu sama pozwalała sobie na takie sytuacje: bezmyślnie wpadała w ramiona nieodpowiedzialnych facetów, a później płakała, bo romans okazywał się nie mieć przyszłości. Teraz znów było jej źle, zupełnie jakby przeżywała to po raz

pierwszy. Rozczarowanie dławilo ją w gardle. Dzisiejszego wieczora była przecież gwiazdą. Miała z Peterem Jonesem świętować ich wspólny sukces, a tymczasem okazało się, że została perfidnie odsunięta bez najmniejszego słowa wyjaśnienia. Jakby na nic nie zasługiwała. Jakby była kimś, kogo nie da się skrzywdzić.

Ta świadomość bolała najbardziej.

Kiedy alkohol już mocno szumiał jej w głowie, Peter niespodziewanie do niej podszedł. Lauren stała akurat w towarzystwie bliskich znajomych Garretta i zaśmiewała się słodko, udając, że doskonale się bawi. Jones bez skrupowania objął ją ramieniem w talii i odciągnął od towarzystwa.

– Zamieńmy słówko – rzekł, jakby nic się nie wydarzyło.

Lauren odsunęła się od niego, urażona tą impertynencją. Nie chciała robić widowiska, bo miała świadomość, że oboje są na oczach dziesiątek ludzi, ale trudno jej było zapanować nad złością.

– Zamierzasz poinformować mnie, że się zaręczyłeś? – rzuciła, patrząc mu gniewnie w oczy. – A mówiłeś już swojej słodkiej laluni, co ze mną robisz na boku? Że pieprzymy się od ponad sześciu miesięcy?

Skrzywił się, jakby słowa Lauren go obraziły.

– Nie bądź wulgarna i nie udawaj, że nie traktowałaś tego wyłącznie jak zabawę.

Nim Lauren zdążyła pomyśleć o tym, co robi, spoliczkowała go. Mocno i dosadnie, aż Peter odskoczył pod wpływem uderzenia, a ona poczuła ból w nadgarstku. Mężczyzna odruchowo złapał się za czerwony policzek, a Lauren nagle sparaliżowało. Stała tu, na oczach zdumionego tłumu, niezdolna wykonać choćby gest. Wiedziała, że wszyscy na nich patrzą. Była świadoma tego, że za chwilę posypią się

słowa oburzenia, a aparaty fotograficzne pójdą w ruch. Wiedziała to. A mimo to coś trzymało ją w miejscu w stanie kompletnej bezsilności. Czowała jedynie, jak krew pulsuje jej w skroniach.

– Do diabła! – syknął Peter, jednak na tyle cicho, żeby nikt poza Lauren tego nie usłyszał.

Wyczuła jego frustrację, a nawet hamowaną złość. Gdyby nie otaczający ich ludzie, pewnie rzuciłby się na nią.

– To żałosne! – wycharczał przez zęby. – Robisz z siebie pośmiewisko. Jutro wszyscy będą o tym pisać. Wszystkie gazety podadzą do wiadomości, że Lauren Evans spoliczkowała Petera Jonesa. Po co to? Nie wstyd ci? Myślisz, że skandal ci w czymś pomoże?

Lauren wpatrywała się w niego oniemiała, nie będąc w stanie wykrztusić słowa. Chciała go upokorzyć, a w konsekwencji sama czuła się upokorzona.

Skandal. Rzeczywiście, ludzie uwielbiali skandale z udziałem gwiazd. Nic nie napędzało filmowej koniunktury tak bardzo, jak społeczne oburzenie na prowadzenie się tej czy innej hollywoodzkiej aktorki. Tylko że Lauren nie o to chodziło. Czowała szczerą złość na Petera. Szczere upokorzenie. I żal nie pozwalał jej rozsądnie myśleć.

– Szanowni państwo, w życiu jak na filmie! – usłyszała donośny, rozbawiony śmiech Garretta Moore'a, który szedł w ich kierunku z szampanem w dłoni. – Lauren Evans i Peter Jones. Nasza piękna filmowa para kochanków! Nagroźmy ich kolejnymi gromkimi brawami!

Lauren patrzyła zdezorientowana, jak zebrani wokół nich goście zaczynają entuzjastycznie klaskać. Być może to, co zaszło między nią a Peterem, uznali za wyreżyserowaną scenę, granie pod publiczność?

Oklaski niemal rozsadzały sklepienie wysokiego holu. Uśmiechnęła się blado, a Peter objął ją i przyciągnął do siebie. Obrócił ich wprost ku obiektywom fotografów, a z każdej strony rozbłysły flesze. Aktor uśmiechał się leniwie, jakby nic się nie stało. Jakby jego policzek wcale nie był czerwony od uderzenia.

– Nie waż się więcej tego robić! – wykrztusił zimnym tonem, kiedy tłum się uspokoił i ludzie powrócili do przerwanych rozmów, picia koktajli i smakowania przystawek, a Bing Crosby zaintonował kolejną piosenkę.

Peter odwrócił się na pięcie i zostawił Lauren samą.

Stała przez chwilę pośród tłumu, niezdolna się poruszyć. Nikt na nią nie patrzył, nie zwracał uwagi; wszyscy nagle stracili zainteresowanie. Jak w transie ruszyła przed siebie, torując sobie drogę w łabędziej sukni i szukając Lizzie. Chciała, żeby przyjaciółka ją stąd zabrała. Chciała wrócić do swojego apartamentu, uciec z tego przekłętego miejsca, gdzie otaczały ją sztucznie uśmiechnięte twarze i gdzie Peter obściskował się na jej oczach ze swoją narzeczoną. Lizzie jednak jak na złość gdzieś zniknęła. Może pojechali już z Robertem do domu?

W tym momencie Lauren dostrzegła fotografa, który przed sytuacją z Peterem przyglądał jej się z uwagą. Mężczyzna, jakby słysząc jej myśli, bez skrępowania podszedł do niej, a ona instynktownie złapała go za rękę.

– Zawieź mnie do domu – bardziej rozkazała, niż poprosiła.

Jeśli był zaskoczony jej prośbą, to nie dał tego po sobie poznać. Ruszył przodem, torując im drogę między gośćmi, i poprowadził Lauren w stronę wyjścia.

ROZDZIAŁ 4

Lauren na wpół leżała na tylnym siedzeniu wysłużonego chevroleta, który sunął jasnymi od neonów ulicami Manhattanu.

Przymknęła powieki, wsłuchując się w miarowy warkot silnika. Nie było tu tak wygodnie jak w limuzynie Garretta, ale w tej chwili jej to nie obchodziło. Migotliwe światła za szybą samochodu odbijały się kolorowo na delikatnych piórach jej kreacji. Lauren kręciło się w głowie od nadmiaru szampana, ale nie czuła się z tym źle. Wreszcie ogarnęła ją przyjemna błogość. Cieszyła się, że uciekła z tamtego miejsca, gdzie każdy mógł oceniać jej zawodowy triumf... I osobistą porażkę. Nie chciała już dłużej trwonić wyuczonych uśmiechów. Pragnęła schować się w mrokach wieczoru w swoim luksusowym apartamencie, gdzie czekały na nią gorąca kąpiel i wygodne łóżko. Wprawdzie planowała to łóżko dzielić z Peterem, ale cóż... Nie potrzebowała jego zdradzieckich ramion. Nie potrzebowała jego samego.

Ile to już razy w ten sam sposób tłumaczyła sobie każdy ból rozstania, każde życiowe rozczarowanie, których było tak wiele? Tylko dlaczego kolejne rozczarowanie musiało przyjść akurat dzisiaj, w dniu, kiedy miało być tak pięknie?

Poczuła nagły przypływ złości.

Sukinsyn! Cholerny, pieprzony sukinsyn! W wyobraźni marzyła, żeby rozorać mu twarz paznokciami, zetrzeć z niej ten głupi uśmieszek, którym bezczelnie uwodził kobiety, bo miał się za

godnego następcę Clarka Gable'a. Miała ochotę wyrządzić mu wielką krzywdę, która zadośćuczyniłaby jej krzywdzie.

Ale nie było go tutaj. Bo był ze swoją śliczną śpiewaczką operową, a Lauren wkurzał fakt, że to nie ją będzie dzisiaj wieczora rozbierał i kochał.

A przecież ten czas miał należeć do nich.

Bezwiednie zacisnęła dłonie w pięści, czując, że zbiera jej się na płacz. Głupi irracjonalny płacz, choć przecież od dawna nie roniła łez. Nie pozwalała sobie na takie chwile słabości, bo bała się, że jeśli zacznie, to nie będzie potrafiła przestać. A matka zawsze tłumaczyła jej, że płacz jest wyłącznie przejawem kobiecej słabości.

Zamrugła, próbując stłumić niechciane łzy, i popatrzyła we wsteczne lusterko kierowcy. Odbijał się w nim cień męskiej twarzy, po której ślizgały się kolorowe światła neonów. Fotograf, odkąd Lauren poniekąd zmusiła go do odwiezienia jej do domu, patrzył na nią, a raczej przyglądał jej się czujnie. W półmroku panującym wewnątrz auta nie widziała go zbyt wyraźnie, a mimo to wydawał jej się nazbyt poważny – jak wtedy, gdy spojrzeli na siebie w holu teatru albo raczej gdy Lauren na niego spojrzała. Bo on zapewne przyglądał jej się przez cały czas. W jego oczach było coś intrygującego, coś głębokiego, coś, co ją zastanowiło. Ale szybko wytłumaczyła sobie, że przecież był fotografem, więc umiał patrzeć na ludzi.

– Dużo zrobiłeś dzisiaj zdjęć? – zapytała od niechcienia, obracając w palcach luksusową torebkę.

– Sporo. – Jego głos był niski, nieco ochryply, z akcentem, którego Lauren nie rozpoznawała, ale który wydawał jej się dziwnie znajomy.

Jakby już go gdzieś słyszała, tylko nie potrafiła określić gdzie.

– Co z nimi zrobisz?

Mężczyzna przez chwilę milczał, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią.

– To, co zwykle – odezwał się wreszcie. – Sprzedam do gazety.

– Do „Life”?

– Może. Jeśli je zechcą.

Aktorka zaśmiała się drwiąco.

– A mogliby nie chcieć? Przecież uwieczniłeś na nich Lauren Evans.

– Różnie bywa – odparł z nadzwyczajną szczerością.

Lauren westchnęła i popatrzyła przez okno chevroleta. Światła reklam na Times Square oślepiały ją tak samo jak wcześniej flesze aparatów fotograficznych. Jednak uwielbiała te znajome krzykliwe ulice, centrum rozrywki Nowego Jorku. Z rozrzewnieniem popatrzyła na ogonek rozbawionych i wystrojonych par czekających na wejście do night clubu Copacabana. Tam, w tym kolorowym świecie, można było się zapomnieć, zabawić jak nigdzie indziej. Co prawda większość ludzi z branży filmowej zdecydowanie wolała swojskie hollywoodzkie klimaty klubów Los Angeles. Lecz Lauren kochała Nowy Jork, kochała Manhattan, bo tu czuła się u siebie. Nowy Jork był pierwszym miejscem, które mogłaby określić mianem domu; to tu zaczęła się jej długa i wyboista droga do kariery.

Gdy tylko wyszli z Palace Theatre, poinstruowała fotografa, dokąd ma ją zawieźć, a ten spokojnie ruszył we wskazanym kierunku. Lauren nie przeszkadzało, że mężczyzna był jej zupełnie obcy i że nigdy wcześniej go nie spotkała. Nie wzbudzał w niej niepokoju ani strachu i cieszyła się, że tak ochoczo spełnił jej polecenie i bez zbędnych pytań zaprosił ją do swojego prywatnego

samochoду. Nawet nie wyglądał na zaskoczonego, jakby wożenie wieczorową porą sławnych aktorek było jego rutynowym zajęciem.

Wynajmowany przez nią apartament, a który w rzeczywistości był bajecznym penthouse'em, mieścił się w jednym z luksusowych wieżowców na 5th Avenue. Lauren była dumna, że przebywając w Nowym Jorku, mogła zatrzymać się w tak eleganckiej dzielnicy, choć jeszcze parę lat wstecz nie mogła poszczycić się prestiżowym adresem, bo nie było jej na to stać. Kiedyś tułała się po obskurnych pokojach, większość dni spędzając najpierw w szkole tańca, a później w szkole aktorskiej i na castingach do filmów. Teraz wszystko się zmieniło. Teraz była sławna i wystarczająco majątna, by świat leżał u jej stóp i by ona mogła patrzeć na ten świat z góry.

– Skąd jesteś? – zapytała, by przerwać ciszę.

– Stąd. Z Manhattanu.

Zaśmiała się.

– Pytam konkretnie. Skąd pochodzisz? Nie jesteś przecież nowojorczykiem. Nie jesteś nawet Amerykaninem.

Przez chwilę milczał, jakby zastanawiał się, czy powinien jej odpowiedzieć. I na tym polegała różnica między nimi – on mógł pozostać anonimowy, mógł nic nie mówić. Ona była znana wszystkim. I nie miała prawa do prywatności.

– Urodziłem się w Polsce. W Warszawie – wyznał, a Lauren wyczuła w tym pewne wahanie.

Nieświadomie wstrzymała oddech i mimowolnie zacisnęła palce na fałdach sukni.

W Warszawie. Czyli pochodzili z tej samej części świata.

– A więc stąd ten dziwny akcent – odparła, starając się, żeby jej głos brzmiał swobodnie. – Moja trenerka tańca była Polką.

Niesamowita kobieta z niezwykłym talentem. Nazywała się Marta Szuman. Przyjechała do Nowego Jorku jeszcze przed wojną. Była niezwykle utalentowaną tancerką. Wszystko, co umiem, zawdzięczam właśnie jej.

– W jednym z filmów widziałem, jak tańczysz.

– Zapewne w Tangu o północy. Ale daleko mi do Ginger Rogers. Ona i Fred Astaire tworzą niedościgniony zespół.

– Skoro tak uważasz...

Usiłowała dojrzeć jego twarz w pojedynczych blaskach neonów.

– Ty tak nie myślisz?

– Nie wiem. Nie znam się na tańcu. – Zrobił krótką pauzę. – Moja córka... – urwał nagle, jakby się opamiętał. – Co się stało z tą tancerką, Martą Szuman?

– Umarła dwa lata temu. Chorowała.

Lauren przypomniała sobie delikatną, szczupłą szatynkę o dużych migdałowych oczach. Marta Szuman była subtelna, ale miała ogromną siłę charakteru i była doskonała w swoim fachu. Niemal tak doskonała jak matka Lauren. Sama Lauren podziwiała w pannie Szuman każdy ruch, płynność w poruszaniu się, gibkość ciała i podświadomie doszukiwała się w jej tańcu tego, co kiedyś z takim podziwem oglądała u Ingi Petersen.

– Przykro mi, że umarła – powiedział mężczyzna, wyrywając Lauren z zamyślenia.

Ponownie na niego spojrzała.

Już jej nie obserwował; skupił się wyłącznie na drodze, jakby znudziło mu się ciągłe patrzenie na nią. Ona jednak zapragnęła przyjrzeć mu się nieco bardziej.

Więc był Polakiem. Można by rzec, że mieli ze sobą wiele wspólnego, choć Lauren nie chciała rozpamiętywać przeszłości i dlatego szybko podjęła nowy temat.

– Kiedy przyjechałeś do Nowego Jorku?

– A jakie to ma znaczenie? – W jego głosie dało się wyczuć nutkę sarkazmu.

To zadziwiające, że nie próbował jej się przypodobać. Byli w samochodzie zupełnie sami, miał ją na wyciągnięcie ręki i powinien być zachwycony, że ona w ogóle chce z nim rozmawiać. Tête-à-tête z gwiazdą Hollywood zdawało się mało prawdopodobne i wielu zrobiłoby wszystko, żeby znaleźć się na jego miejscu. Tymczasem on zachowywał się tak, jakby przebywanie z nią sam na sam nie robiło na nim najmniejszego wrażenia. A przecież to dla niej przybył z aparatem w dłoni do Palace Theatre. To ją obserwował w holu. Lauren nie miała wątpliwości, że tak właśnie było.

– Pytam z czystej ciekawości, bo ty chyba wiesz o mnie dużo. Pewnie czytasz te wszystkie brukowce. Zresztą robisz dla nich zdjęcia.

– Nie czytam brukowców.

– Więc skąd wiesz, kim jestem?

Znów popatrzył na nią w lusterku i Lauren odniosła wrażenie, że lekko się uśmiechnął.

– Lubię oglądać filmy. Już mówiłem, widziałem cię w jednym czy dwóch.

„I wszystko jasne” – pomyślała, choć poczuła niedosyt po tej zdawkowej odpowiedzi. Spodziewała się czegoś w stylu: „Jesteś gwiazdą filmową, podziwiam cię”. Każdy inny na jego miejscu powiedziałby właśnie coś takiego.

Lauren zignorowała własne rozczarowanie i wygodniej ułożyła się na tylnym siedzeniu. W samochodzie było zatrzęsająco mało miejsca, więc ściśnięta suknia z trenem przypominała kupę pierza, tylko znacznie droższego niż to, którym wypychano poduszki, a Christian Dior pewnie byłby głęboko zbulwersowany tym przyziemnym skojarzeniem.

– Jesteś polskim Żydem, który uciekł do Ameryki przed nazistami? – Nie wiedziała, czemu zadała to pytanie, ale skoro już to zrobiła, teraz z nieco ściśniętym gardłem czekała na odpowiedź. Bo zdawała sobie sprawę, że jeśli naprawdę tak było, jeśli ten Polak rzeczywiście uciekł, to mogła spodziewać się z jego strony bolesnej nuty i wyrzekań o potworności prześladowań.

– Nie. Nie jestem Żydem i nie uciekłem przed nazistami.

– Więc kiedy przyjechałeś do Nowego Jorku? Przed wojną? Czy po niej?

– Myślę, że to nie jest właściwy temat do rozmowy na dzisiejszy wieczór, panno Evans. Chyba powinnaś się skupić wyłącznie na sobie i swoim niekwestionowanym sukcesie.

Lauren westchnęła rozczarowana. Najwyraźniej trafił jej się ponurak, który nie potrafił ani nie chciał podtrzymać towarzyskiej rozmowy. Uznała to również za nieco dziwaczne, bo zazwyczaj ludzie w jej towarzystwie dwoili się i troili, byle jej się przypodobać. Ale ten mężczyzna był Polakiem, a Polacy mieli w sobie coś takiego, co trudno było nazwać swobodnym zachowaniem.

– Nie zaprotestowałeś, kiedy nakazałam ci odwiedzić mnie do domu.

– Nie wypadało odmówić. Chociaż świętowałam dziś swój triumf, to zdawałaś się nieco zagubiona. Postanowiłem uratować cię

z opresji.

Zaśmiała się gorzko.

– Och, jak doskonale znasz się na kobietach!

Nic nie odpowiedział, a Lauren znów poczuła się zawiedziona. Był tylko fotografem, a ona, sama nie wiedząc czemu, szukała u niego uznania. Pewnie dlatego, że czuła się rozczarowana i tłumiała w sobie złość na Petera za to, że ostentacyjnie odstawił ją na boczny tor. Rzeczywiście w tamtej sali pełnej snobów nie spostrzegła nikogo, kto mógłby jej pomóc. Nawet Lizzie gdzieś się ulotniła. Wieczór chwały, na który Lauren tyle czekała, zamienił się w gorzką porażkę. Powinna była zostawić życie prywatne i nie myśleć o upokorzeniu, którego doznała ze strony kochanka, ale nie umiała. Znów odezwała się w niej słabsza Lauren, która tak bardzo potrzebowała czyjejs bliskości. I znów pomyślała, że to wina jej matki, która swoim przykładem uzależniła ją od mężczyzn.

– Zawsze zachowujesz się po rycersku? – zapytała z kpina w głosie.

– Staram się. Tak zostałem wychowany. Uczono mnie, że powinienem ratować damy w opałach, i przyznam, że robiłem to z przyjemnością.

– A one z przyjemnością ci się odwdzięczały?

Nie doczekała się odpowiedzi, bo samochód zatrzymał się niespodziewanie.

Lauren zerknęła przez okno i zobaczyła, że stanęli na wprost wejścia do luksusowego wieżowca, w którym mieścił się jej apartament.

– Jesteśmy na miejscu – poinformował fotograf.

„Więc już dłużej nie porozmawiamy” – pomyślała Lauren z nutką rozczarowania. Chaotycznie zebrała poły sukni z nadzieją, że uda jej się wysiąść z wdziękiem z tego ciasnego samochodu. Polak jednak chyba zorientował się w sytuacji, bo szybko wyszedł i otworzył jej drzwi. Lauren uniosła twarz i popatrzyła na niego w światłach wieczornej ulicy. Miał ciemne, zaczesane do tyłu włosy, jednym kosmykiem opadające na czoło, i przenikliwe ciemne oczy. Twarz, choć interesująca, wydawała się twarda i surowa; nad górną wargą Lauren dostrzegła niewielką bliznę. Trzymał się prosto, z wyuczoną, żołnierską postawą. Nie był bardzo młody – wyglądał na mężczyznę znacznie po trzydziestce, a jednak miał w sobie coś, co nie pozwalało Lauren oderwać od niego wzroku. Jakaś pociągająca szorstkość, jakaś ukrytą pierwotną siłę, która przebijała przez jego powierzchowność.

Bez słowa podał jej dłoń, a ona przyjęła ją bez wahania. Była przyzwyczajona do szarmanckich gestów. Wysiadła, stanęła naprzeciw niego i zachwiała się od nadmiaru szampana, ale błyskawicznie pochwycił ją i podtrzymał. Powinna była go odepchnąć i odsunąć się, ale nie zrobiła tak. Bo w przeciwieństwie do tego, co czuła, kiedy dotykali ją mężczyźni pokroju Garretta Moore’a, teraz było jej dobrze. Przyjemnie. Bo ten nieznajomy miał w sobie coś, co ją w tej chwili szalenie intrygowało.

A może tak jej się tylko zdawało? Może to wyborny szampan stępił jej zmysły i uczynił tego mężczyznę nader atrakcyjnym?

– Ile zdjęć mi dzisiaj zrobiłeś? – zapytała, zaglądając mu głęboko w oczy.

Wytrzymał to spojrzenie.

– Kilka.

- Jeśli chcesz... Pozwolę ci na kolejne. - Wpatrywała się w niego, czując, że ogarnia ją słabość, jakieś... zmysłowe ciepło.

Nie chciała, żeby wszedł do samochodu i tak po prostu odjechał. Nie dziś. Nie teraz, kiedy czuła się taka samotna, a jego oczy były tak hipnotyzujące.

- Mógłbyś mi je zrobić za chwilę... - dodała miękkim głosem.

Nie bała się. Pragnienie wzięło nad nią górę; nagle poczuła, że chce, aby ten nieznajomy patrzył na nią, by robił jej zdjęcia, by nie odszedł tak po prostu. Łaknęła jego ciemnego spojrzenia, uznania, podziwu. Flirtu.

On jednak zdawał się tym kompletnie zaskoczony. Nie spodziewał się takiej propozycji. Widziała to w wyrazie jego twarzy.

- Możemy się umówić... - zaczął. - Chętnie zrobię ci sesję. Będę wręcz zaszczycony, bo nigdy wcześniej...

- Nie! - przerwała mu gwałtownie. - Chcę teraz. Dzisiaj. Chyba się nie boisz?

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, dłonią w jedwabnej rękawiczce pogłaskała pieszczotliwie jego szorstki policzek, a wtedy on instynktownie złapał ją za nadgarstek i lekko ścisnął. Wyczuła, że ma mocne dłonie.

- Na pewno tego chcesz? - Zmrużył oczy, a Lauren zaśmiała się rozbrajająco, teatralnie, jakby odgrywała jedną ze swoich filmowych ról.

- Tak. Chcę. Wszystkie zdjęcia będą twoje. Będiesz mógł je sprzedać najlepszym gazetom w tym kraju. Pomyśl, ile możesz na tym zyskać.

- Bardzo dużo - przyznał.

- Otóż to... Możesz również powiesić je sobie nad łóżkiem i...

Jego twarz wykrzywiła się w grymasie.

– Powinnaś iść spać, panno Evans, bo wyraźnie ponosi cię fantazja. Jesteś zmęczona. Chętnie spotkam się z tobą innym razem i omówimy szczegóły sesji.

Lauren zmarszczyła brwi i zachwiała się na wysokich obcasach.

– Nie jestem zmęczona. Nie zapominaj, że to mój wieczór.

„I nie zamierzam spędzać go sama” – dodała w myślach.

Pociągnęła go za rękę w stronę wejścia do luksusowego apartamentowca, ale gwałtownie wyrwał się z jej uścisku.

– Panno Evans, umówmy się na inny dzień. Będziesz bardziej...

– Świadoma? To chcesz mi powiedzieć? Uważasz, że jestem pijana i nie wiem, co robię? Jeśli tak myślisz, to wiedz, że się mylisz.

– Znowu zbliżyła się do niego niebezpiecznie blisko i popatrzyła mu w oczy. – Masz jedyną i niepowtarzalną okazję, żeby zrobić prywatną sesję sławnej Lauren Evans. Bez specjalnego umawiania się. Bez przygotowań i rozmów. Dziś jestem twoja... – Ostatnie zdanie wypowiedziała niemal pieszczotliwym szeptem.

Chwilę później rozwarła szeroko ramiona i okręciła się tanecznie wokół własnej osi, a pierzasta suknia zafalowała fantazyjnie.

Mężczyzna westchnął.

– Widać, że często to robisz – zauważył z przekąsem.

– Co?

– Prowokujesz w ten sposób.

– A ty znasz się na tym?

– W pewnym sensie.

Uśmiechnęła się zalotnie. Doskonale zdawała sobie sprawę, że ten uśmiech wywoływał w mężczyznach prawdziwą burzę. Widziała

to już tyle razy – jak głupieli na ten widok, niemal padając jej do stóp. Chciała, żeby ten nieznajomy dzisiejszego wieczora również dla niej zgłupiał.

– Słyszałam, że Polacy to prawdziwi szczęściarze i właśnie masz na to niezbity dowód. Każdy na twoim miejscu skorzystałby z okazji. Nie zapominaj, że jesteś w Nowym Jorku, w mieście, gdzie spełniają się marzenia. American dream.

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

– American dream z definicji oznacza coś zupełnie innego.

– Och, nie bądźmy tacy skrupulatni!

Niespodziewanie odwróciła się na pięcie, ujęła w dłonie pierzasty tren imponującej sukni, a następnie rozkołysanym krokiem pomaszerowała w stronę oświetlonego wejścia do apartamentowca. Nie miała pewności, czy fotograf pójdzie za nią, ale w duchu liczyła, że tak. Chyba nie był aż takim idiotą i tchórzem, żeby nie skorzystać z okazji? Drugiej nie zamierzała mu dawać. Nigdy.

Nim zdążyła dojść do drzwi, które otworzył przed nią odzwierny, fotograf dogonił ją szybkim krokiem.

Lauren uśmiechnęła się pod nosem. Zauważyła, że w dłoni trzyma aparat. Więc jednak nie był idiotą.

Pracownik apartamentowca ubrany w wyszukaną liberię przywitał się z aktorką uprzejmie, choć z właściwym dystansem, popatrując znacząco na towarzyszącego jej mężczyznę. Dotąd oglądał sławną pannę Evans wyłącznie w towarzystwie równie sławnego Petera Jonesa, więc nowy mężczyzna u jej boku wydał mu się zapewne czymś skrajnie nieprzyzwoitym. Aktorka bez trudu dostrzegła wszystko mówiący, karcący wyraz twarzy starszego pana, ale nie zamierzała przed nikim się tłumaczyć, kogo zaprasza na noc

do swojego prywatnego apartamentu. Ludzie i tak dopowiadali do jej życia niestworzone historie, a to, co było prawdą, uważali za niemożliwe.

- Spokojnej nocy, panno Evans - powiedział uprzejmie odzwierny.

- Dobranoc, panie Smith - odparła mu słodko i przemaszerowała przez ozdobiony lustrami i kandelabrami elegancki korytarz, stukając obcasami o marmurową posadzkę.

Kiedy znaleźli się we dwoje w windzie, Lauren nagle otrzeźwiała i dotarło do niej, co zamierza zrobić. To było szalone; jej osobisty agent Richard Taylor rzekłby, że wręcz nieodpowiedzialne, bo na taką sesję fotograf powinien podpisać kontrakt, ale w tej chwili Lauren miała to gdzieś. Ostatnimi czasy robiła wyłącznie to, co należało, a teraz jej natura domagała się odrobiny wolności, nutki nieprzewidywalności, szaleństwa.

Kątem oka spoglądała na swojego towarzysza, który stojąc tak blisko niej, wydał jej się wyższy i jeszcze poważniejszy. Z niewiadomego jednak powodu podobał się jej. Miał w sobie coś trudnego do zdefiniowania, jakąś mroczną wewnętrzną dyscyplinę, a Lauren gorąco zapragnęła poluznić te konwenanse i zobaczyć w nim innego człowieka. Chciała, żeby patrząc na nią, zmienił się w mężczyznę, który jej pragnie. Bo że tak będzie - nie miała wątpliwości. A dziś, teraz, potrzebowała tego jak powietrza. Chciała przeglądać się w jego oczach jak w lustrze. Po wieczornym dotkliwym upokorzeniu ze strony kochanka pragnęła udowodnić sobie, że przecież może mieć każdego, którego zapragnie. Każdego, bez wyjątku.

Jej apartament, mieszczący się na ostatnim piętrze luksusowego wieżowca, rozświetlała feeria barwnych świateł, które przedostawały się do wnętrza przez szerokie okna. Kolorowe, chybotliwe smugi ślizgały się po eleganckich meblach i ścianach obłożonych luksusowymi tapetami. Lauren weszła do środka, po czym zapaliła jedną z lamp i bez wahania zbliżyła się do barku.

Fotograf wszedł tuż za nią i zamknął za sobą drzwi.

– Na co masz ochotę? – zapytała go lekkim tonem.

– Poproszę wodę.

Odwróciła się i uniosła brwi w wyrazie zaskoczenia.

– Wodę? Mam lepsze rzeczy. Brandy, whisky, nawet szampana.

– Zostanę przy wodzie.

Uniosła kącik ust.

– Może to i lepiej. Dłoń ci nie zadrzy, kiedy będziesz mi robił zdjęcia.

– Słuszna uwaga.

Lauren napełniła szklankę wodą z kryształowej karafki i wolno podeszła do Polaka. Popatrzyła mu prosto w oczy i znów poczuła dziwny, ale rozkoszny dreszcz. Mężczyzna naprawdę miał głębokie spojrzenie. Daleko mu było do zniewalającego urodą Petera czy innych mężczyzn, z którymi wcześniej się spotykała, a jednak było w nim coś pociągającego. Jakaś pierwotna siła i wewnętrzny urok. Nie wydawał się wymuskany bawidamkiem, a szorstkim mężczyzną, ale z manierami dżentelmena. Jego twarz z mocno zarysowaną szczęką i wąskimi ustami miała w sobie coś interesującego i niepokojącego. Bardzo jej się to podobało i uważała to za ciekawą odmianę – cokolwiek to miało w tej chwili znaczyć.

- Nadal nie wiem, jak się nazywasz - rzekła, podając mu szklankę.

Chwycił ją, a Lauren spostrzegła, jak duża i silna jest jego dłoń. To też odróżniało go od mężczyzn, z którymi dotąd miała do czynienia.

- Konrad Rogowski.

- Konrad... - powtórzyła. - Pozwolisz, że zanim zaczniemy, napiję się szampana? Chętnie wzięłabym też kąpiel, ale nie wiem, czy będziesz miał tyle cierpliwości, żeby na mnie poczekać. Chyba że... - Rzuciła mu powłóczyście spojrzenie, nie wypowiedziała jednak na głos tego, co chodziło jej po głowie, bo miała przeczucie, że w tej chwili z pewnością by jej odmówił.

- Nie przeszkadzaj sobie. Mam czas.

- W domu nikt na ciebie nie czeka?

Wyraz jego twarzy był nieustępliwie poważny, a Lauren zapragnęła to zmienić. Chciała zobaczyć w nim coś więcej. Niby lustrował ją wzrokiem, ale jego spojrzenie było nienachalne.

- Wiedzą, że jestem w pracy - odparł.

- W pracy... - powtórzyła za nim jak echo.

Pokiwała głową i znów podeszła do barku. Nalała sobie lampkę szampana i upiła kilka łyków. Alkohol przyjemnie rozlał się po jej wnętrzu. Poczowała się odprężona, a całe wcześniejsze zdenerwowanie z powodu Petera gdzieś uleciało. Teraz czuła jedynie przyjemne mrowienie gdzieś w okolicach karku.

Rogowski odstawił szklankę na pobliski stolik i zaczął dyskretnie rozglądać się po pomieszczeniu. Lauren obserwowała go ukradkiem i zastanawiała się, co myśli. Podoba mu się tutaj? Czy kiedykolwiek był w tak luksusowym wnętrzu? Miała przeczucie, że niekoniecznie.

Oderwał wzrok od oprawionego w ramę, wiszącego na ścianie imponującego zdjęcia Marlene Dietrich i spojrzał na Lauren.

– Dlaczego akurat ona? – zapytał bez ogródek.

Uśmiechnęła się.

– Uwielbiam ją. Jest błękitnym aniołem Hollywood.

– I Niemką.

Lauren nieznacznie drgnęła.

– Już nie. W trzydziestym dziewiątym otrzymała obywatelstwo USA, a filmy z jej udziałem zostały zakazane w Niemczech.

Uniósł brwi.

– Sporo wiesz na ten temat.

– Bo osobiście znam Marlene i bardzo ją podziwiam.

Kiwnął głową na znak, że rozumie, i wrócił do oglądania portretu hollywoodzkiej sławy.

Lauren podeszła do niego, starając się zachować zwyczajową pewność siebie.

– Masz żonę? – rzuciła wprost.

– Nie.

Ta odpowiedź zawibrowała gdzieś głęboko w jej wnętrzu. Nie wiedzieć czemu, Lauren poczuła ulgę. Gdyby był żonaty, musiałyby uważać na to, co robi. A skoro nie był... Mogła pozwolić sobie na więcej. Mogła sobie udowodnić, że tego wieczora ten mężczyzna podoba jej się bardziej od innych. I nie wiedzieć czemu, tego właśnie chciała, ale wcale nie przez to, że Peter ją odrzucił. Zastanawiała się po prostu, jak by to było znaleźć się w ramionach tego nad wyraz poważnego nieznajomego. Jak by to było poczuć na sobie jego usta. Zapomnieć się. Przestać analizować i dać się ponieść pragnieniom.

Z tą pociągającą myślą dopiła szampana i naląła sobie kolejną porcję.

– Jesteś w Nowym Jorku sam?

– Nie. Mam rodzinę.

– Powiesz mi o niej coś więcej?

Odniosła wrażenie, że mężczyzna wstrzymał oddech.

– Dlaczego chcesz to wiedzieć? – zapytał.

– Bo może jeśli powiesz mi coś o sobie, będzie nam przyjemniej.

– Nie zwykłem opowiadać modelkom o swoim życiu osobistym.

– Modelkom...

Lauren poczuła nieprzyjemne rozczarowanie.

Była dla niego wyłącznie modelką. Towarem na sprzedaż, nikiem więcej. Zrobiło jej się smutno; pomyślała, że tym razem alkohol chyba działa na nią inaczej niż zwykle. A z drugiej strony przecież sama chciała, żeby Konrad potraktował ją jak modelkę. Sama go do tego namówiła.

Usiadła na eleganckiej sofie i wysunęła stopy spod łabędziej sukni tak, żeby było widać ich kształt w złotych sandałkach. Wyprostowała się prowokująco, pragnąc wyeksponować piersi i szczupłą talię. Widziała, że Rogowski przygląda jej się ukradkiem, i nieco zdziwiło ją, że dotąd nie wziął do ręki aparatu, który leżał na stoliku.

– Pewnie myślisz, że ciągle zapraszam do siebie obcych mężczyzn.

– Masz prawo robić, co chcesz, a to, co ja myślę, nie ma znaczenia.

– Zawsze jesteś taki zasadniczy? – zapytała nieco nerwowo.

Oczekiwała, że ten mężczyzna stanie się choć trochę bardziej uległy, a tymczasem on przez cały czas zachowywał się irytująco poważnie.

– Nie rozumiem...

– Nie jesteś zaskoczony, że cię tu zaprosiłam... Tak po prostu?

– Jestem. Przecież mówiłem o tym tam, na dole. Wspominałem, że możemy się najpierw umówić.

Lauren zmarszczyła brwi.

– Nie chcę się umawiać. Wolę działać spontanicznie. To bardziej... ekscytujące. W moim życiu wszystko jest już zaplanowane i wyreżyserowane, więc takie odstępstwo od normy to coś ciekawego.

Tym razem to on wygiął usta w nieznacznym uśmiechu.

„Więc jednak potrafił reagować inaczej” – pomyślała z satysfakcją.

– Nawet nie wiesz, czy umiem robić zdjęcia – zauważył z nutą ironii. – Mogę być przecież zwyczajnym oszustem albo maniakałnym wielbiciele, który przyszedł do Palace Theatre wyłącznie po to, żeby na ciebie popatrzeć.

Nie odrywając od niego spojrzenia, znów zanurzyła usta w szampanie.

– Przekonajmy się...

Powoli, z pewnym ociąganiem, wstała z sofy. Konrad nie spuszczał z niej wzroku, kiedy podeszła do szerokich okien wychodzących na taras i rozsunała je, wpuszczając do wnętrza rześkie wieczorne powietrze. Zgrabnie wyszła na duży, oświetlony stylowymi latarniami taras wyłożony marmurem i stanęła na tle rozlewającej się aż po horyzont oszałamiającej panoramy nocnego

Central Parku. Z naturalnym wdziękiem oparła się o balustradę. Światła miasta otuliły jej postać, tren sukni rozłożył się wokół jej stóp. Lauren spojrzała prosto w wymierzony w nią obiektyw. Błysnął flesz.

Z satysfakcją stwierdziła, że fotograf nie wydawał się zdenerwowany ani podniecony. Był za to idealnie skupiony na tym, co robi. Obserwował ją, analizował każdy jej ruch, każdy gest. Robił zdjęcia, a ona prężyła się przed nim zmysłowo, prezentując swoje najpiękniejsze oblicze. Chciała być piękna. Najpiękniejsza.

– Chętnie zdjęłabym z siebie suknię – mruknęła prowokująco, patrząc w obiektyw. – Jest ciężka i niewygodna. Myślisz, że mógłbyś zrobić mi zdjęcia... W innym anturazie?

– Myślę, że mógłbym – odparł Rogowski z lekkim uśmiechem. – Jestem tu wyłącznie dla ciebie i z twojego powodu. Ty decydujesz, w czym chcesz wystąpić.

Uśmiechnęła się z wyraźną satysfakcją.

– Cóż za profesjonalizm. A gdybym chciała wystąpić nago?

– To również byłaby wyłącznie twoja decyzja – padła odpowiedź.

Liczyła, że zareaguje inaczej, ale nie – nadal był nadzwyczaj opanowany.

– Nie przeszkadzałyby ci to?

– Widziałem już nagą kobietę.

Uśmiechnęła się. Ten mężczyzna jej się podobał. Podobała jej się jego niewymuszona poza i sposób, w jaki trzymał w dłoniach aparat. Podobały jej się jego mocne ramiona, widoczne spod podwiniętych rękawów koszuli, bo zanim zaczął ją fotografować, zdjął marynarkę. Lauren była pewna, że gdyby pozbył się również koszuli i... całej reszty, zobaczyłaby zupełnie interesujący okaz męskiej urody. Ale on

nie wydawał się skory do takich posunięć, więc postanowiła sprowokować go nieco inaczej.

– Więc zanim cokolwiek zrobimy... – Zakołysała zmysłowo biodrami. – Pozwól, że wezmę kąpiel.

– Nie krępuj się. Poczekam.

Lauren była prawie pewna, że kiedy wyjdzie z łazienki po kąpiel, ubrana jedynie w koronkową bieliznę i narzucony na to jedwabny szlafrok, fotografa już nie będzie. Miała wrażenie, że jej odważna propozycja nieco go spłoszyła.

Ale nie dał się spłoszyć. Był.

Stał w półmroku na tarasie i podziwiał nocny Central Park.

Przez chwilę obserwowała go w skupieniu.

Wyglądał jak człowiek, który patrzy, lecz nie widzi tego, co ma przed sobą. Jakby rozpaczliwie za czymś tęsknił. Za czymś albo za kimś.

Szampan nadal buzował jej w skroniach, ale kąpiel odrobinę ją otrzeźwiła. Już nie chwiała się na nogach, a jej ruchy stały się bardziej kontrolowane. Czuła za to przyjemne podniecenie.

– Konrad? – odezwała się do niego po imieniu, a on raptownie oderwał spojrzenie od okna.

Odwrócił się i zlustrował wzrokiem jej postać. Zadrżała. Dopiero teraz zobaczyła w jego spojrzeniu to, co tak bardzo chciała zobaczyć. Pragnienie.

ROZDZIAŁ 5

Rogowskiemu z trudem przychodziło uwierzenie w to, co się dzieje. Był w prywatnym apartamencie Lauren Evans, jednej z najpiękniejszych hollywoodzkich aktorek. Patrzył na nią przez obiektyw aparatu i myślał, jaka jest doskonała. Jej podkreślona makijażem uroda z daleka oszałamiała, ale z bliska mogła onieśmielać. Długie i kształtne nogi układały się zmysłowo na białej pościeli szerokiego łóża; nieco wyżej widział smukły zarys gładkich ud i miękkich bioder okrytych kusą podomką, przewiazaną paskiem w talii. Spod rozchylonych pół podomki na dekolcie wychodziło ramiączko stanika. Każdy facet na miejscu Konrada byłby ciekaw, co kryje się za tą delikatną tkaniną, ale on nie chciał patrzeć na Lauren w taki sposób. Nie chciał być taki jak wszyscy. Dawno temu zdecydował, że już nie będzie tak patrzył na kobiety, i zamierzał się tej decyzji trzymać. Poza tym przyszedł tu w zupełnie innym celu, a ona wskazała mu możliwości, jakich się nie spodziewał. Skoro więc pozwoliła, by ją fotografował, zamierzał wykonać to zadanie najlepiej, jak potrafił.

Spoglądając przez obiektyw aparatu, pragnął zobaczyć w niej coś więcej niż tylko piękną buzię, zgrabne nogi i jedwabiste rudoblond włosy. Bo to widział każdy, patrzący powierzchownie. On chciał uchwycić w niej tę kobietę, jaką była naprawdę. Tylko wtedy będzie zadowolony z efektów pracy. I ułatwi sobie właściwe zadanie.

To, że odurzona francuskim szampanem Lauren Evans sama zaproponowała mu sesję zdjęciową, było zaskakujące i chyba trochę naiwne z jej strony. Nie знаła go przecież, nie wiedziała, kim był; a jemu dotąd nie zdarzyło się robić prywatnych zdjęć komuś z hollywoodzkiego świata. Tak naprawdę trzymał się raczej z dala od takich osobistości. A mimo to ta uwielbiana przez miliony aktorka bez wahania zaprosiła go do swojego apartamentu, a potem prywatnej sypialni i bez zażenowania wyginała się przed nim prowokująco, zachęcając do kolejnych ujęć. Jak na dłoni widać było, że pod fasadą idealnego makijażu i niebotycznie drogich ubrań kryje się kobieta rozpaczliwie pragnąca uznania w oczach innych. W jego oczach. Był tym nieco zdziwiony, bo przecież można by pomyśleć, że ktoś, kto jest na czołówkach renomowanych pism Ameryki, na brak zainteresowania raczej nie narzeka.

– Często robisz zdjęcia kobietom? – zapytała aksamitnym głosem, patrząc przeciągle w obiektyw.

– Ostatnio coraz częściej – odparł zgodnie z prawdą.

– Ostatnio? – Uniosła brew, a on zrobił idealne – doskonałe – zdjęcie.

Było coś tak zdumiewającego w Lauren Evans, że zdjęcia robiły się same. Współpracowała z nim lepiej, niż się tego spodziewał. Był przygotowany na gwiazdorskie fochy, ciągłe zmiany pozy, tymczasem ona doskonale potrafiła wykorzystać możliwości aparatu i fotografa. To nie on ją prowadził, tylko ona jego. I to go fascynowało.

W dyskretnym oświetleniu jej aksamitne oblicze nabrało złocistego blasku. Lekko zadarty, mały nos i wydatne kości policzkowe zmiękły, a usta zdawały się jeszcze pełniejsze. Nie było

na nich jaskrawoczerwonej pomadki, która podkreślała jej wargi na premierze, a jedynie naturalny błyszczak. Rozchyliła je.

Konrad znał te sztuczki, które kobiety stosowały, żeby wyglądać pięknie i ponętnie. Nauczył się je rozpoznawać jeszcze przed wojną w Warszawie, kiedy zdarzało mu się fotografować modelki. Kiedy bardziej się nimi interesował. Wtedy jednak było inaczej. Wtedy z łatwością poddawał się ich urokowi i nie miał skrupułów. Teraz był już zupełnie innym człowiekiem.

- Potrzebuję pieniędzy, więc robię sporo sesji - wyjaśnił spokojnie, odrywając od niej wzrok i skupiając się na wymianie kliszy w aparacie.

- Pieniądze... Któż z nas ich nie potrzebuje? Ile byśmy ich nie mieli, to i tak ciągle nam mało.

Konrad nie skomentował tej naiwnej w jego mniemaniu uwagi. Nie zamierzał tłumaczyć, że jego potrzeba posiadania gotówki była podyktowana czymś zupełnie innym niż poprawa sytuacji materialnej. Dobrobyt nie stanowił ani jego celu, ani marzenia. Pieniądze były mu potrzebne na coś znacznie ważniejszego. Na leczenie i właściwy rozwój jego córki. Ale cóż Lauren Evans mogła o tym wiedzieć, skoro na co dzień otaczała się luksusem, o jakim zwykły śmiertelnik mógł jedynie marzyć.

- Widziałeś, co się wydarzyło na premierze? - zapytała niespodziewanie, kiedy Konrad był gotowy do wykonania kolejnej serii zdjęć.

Zauważył, że jej usta zadrżały w jakimś bolesnym grymasie.

- Mówisz o tym, jak publicznie spoliczkowałaś Petera Jonesa?

Na jej twarz wypełził nagły rumieniec, a wzrok się zmienił. Stał się zamglony.

Rogowski zrobił zdjęcie, licząc na to, że to ujęcie będzie jeszcze lepsze niż poprzednie. Bardziej naturalne.

– Tak... – wyszeptała i zmieniła pozycję, a szlafrok zsunął się z jej ramienia, ukazując fragment piersi.

– Widziałem – odparł, próbując skupić wzrok wyłącznie na jej przejrzystych oczach. – Należało mu się.

– Tak myślisz?

– Nie śmiałbym myśleć, że zrobiłaś to bez powodu.

Westchnęła przeciągle. Odchyliła głowę i wsparła się ramieniem o łóżko, drugą dłoń zanurzając w długich włosach. Były jedwabiste. Wyglądały jak poprzetykane złotymi nitkami.

Konrad miał ją przed sobą całą. Idealną. Doskonałą. Poczł, jak mimo woli napinają się jego mięśnie. Zirykowało go to. Nie chciał reagować w taki sposób. Nie pozwalał sobie patrzeć na modelkę jak na obiekt pożądania. Wiedział, jakie mogą być tego konsekwencje i ile go to może kosztować.

– Zrobiłam to, bo... – urwała i znów westchnęła.

Niespodziewanie, chyba w nagłym przypływie żalu, skuliła się na łóżku i podciągnęła kolana pod brodę. Zdumiała go tym.

Odsunął od twarzy aparat, patrząc na nią w skupieniu, bo nagle w jednej chwili przestała być femme fatale. Straciła całą swoją magnetyczną zmysłowość i stała się małą, rozżaloną dziewczynką. Dziwiło go, że tak bardzo przejmuje się tym wypacykowanym gogusem Peterem Jonesem. Wtedy, w teatrze, był moment, kiedy z jego powodu niemal wpadła w histerię. Konrad widział to i pomyślał, że to strasznie głupie z jej strony. Przecież to ona była gwiazdą wieczoru. To ją podziwiali zebrani na premierze goście.

- Naprawdę chcesz mi o tym powiedzieć? Chcesz, żebym wiedział, że Peter Jones był twoim kochankiem? Nie obawiasz się, że jutro sprzedam tę informację do każdej możliwej gazety w tym kraju? - zapytał bardziej złośliwie, niż zamierzał.

Popatrzyła na niego zaskoczona, mrużąc oczy.

- Zrobiłbyś to?

Jak w ogóle mogła o to pytać? Przecież okazja czyni złodzieja, a ona tę okazję właśnie podawała mu na tacy. Nie była dla niego nikim szczególnym, oczywiście pominąwszy fakt, że zamierzał wyciągnąć od niej coś, co mogłoby go doprowadzić do człowieka, którego szukał.

- Być może. Dałbym radę sporo na tym zarobić, a już mówiłem, że potrzebuję pieniędzy.

Zmarszczyła brwi, a Konrad szybko podniósł aparat i nacisnął spust migawki. Taką ją chciał. Prawdziwą. Z błyskiem szczerego buntu w oczach.

- Jesteś irytująco szczery! - wykrztusiła.

- Wolałabyś, żebym cię oszukiwał i mamił gładkimi słówkami? A jutro przeczytałabyś o swoich sekretach w jakimś brukowcu?

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, jakby nie rozumiała. Jakby jego szczerłość jej uwłaczała. Nagle dotarło do niego, że albo była tak pijana, że aż nieświadoma tego, co robi, albo tak głupio naiwna.

Kątem oka zerknął na opróżniony kieliszek. Ile dziś wypila? Z pewnością za dużo.

- Jutro i tak wszyscy będą o mnie pisać - odparła z goryczą. - Będą się nade mną pastwić jak nad zdradzoną kochanką.

- Przecież odniosłaś sukces. O tym będą pisać. O filmie, w którym zagrałaś.

Zrobiła niedbały ruch ręką.

- O nie! Liczy się tylko to, że Peter paradował na premierze ze swoją Betty Lee, a ja spoliczkowałam go w szale zazdrości. Oczywiście dopiszą do tego właściwą historię i okraszają odpowiednimi epitetami.

- Przesadzasz. Nikogo to nie obchodzi.

- Ludzie chcą skandalu! - wyrzuciła z siebie z pasją. - Chcą widzieć, jak płaczę z rozpaczy po mężczyźnie, w którym rzekomo byłam zakochana!

Rogowski patrzył na nią w skupieniu.

- A byłaś?

- Nie wiem...

Już nie chciał robić jej zdjęć. Nagle stracił na to ochotę. Nie zamierzał uwiecznić na kliszy jej cierpienia i samotności, które były aż nadto widoczne. Nie chciał również, żeby mówiła mu o tym wszystkim. Wbrew temu, przed czym ją ostrzegał, nie zamierzał sprzedawać rewelacji z jej życia pismakom. Przecież nie po to zjawił się na premierze i nie po to chciał ją poznać. Uważał jednak, że Lauren powinna być ostrożniejsza. Nie wolno tak naiwnie otwierać się przed przypadkowym słuchaczem. To mogło być niebezpieczne, choć dla niego osobiście wyjątkowo przydatne. Otwartość Lauren świadczyła o tym, że sprawę Ingi Petersen powinien załatwić w miarę szybko.

- Uważasz, że jestem głupia! - wykrztusiła z wyrzutem.

- Nie. Nie uważam cię za głupią.

Włosy opadły jej na twarz. Przez chwilę trwała w bezruchu, jakby się nad czymś głęboko zastanawiała. W końcu przysunęła się w jego stronę.

– Czy mógłbyś nalać mi szampana? – zapytała cicho.

– Chyba wypijaś już nadto.

– Och, szampan jest dobry na wszystko! Szampan i... – Zajrzała mu głęboko w oczy. – I coś jeszcze... Jeśli wiesz, co mam na myśli.

Konrad wstrzymał oddech. Wiedział. Dostrzegł to w jej przenikliwie błękitnych oczach. Mój Boże, była szalona, nie bojąc się prowokować obcego mężczyzny. Przecież każdy na jego miejscu już dawno zdarłby z niej ten kusy szlafroczek, byle tylko przekonać się, co się pod nim kryje. Każdy... Ale nie on. Kiedyś też by to zrobił, ale nie teraz. Takie zakusy już nie zachęcały go do dalszej gry, która zawsze kończyła się w jeden sposób.

– Na dzisiaj wystarczy – powiedział.

Wykrzywiła usta w gorzkim uśmiechu.

– Jaki ty jesteś irytująco poważny...

– Raczej trzeźwy – odparł z nutą rozbawienia.

Unikał jej wzroku. Nie chciał patrzeć na jej twarz teraz, skoro sesja dobiegła już końca. Uważał, że to nieprofesjonalne. Nieprzyzwoite.

Ona jednak była uparta. Wpatrywała się w niego, przybliżając ku niemu swoje ledwie okryte ciało. Instynktownie odwrócił głowę, bo tak nakazywała mu moralność. Nie bał się kobiet – co to, to nie, ale też nie robił nic, żeby zmniejszać między nimi dystans. Nie uwodził ich. Już nie.

– Od jak dawna mieszkasz w Nowym Jorku, Konradzie? – Jej głos brzmiał teraz jak szept. Zmysłowy szept.

- Jakiś czas. Niezbyt długo.
- Lepiej ci tu czy w Warszawie?

Zaskoczyło go to pytanie. Odruchowo spojrział na nią i zobaczył, że była już niebezpiecznie blisko. Właśnie wspinała się na kolana, żeby ich twarze znalazły się na podobnej wysokości. Do diabła, miał trzydzieści pięć lat i багаż przeżyć, a trawiło go nieodparte wrażenie, że ta kobieta za pomocą swojej zmysłowości wodzi go za nos. Zastanawiał się, przez ile łóżek przeszła, żeby znaleźć się tu, gdzie była.

- Jest inaczej – odparł obojętnie.

- Zapewne. Jesteśmy w Nowym Jorku, w mieście, gdzie wszystko jest dozwolone. – Opuszkami palców dotknęła jego ramienia. Powoli zwilżyła językiem usta. – Jest noc... A ja gorąco pragnę, żebyś mnie pocałował. Bo z jakiegoś powodu mi się podobasz...

- Lauren... – Chciał zabrzmieć ostrzegawczo, ale wyszło dość ochryple.

Nim zdążył zareagować, zbliżyła się do niego tak bardzo, że poczuł jej zapach. Poczul bijące od niej ciepło. „Do diabła, na takie sytuacje prokurator Raczek już mnie nie przygotował” – pomyślał szybko z głupią ironią.

- Nie wiesz, co robisz... – dokończył, starając się nie patrzeć na jej usta.

- Ależ wiem. – Uśmiechnęła się, zaglądając mu głęboko w oczy.

W jej spojrzeniu dostrzegł wyczekiwanie i nadzieję.

Wbrew sobie, wbrew wszystkim zasadom, które sam sobie narzucił, pochylił się nad nią i spełnił jej życzenie. Pocałował ją. Smakowała słodko. Smakowała szampanem. Jej wargi były delikatne, miękkie i zadziwiająco gorące. Natychmiast przyłgnęła do niego

niemal całym ciałem i oplotła ramionami szyję, a on poczuł, że jest bliski szaleństwa, bliski zapomnienia się w tych chętnych, gorących ramionach pięknej kobiety. Dotykał jej obleczonych jedwabiem pleców, sunąc w dół, aż dotarł do pośladków i ud. Ręce mu się trzęsły, a ona była gładka i ciepła i pachniała luksusowymi perfumami. Całował ją coraz mocniej, coraz żarliwiej przypominając sobie, jak to jest. Jak może być. Dawno nie miał w objęciach kobiety i teraz zdawało mu się, jakby z każdą minioną sekundą przekraczał bramy raj. Ocknął się dopiero, kiedy poczuł, że Lauren rozwiązała jego krawat i gorączkowo zaczęła zsuwać z niego koszulę. Czuł się jak pijany, owładnięty nagłym pożądaniem do tej pięknej, szalonej kobiety, ale gdzieś tam głęboko odzywał się w nim głos rozsądku. Z początku słaby, ledwo słyszalny, ale nagle zaczął dudnić mu w głowie, nakazując przestać. Bo przecież nie po to tu był, nie po to ją poznał.

Powstrzymał Lauren silnym ruchem dłoni.

– Nie rób tego! – rzucił ostro, chyba zbyt ostro, bo popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

Twarz miała zaróżowioną, usta nabrzmiałe. Widział, jak szybko oddychała. Jej piersi rysowały się wyraźnie pod koronką stanika i pomyślał, że jeszcze chwila, a oszaleje.

– Konrad... – Chwyła jego twarz w dłonie i znów próbowała go pocałować, ale odepchnął ją lekko.

– Nie.

Patrzyła na niego, nie rozumiejąc. Widział jej niedowierzenie pomieszane z pragnieniem. Widział, że gdyby tylko jej pozwolił, oddałaby mu się tu i teraz, nie wiedząc zupełnie, kim był. Nie znając go. Kierując się wyłącznie pożądaniem. Nie mógł jej na to pozwolić,

bez względu na to, jak bardzo on również w tej chwili pragnął z nią być.

– Nie rób nic, czego jutro będziesz żałować – rzekł głupio, próbując opanować emocje.

– A skąd ty możesz wiedzieć, czego jutro będę żałować?

– Uwierz mi, że wiem...

Odsunęła się i zacisnęła w talii pasek podomki. Nie zdawała sobie sprawy, że jej piersi są na wpół odsłonięte.

Konrad ostatnimi czasy często oglądał kobiety. Robił im zdjęcia, bo taką miał pracę, jednak żadna z modelek nie wywołała w nim takiej niekontrolowanej reakcji. Żadna od czasów... Nie, nie pamiętał.

Chwycił aparat i marynarkę i szybkim krokiem skierował się do drzwi. Niemal wybiegł z apartamentu, jakby w obawie, że Lauren Evans będzie próbowała go zatrzymać, a on nie znalazłby w sobie dość silnej woli, żeby się jej przeciwstawić.

Światło na korytarzu nieco go ocuciło. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, zaczął zbiegać po schodach przeciwpożarowych, nawet nie pomyślawszy o skorzystaniu z windy. Potrzebował ruchu. Musiał się otrząsnąć. Na jednym z półpięter napotkał parę splecioną w namiętym uścisku; ci zerknęli na niego zdumieni, ale on pobiegł dalej. Zatrzymał się dopiero na parterze.

– Spokojnej nocy, szanowny panie! – usłyszał uprzejmy, choć nieco sztywny głos odźwiernego Smitha.

– Spokojnej nocy – rzucił szybko i wyszedł na ulicę.

Dopiero teraz odetchnął głęboko.

Jego chevrolet wciąż stał zaparkowany przy chodniku. Konrad uśmiechnął się przekornie, myśląc, jak bardzo to auto nie pasowało

do tego luksusowego miejsca. Do tej ulicy.

Otworzył drzwi, by wsiąść, ale zanim to zrobił, uniósł jeszcze głowę w stronę wieżowca, z którego właśnie wyszedł. Niesamowite, że ona tam była. Za tymi ścianami i oknami, na najwyższym piętrze, w imponującym apartamencie. Niczym księżniczka w swojej wieży. Lauren Evans, a raczej Lara Petersen. Jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie widział w życiu, a widział już naprawdę wiele.

I to ona miała naprowadzić go na ślad mężczyzny, którego szukał.

Ta myśl towarzyszyła mu przez całą drogę do domu, kiedy w oszołomieniu, wciąż czując na wargach smak jej ust, opuszczał 5th Avenue.

Jadąc przed siebie w stronę Yorkville, rozmyślał nad wszystkim, co się tego dnia wydarzyło. Nad tym, że kilka godzin temu udawał się na premierę Nieczystej gry wyłącznie z obowiązku. Z jednej strony wiedział, że na zdjęciach aktorów i innych zaproszonych gości zarobi sporo forsy i że bardzo mu się to opłaci. To była gaża, na którą musiałby pracować w warsztacie samochodowym przez dwa, a może nawet trzy miesiące. Zdjęcia takich gwiazd jak Lauren Evans i Peter Jones sprzedawały się jak świeże bułeczki. Z drugiej jednak strony pojechał tam po to, żeby ją poznać. Był przygotowany, że nie będzie łatwo, że dojście do niej może się okazać niemożliwe. Ale kompletnie nie spodziewał się, że panna Evans, upojona szampanem i rozpaczą po odrzuceniu przez kochanka, sama zaproponuje mu prywatną sesję. Nie spodziewał się, że zechce zaciągnąć go do łóżka. Na myśl o tym miał ochotę śmiać się gorzko. Do diabła, była tak głupio naiwna! Przecież mógł się z nią przespać, mógł wykorzystać ją na wiele innych sposobów – kiedyś miał w tym wprawę. Mógł –

spędzając z nią noc, bez trudu wydobyć z niej informacje, których potrzebował.

Oderwał dłoń od kierownicy i potarł czoło.

Mógł również wyjść.

I właśnie to zrobił.

Kiedy dojechał do mieszkania, które wynajmował w dziewiętnastowiecznej kamienicy na Yorkville, było już dobrze po północy. Miejsce, w którym mieszkał, znacznie różniło się od tego, w którym żyła Lauren Evans. Jego świat był skromny, budowany na przekonaniu, że skoro tam, skąd pochodził, nie dało się żyć, to tu musi być lepiej. Miał dużo szczęścia. Dzięki licznym znajomościom w organizacjach skupiających polską emigrację zaraz po przybyciu do Nowego Jorku za dolary, które trzymał ukryte w walizce i przy pomocy życzliwych ludzi, pamiętających zasługi jego ojca dla Polski, mógł wynająć skromne, ale schludne mieszkanie w przyjemnej dla oka kamienicy z czerwonej cegły. Jego sąsiadami byli niemal wyłącznie Polacy, nie licząc jednej ukraińskiej rodziny, która sprowadziła się tu rok temu. I o dziwo, nikt z dotychczasowych mieszkańców nie patrzył na nią z pogardą mimo tego, co działo się podczas wojny. Wszyscy tutaj starali się żyć po swojemu, z mozołem odbudowując to, co wojna w nich zniszczyła.

Zaparkował chevroleta przy chodniku i wszedł szerokimi schodami do mieszkania pogrążonego w mroku nocy. Cisza tutaj zdawała się wręcz namacalna. Konrad starał się poruszać bezszelestnie, żeby nikogo nie obudzić. Nie chciał, żeby Helena albo Emilka zorientowały się, jak późno wrócił, bo musiałby pokrętnie się tłumaczyć, co go zatrzymało. Owszem, przyzna się, a nawet

pochwali, że zrobił prywatną sesję sławnej Lauren Evans, ale później. Jutro.

Zszedł do piwnicy, by zostawić w urządzonej tam ciemni cenne klisze z aparatu.

– Tato? – Dziewczęcy głos był cichy, ale Konrad usłyszał go doskonale.

Jego córka stała u szczytu schodów, boso i w koszuli nocnej. Więc jednak się obudziła.

– Skarbie, czemu nie śpisz?

– Czekałam na ciebie.

Szybko schował filmy do szuflady w komodzie, na której stała lampa i kuwety do wywoływania zdjęć.

– Już idę.

Wiedział, że Emilka nie ruszy się z miejsca. Zostanie tam, gdzie czuje się bezpiecznie, ale mimo to zaczął się spieszyć, żeby czym prędzej do niej pójść.

Zamknął za sobą drzwi ciemni i wszedł na górę. Emilka stała wyczekująco, a jej długie ciemne włosy opadały na plecy i ramiona. Była tak podobna do matki, że to aż bolało. Machinalnie uniosła ramiona, chcąc, żeby wziął ją na ręce. Miała już dziesięć lat, a wciąż przytulała się do niego jak mała dziewczynka. To były te jedyne momenty, kiedy okazywała jakiegokolwiek odruchy cieplejszych uczuć. Przytulała się do ojca. Poza tym na co dzień była chłodna, zdystansowana, czasem wręcz nieobecna. Jakby żyła we własnym świecie, do którego nikt nie miał dostępu. To go bolało, szarpało dzień po dniu, bo miał świadomość, że w dużej mierze przyczynił się do jej nieszczęścia. Teraz, kiedy było już za późno, dałby sobie wyrwać serce, byleby odwrócić to, co się stało. Ale nie miał takiej

mocy. Mógł tylko być przy córce, jak nie było go kiedyś. Mógł jedynie próbować wynagrodzić jej pustkę, która pojawiła się przez niego w jej krótkim życiu, i w niewielkim stopniu mógł próbować zastąpić jej matkę. Każdego dnia dziękował Bogu, że po piekle, przez które przeszli, odzyskał Emilkę całą i żywą.

– Jest środek nocy. Powinnaś już spać – wymruczał jej do ucha.

Ogarnęła go fala ciepła i czułości. Była jego córką. Jedynym ogniwem łączącym go z przeszłością. Jedynym, co zostało mu po Annie.

– Zrobiłeś zdjęcia? – zapytała szeptem, obejmując go kurczowo za szyję.

– Zrobiłem.

– Jest śliczna, prawda?

– Kto?

– Panna Evans.

Mimo woli uśmiechnął się pod nosem.

– Tak, jest śliczna.

– Widziałeś ją z bliska?

Konradowi stanęła przed oczami scena, kiedy Lauren pozowała na szerokim łożu wśród miękkich poduszek. A później on ją całował...

– Tak...

Trzymając Emilkę na rękach, bezszelestnie minął drzwi, które prowadziły do pokoju Heleny, siostry jego zmarłej żony. Miał nadzieję, że jej nie obudził, bo nie miał ochoty tłumaczyć się szwagierce, dlaczego premiera filmu aż tak się przeciągnęła.

- Pachniesz inaczej – stwierdziła dziewczynka, kiedy znaleźli się w jej pokoju.

Konrad położył córkę do łóżka.

- Co masz na myśli? – zapytał głupio, choć wiedział, o co jej chodzi.

Jego skóra nasiąkła perfumami Lauren. Konrad czuł na sobie jej zapach tak intensywnie, jakby wciąż była blisko.

- Pachniesz jak kobieta. Ale bardzo ładnie.

- No wiesz, na premierze było wiele wyperfumowanych dam – wyjaśnił dyplomatycznie.

Dziewczynka zmarszczyła brwi.

- I perfumy jednej z nich przeszły na ciebie?

- No... Tak.

- Co za głupota – odparła z przekąsem. – Musiałeś ją przytulać tak jak mnie.

„Cóż, przed tobą nic się nie ukryje” – pomyślał. Pomimo traumy, którą przeżyła, była mądra i wrażliwa. Patrzyła szeroko i widziała to, czego inni nie dostrzegali. Już dawno się o tym przekonał.

ROZDZIAŁ 6

Ból głowy był nie do zniesienia. Lauren próbowała podnieść się w pościeli, ale każdy ruch powodował pulsującą torturę. Do tego miała opuchnięte od płaczu oczy i z trudem udało jej się je otworzyć. Gdyby ją teraz zobaczył którykolwiek z tych fotografów błyskających jej w twarz fleszami! Dopiero mieliby używanie! W tej chwili w niczym nie przypominała pięknej Lauren Evans z czerwonego dywanu, a jedynie żalostną, godną pożałowania, porzuconą kochankę. Była pewna, że nie uda jej się dzisiaj zwlec z łóżka, ale ciche pukanie do drzwi sypialni zmusiło ją do reakcji.

– Wejź, Mary! – zawołała słabo, wiedząc, że to jej osobista pokojówka.

– Dzień dobry, panno Evans. – Kobieta stanęła w drzwiach. – Dzwonił pan Taylor i prosił, aby pani pilnie oddzwoniła.

– Teraz? – jęknęła z irytacją.

Nie miała siły ani ochoty na rozmowę ze swoim agentem, zwłaszcza że ten nawet nie raczył się pofatygować na wczorajszą premierę Nieczystej gry, bo jak zwykle miał inne niecierpiące zwłoki zajęcia. Gdyby nie to, że był twardy, nieustępliwy i skuteczny w negocjacjach z producentami filmowych wytwórni, Lauren już dawno zrezygnowałaby z tej współpracy, bo jego grubiaństwo, bezczelność i lekceważenie jej osoby przeszkadzały jej równie mocno jak obłapiające łapy Garretta Moore'a.

– Mówił, że to pilne.

Lauren westchnęła ciężko. Dla Richarda Taylora wszystko było pilne. Nic nie mogło poczekać, nic nie mogło być później. A wszelka niedyspozycja była nieakceptowalna.

Przeciagnęła się w pościeli. Nim zdążyła ponowić próbę wyjścia spod kołdry, Mary postawiła obok niej tacę z aromatyczną kawą i rogalikami. Pokojówka zerknęła przelotnie na Lauren, ale nie skomentowała jej żalosnego wyglądu. Była przyzwyczajona, że jej pani niekiedy budziła się na dużym kacu. Z początku Lauren było wstyd, że dopiero co zatrudniona Mary Rodriguez dość często ogląda ją po nocy zakrapianej alkoholem. Obawiała się również, czy kobieta nie pójdzie z tymi rewelacjami do prasy, ale z czasem obie nabrały do siebie zaufania i zawarły milczący pakt, który polegał na niekomentowaniu przez żadną z nich tego, co dzieje się w prywatnym świecie Lauren. W końcu aktorskie życie na świeczniku było o tyle intensywne i skomplikowane, że wszelkie komentarze stawały się raczej zbędne, a Mary okazała się nadzwyczaj dyskretna i szybko nauczyła się odgadywać potrzeby swojej pani. Nie komentowała nawet tego, że ostatnimi czasy w łóżku Lauren bardzo często budził się Peter Jones. W takich momentach panna Rodriguez nie wchodziła do sypialni i cierpliwie czekała ze śniadaniem, aż para kochanków sama zechce wyjść z pościeli.

- Mary, gdybyś mogła przygotować mi kąpiel...

- Oczywiście, panno Evans. W salonie na stoliku zostawiłam nową korespondencję. Sporo tego...

Lauren nawet nie zareagowała. Przyzwyczała się do otrzymywania mnóstwa listów i zaproszeń, z czego większość pochodziła od szalenie zakochanych i tęskniących wielbicieli, którzy

bez ogródek proponowali jej małżeństwo albo związek mniej formalny, oparty na wzajemnej satysfakcji cielesnej.

– W łazience leży suknia. Ta, wiesz... Proszę, zajmij się nią – rzekła.

– Jeszcze dziś odeślę ją do pralni.

– Dziękuję.

Lauren wsparła się o poduszki i upiła łyk mocnej kawy. To było wszystko, czego w tej chwili potrzebowała. Nie miała ochoty na rogaliki ani na nic innego. Nie chciało jej się również nigdzie wychodzić. Na samą myśl, że miałyby wstać, robiło jej się słabo. Straciła rachubę, ile wczoraj wypijała, ale z pewnością było tego dużo. Za dużo. Z goryczą przyznała w duchu, że po raz kolejny wybornym szampanem próbowała uciszać własne frustracje.

– Jest taka piękna! – Wychodząc z łazienki z pierzastą kreacją od Diora, Mary nie ukrywała zachwyty. – Była w niej pani olśniewająca!

– To prawda – mruknęła Lauren.

Była olśniewająca, ale najwyraźniej nie dość, żeby zatrzymać przy sobie Petera. I nie dość, żeby uwieść fotografa, który poprzedniej nocy robił jej zdjęcia.

Teraz, myśląc o Konradzie Rogowskim, uzmysłowiła sobie, że nawet nie wie, dla jakiej agencji pracuje i gdzie mogłaby obejrzyć zdjęcia, które zrobił jej wczoraj, bo niemal biegiem opuścił jej apartament.

Jęknęła, dziękując w myślach, że chociaż on wykazał się zdrowym rozsądkiem i nadzwyczajną ogładą i nie skorzystał z tego, co tak ochoczo Lauren mu oferowała. Prawdą było, że wczoraj rzeczywiście chciała pójść z nim do łóżka i zrobiłaby to, gdyby on tego nie przerwał. Zrobiłaby to, bo szczerze tego chciała.

Gdyby jej uległ, gdyby dał jej to, czego od niego pragnęła, dziś czułaby się lepiej. Nie byłaby zawstydzona ani upokorzona. On jednak zachował się jak na dżentelmena przystało. Powstrzymał ją, upomniał i wyszedł. Wcześniej jednak ostrzegł, żeby nie próbowała robić czegoś, czego jutro będzie gorzko żałować. I pewnie miał rację, ale w tej chwili Lauren żałowała jedynie tego, że wczoraj ją zostawił.

Po całym zajściu długo nie mogła zasnąć, więc dopiła resztę szampana z barku. Owładnięta pragnieniem bliskości, samotna i odurzona alkoholem, w głowie miała jedynie obraz Petera i tego, z jaką wściekłością spojrział na nią, kiedy go spoliczkowała. Gdyby mogła cofnąć czas... Nie zrobiłaby tego po raz drugi. Gdyby mogła cofnąć czas, nie pozwoliłaby mu się do siebie zbliżyć.

Głośny wibrujący dźwięk telefonu w salonie przywrócił ją do rzeczywistości.

– Panno Evans, to znowu pan Taylor. Powiedział, że zaraz tu będzie.

Lauren westchnęła. Nie chciała, żeby jej agent tu przychodził. Nie chciała go widzieć. Nie miała siły, by dyskutować w tej chwili o sprawach filmu i o karierze, a z nim o niczym innym nie dało się rozmawiać. Była zmęczona, skacowana i czuła się podle. Nim jednak zdążyła pomyśleć jeszcze o czymkolwiek, rozległo się dudniące pukanie do drzwi.

„Cholera, widocznie dzwonił z dyspozytorni na dole” – pomyślała z paniką. Nawet nie dał jej czasu na wyczołganie się z łóżka.

– Mary, zatrzymaj pana Taylora. Powiedz, że jestem nieubrana.

– Oczywiście, panno Evans!

Lauren słyszała, jak pokojówka otwiera drzwi, a po chwili rozległ się donośny głos Richarda. Jęknęła z irytacją. Dlaczego wiecznie to

robił? Notorycznie zjawiał się u niej nieproszony, nie zachowując pozorów przyzwoitości.

„Bo takie jak my nie zasługują na przyzwoitość” – te słowa matki bezustannie przypominały Lauren, kim jest i skąd pochodzi. Wbiły się w jej świadomość jak piętno hańby. Choćby nie wiadomo co robiła i jak bardzo starała się zapomnieć o przeszłości, ona i tak dopadała ją znienacka. Richard Taylor to wiedział. Znał Lauren Evans jak nikt inny. To on wyciągnął ją z otchłani i teraz oczekiwał od niej całkowitego posłuszeństwa. A Lauren robiła, co chciał, bo tylko tak mogła mieć pewność, że informacje o jej pochodzeniu Richard zachowa dla siebie.

Podskoczyła na łóżku jak oparzona, kiedy drzwi do sypialni otworzyły się z łoskotem.

– Panno Evans! Próbowałam zatrzymać pana Taylora... – Mary wbiegła do pokoju zaraz za Richardem, ale ten zbył pokojówkę machnięciem ręki.

Jak zwykle prezentował się nieskazitelnie w drogim prążkowanym garniturze, z wąskim krawatem i wyglancowanymi oksfordami z lakierowanej skóry. Jedyne siwiejące i mocno przerzedzone włosy oraz zacięty wyraz twarzy odbierały mu miły dla oka wygląd.

– Panna Evans to wie, Mary. Nie kłopotz się – rzucił lekceważąco do pokojówki.

Mary stanęła przestraszona, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Lauren patrzyła na nich ze złością i gorzkim poczuciem bezsilności. Richard był z natury bezczelny i nigdy się tym nie przejmował. Uważał to za swój atut i chełpił się własną arogancją, nadużywając jej w każdej sytuacji.

– W porządku, Mary – mruknęła Lauren i okryła się kołdrą aż po szyję.

Pokojówka wyszła. Lauren spojrzała na Taylora z iskrami złości w oczach.

– Jak śmiesz wpadać tu bez zapowiedzi! Jestem nieubrana!

– Żadna mi różnica – mruknął złośliwie.

– Dla mnie dość istotna! Nie chcę, żebyś oglądał mnie w mojej sypialni!

– Słodziutka, już nie w takich okolicznościach cię oglądałem, więc nie zgrywaj wstydlivej panny. Mam ci przypomnieć, jak eksponowałaś swoje półnagie wdzięki w nocnym klubie albo...

– Przestań!

Lauren nie zamierzała zgrywać wstydlivej. Zachowanie Richarda jej przeszkadzało, upokarzało ją jako kobietę, lecz jego wyraźnie mało to obchodziło. Zmierzył ją szybkim, ale bezczelnym spojrzeniem.

– Widzę, że znów topiłaś smutki w szampanie.

– Smutki? Nie wiem, o czym mówisz.

Richard prychnął pogardliwie i rzucił na łóżko poranne wydanie „New York Post”.

– Jesteś gwiazdą, ślicznotko, szkoda tylko, że nie taką, jakiej chcieliśmy – rzucił z sarkazmem. – Gazeta rozpisuje się o tym, jak na oczach dziesiątek ludzi na premierze Nieczystej gry spoliczkowałaś Petera Jonesa. A dołączone zdjęcie jest wyjątkowo efektowne.

Lauren chwyciła „New York Post”, czując, że oblewa ją zimny pot. Bolesne pulsowanie w skroniach jeszcze się wzmogło. Drżącymi dłońmi rozłożyła przed sobą gazetę i spojrzała na artykuł. Rzeczywiście, fotograf doskonale uwiecznił całą jej furję.

- Co to za szmatławiec! - syknęła wściekle, choć w rzeczywistości ogarnęła ją panika.

Oczami wyobraźni już widziała konsekwencje tego wybryku.

- Szmatławiec czy nie, jest tak poczytny, że dziś połowa Nowego Jorku wie, co wczoraj zrobiłaś. Skompromitowałaś siebie i cały film. Zresztą zapewne to nie koniec, bo inne gazety zrobią to samo.

- I co mnie to obchodzi! - wykrzyknęła Lauren, wściekle zrzucając gazetę z łóżka.

- Powinno cię obchodzić, bo zrobiłaś z siebie pośmiewisko! Miałaś tam błyszczeć, przyjmować honory. Przecież tego chciałaś! A ty roztkliwiasz się nad sobą i publicznie policzkujesz kochanka jak w tanim melodramacie! Boże, jakie wy, kobiety, jesteście durne!

- Nikt nie wie, że Peter i ja...

- I tak miało pozostać! Mieliście być parą, o której wszyscy plotkują, jedynie domyślając się, że coś jest między wami. To zawsze poprawia notowania filmu. A ty wszystko zepsułaś, głupia!

- Nie ja, tylko Peter! To on przyszedł z tą swoją niby-narzeczoną!

Lauren czuła, że znów przepełnia ją gorycz porażki. To bolało. Tak cholernie bolało, że łzy same cisnęły jej się do oczu. Nie mogła znieść oskarżycielskiego wzroku Richarda. Ani jego drwiącego uśmiechu.

- Oczywiście jakby tego było mało, zamiast próbować ratować sytuację, ty zwyczajnie uciekłaś! Zostawiłaś Petera i Garretta i uciekłaś, wywołując tym jeszcze większe plotki! I ty chcesz być wielką aktorką?! Myślisz, że mizdrzenie się do kamery i robienie słodkich min wystarczy? Nigdy nie dorównasz najlepszym, Lauren, bo jesteś słaba. Słaba i głupia!

Lauren przełknęła upokorzenie.

- Byłam cholernie dobra w tym filmie i doskonale o tym wiesz!
- Owszem, byłaś, ale teraz próbujesz to zaprzepaścić!

Jej twarz spąsowiała z nerwów.

- Przypomnę ci, że to ciebie nie było wczoraj na premierze, bo nie znalazłeś czasu. Pewnie jak zwykle przegrywałeś w kasynie zarobione na mnie pieniądze!

Richard pochylił się nad nią gwałtownie, tak nisko, że poczuła na twarzy jego oddech i odruchowo odwróciła głowę. Nie bała się go, ale czuła do niego obrzydzenie. Jeszcze bardziej podciągnęła na siebie kołdrę.

- Jeśli zależy ci na karierze, to radzę, abyś nigdy więcej nie mówiła tego, co właśnie powiedziałaś! Mam ci przypomnieć, że beze mnie jesteś nikim? Zwykłą, głupią dziwką z nocnego klubu, na którą nikt by nie spojrział, gdyby nie ja?!

Popatrzyła na niego i zebrało jej się na wymioty.

- Wiem... - wyszeptała, przelękając ślinę, by zahamować torsje.

- To dobrze. A teraz przestań się nad sobą użalać i wyjdź z łóżka, bo zaraz tu będzie makijażystka. Ubierzesz się i zrobisz na bóstwo, bo jedziemy na konferencję prasową.

- Konferencję? Jaką konferencję?

- Ty i Peter wystąpicie razem i sprostujecie wszelkie plotki o konflikcie między wami. Ma być słodko i pięknie. Jak zawsze.

- Nigdzie nie jadę! Źle się czuję, boli mnie głowa...

- A właśnie, że jedziesz!

Nim Lauren zorientowała się, co zamierza Richard, ten zerwał z niej kołdrę, tak że została jedynie w koronkowej bieliźnie. Widziała, jak Taylor sunie spojrzeniem po jej ciele. Skuliła się

odruchowo. Nienawidziła jego lubieżnego wzroku. Brzydziła się nim.

– Ubierz się! – wychrypiał rozkazująco.

– Więc wyjdź! Nie będę się ubierać przy tobie!

Odruchowo chwyciła leżącą na podłodze kołdrę i okryła się nią, choć była już w pokoju sama, bo Richard natychmiast wyszedł. Już na nią nie patrzył, ale ona wciąż czuła oślizgły i paraliżujący dreszcz obrzydzenia.

Tkwiła tak przez chwilę nieruchomo, czując, jak coś ściska ją w gardle. Nie chciała występować publicznie. Nie dziś, kiedy czuła się źle. Nie z Peterem. Spotkanie z nim po tym, co się stało, będzie dla niej nie do zniesienia.

– Panno Evans, wszystko w porządku?

Lauren udęrczonym wzrokiem popatrzyła na Mary, która wychyliła głowę zza drzwi. Rozczuliło ją zatroskane spojrzenie pokojówki.

– Tak, Mary. Wejdź, proszę. Pomożesz mi się ogarnąć? Czuję się taka... słaba.

– Oczywiście! – Mary weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. – Pan Taylor nie powinien tak tu wpadać bez zaproszenia – dodała bardziej do siebie niż do Lauren i udała się do łazienki, by przygotować kąpiel.

Chwilę później w apartamencie pojawiła się makijażystka, gotowa zrobić Evans na bóstwo, tak jak tego oczekiwano.

Po dwóch godzinach metamorfozy Lauren była gotowa do wyjścia.

Patrzyła na swoje odbicie w lustrze, na swój nieskazitelny makijaż, który ukrywał ślady wypitego w nadmiarze szampana

i nieprzespanej nocy. Oczy były idealnie podkreślone tuszem i czarną kreską, usta pokryte szminką w kolorze klasycznej czerwieni. Na tę okoliczność Lauren włożyła białą ołówkową spódnicę za kolano i błękitną gorsetową bluzkę z białym dopasowanym bolerkiem. Całości dopełniały sandałki na obcasach. Na zewnątrz znów była piękna. Nieskazitelna niczym anioł. Lecz w środku pusta. Wciąż bolała ją głowa, więc przed wyjściem zażyła proszek przeciwbólowy. Nie chciała stanąć w świetle jupiterów ze zbolalym wyrazem twarzy. Richard miał rację – od tego zależała jej dalsza kariera. Musiała być przede wszystkim olśniewająca. A w środku silna, bo jeśli się rozsypie, zrobi z siebie pośmiewisko i stanie się obiektem drwin.

Studio, w którym zwołano konferencję prasową, mieściło się na Broadwayu. Peter Jones już na nich czekał. Kiedy Lauren się pojawiła, ledwie na nią spojrzął, a ona poczuła, że coś gniecie ją boleśnie w piersi. Uniosła jednak dumnie głowę i uśmiechnęła się szeroko, jakby nic się nie stało. Nie chciała na niego patrzeć, ale tak trudno było odwracać wzrok. Peter był nieprzyzwoicie przystojny, a przy tym doskonale ubrany i odświeżony, bez śladów kaca, który męczył Lauren. I wbrew sobie poczuła, że rozpaczliwie za nim tęskni. Bo wiedziała, że za tą fasadą buty i aroganckiej pewności siebie kryje się całkiem dobry facet, który swoim urokiem podbił jej serce. Musiała jednak o tym zapomnieć. Musiała wykrzesać z siebie dość siły, żeby nauczyć się traktować Petera z rezerwą.

– Jesteście wspaniali, wręcz idealni! – wymruczał Richard wprost do jej ucha. – Więc nie zepsuj tego, ślicznotko. Jeśli to zrobisz, gorzko pożałujesz.

Nie zepsuła. Przez niemal godzinę uśmiechała się słodko do dziennikarzy i fotografów i posyłała fałszywie zalotne spojrzenia w stronę Petera, a on niby ukradkiem ujmował jej dłoń. Zrobiono im mnóstwo zdjęć, zadano dziesiątki pytań, a oni, jak przystało na najbardziej czarującą parę Hollywood, odpowiadali na wszystkie z uśmiechem i nutką tajemnicy, nie zdradzając, co ich tak naprawdę łączy – a raczej łączyło. Nic, co Lauren czuła naprawdę, nie miało znaczenia. Tak idealnie nauczyła się grać, że nikt nie domyśliłby się prawdy o niej. Poprzedniego dnia, zupełnie nieopatrznie, pozwoliła sobie na okazanie emocji, na żal z powodu rozczarowania, ale dziś już potrafiła się opanować. Przecież gdy w grę wchodziła kariera, wielki sukces i pieniądze, nie było miejsca na złamane serce. Liczyło się tylko to, że powinna dbać o siebie. Przecież tak ciężko na to pracowała. Nie mogła pozwolić, żeby złamało ją zwykłe miłosne rozczarowanie.

Kiedy przyglądała się fotografom robiącym zdjęcia, ukradkiem szukała wzrokiem tego, który wczoraj spędził z nią resztę wieczoru. Konrada Rogowskiego.

Jakaś mała częśćka niej znów chciała go zobaczyć, jakby obecność tego ledwo poznanego, nieco szorstkiego w obejściu mężczyzny miała dodać jej otuchy. Konrada jednak nie było. Lauren pomyślała, że to w sumie nie ma znaczenia. Ów człowiek nie był przecież nikim szczególnym. Nikim, kogo powinna chcieć znów spotkać.

Kiedy światła jupiterów zgasły i Lauren wychodziła ze studia, w drzwiach zatrzymał ją Peter. Chwycił mocno za rękę, a ona poczuła znajomy dreszcz.

– Chciałem, żebyś wiedziała, że Betty i ja postanowiliśmy zapomnieć o całej sprawie z wczoraj – rzekł, patrząc jej w oczy.

Lauren wstrzymała oddech. Nie mogła uwierzyć, że dokładnie tak samo jak w tej chwili patrzył na nią krótko przed tym, jak mieli się kochać. Tak przenikliwie i intensywnie. Wówczas myślała, że w tym spojrzeniu jest coś wyjątkowego. Teraz zrozumiała, że się myliła.

Zmarszczyła brwi, czując, jak narasta w niej irytacja.

– Mówisz o waszych zaręczynach? – zakpiła.

– Nie. Mówię o tym, jak mnie spoliczkowałaś.

– Aaa, o tym. – Zaśmiała się szyderczo. – Jeśli w tej chwili nie puścisz mojej ręki, to zrobię to po raz drugi – syknęła.

Peter odskoczył od niej jak oparzony, a Lauren odwróciła się na pięcie i odeszła z taką godnością, na jaką było ją stać. Wiedziała, że patrzył za nią, bo jego wzrok palił jej ciało na wskroś. Kosztowało ją wiele wysiłku, żeby się nie obejrzeć. Wiele samozaparcia, żeby nie odwzajemnić spojrzenia. Ale przecież już dawno temu obiecała sobie, że nigdy nie będzie rozpaczać przez mężczyznę. Wczoraj poczuła nagłą słabość, ale już więcej się jej nie podda. Nigdy więcej.

Richard zaproponował, że odwiezie ją do apartamentu, ona jednak stanowczo odmówiła i zdecydowała, że wróci taksówką. Na dziś miała dość towarzystwa, a już zwłaszcza kogoś, kto z premedytacją zmuszał ją do udawanego uśmiechu, widząc w nim wyłącznie interes.

Kiedy wróciła do apartamentu, Mary już nie było, bo pokojówka nie mieszkała z nią na stałe, a jedynie przychodziła na kilka godzin dziennie. Mimo to na stole w jadalni zostawiła obiad. Lauren była jej wdzięczna za ten gest troski, choć czuła, że i tak nie będzie w stanie

nic przełknąć. W pierwszej chwili pomyślała, że może zadzwoni do Lizzie Watson i poprosi ją, by dotrzymała jej towarzystwa, ale zaraz przypomniała sobie, że przecież dzisiaj Lizzie miała ważną kolację ze znajomymi męża w hotelu Waldorf Astoria. Lauren musiała więc spędzić ten czas sama.

Przez chwilę korciło ją, żeby zadzwonić do znajomych z Los Angeles i poznać najnowsze plotki, ale ostatecznie stwierdziła, że rozmowa o filmach i karierze nie jest tym, czego teraz pragnęła. A z tamtymi ludźmi o niczym innym rozmawiać się nie dało.

A może powinna zadzwonić i zapytać o matkę? Tak dawno tego nie robiła. Tylko czy w jej obecnym nastroju była gotowa na takie rozmowy? Na samobiczowanie się, że może powinna zrobić coś więcej, bardziej, byle jej rodzicielka poczuła się lepiej?

Odpuściła ten pomysł z przekonaniem, że ten dzień ewidentnie powinna zakończyć w pojedynkę.

Wieczorem, ubrana w jedwabny peniuar, usiadła na wyłożonym poduszkami szezlongu na tarasie, z widokiem na sylwetki drzew Central Parku i otaczające go rozświetlone wieżowce Manhattanu. W tle wybrzmiewała płyta jej ulubionego Louisa Armstronga, a ona raczyła się schłodzonym Dom Pérignon, który nakazała Mary zamówić po tym, jak poprzedniego wieczoru opróżniła cały barkowy zapas.

Wyborny trunek rozpieszczał jej napięte do granic ciało, koił nerwy i łagodził żal. Można by pomyśleć, że było idealnie. Że takiego życia chciała. Tego oczekiwała. Miała wszystko, o czym można by marzyć.

Ale nie było idealnie.

Myślała o tym, że była niezwykle sławna, zagrała doskonałą rolę w dobrym filmie, mieszkała w luksusowym apartamencie z widokiem na panoramę najdroższej dzielnicy Nowego Jorku, a mimo to czuła się przeraźliwie samotna. Gdzieś tam głęboko tęskniła za Peterem. Za jego obecnością i nonszalanckim uśmiechem. Za tym, jak potrafił ją rozśmieszyć. Jak niedbale unosił jej podbródek tylko po to, by złożyć na ustach namiętny pocałunek. Nie potrafiła oprzeć się jego bezczelnemu spojrzeniu. Przywiązała się do niego przez te ostatnie miesiące. Tak naprawdę chyba nigdy wcześniej nie pozwoliła sobie na tak silne emocjonalne zaangażowanie. Lizzie ostrzegła ją, że to się może źle skończyć, bo Peter domagał się, aby ich związek trzymać w tajemnicy, a gdy był w Nowym Jorku, jawnie spotykał się z Betty Lee. Ale Lauren, upojona szczęściem i wpatrzona w kochanka, nie dostrzegła tego, co było oczywiste. Wydawało jej się, że Peter ukrywa ich romans wyłącznie ze względu na dobro filmu, bo w branży nie tolerowano takich miłostek, uznając je za moralnie szkodliwe. A sama Lauren, zaślepiona jego adoracją, porzuciła swoją twardą skorupę, w której chowała się przez lata. Pozwoliła temu uwodzicielskiemu mężczyźnie dotknąć prawdziwej siebie. Zauroczyła się nim i teraz ból rozsadzał jej serce.

Szampan szybko się skończył, ale w barku było jeszcze sporo dobrej brandy, więc kiedy zapadła noc, Lauren udała się do sypialni już na mocno chwiejnych nogach. Alkohol sprawił, że znowu przez chwilę poczuła się dobrze. Zachciało jej się tańczyć, ale nie miała z kim, więc chwyciła w objęcia atlasową poduszkę i zaczęła płąsać po miękkim dywanie, jakby ta była jej wytęsknionym kochankiem. Śmiała się przy tym sama z siebie, kołysząc się w rytm utworu

Louisa Armstronga. Po chwili jej wzrok padł na krawat leżący na podłodze przy łóżku. Mary zapewne go nie spostrzegła, bo inaczej by go podniosła.

Lauren schyliła się, podtrzymując się ręką łóżka. Nagle przypomniała sobie mężczyznę, do którego ten krawat należał. Przyłożyła materiał do twarzy i zachichotała jak pensjonarka. Krawat wciąż nim pachniał.

ROZDZIAŁ 7

Konrad gwałtownie zaparkował chevroleta przed cukiernio-kawiarnią z wymalowanym nad frontową witryną zgrabnym szyldem Helen Cookies. Już w drzwiach lokalu przywitała go okrągła i rumiana pracownica, pani Pansy, w cukierniczym fartuszkum i czepku na głowie. Tym razem jednak nie uśmiechała się szeroko jak zawsze, za to w jej oczach Konrad dostrzegł wyraźną troskę.

– Gdzie ona jest? – zapytał Rogowski bez wstępów.

– W kuchni. Tylko niech jej pan bardziej nie denerwuje. Ostatnio stała się taka drażliwa. Biedaczka!

Konrad nawet nie skomentował, tylko pobiegł na zaplecze. Na szczęście pora była jeszcze bardzo wczesna i w lokalu panowała pustka, ale wiedział, że zaraz pojawią się pierwsi klienci, na czele z Daisy O'Neill, stałą bywalczynią cukierni. Konrad miał nadzieję, że pani Pansy zdoła to wszystko ogarnąć, jak należy.

W pomieszczeniu unosił się aromatyczny zapach wypieków – ciasteczek, babek i słodkich bułek, a kolejne czekały na blachach na swoją kolej pieczenia. Helena Adamczyk siedziała na posadzce, tuż obok pieca węglowego do pieczenia chleba i ciast, opierając się plecami o ścianę. Była blada jak płótno, a jej twarz wykrzywił grymas bólu, gdy podtrzymała bezwładną rękę. W pierwszej chwili przypomniała Konradowi tamtą wymizerniałą kobietę, którą była, gdy spotkał ją na warszawskim bazarze tuż po wojnie. Zdawało mu się, że tamte czasy już minęły, ale teraz na twarzy Heleny znów

uwidocznilo się piętno wszystkich okrucieństw, których była świadkiem.

Konrad ukucnął przed nią.

– Pokaż – poprosił, biorąc delikatnie w dłonie jej poparzoną rękę.

Na czerwonej skórze zaczęły się już tworzyć brzydkie bąble.

– Nie wiem, jak to się stało... – Głos jego szwagierki drżał płacząco, a po jej policzku potoczyła się duża łza. – Chciałam jedynie wyjąć blachę... Robię to przecież codziennie, ale żar z pieca buchnął prosto na rękę...

– Gdzie macie apteczkę?

Skrzywiła się z żalem i przygryzła wargę.

– Nie mamy...

Mężczyzna wstał, chwycił pierwszą ścierkę, która znalazła się w zasięgu jego wzroku, i namoczył ją w wodzie, po czym delikatnie przyłożył do oparzonego miejsca. Ze wszystkich sił próbował ukryć irytację. Nie chciał, żeby Helena obwiniła się o ten wypadek, a wiedział, że jeśli zobaczy jego niezadowolenie, tak właśnie robi – w poczuciu winy zacznie sobie wyrzucać niezdarność i przeproszać, że naraziła wszystkich na niepotrzebne zmartwienia.

– Już dobrze – próbował ją uspokoić. – Zawiozę cię do szpitala.

– Nie...

– Rękę musi zobaczyć lekarz – upierał się Konrad.

Helena pokręciła nerwowo głową, ale mężczyzna już podnosił ją z podłogi. Czuł, jak szwagierka drży, a mimo wszystko znajdowała w sobie dość siły, żeby próbować go odepchnąć.

– Konrad, nie. Zaraz trzeba otworzyć cukiernię, jest jeszcze sporo do zrobienia...

- Przecież nie możesz pracować z poparzoną ręką!

- Nie mogę stracić dnia. Ciasto już upieczone, bułeczki... - mówiąc to, zaciskała z bólu powieki.

Wargi jej drżały. Widać było, że próbuje powstrzymać jęk, choć to poparzenie musiało ją cholernie boleć.

Konrad nabrał głęboko powietrza.

- Pani Pansy sobie poradzi - odparł spokojnie. - A jak tylko będę mógł, przyjadę jej pomóc.

- Masz mnóstwo własnych obowiązków... Jimmy się zezłości, jeśli nie stawisz się w warsztacie na czas.

- Hela, na litość boską, przestań! - nie wytrzymał.

Jak mogła myśleć o czymś takim! Teraz najważniejsze było, żeby ktoś opatrzył jej rękę, a ona zachowywała się tak, jakby zamknięcie cukierni i jego spóźnienie do pracy miało pozbawić ich wszystkich tlenu.

Już od pewnego czasu Helena aż nadto przejmowała się wszystkim. Pani Pansy stwierdziła nawet, że szefowa zrobiła się drażliwa, choć akurat w tej sytuacji Konrad nie mógł się temu dziwić, bo ból po oparzeniu musiał być przeszywający. Wiedział jednak, że gdy tylko Helena poczuje się lepiej, natychmiast wróci do cukierni i znowu zacznie urabiać się po łokcie. Od kiedy pół roku temu za jego namową otworzyła własny skromny interes na jednej z ulic Yorkville, pracowała od rana do nocy, jakby nic innego się nie liczyło. Do ich wspólnego mieszkania wracała zmęczona, a jeszcze starała się ogarnąć porządki i poświęcić czas jego córce, czytając jej na głos książki. Nic dziwnego, że była przemęczona i sfrustrowana. Konrad oczywiście to dostrzegał i próbował z nią rozmawiać, lecz Helena nie dawała sobie nic powiedzieć. Najważniejsze były

obowiązki. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz zrobiła coś dla siebie – kiedy wyszła na spacer albo do kina. Wpadła w kołowrotek codziennej rutyny, na którą składały się wyłącznie powinności.

Pani Pansy, pomrukując coś pod nosem, weszła do kuchni. Była dużą, pulchną Mulatką po czterdziestce, której zdania nie dało się ignorować, z czego doskonale zdawała sobie sprawę, bo zawsze nieproszona wtrącała we wszystko swoje trzy grosze.

– Tak to jest, jak się buja w obłokach, zamiast twardo stąpać po ziemi – skomentowała zrzędliwie. – Helen, już od dawna nie jesteś sobą. Widać, że niepewność jutra daje ci się mocno we znaki. Gdybyś miała jakieś widoki na przyszłość, na zamażpójście... To niedobrze, że kobieta musi sama dbać o swoje sprawy. Interesy interesami, ale jakieś męskie wsparcie by się przydało. – Łypnęła znacząco na Konrada. – W tych czasach tylko kobieta zameżna może liczyć na względny spokój i stabilizację. Nie dalej jak wczoraj były tu dwie takie panusie i głośno dyskutowały o tym, jak to możliwe, że kobieta prowadzi interes bez męskiego wsparcia.

– Pani Pansy, proszę... – wyjąkała błagalnie Helena, wyraźnie zawstydzona, ale ta nie zamierzała przestać.

– Pan wie, co mam na myśli, panie Konradzie – zwróciła się z przekąsem do mężczyzny.

Skinął głową.

– Dziękuję za troskę, ale takie komentarze nikomu w tej chwili nie pomogą – odparł. – Będzie lepiej, jeśli spróbuje pani zrobić w cukierni, co się da, a ja zawiozę Helenę do szpitala i wrócę możliwie jak najszybciej, by pani pomóc – dodał sucho. – I wbrew temu, o czym się plotkuje, wspieram Helenę w prowadzeniu interesu.

Kobieta sapnęła.

– Zrobię, bo co mam nie zrobić. Poślę jakiegoś wyrostka, z tych co się tu kręcą na ulicy, żeby po moją Nelly pobiegł, to mi dziewczyna pomoże.

– Pani Pency, nie trzeba angażować córki. Możemy dzisiaj zamknąć cukiernię – wykrztusiła Helena bladymi wargami.

Mulatka aż się zatrzęsa z oburzenia.

– Żeby wszystko się zmarnowało i na śmietnik poszło? Co to, to nie! Sprzedam, co jest, i dopiero zamknę.

Konrad bez słowa skinął głową, po czym wyszli z Heleną z cukierni wprost na gwarną ulicę.

– Jestem dla ciebie wiecznym ciężarem. Jakbyś nie miał dość własnych problemów – utyskiwała kobieta z wyrzutem, gładko przechodząc z łamanego angielskiego na język polski.

Między sobą rozmawiali wyłącznie po polsku, zwłaszcza że Helena wciąż miała problem z płynną mową, co stanowiło dla niej powód do wstydu i frustracji. Konrad, który sam nauczył się angielskiego jeszcze w młodości i podszlifował go podczas wojny w Londynie, zapewniał Helenę, że jej problem z językiem nie ma większego znaczenia, bo tu, w Nowym Jorku, ludzie i tak gadali, jak chcieli, we wszystkich możliwych językach. Ona jednak ciągle widziała w tym problem.

– Wciąż jesteś taki zapracowany, a ja jeszcze dokładam ci kłopotu – westchnęła żałośnie, sadowiąc się z trudem na miejscu pasażera.

Konrad spojrzał na nią. Z jednej strony żal mu było szwagierki, i to nie tylko dlatego, że poparzyła sobie rękę. Z drugiej coraz częściej irytowały go jej powtarzane nieustannie słowa, że z pewnością jest dla niego ciężarem. Zdawał sobie sprawę, że

ostatnimi czasy nie czuła się szczęśliwa, ale nie umiał tego zmienić. Zauważył, że stosunki między nimi nie były już takie jak kiedyś. Wprawdzie minęły już niemal dwa lata, odkąd razem z Emilką uciekli z Polski do Ameryki, ale dopiero od kilku tygodni nieznośne napięcie między nim a siostrą jego zmarłej żony stało się nie do wytrzymania. Miał wrażenie, że Helena czegoś od niego chciała, czegoś oczekiwała. Być może mylnie przypuszczała, że kiedy zaproponował jej wspólną ucieczkę, to tak naprawdę zamierzał się z nią ożenić. A on zwyczajnie kierował się chęcią pomocy. Nie wyobrażał sobie, że miałby na zawsze wyjechać z Emilką z Warszawy i zostawić samotną Helenę na pastwę trudnego życia w stalinowskiej Polsce, zwłaszcza że nie miała tam nikogo, w kim mogłaby znaleźć oparcie. Gdyby się nią nie zaopiekował, nigdy by sobie nie wybaczył. Bo oprócz Emilki Helena była jedynym ogniwem łączącym go z Anną, a wszystko, co dotyczyło jego zmarłej żony, stanowiło dla niego lekcję pokory.

Kiedy podjął decyzję o ucieczce z Warszawy, nie miał żadnej pewności, że mu się uda. Nie miał nawet pewności, że dotrze za ocean. Ale z drugiej strony nie miał też wyboru. To było zuchwałe i ryzykowne, wymagało poświęcenia ze strony wielu osób, które z narażeniem życia pomagały Konradowi opuścić komunistyczną Polskę. Inaczej jednak nie dałby rady wyrwać się z powojennego piekła i odnaleźć Rudolfa Schultego. W wyjeździe do Nowego Jorku upatrywał również ostatniej nadziei na nowe życie i przywrócenie zdrowia swej jedynej córce. Wiedział, że dziewczynka w powojennej ojczyźnie nie miała przed sobą przyszłości. A gdyby jemu coś się stało, gdyby go pewnego dnia aresztowali – a istniało duże

prawdopodobieństwo, że prędzej czy później dorwie go bezpieka, Emilka umarłaby bez właściwej opieki.

Westchnął ciężko i odpalił silnik chevroleta.

- A co z Emilką? – zapytała cicho Helena.
- Wszystko dobrze. Jak zwykle została z nauczycielką.
- Nie musiałeś przyjeżdżać.
- Miałem cię tak zostawić? Chyba żartujesz.
- Przecież to nic takiego. Zwykłe oparzenie.
- Właśnie widzę.

Helena odchyliła głowę i zacisnęła powieki. Znowu wytoczyły się spod nich łzy.

Konrad przeklął w duchu z bezsilności. Czuł się za nią odpowiedzialny. Od dnia, kiedy zdecydował, że zabiera Helenę ze sobą w tę dziwną, pełną niepewności podróż do Ameryki. Choć ta odpowiedzialność nieraz ciążyła mu jak kamień młyński u szyi. Ale powtarzał sobie, że tak musi być. Że to jego wieczna pokuta za to, że nie umiał właściwie zaopiekować się żoną i córką, kiedy one tego potrzebowały.

- Nie płacz. Wszystko będzie dobrze, choć pewnie zostanie blizna.

Kobieta mimo wszystko rozplakała się, ale on, skupiony już na ruchliwej drodze pełnej samochodów, nie mógł wykonać żadnego gestu, żeby ją pocieszyć.

Ból poparzonej ręki wyraźnie dawał jej się we znaki, bo w pewnej chwili jęknęła głośno.

- Wiem, że to cholernie boli – odezwał się Konrad – ale jeszcze chwila i będziemy na miejscu.

- Nie przeklinaj, proszę... - upomniała go zbolalym tonem.
- Nie będę.

Helena w każdej sytuacji zachowywała zasady przyzwoitości, a on starał się być przy niej powściągliwy, choć w rzeczywistości, w jakiej obecnie żyli, było to nadzwyczaj trudne. Amerykański świat wyglądał inaczej niż tamten w Polsce. Tutaj codzienność wypełniały chaos, pośpiech, bezustanne dążenie do czegoś, a to niekiedy zwałało z nóg i jakoś trzeba było odreagować. Kiedyś Konrad też był powściągliwy, a przynajmniej na tyle, na ile wymagały tego przedwojenne konwenanse. Matka i ojciec dbali o jego wychowanie, maniery, właściwe wysławianie się i opanowanie. Dyscyplina w wojsku, do którego wstąpił tuż po maturze, dołożyła swoje, choć bywało różnie. Ale wówczas całe życie wyglądało inaczej. Świat, w którym Konrad dorastał, wydawał się prostszy, jakby toczył się według z góry ustalonych zasad, które młodzieniec z upodobaniem lekkoducha i za plecami rodziców łamał. Robił tak, bo sprawiało mu to przyjemność, bawiło go. Lubił naginać reguły i obserwować tego konsekwencje, a już zwłaszcza szacować, jak dalece uda mu się ich uniknąć. Robił tak do czasu...

Teraz, po latach wojny i przeżytych traumach, wszystko stało się nieważne, a życie z dala od Polski zupełnie odmieniło jego spojrzenie na codzienność. Już sam fakt, że mieszkał z siostrą swojej zmarłej żony pod jednym dachem, w poprzednim życiu byłby nie do pomyślenia. A teraz była to konieczność. Rzecz jasna miał w nosie głupie plotki czy uwagi. Mieszkali wspólnie z Heleną, bo tak było wygodniej, bezpieczniej i taniej. Poza tym pomagali sobie we wszystkim. On jej w prowadzeniu cukierni, ona jemu w opiece nad Emilką. Być może w którymś momencie Helena naprawdę zaczęła

mieć nadzieję na coś więcej, ale on tego nie chciał. Nie żywił do niej nic prócz zwykłego poczucia przyzwoitości, że tak trzeba postąpić, oraz wdzięczności za troskliwą opiekę nad córką. Nic więcej.

Poza tym pamięć o żonie nie pozwalała mu myśleć o innej kobiecie. O jakiegokolwiek innej kobiecie. Wyrzuty sumienia z powodu nieudanego małżeństwa wciąż go dręczyły i zabijały dzień po dniu. Wyrzucał sobie, że gdyby nie ożenił się z Anną z rozsądku i gdyby jej nie zostawił samej z dzieckiem w okupowanej Warszawie, być może nadal by żyła. Nie umiał przestać myśleć o tym, jak zimne i puste było jego małżeństwo, że nie znajdował w nim ukojenia ani nie czuł z Anną tej więzi, która powinna łączyć małżonków. Dramatyczna śmierć żony stała się jego krzyżem i wyrzutem sumienia, że przez lata małżeństwa był wobec tej kobiety nieczuły. Że związał ich ze sobą wbrew swojej i jej woli. Bo przecież oboje nie chcieli tego związku, a połączył ich jedynie jego głupi wybryk.

Z Heleną sprawa miała się nieco inaczej. Pomimo że skończyła trzydzieści lat, Konrad domyślał się, iż nadal liczyła na poważny związek. Lata temu, jeszcze przed wojną, zaręczyła się nawet z porucznikiem Andrzejem Kozłowskim. Ale nim zdążyli wziąć ślub, mężczyzna wyjechał w trakcie wojny na Kresy i nigdy stamtąd nie wrócił. Od tamtej pory Helena nie związała się z nikim. Przynajmniej on nic na ten temat nie wiedział. Pani Pensy co jakiś czas podgadywała Konrada, że Helena pragnie wyjść za mąż. On nie miał szwagierce tego za złe, nawet to rozumiał, ale sam nie mógł się z nią ożenić. Nie chciał. Dla niego sprawa była jasna i przejrzysta. Dla niej chyba niekoniecznie. I te przeczucia coraz bardziej go uwierały.

Zawiózł Helenę do Bellevue Hospital Center, mieszczącego się przy 462 First Avenue. Pomimo ogromnej liczby chorych w emergency room przyjęto ich do gabinetu pierwszej pomocy dość szybko. Młoda lekarka Sarah Hamilton opatrująca Helenie dłoń była wyjątkowo miła i serdeczna, a po wszystkim nie zgodziła się przyjąć od nich zapłaty, mimo że nie mieli ubezpieczenia. Konrad był tym szczerze zdumiony i nalegał, że zapłaci, przeliczając wyciągnięte z kieszeni marynarki dolary, ale kobieta w odpowiedzi tylko uśmiechnęła się życzliwie.

– Mój brat jest żołnierzem – powiedziała wyjaśniająco. – Był na wojnie w Europie i od niego wiem, co ta wojna wam, Polakom, uczyniła. Inni tutaj tego nie wiedzą, ale ja wiem. Proszę więc zachować pieniądze.

Helena, słysząc tę wzruszającą deklarację, spuściła głowę. Konrad zauważył, że z trudem powstrzymywała łzy; każda wzmianka o minionej wojnie przypominała jej dawnego narzeczonego i zmarłą siostrę.

– Dziękuję. Jest pani dobrym człowiekiem – zwrócił się do lekarki.

Kobieta przypatrywała mu się uważnie z lekkim uśmiechem.

– Czy ja już pana gdzieś widziałam? – zapytała.

– Być może. Pewnie w tym szpitalu. Bywam tu z córką.

– Jest chora? Co jej dolega?

– Jest niewidoma, a raczej niedowidząca.

– Przykro mi.

Konrad bezwiednie zacisnął usta.

– Proszę wierzyć, że mi bardziej.

Lekarka zamyśliła się.

- Przyjaciel mojego męża jest świetnym okulistą – podjęła po chwili. – Może mógłby...

Rogowski zmarszczył brwi i pokręcił przecząco głową.

- Rozmawiałem już z tutejszymi lekarzami. Emilia przeszła zabieg, ale na razie efektów brak. Moja córka straciła wzrok w wyniku wybuchu granatu. Odlamki szkła dostały jej się do oczu i to spowodowało zaćmę pourazową.

- W obu oczach?

- Tak. Lekarzom tutejszego szpitala udało się wyjąć największy odłamek, ale to nie przywróciło jej wzroku. Emilka widzi przed sobą jedynie cienie, mgliste zarysy, nic poza tym.

Lekarka wyraźnie się zmartwiła.

- To straszne. Czy dają jej jakieś szanse na odzyskanie wzroku?

- Podobno jest cień nadziei. Lekarze mówią, że medycyna szybko się rozwija i taki uraz za jakiś czas może dać się odwrócić, ale nie ma pewności. Jest szansa na przeprowadzenie skomplikowanej operacji...

- Proszę więc nie tracić nadziei. Cuda się zdarzają.

- Ja w cuda nie wierzę, pani doktor. Nie po tym, przez co przeszliśmy.

Lekarka westchnęła i popatrzyła na siedzącą na kozetce Helenę.

- Panno Adamczyk, proszę przyjść za kilka dni do kontroli. Sprawdzimy, jak goi się oparzenie.

Helena posłusznie pokiwała głową.

- Dobrze, przyjdę – odparła, rumieniąc się przy tym jak zawsze, ilekroć musiała odezwać się do kogoś nieznanego swoją niepewną angielszczyzną.

Konrad widział, że jego szwagierka stara się być twarda, ale ból powoli ją pokonywał, bo w oczach miała udrapkę. Bładość twarzy również świadczyła o jej podłym samopoczuciu. Na szczęście dostała od lekarki zastrzyk przeciwbólowy i Konrad miał nadzieję, że lek wkrótce zacznie działać.

- Zawiozę cię do domu - rzekł, ujmując ją ostrożnie za ramię, kiedy opuszczali gabinet.

Helena już miała na końcu języka słowa protestu, ale ostatecznie nic nie powiedziała i w milczeniu pozwoliła wyprowadzić się ze szpitala.

ROZDZIAŁ 8

Tak jak Konrad przypuszczał, Helena nie położyła się, by odpocząć, tylko jak zwykle spędziła wieczór z Emilką w jej pokoju i po raz nie wiadomo który czytała dziewczynce na głos kupioną w polskim sklepie Alę w krainie czarów¹ w polskim tłumaczeniu Marii Morawskiej. Emilka знаła tę powieść również w wersji oryginalnej, czytanej jej przez nauczycielkę, która w ten sposób oswajała swoją uczennicę z językiem angielskim. Emilka codziennie spotykała się z polską nauczycielką, panną Alicją Stanicką, która wykładała jej matematykę, historię, literaturę i oczywiście język angielski. Konrad wiedział jednak, że edukacja, którą zapewnił córce, zatrudniając polską nauczycielkę, była wyłącznie namiastką normalnego życia i normalnej nauki w szkole. Wiedział, że jego córka po przeżytych traumach i utracie wzroku być może nigdy nie będzie swobodnie funkcjonować. Najbardziej bolała go świadomość, że kiedyś taka nie była. Urodziła się w pełni zdrowa i teraz ilekroć spoglądał w jej prześliczne błękitne oczy, które pusto patrzyły w przestrzeń, czuł gniew i bezsilną rozpacz, bo wiedział, że Emilka nie widzi, zaś drobne blizny wokół jej oczu świadczyły o tym, co już przeżyła. I wiele wskazywało na to, że być może nigdy nie zobaczy otaczającego ją świata. Nawet jeśli lekarze dawali cię szansy, to Konrad bał się, że to tylko marna próba pociechy.

Helena była dla nich ogromnym wsparciem, bo pomagała zachować Emilce względną równowagę. Dziewczynka lubiła ciotkę

i spędzała z nią mnóstwo czasu. Ale bywały też chwile, kiedy z premedytacją odpychała ją i nie pozwalała się do siebie zbliżyć. To były te momenty, gdy nagle wpadała w złość i histerię, z którymi nie umiała sobie poradzić. Zaraz po takich atakach stawała się odrętwiała i apatyczna. Te stany trwały wiele godzin, a nieraz nawet dni.

– W cukierni wszystko dobrze – oznajmił Helenie, zajrzawszy do pokoju córeczki. – Pani Pensy i Nelly poradziły sobie doskonale. Pomogłem im tylko posprzątać i zamknąć lokal. Otworzymy cukiernię, jak wydobrzejesz.

Szwagierka skinęła głową, nawet na niego nie patrząc. Zbolały wyraz twarzy zniknął, ale Konrad miał wrażenie, że Helena nie spojrzała na niego celowo, żeby utrzymać chłodny dystans. Zamknął więc cicho drzwi do pokoju Emilki i poszedł do kuchni.

Był zmęczony. Najpierw spędził kilka godzin w warsztacie samochodowym Jimmy'ego Cartera, u którego pracował na etacie jako mechanik, a stamtąd pojechał prosto do cukierni, by pomóc pani Pensy. Oczywiście musiał się od niej nasłuchać, ile to złudnej nadziei robi biednej panience Helenie. I że to aż przykro patrzeć, że ona tak się męczy. Starał się tego nie komentować. Dopiero kiedy kobieta zaczęła utyskiwać i bezzasadnie go oskarżać, upomniał ją ostro, żeby pilnowała swoich spraw.

– Mężczyźni! – sapnęła tylko w odpowiedzi, zgorszona. – Myślą, że są najważniejsi! Jak panny Helen zabraknie, to dopiero szanowny pan poczuje, co to samotność. Bo dobrze tak siedzieć bez ślubu i biedną kobietę wykorzystywać, ale jak co do czego przyjdzie...

Konrad nie zamierzał jej tłumaczyć, że w żaden sposób nie wykorzystuje Heleny. Ale kiedy zobaczył szwagierkę z troską

opiekującą się jego córką, a w piekarniku znalazł gorącą i aromatyczną pieczeń, którą Helena przyrządziła pomimo poparzonej ręki, poczuł się podle. Może jednak pani Pensy miała rację – może rzeczywiście ją wykorzystywał. Może wciąż tkwiło w nim prymitywne przyzwyczajenie z dawnych młodzieńczych czasów, kiedy to był głupio przekonany, że kobiety stworzono wyłącznie na osobisty męski użytek.

Zdawał sobie sprawę, że jego wspólne życie z siostrą Anny nie wyglądało dobrze. Nie powinni mieszkać razem. Nie powinni spędzać wspólnie dni, bo to mogło zostać opacznie zrozumiane. On przez cały czas kierował się poczuciem odpowiedzialności i troską o szwagierkę, bo tylko oni dwoje z najbliższej rodziny zostali przy życiu po tej parzywej wojnie. Ale teraz poczuł, że to zaszło stanowczo za daleko – i należało coś z tym zrobić. Tylko Konrad jeszcze nie wiedział co.

– Dlaczego nie jesz? – Helena weszła do kuchni tak niespodziewanie, że go zaskoczyła.

Konrad siedział przy kuchennym stole z kubkiem gorącej herbaty i gapił się w przestrzeń.

– Miałaś odpoczywać – rzekł nieco zbyt oschle.

– Jak mogę odpoczywać, kiedy jest tyle do zrobienia? Zresztą czuję się lepiej. Ten zastrzyk przeciwbólowy działa, więc nie chciałam bez sensu leżeć w łóżku.

Konrad zerknął na jej zabandażowaną dłoń.

– Lekarka kazała ci odpoczywać – powtórzył bardziej dosadnie. Czuł coraz większą irytację, że Helena próbuje umniejszać swoją niedyspozycję. – Wszystkim byłoby łatwiej, gdybyś dostosowała się do zaleceń lekarki.

– Wszystkim byłoby łatwiej? – Zrobiła zdumioną i równocześnie zbolaną minę.

Konrad spojrział na nią i poczuł wyrzuty sumienia. Do diabła, zawsze czuł się przy niej winny. Jakby Helena była odbiciem jego zmarłej żony, a on wciąż na nowo przypominał sobie, jakim był bezdusznym skurwysynem.

– Przepraszam. Źle się wyraziłem.

Pokręciła głową.

– Wiem. Ale to nic. Czuję się dobrze. I dziękuję, że zawiozłeś mnie do szpitala.

– To chyba oczywiste – odparł zdawkowo, nie chcąc wdawać się w dalszą dyskusję.

Zerknął w kierunku kuchenki. Nie był szczególnie głodny, bo wpięrk zjadł lunach razem z Carterem, a później skosztował słodkich bułeczek z cukierni, które się nie sprzedawały. Resztę rozdali biegającym po ulicy dzieciakom. Teraz chciał jedynie w spokoju napić się herbaty, nieco odpocząć i pójść do swoich spraw. Zamierzał wywołać zdjęcia, które zrobił Lauren Evans, i skupić się wyłącznie na myśli o tym, że znowu będzie musiał się z nią spotkać. Ta perspektywa nie wzbudzała w nim szczególnego entuzjazmu. Wspomnił wydarzenia ostatniej nocy. Musiał bardzo dokładnie przemyśleć plan działania, żeby zyskać jak najwięcej na zdjęciach i wyciągnąć z Lauren potrzebne informacje. A do tego działać na tyle dyskretnie, żeby ona niczego się nie domyśliła.

Helena nastawiła wodę na herbatę.

– Zrobić ci coś do jedzenia? W piekarniku jest pieczeń, mogę ci podać.

– Nie. Sam potrafię to zrobić.

- Oczywiście. Po prostu pomyślałam, że jesteś zmęczony. - Popatrzyła na niego.

Jej szare oczy wpatrywały się w mężczyznę gorączkowo. Zauważył, że wciąż była blada, a jej szczupła twarz wydawała się jeszcze bardziej zapadnięta.

- Jutro wracam do pracy - rzekła po chwili.

- Chyba żartujesz! Nie możesz pracować z poparzoną ręką!

- Nie mogę również siedzieć w domu. Bezczynność mi nie pomaga. Nie będę piekła, ale wesprę Pency w obsłudze i poinstruję ją w kwestii przepisów. Wielu jeszcze nie zna i nie umie właściwie upiec ciasteczek mamy, a te najlepiej schodzą.

- Hela, przestań! Dopóki oparzenie się nie zagoi, cukiernia będzie zamknięta.

Kobieta zachnęła się i otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- To niemożliwe! Przecież jeśli ją zamkniemy, nie będę zarabiać... Dobrze wiesz, że nie posiadam żadnych oszczędności, bo te marne, które miałam, włożyłam w cukiernię.

- Poradzimy sobie. Mam pieniądze. Przecież pracuję.

- Nie mogę być dla ciebie ciężarem. - Kiedy to mówiła, jej głos zabrzmiał żałośnie. - Już i tak tyle dla mnie robisz. To, że mieszkamy tu razem... Za większość ty płacisz, a ja jedynie przygotowuję posiłki i...

- Skończmy ten temat - uciał Konrad sucho.

Miał dość jej tłumaczenia, a wiedział, że jeśli Helena się rozkręci, to jeszcze przez najbliższe pół godziny, a może i dłużej będzie roztrząsać sprawę pieniędzy. I nie tylko ich.

- Dopóki ręka się nie zagoi, będziesz odpoczywać w domu.

– Nie możesz mi niczego nakazać! – zawołała. – Muszę decydować o sobie samodzielnie skoro... Jestem tu sama. Przecież ty i ja...

– Tato? – W drzwiach kuchni stanęła Emilka.

Konrad błyskawicznie zerwał się z krzesła i podszedł do niej. Niby wiedział, że w mieszkaniu dziewczynka radziła sobie bardzo dobrze i była świadoma, jak się poruszać, żeby nie wpaść na żaden przedmiot czy mebel, a wraz z Heleną skrupulatnie dbali o to, żeby nie zrobiła sobie krzywdy. Zawsze jednak kiedy dziewczynka opuszczała swój pokój, Konrad był w gotowości, żeby jej pomóc.

– Córeczko... Myślałem, że śpisz.

– Usłyszałam, jak krzyczysz na ciocię Helę – rzekła z nutką nagany.

Konrad westchnął i kątem oka zerknął na Helenę. Ta wciąż stała przy kuchni z wyraźnie urażoną miną, całą swą postawą wyrażając bunt. Gdyby nie była taka wiecznie naburmuszona i nie robiła ciągle tej przeproszającej miny, byłaby nawet całkiem ładna. Choć prawdę powiedziawszy, nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Nawet gdyby była najpiękniejszą kobietą świata, dla niego nie miałoby to znaczenia.

– Nie krzyczę, córeczko. Próbuję jedynie namówić twoją ciocię, żeby nie chodziła przez parę dni do cukierni, bo ma chorą rękę. Powinna odpoczywać.

Dziewczynka zwróciła twarz w kierunku Heleny.

– Ciociu, dlaczego chcesz pracować z chorą ręką?

– Nie musimy roztrząsać takich spraw przy dziecku! – fuknęła Helena i odwróciła się, udając, że próbuje zaparzyć herbatę.

Konrad ujął córkę za rękę.

– Chodź, skarbie, odprowadzę cię do pokoju.

– Wywołałeś już te zdjęcia? – zapytała Emilka, kiedy szli razem przez wąski korytarz.

– Jeszcze nie.

– Opowiesz mi o nich?

Uśmiechnął się pod nosem.

– Wiesz, że tak.

Często to robił, bo Emilka bardzo chciała, żeby opowiadał jej o swoich fotografiach. Podejrzewał, że w trakcie jego opowieści odtwarzała sobie te obrazy w głowie. Tak bardzo chciał nauczyć ją fotografii, pokazać jej, jak to jest patrzeć na świat przez obiektyw aparatu... A tymczasem...

– Panna Alicja mówiła mi dzisiaj, że Lauren Evans jest bardzo piękna.

– Panna Alicja ma rację.

– Podobno ubiera się w piękne suknie i ma elegancką fryzurę. Panna Alicja mówiła, że oglądała wszystkie filmy z nią, a na ostatnim była w kinie dwa dni temu z tym swoim narzeczonym. Czy to prawda, że oczy Lauren Evans błyszczą jak gwiazdy?

– Emilko...

Dziewczynka zatrzymała się przy drzwiach do swojego pokoju.

– Powiedz tylko, czy to prawda. Wtedy będę mogła ją sobie lepiej wyobrazić.

– Tak, to prawda – odparł Konrad.

Dostrzegł, że na te słowa jego córka uśmiechnęła się błogo, jakby ta informacja bardzo ją usatysfakcjonowała. Jakie to było smutne, że

musiała zadowalać się takimi błahostkami. Że nie mogła sama przekonać się o tym, jak piękną kobietą jest Lauren Evans.

– Chciałabym się z nią spotkać. Wtedy wiedziałabym, czy jest taka piękna, jak mówi panna Alicja.

– To tylko aktorka – odparł Konrad lekceważąco.

– I właśnie przez to jest taka wyjątkowa. Poza tym panna Alicja powiedziała mi, że Lauren Evans jest również tancerką.

– A jakie to ma znaczenie?

– Takie, że strasznie jej zazdroszczę. – Głos dziewczynki przycichł niemal do szeptu. – Wiesz, tato, że chciałabym tańczyć.

– Już o tym rozmawialiśmy – odburknął, wprowadzając dziewczynkę do jej pokoju; do tego malutkiego, zamkniętego w czterech ścianach królestwa, gdzie Emilka czuła się bezpieczna i gdzie nie groziło jej nic z tego, co dotąd przeżyła w swoim krótkim życiu.

– Zdaje się, że to ty rozmawiałeś, tato, a ja jedynie słuchałam, bo nie dałeś mi dojść do słowa.

– Emilko!

– Nic nie poradzę na to, że bardzo chcę tańczyć!

Mężczyzna westchnął ciężko i zatrzymał się w pół kroku. Mocniej uścisnął drobną dłoń córki.

– Wiesz, że zrobiłbym wszystko, żeby ci pomóc, ale...

– Mógłbyś pomóc, pozwalając mi pobierać lekcje tańca. – Była urocza w tym swoim dziecięcym uporze, na który Konrad już dawno przestał być odporny. – Jestem niewidoma, ale ciało mam sprawne. Mogę się poruszać.

– Mówiłem ci już, że lekcje tańca sporo kosztują, a ja...

– Odkładasz pieniądze na moją operację, wiem. Ale po co? To i tak nic nie da. Nie odzyskam wzroku. Lepiej pozwól mi tańczyć.

Dziewczynka stała sztywno, z twarzą skierowaną wprost na niego. Konrad po raz nie wiadomo który zajrzał w jej przejrzyste oczy i poczuł gwałtowny, nieopanowany ból. Wciąż nie mógł się wyzbyć z pamięci obrazu jej wychudzonej, bladej postaci, kiedy odnalazł ją w prowizorycznym sierocińcu utworzonym w zrujnowanej po powstaniu Warszawie. Miała wtedy sześć lat. Wciąż pamiętał tamtą pustkę w jej oczach. Wtedy nie miał jeszcze pojęcia, nie był świadom, czego jego córka była świadkiem i jakie to przyniosło dla niej konsekwencje. Widział jedynie małą, skrzywdzoną i zbolaną istotkę, która ledwo przypominała znaną mu dawniej dziewczynkę. Jego serce najpierw zamarło, a później roztrzaskało się na tysiąc kawałków. Wtedy zrozumiał, jaki był głupi i jak mało było warte jego życie. Zdał sobie sprawę, że oddałby je po stokroć, byle przywrócić zdrowie temu małemu człowiekowi, który był krwią z jego krwi. I od tamtej pory wszystko inne straciło znaczenie. W życiu Konrada nie liczyło się nic prócz tej dziewczynki.

– Pomyślę o tym – odparł głucho. – Obiecuję. Ale nie naciskaj, proszę.

– Nie będę, tato.

Położył Emilkę do łóżka, a wychodząc z jej pokoju, zdecydował, że nie wróci do kuchni. Myśl o ponownym spotkaniu z Heleną wydała mu się nieznośna. Liczył, że jutro jego szwagierka będzie w lepszym nastroju, a on podejdzie do niej z mniejszą irytacją.

* * *

Pomimo że przy córce Konrad okazywał obojętność względem tematu Lauren Evans, to szczerze był ciekaw, czy zdjęcia okażą się tak dobre, jak przypuszczał. Chciał wywołać je jak najszybciej i przekonać się, ile są warte, bo podejrzewał, że dużo. Ktoś taki jak panna Evans był w cenie, bo gazety biły się o zdjęcia hollywoodzkich gwiazdeczek. Szybko je sprzeda i zarobi na nich mnóstwo pieniędzy, które – jak większość swego zarobku – zdeponuje w amerykańskim banku na przyszłą operację Emilki. A zaraz potem poruszy sprawę odnalezienia Ingi Petersen, a tym samym esesmana Rudolfa Schultego. Nie chciał, żeby aktorka zaczęła go o coś podejrzewać, więc musiał działać ostrożnie. Przeczuwał, że w wypadku osoby cieszącej się tak dużym zainteresowaniem społecznym, w dodatku przyzwyczajonej do tego, że ludzie spełniają wszelkie jej kaprysy, może się to okazać znacznie trudniejsze.

Zdumiewało go, że Evans tak skrzętnie ukrywała prawdę o swoim pochodzeniu. Przeczytał wszystkie wzmianki prasowe na jej temat, które udostępnił mu prokurator Raczek, i nigdzie nie znalazł nawet słowa o jej przeszłości. Każdy, kto chciałby poznać jej biografię, dowiedziałby się jedynie, że wychowała się w Nowym Jorku w dzielnicy Brooklyn, gdzie jako nastoletnia panna zaczęła pobierać nauki tańca. Jej talent i upór zaprowadziły ją na Broadway, do jednej z najlepszych szkół tańca w Nowym Jorku, a stamtąd jako wschodząca gwiazda filmu poleciała do Los Angeles. Ani słowa o tym, że była Niemką, i ani słowa o jej matce, Indze Petersen. Takie informacje odnalazł dopiero w mocno okrojonym raporcie, udostępnionym mu przez Raczkę z lakoniczną informacją, że nie wiadomo, kto jest ojcem Lary Petersen. Nie bez ironii Konrad pomyślał, że może to być sam Rudolf Schulte.

Kiedy upewnił się, że Emilka zasnęła, a Helena zamknęła się w swoim pokoju, udał się na dół do ciemni. Pomimo że czuł się zmęczony, perspektywa przyjrzenia się efektom pracy skutecznie odwiodła go od położenia się do łóżka. Jak zawsze czuł ekscytację na myśl o tym, jaki obraz wyłoni się przed nim w kuwecie po wywołaniu kliszy. Kochał fotografię i każdy nowy projekt budził w nim taką samą wielką ekscytację. Tak było dawniej i tak było dziś. Chociaż świat się zmienił i tematy jego prac również były inne, to Konrad wciąż odkrywał w tym coś nowego, fascynującego, co w jego mniemaniu nie dawało opisywać się słowami, a można było jedynie zamknąć w kadrach.

Pierwszy aparat fotograficzny marki Leica dostał jeszcze przed wojną od stryjecznej ciotki. Ciotka była osobą niedającą się wtłoczyć w schematy – pyskata, bezkompromisowa, bawiąca się życiem, spędzała czas głównie w podróży, uciekając jak najdalej od więzienia w postaci ewentualnego małżeństwa i kajdan życia rodzinnego. Z podróży przywoziła przeróżne dziwne i fascynujące przedmioty, a jednym z nich był niewielki, bo mieszczący się w dłoni, aparat fotograficzny prosto z Paryża. Podarowała go dwudziestoletniemu wówczas Konradowi z zastrzeżeniem, że od teraz ma fotografować tylko to, co jego zdaniem będzie warte zapamiętania. Zafascynowany nowatorskim prezentem, wziął sobie jej słowa głęboko do serca, choć wówczas nie mógł jeszcze przypuszczać, że za pomocą tego magicznego w jego odczuciu urządzenia będzie uwieczniał dziejącą się na jego oczach historię. Nigdy – idąc za słowami ciotki – nie tracił kliszy na kadry niewarte uwagi. I tak ze zwykłego żołnierza pstrykającego w wolnych chwilach zdjęcia ulicom przedwojennej Warszawy i wyzwolonym pannom, które z przyjemnością pozowały

przed jego obiektywem, stał się pasjonatem fotografii, zatrzymującym w kadrach czas. Nauczył się, że fotografia jest sztuką, wymagającą próbą przedstawienia rzeczywistości takiej, jaka jest naprawdę, bez udawania i sztucznych rekwizytów. Choć jako młokos instynktownie wybierał i tak obiekty piękne, estetyczne pod względem wizualnym. Dopiero wojna zmieniła jego sposób postrzegania tego, co ma przed obiektywem. Na wojnie fotografował brud, brzydotę, głód, strach i śmierć. I to była najprawdziwsza prawda. I to go odmieniło bardziej niż jakiegokolwiek szkolenie wojskowe.

Po wojnie niezwykle trudno było mu wrócić do fotografii artystycznej, niemającej nic wspólnego z brutalnością i brzydotą, jego wiernymi towarzyszami ostatnich lat. Miał wrażenie, że po tym, co zobaczył, już nigdy nie będzie w stanie zrobić zdjęcia czemuś sztucznie pięknemu, nadzwyczaj błahemu, bez wartości dodanej. A jednak przemógł się tu, w Nowym Jorku, gdzie świat postrzegano wyłącznie poprzez pryzmat sukcesu i piękna.

Nie pracował dla żadnej konkretnej gazety czy agencji, lecz jako wolny strzelec. Zdjęcia modelkom do reklam i magazynów z modą robił wyłącznie dla pieniędzy. Owszem, przykładał się do tego z całą starannością, pracował nad tym, żeby fotografie były jak najlepsze, dbał o doskonałe ujęcia, chcąc wychwycić prawdziwość modelki, ale dotąd nie odnalazł w tym sedna tego, co go niegdyś fascynowało, przyjemności z uwiecznienia na zdjęciu tego, co ma przed oczami.

Dopiero Lauren...

Nie chciał się do tego przyznawać, ale zaskoczyła go tym, jak wspaniale umiała współpracować z obiektywem. Jaką miała w sobie swobodę i magnetyzm i z jaką łatwością go przyciągała. Jakby

pozowanie było dla niej najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem. Jakby robiła to bezustannie, każdego dnia. Dlatego był szalenie ciekaw efektów swojej pracy. Z jednej strony odsuwał chwilę, kiedy na nią spojrzy, a z drugiej nie mógł się jej doczekać.

Tymczasem Lauren Evans w otaczającej go ciemności ukazywała mu swoje oblicze subtelnie, niespiesznie. Konrad starał się skupiać wyłącznie na jakości zdjęcia, ale im wyraźniej jej sylwetka wyłaniała się przed nim w całej okazałości, tym trudniej było mu oderwać od niej wzrok. W tym momencie nie miało znaczenia, że była kimś, kto mógł pomóc mu w poszukiwaniu zbrodniarza. Nie miało znaczenia, że pochodziła z kraju agresora i że z jakiegoś powodu ukrywała ten fakt przed ludźmi. Liczyło się wyłącznie to, co Konrad miał zobaczyć na zdjęciu.

Lauren była aktorką, cholernie dobrą aktorką. Oglądał jej filmy i musiał przyznać, że na ekranie radziła sobie doskonale. Poza tym wiedziała, jak spojrzeć na mężczyznę, żeby go uwieść. Była w tym świetna. Ale przede wszystkim była magnetyzująco piękną kobietą.

I Konrad widział to teraz z całą mocą.

¹ *Ala w krainie czarów* – wolny przekład książki *Alice's Adventures in Wonderland* Lewisa Carrolla w tłumaczeniu Marii Morawskiej, który ukazał się w Polsce w 1927 roku.

ROZDZIAŁ 9

Od czasu premiery Nieczystej gry Lauren zamknęła się we własnym apartamencie i nie licząc udziału w konferencji, do którego zmusił ją agent, rzadko wychodziła do ludzi. Przyczyną tego był między innymi fakt, że co dzień już od najwcześniejszych godzin porannych odwiedzały ją ekipy dziennikarskie z magazynów filmowych, kobiecych i plotkarskich, by dowiedzieć się wszystkiego na temat kulis powstawania filmu. Przybył do niej osobiście nawet sam guru plotkarskiego świata Walter Wintchell, niemożliwie zgryźliwy i najbardziej opiniotwórczy dziennikarz w USA. Był królem felietonów, które z wypiekami na twarzy czytały miliony Amerykanów. Nie zostawiał na swoich ofiarach suchej nitki, z upodobaniem opisując skandale z ich udziałem, a także życie miłosne i problemy osobiste gwiazd Hollywood. Prowadził audycję radiową, do której zapraszał znanych i lubianych i podczas której bez skrępowań oraz z bezczelną finezją wyciągał od rozmówcy najpikantniejsze szczegóły.

– Ale sama przyznaj, tak między nami – dopytywał po wywiadzie.
– Czy spodziewałaś się, że Peter Jones, z którym byłaś tajemniczo kojarzona, zostawi cię dla uroczej i wybitnie utalentowanej panny Betty Lee?

– Jesteś szcwanym lisem, Walterze, ale muszę cię rozczarować, bo tajemniczy romans między mną a panem Jonesem rozegrał się wyłącznie na ekranie – odparła Lauren bez mrugnięcia okiem.

Widziała, jak na tę odpowiedź Wintchell skrzywił się w grymasie niezadowolenia.

Choć na co dzień Lauren była otoczona ludźmi, tak naprawdę z trudem radziła sobie z samą sobą i z nieprzyjemną myślą, że Peter Jones ogłosił datę ślubu z Betty Lee. Zaślubiny miały się odbyć latem. Lauren wmawiała sobie, że nic ją to nie obchodzi, bo ich romans był jedynie przygodą, ale w głębi duszy wiedziała, że to nieprawda. Bezustannie rozdrapywała wspomnienia i roztkliwiała się nad swoją samotnością. Podczas wieczorów spędzanych w pojedynkę, kiedy po ekipach wizerunkowych i dziennikarskich nie było już śladu, spoglądała z tarasu luksusowego apartamentu na tętniący życiem Nowy Jork i popijała brandy. Alkohol pomagał zagłuszyć złe myśli i dawał złudne poczucie odprężenia. Raz czy dwa przeszło jej przez myśl, że może powinna gdzieś wyjść. W końcu była w Nowym Jorku. Może do Copacabany? Tam z pewnością by się rozerwała i na chwilę zapomniała o zazdrości i urażonej dumie. Ale szybko odrzucała ten pomysł. Nie chciała natknąć się na kogoś, kto podobnie jak wścibscy dziennikarze zacznie wypytywać ją o życie prywatne. Jedynymi osobami, z którymi miała stały kontakt, były jej pokojówka Mary i przyjaciółka Lizzie. Obie doskonale wiedziały, co się dzieje w jej głowie i złamanym sercu, ale przezornie nie komentowały tego. Nawet Lizzie, dotąd sceptycznie nastawiona do Petera Jonesa, teraz uznała jego oficjalną deklarację zaręczyn z panną Lee jako coś poważnego i ostatecznego i przestała robić przyjaciółce wyrzuty z powodu skrywanego związku.

Jak się okazało, reżyser Garrett Moore po kilku udzielonych w Nowym Jorku wywiadach wrócił do Los Angeles, gdzie podobno przygotowywał się do kolejnego filmu. A agent Evans – Richard

Taylor – po pamiętnej konferencji prasowej dzień po premierze Nieczystej gry zaszył się w swojej luksusowej rezydencji i jedynie raz czy dwa zadzwonił do Lauren z ogólnym i mocno lakonicznym pytaniem, jak się miewa. Dostawała również krótkie, choć męczące telefony z wytwórni z Los Angeles zawsze na temat tego, kiedy wraca, ale ona stanowczo odpowiadała, że chce jeszcze pobyc w Nowym Jorku.

Podświadomie czekała również na jakiś znak od Konrada Rogowskiego – bo że się odezwie, tego była pewna. Każdy szanujący się fotograf pokazywał modelce zdjęcia przed ich publikacją. Pewnego ranka poczuła więc coś podobnego do przyjemnej satysfakcji, kiedy przeczytała bilecik ukryty w dostarczonym do niej bukietcie róż. Ekscytacja z tym związana nawet ją zaskoczyła, ale też wytrąciła ze znużenia. I pomyśleć, że o mały włos by go przegapiła, bo raczej rzadko czytała bileciki przy kwiatach, których każdego dnia dostawała całe naręczą od zakochanych wielbicieli. Ten jednak wyjęła, zdumiona nadzwyczajną skromnością bukietu i zaciekawiona, kto aż tak bardzo żałował na niego pieniędzy.

– Konrad Rogowski – powiedziała do siebie miękko, uśmiechając się pod nosem.

„No cóż, bukietem na pewno nie chciał mi zaimponować” – pomyślała, patrząc na bilecik z numerem telefonu. Miała niejasne wrażenie, że to chyba mężczyzna powinien zadzwonić do niej, a nie ona do niego, jak ewidentnie to sugerował.

Podeszła do barku i naląła sobie kieliszek brandy, uznawszy, że kropla czegoś mocniejszego nie zaszkodzi, skoro miała zatelefonować do człowieka, który tak niecodziennie ją intrygował. Wprawdzie nie myślała o nim zbyt często, ale kiedy już zaczynała,

czuła dziwne podniecenie. Zawsze wtedy przypomiwała sobie jego nadmierną szorstkość, kłócając się z magnetyzmem jego ciemnych oczu. Wydawał się taki opanowany i nadmiernie poważny, ale gdy ją pocałował... Nie przypomiwała sobie, żeby ktokolwiek całował ją w taki sposób. Nawet Peter Jones z tą swoją bezwzględną pewnością siebie nie mógł się równać z Konradem Rogowskim.

Nadzwyczaj podekscytowana usiadła wygodnie na szezlongu, krzyżując nogi, ujęła w dłoń telefon na długim kablu i wykręciła numer z bileciku.

– Halo? Tu mechanika samochodowa Jimmy’ego Cartera. W czym mogę służyć? – usłyszała w słuchawce miły kobiecy głos.

Odchrząknęła zaskoczona.

– Mechanika samochodowa? – zapytała niepewnie.

– Tak. Jak mogę pomóc? Chce pani oddać samochód do naprawy? Oczywiście Jimmy Carter zaprasza z otwartymi ramionami, bo nikt tak jak on nie zna się na samochodach, ale trzeba będzie kilka dni poczekać, bo...

– Nie chcę oddawać samochodu – rzuciła Lauren, zniesmaczona słodkim szczebiotaniem paniienki w słuchawce.

– Och! To w jakiej sprawie pani dzwoni?

– Czy mogę rozmawiać z Konradem Rogowskim? – zapytała coraz bardziej poirytowana i pewna, że musiało dojść do jakiejś pomyłki.

– Z Konradem? Ależ tak! Ale obawiam się, że teraz leży w kanale.

– Co proszę?

– Leży w kanale, no wie pani. Naprawia auto.

– Naprawia auto... – Lauren owinęła sobie kabel telefonu wokół palca wskazującego. – Och, w takim razie nie będę mu przeszkadzać. Proszę przekazać panu Rogowskiemu, że dzwoniła Lauren Evans.

Na chwilę w słuchawce zapadła głucha cisza i Lauren pomyślała, że szczebiocząca panna się rozłączyła, aż nagle powietrze rozdarł przeciągły podniecony pisk.

– O, mój Boże! – zawołała panienka z warsztatu. – Więc mówił prawdę! To pani! Och, to niesamowite! Nie mogę w to uwierzyć! Uwielbiam panią!

Lauren chrząknęła, a panna w słuchawce nie przestawała paplać.

– Mówił, że pani zadzwoni, a ja mu nie wierzyłam! Och, to cudowne! Och! Proszę poczekać na linii, już po niego biegnę! – Dziewczyna najwyraźniej odłożyła słuchawkę, bo w uchu Lauren nastąpiła cisza.

Dopiero po chwili usłyszała męski głos.

– Zastanawiałem się, czy zadzwonisz, czy jednak będę musiał pofatygować się osobiście na 5th Avenue.

Lauren uśmiechnęła się mimo woli, czując przyjemny dreszcz.

– Mechanika samochodowa? Gdzie ty jesteś? – zapytała miękko, zdecydowanie zbyt miękko.

– Zwykli ludzie muszą gdzieś pracować.

– Przecież jesteś fotografem.

– I mechanikiem – dodał. – Mówiłem ci, że potrzebuję pieniędzy.

Zawahała się, co mu odpowiedzieć. Poczowała się nieswojo, choć przecież to ona była sławną hollywoodzką aktorką, a on... mechanikiem. A jednak w rozmowie z nim była dziwnie skrępowana, jakby rozmawiała z kimś ważnym. Może dlatego, że jego głos brzmiał tak nisko i poważnie. A może dlatego, że nagle znów przypomniała sobie, jak Konrad ją całował, i to wspomnienie sprawiło, że straciła dystans.

– Wywołałeś zdjęcia? – Uznała, że najlepiej będzie od razu o to zapytać.

– Tak. Chciałbym ci je pokazać.

– Więc spotkajmy się. Może...

– U ciebie – przerwał jej szybko, aż się zdumiała.

– U mnie?

Zaśmiał się.

– Pewnie wolałabyś spotkać się w jakiejś bardzo ekskluzywnej restauracji, ale niestety nie stać mnie na taką. Jestem zwyczajnym mechanikiem samochodowym.

Teraz to Lauren wybuchła śmiechem. Po raz pierwszy spotkała mężczyznę, który bez ogródek i skrępowania mówił jej, że nie zaprosi jej do restauracji, bo go na to nie stać! A może była dla niego tak mało istotna, że nie zamierzał tracić na nią cennych dolarów...

– No cóż, w takim razie rzeczywiście spotkajmy się u mnie – rzekła dyplomatycznie.

Kiedy przyszedł, nie sądziła, że tak się ucieszy na jego widok. Starła się podejść do tej wizyty na chłodno, ale kiedy Mary otworzyła drzwi i Konrad Rogowski stanął w progu apartamentu, Lauren nie umiała powstrzymać nagłego gorąca, które na nią spłynęło. Wciąż był poważny, ale teraz, w świetle dnia, ubrany w zwykłą i nieco poszarzałą koszulę, spraną tweedową marynarkę oraz proste brązowe spodnie bez kantów, wydał jej się nadzwyczaj pospolity i równocześnie jeszcze bardziej interesujący niż poprzednio. Jakby wówczas miał na sobie jedynie kostium, a teraz był sobą. Dostrzegła, że on również ukradkiem zmierzył wzrokiem jej figurę w dopasowanej liliowej sukience. Wcześniej zastanawiała się, co myślał tamtego wieczoru, kiedy na nią patrzył. Czy widział

w niej głupią laleczkę, która ostentacyjnie mu się narzucała, czy może jednak kobietę, jaką chciała być w jego oczach? Teraz, zastanawiając się nad tym na trzeźwo i w świetle dnia, poczuła zażenowanie z powodu własnego zachowania. Dzisiaj poczucie godności nie pozwoliłoby jej zaproponować mu tego, co tak ochoczo oferowała mu przed kilkoma dniami.

- I znów się spotykamy - rzekła z wyuczoną swobodą, równocześnie starając się obrać wyniosłą pozę.

Zgrabnie kołysząc biodrami, przeszła przez obszerny, zalany majowym słońcem salon i podała mężczyźnie dłoń na powitanie, po czym wskazała pobliski fotel.

- Było wiadome, że się spotkamy, skoro zgodziłaś się na sesję - rzekł, nie spuszczać z niej wzroku. - Chyba tego nie żałujesz?

- Ależ skąd! Wbrew temu, co mogło ci się wydawać, nie byłam aż tak pijana. Poza tym to było całkiem interesujące doświadczenie.

Uśmiechnął się nieznacznie na tę uwagę i zajął miejsce w fotelu. Zauważyła, że zerknął ukradkiem na naręczna kwiatów porozstawiane w niemal całym salonie.

- Dla ciebie pewnie jedno z wielu interesujących doświadczeń - zauważył.

Ona również z naturalną gracją przysiadła w sąsiednim fotelu.

- Być może mi nie uwierzysz, ale dawno nie czułam się tak swobodnie przed obiektywem.

- Wierzę. Widać to na zdjęciach.

Nie wiedzieć czemu, Lauren poczuła nagle onieśmielenie. Próbując to ukryć, skinęła na pokojówkę.

- Życzy pan sobie herbaty? A może kawy? - Mary zwróciła się do Konrada.

- Poproszę wodę.

- Dla mnie lampkę wina, Mary - rzuciła szybko Lauren.

Czuła, że musi zwilżyć suche usta. Miała wrażenie, że przed żadnym castingiem nie czuła się tak spięta jak teraz, przed tym z pozoru pospolitym mężczyzną, który patrzył na nią w taki sposób, że nie wiedziała, czy jej pragnie, czy raczej kpi z niej w żywe oczy.

Rogowski przyjął od pokojówki szklanekę z wodą i bez wstępów podał Lauren dużą kopertę.

- Zerknij na nie. Od razu zaznaczę, że chcę je opublikować, bo są dużo warte. Pewnie nie będę odkrywczym, jeśli przyznam, że jesteś genialną modelką. Poza tym jesteś bardzo znana, a to mocno podnosi ich wartość.

Lauren upiła spory łyk wina podanego jej przez Mary, po czym bez wahania wyjęła zdjęcia z koperty.

Na pierwszej czarno-białej fotografii miała na sobie łąbędzia suknię od Diora, a za nią w tle widać było pajęczynę nocnych świateł Manhattanu. Zdjęcie oddawało całą jej sylwetkę i było... magiczne. Wręcz idealne.

Drżącymi palcami odłożyła je na bok i spojrzała na kolejne, już bardziej portretowe, na którym przenikliwym wzrokiem wpatrywała się w obiektyw aparatu. Usta miała lekko rozchylone, a podbródek uniesiony. Wyraz jej twarzy nie pozostawiał wątpliwości, o czym myślała w chwili, kiedy uchwycił ją fotograf. Na innym zdjęciu leżała na łożu z odchyłoną do tyłu głową, w zmysłowej pozie prezentując skąpo odziane ciało, i uśmiechała się leniwie. W tym spojrzeniu było tyle zmysłowości i pożądania! Tyle nieskrywanych potrzeb. Uwodziła tym spojrzeniem. Pokazywała mężczyźnie, który ją fotografował... że go pragnie.

Oblała ją kolejna fala gorąca.

On o tym wiedział – musiał wiedzieć, bo te zdjęcia nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

– Są niesamowite – odpowiedziała cichym głosem, modląc się w duchu, żeby nie dosłyszał w nim drżenia.

Niby była świetną aktorką, umiała odgrywać role, a przed tym mężczyzną jakoś trudno jej było udawać. Miała wrażenie, że na tych fotografiach obnażył ją całą. Uchwycił i pokazał, jaka była w środku. Czego pragnęła.

– Uważam, że są doskonałe – odparł. – Nigdy żadnej kobiecie nie zrobiłem tak dobrych zdjęć.

Lauren popatrzyła na niego spod przymrużonych powiek.

– Pewnie mówisz tak każdej modelce.

Zaśmiał się z ironią.

– Nie. Mówię tak tylko tobie i nie powinno cię to dziwić.

– I nie dziwi – odparła z wyuczoną wyższością. – Jak wspomniałeś, nie jesteś pierwszym, który mnie fotografuje, i nie ostatnim.

Zauważyła, że z niezadowoleniem zmarszczył brwi. To dobrze. Nie chciała, żeby myślał, że zrobiła dla niego wyjątek i że to on wywołał w niej szereg tych emocji, które prezentowała na zdjęciach. Nawet jeśli tak było naprawdę.

– Tego akurat jestem pewien – powiedział poważnie. – Za to ty jesteś dla mnie pierwsza i raczej ostatnia. Nie sądzę, abym jeszcze kiedykolwiek miał okazję sfotografować kogoś takiego jak ty.

– Kogoś takiego jak ja? – droczyła się z nim. – Co masz na myśli?

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy i Lauren poczuła, że coś się z nią dzieje i że ona musi to natychmiast przerwać. Nie chciała poddawać się urokowi kolejnego mężczyzny. Nie po tym, gdy została tak głęboko zraniona, i nie takiemu człowiekowi, który nie miał jej nic do zaoferowania.

– Mam na myśli to, że jesteś sławną aktorką.

Skrzywiła się z przekąsem.

– Tylko to ma dla ciebie znaczenie? Że jestem sławna?

– Nie. Nawet gdybyś była przypadkowo napotkaną, nieznaną mi bliżej dziewczyną, te zdjęcia byłyby równie doskonałe. Różnica polega na tym, że jesteś w pełni świadoma tego, co wywołujesz w ludziach, którzy na ciebie patrzą. Pozwól, że zrobię z nich właściwy użytek i sprzedam je do publikacji.

Przez chwilę udawała, że się zastanawia, choć prawdą było, że jego słowa głęboko ją poruszyły.

– Której gazecie?

– „Vogue”.

Z uznaniem pokiwała głową, choć próżność nie pozwalała jej myśleć, że mogłoby to być coś na niższym poziomie.

– Już je widzieli?

– Tak. Są oczywiście zachwyceni. Edna Woolman Chase, redaktorka naczelna, wspominała, że mieli już twoje zdjęcia, ale nigdy takich.

Lauren upiła łyk wina i zgrabnie założyła nogę na nogę. Widziała, jak Konrad śledził ten ruch, a mimo to pozostał niewzruszony, jakby takie gesty nie robiły na nim wrażenia. Przemknęło jej przez głowę, że ktoś taki jak on musiał mieć sporo do czynienia z kobietami.

- Czy twoja potrzeba pieniędzy to wyłącznie kaprys wynikający z chęci wzbogacenia się? - zapytała niespodziewanie.

Zbiła go tym pytaniem z tropu, bo znów skrzywił się z irytacją.

Popatrzyła na jego dłonie. Podczas ich ostatniego spotkania, kiedy trzymał w nich aparat, były nieskazitelne. A teraz wyraźnie widziała niedomyty smar samochodowy na skórze i pod krótko przyciętymi paznokciami. Dziwny był z niego mężczyzna - niby z nizin społecznych, zwykły robotnik, a miał w sobie charyzmę i prezencję lepszą od niejednego filmowca, z którym miała do czynienia. Ciekawe, co robił, zanim dotarł do Nowego Jorku...

- Co za niewłaściwe pytanie - odparł Konrad. - A ty? Zarabiasz dla kaprysu? - dodał drwiąco. - Nie muszę ci się tłumaczyć, na co potrzebuję pieniędzy, bo każdy z nas ich potrzebuje. Ale jestem z tobą szczery: za te zdjęcia dostanę sporo, więc tym bardziej się cieszę.

- A jeśli się nie zgodzę, opublikujesz je mimo wszystko?

- Nie - odparł krótko.

Uniosła brwi, zaskoczona.

- Nie?

Zdziwił ją tą deklaracją. Była pewna, że zacznie ją przekonywać, że powinna wyrazić zgodę na publikację, bo przecież jest gwiazdą, a takie zdjęcia tworzą jej wizerunek. Słyszała to już tyle razy, że znała te śpiewki na pamięć.

- Jeśli się nie zgodzisz, oddam ci je. Są twoje.

Lauren spuściła wzrok i znów popatrzyła na fotografie. Były rzeczywiście wyjątkowe. Nie miała wątpliwości, że po ich publikacji mnóstwo innych fotografów zgłosi się do niej po kolejną sesję. Ale

ona nie miała na nie ochoty. Na pewno nie teraz. Być może kiedyś, kiedy zacznie zdjęcia do nowego filmu.

Znów spojrzała na Konrada. Kim był? Tak niepozorny, szorstki w obejściu, zdawałoby się – obojętny na to, co się wokół niego działo. A jednak z niesamowitym wyczuciem i talentem do fotografii. To niemożliwe, żeby nie był świadom tego, co potrafi. Raczej nie sprawiał wrażenia życiowego ignoranta, a jednak... Kiedy mówił, że nigdy dotąd nie fotografował kogoś takiego jak ona, wierzyła mu, bo nie było w jego głosie fałszywej skromności.

– Dobrze – odpowiedziała po dłuższej chwili. – Opublikuj je. Szkoda by było zmarnować taki potencjał. Myślę, że ta sesja otworzy ci drogę do kariery. Teraz ja, a za chwilę Ava Gardner, Rita Hayworth, Marilyn Monroe.

– Raczej wątpię.

– Dlaczego?

Była szczerze zdumiona i coraz mniej go rozumiała. Przecież każdy na jego miejscu, mając takie możliwości i talent, czułby się wygrany i snułby wizje wspaniałej przyszłości.

– Bo w Nowym Jorku i Los Angeles jest mnóstwo doskonałych fotografów i nie sądzę, aby nagle otworzono bramy rajy dla kogoś z nisz, w dodatku nikomu nieznanego emigranta z Polski.

– A może się mylisz? Może Nowy Jork potrzebuje właśnie takich ludzi jak ty? Z nowym, świeżym spojrzeniem.

– Mówisz tak, bo widzisz na tych zdjęciach siebie.

Zmarszczyła brwi.

– Uważasz, że jestem próżna?

– A nie jesteś?

Długo milczała, więc się zreflektował.

- Wybacz. Myślałem, że próżność jest wpisana w zawód aktorki.

- Uczą nas tego na pierwszych zajęciach – odparła kąśliwie. – Za to ty na siłę starasz się udowodnić, że gardzisz ludźmi takimi jak ja. Jakbyś uważał się za kogoś znacznie lepszego. Podczas gdy w rzeczywistości jesteś... Cóż. Mechanikiem.

Uśmiechnął się, choć Lauren miała wrażenie, że wciąż kontrolował swoje zachowanie. Jakby nie chciał pokazać przed nią tego, jaki był naprawdę. Może jednak odbierał ją tak samo jak inni – jak piękną i niedostępną kapryśną gwiazdę, a jego szorstkość była tylko zasłoną dymną przed onieśmieleniem, jakie przy niej odczuwał.

- Chciałabym ci coś dać – rzekła, wstając z sofy. – Albo raczej oddać.

Udała się do sypialni i po chwili wróciła z jego krawatem w dłoni.

- Jeśli chodzi o to, co wydarzyło się po sesji, to... Dziękuję, że mimo wszystko zachowałeś się jak trzeba – dodała nagle, zaskakując tym samą siebie.

Nie zamierzała wracać do tamtych chwil, kiedy ewidentnie mu się narzucała, ale coś nakazało jej to powiedzieć.

Rogowski milczał, więc poczuła się dziwnie zażenowana.

- Twoim zdaniem robię to z każdym? – zapytała już bardziej oschle, wciąż trzymając w dłoni jego krawat.

Odchrząknął i popatrzył jej w oczy, ale nie umiała nic wyczytać z jego badawczego spojrzenia.

- Nie mam zdania. Wiem jedynie, że ja tego nie robię – odparł z nadzwyczajną szczerością, nie siląc się na kurtuazję ani miłe słówka. – Poza tym... Nie powinnaś przejmować się co o tobie myślę. Mam wrażenie, że w każdym widzisz tylko to, jak cię ocenia.

– Bo nie przypominam sobie dnia, by ktoś tego nie robił – rzuciła gorzko. – Jestem bezustannie oceniana.

– Może sama na to pozwalasz?

Uciekła od niego spojrzeniem, nie mogąc dłużej znieść jego wzroku. Miała wrażenie, że gdzieś w głębi drwił z niej, naśmiewał się. Traktował ją jak inni mężczyźni, którzy widzieli w niej wyłącznie ładną buzię i zgrabne ciało. A ona z taką łatwością chciała mu się oddać.

Machinalnie podała mu krawat.

– Skoro omówiliśmy już sprawę zdjęć... – zaczęła.

– To już pójdę – wszedł jej w słowo, wstając z fotela. – Jeszcze raz dziękuję za tę fascynującą przygodę ze zdjęciami. Czułem się zaszczycony. I... – Odchrząknął, pocierając brodę. – Jak tylko „Vogue” zapłaci mi za zdjęcia, może dasz się zaprosić na kolację? Oczywiście do restauracji. Nie będzie najbardziej ekskluzywna, ale postaram się, żeby była na właściwym poziomie.

– Znów chcesz się ze mną spotkać? – Lauren nie kryła zdziwienia.

Pomyślała, że facet ma jednak tupet, skoro się na to odważył.

– Tak. Chciałbym przestać oceniać cię... Jak to ujęłaś... Powierzchnownie. A żeby to zrobić, muszę cię lepiej poznać.

Uśmiechnęła się lekko.

– Kolacja z mechanikiem samochodowym? Tego jeszcze nie było. A co, jeśli ktoś nas zobaczy? To mogłoby wywołać niezłe zamieszanie, a ty stałbyś się bohaterem romantycznych plotek.

– Postaram się, żebyśmy pozostali incognito. Nie chciałbym znaleźć się na czołówkach gazet. Myślę, że tobie też nie przyniosłoby to splendoru.

Mimowolnie zmierzyła go krytycznym wzrokiem.

- Czemu nie? Jesteś przecież całkiem... Interesujący.

- Przy bliższym poznaniu sporo tracę.

Uklonił się z przesadną kurtuazją, jakby był jednym z tych tak dobrze jej znanych hollywoodzkich amantów, i wyszedł. A ona odczuła nagły chłód. W apartamencie zrobiło się cicho i pusto; powróciły samotność i ponura rzeczywistość.

Lauren westchnęła.

- Mary?

Pokojówka stanęła w progu salonu.

- Tak, panno Evans?

- Nie będę cię już dziś potrzebować. Możesz wracać do domu.

Nie myśląc nad tym, co robi, podeszła do barku i naląła sobie brandy, odstawiając na bok kieliszek z niedopitym winem.

ROZDZIAŁ 10

Konrad już dwie godziny temu powinien był wrócić do domu, a nadal go nie było. Helena krążyła niespokojnie po pokoju, raz po raz spoglądając przez okno na ruchliwą ulicę, próbując dostrzec coś między sunącymi jezdnią samochodami. Raz przejechał nawet wóz konny, obładowany jakimiś towarami.

Poparzona ręka bolała, więc instynktownie ścisnęła ją i masowała, jakby to miało złagodzić dolegliwość. Były momenty, kiedy ból stawał się tak dotkliwy, że zaciskała zęby, tłumiąc jęki. A Konrad? Niby jej współczuł z powodu niefortunnego wypadku, ale nie wykazywał nadzwyczajnej troski. Nie próbował spędzać z nią więcej czasu, choć na to po cichu liczyła. Tymczasem miała wrażenie, że wręcz uciekał przed nią z domu, jakby jej obecność była mu niemiła. Helena nie mogła tego znieść. Krążyła po pokoju, nie mogąc znaleźć sobie miejsca i obgryzając nerwowo paznokcie. Matka zawsze ją za to karciła, a kiedy Hela była małą dziewczynką, smarowała jej palce różnymi świństwami. Nie pomagało. Helena zawsze miała jakiś powód, żeby obgryźć je prawie do krwi, a teraz miała tych powodów jeszcze więcej.

Kiedy Konrad zaproponował jej, żeby uciekła wraz z nim i Emilką do Ameryki, nie wahała się ani chwili. W Polsce nie miała już domu. Rodzice i siostra Anna nie żyli, Andrzej – jej ukochany narzeczony – został uznany za zaginionego, co w zasadzie było równoznaczne z tym, że nie żyje. Ona sama pomieszkiwała w niewielkim

mieszkań w częściowo wyburzonej kamienicy z siostrą matki, jej córką z mężem oraz dwójką ich dzieci. Pracowała w warszawskiej piekarni, która choć niewielka, miała ambicję wykarmić niezliczone rzesze warszawiaków, a przez to Helena niemal nie wychodziła z pracy. Wówczas każdy dzień – choć już po wyzwoleniu, bez niemieckich patroli i strachu przed łapanką – wydawał jej się beznadziejną próbą egzystencji. Sowieci swoją butą i prymitywnym zdżirzeniem wzbudzali w niej wstręt i nienawiść. Ciężko jej było odnaleźć się w tym groteskowym, trudnym świecie, tak różnym od tego, w jakim żyła przed wojną. I nagle pojawił się Konrad, mąż jej zmarłej siostry, z niewidomą Emilką i niemą prośbą o wsparcie w ratowaniu dziewczynki. Helena miała do niego ogromny żal, że tak źle traktował Annę. Że ją opuścił niemal od razu po ich ślubie i pozwolił umrzeć w strachu i cierpieniu. To tkwiło w Helenie jak zadra i początkowo nakazywało jej patrzeć na szwagra z nieufnością i pretensją. Jednocześnie ich przypadkowe spotkanie było również wzruszające, pełne tłumionej emocji i próby wyjaśnienia wszystkiego, co złe. Oboje – i Konrad, i Helena – czuli się głęboko skrzywdzeni, ale też oboje łapali się nadziei, że jeszcze da się uratować to życie, które wciąż jest przed nimi. Tylu ludzi nie przeżyło wojny, a oni wyszli z tego cało. Helena była więc przekonana, że Konrad proponuje jej wyjazd z Polski wyłącznie z potrzeby serca i z nadzieją na przebaczenie. Myślała wówczas, że mimo iż wyjazd jest ryzykowny i niepewny, to być może zbliży ich do siebie. Przecież oboje nie mieli nic i czuli się równie samotni i zmęczeni potwornościami wojny. Helena była pewna, że Konrad chce wyjechać za ocean, żeby zapomnieć i zacząć wszystko od nowa. Z nią i z Emilką.

Sama przed sobą długo starała się ukryć, że Konrad bardzo jej się podobał. Wzbudzał w niej wstydlive pragnienia, które uważała za śmiertelny grzech, bo przecież on był mężem jej siostry, a ona miała narzeczonego, którego szczerze kochała. Teraz jednak, kiedy zostali tylko oni dwoje, kiedy już nic nie było jak dawniej, postrzegala go inaczej. Zobaczyła w nim nie tylko oparcie, ale i mężczyznę, który wyzwalał w niej przemożną tęsknotę za bliskością. I który mógł stać się odpowiedzią na tę tęsknotę... A im częściej o tym myślała, tym coraz mocniej go pragnęła, aż jej pragnienie stało się obsesją. Tymczasem on okazał się obojętny, zimny i nieugięty – i ciągle mówił tylko o Annie. A przecież Anna nie żyła! Dlaczego nie interesował się nią tak, kiedy była na tym świecie? Kiedy w samotności znosiła strach i trudy życia w wojennej Polsce? Kiedy martwiła się o zdrowie swojej córeczki? Dlaczego jego wtedy przy niej nie było? A teraz mówił o niej ciągle, jakby nagle po śmierci stała się dla niego najważniejsza!

Tuż po przyjeździe do Nowego Jorku było im trudno i musieli znieść wiele upokorzeń. Helena czuła, że całą ich trójkę – nawet niewidzącą Emilkę – traktowano jak obywateli drugiej kategorii, gdy tymczasem oni szukali jedynie lepszego miejsca do życia. Sprawdzano ich bagaże i dokumenty, przesłuchiowano, zadawano niewygodne pytania, jakby ona i Konrad byli komunistycznymi szpiegami na usługach ZSRR. Dopiero z czasem, po wielodniowej procedurze sprawdzającej, nadano im kartę pobytu emigrantów wojennych, a w ich życie powoli zaczęła się wkradać upragniona rutyna. Oboje znaleźli pracę i z pomocą innych Polaków mieszkających w Nowym Jorku wynajęli mieszkanie. I właśnie wówczas, kiedy już zdołali uporządkować nową rzeczywistość,

Helena zorientowała się, że Konrada interesują inne kobiety, a ona jest dla niego niewidzialna.

Kiedy nie było go w domu, zachodziła do jego ciemni i oglądała wywołane tam zdjęcia. Były na nich głównie kobiety – piękne, wymuskane, mizdrzące się przed obiektywem jak dziwki. Bogate i obrzydliwie zadowolone z siebie Amerykanki, które nigdy nie zaznały strachu przed śmiercią, bólu ani upokorzenia. Były zupełnie inne niż zmęczone wojną Polki i pewnie dlatego tak mu się podobały. Konrad niby tłumaczył, że to zdjęcia do reklam i kolorowych magazynów, za które dostaje całkiem niezłe pieniądze, ale ona mu nie wierzyła. Była przekonana, że robił te zdjęcia, bo chciał patrzeć na modelki. A one bezwstydnie wyginały się przed nim, bo przecież był niezwykle interesującym mężczyzną. Tak było również przed wojną, zanim ożenił się z Anną. Helena poznała go już wcześniej, bo Konrad służył z jej narzeczonym w tym samym garnizonie. Wiedziała, że miał opinię bawidamka, który nie odpuszczał żadnej ładnej panience. A one lgnęły do niego jak pszczoły do miodu, jakby samym spojrzeniem obiecywał im bramy raju. Dlatego również Anna – skromna i niedoświadczona panna bez szczególnego powodzenia u chłopców – dała się złapać na lep pięknych słówek i gorące spojrzenie Konrada. Dała się ponieść chwili, przepadła w jego ramionach... A potem zapłaciła za to wysoką cenę.

Helena uważała, że zbyt swobodna Ameryka jeszcze bardziej prowokowała jej szwagra do złych nawyków. W jej oczach Nowy Jork był zgniłym i grzesznym miastem bez zasad. Prawo moralne tu nie istniało, a ludzi przyzwoitych traktowano z ośmieszającą pobłażliwością. Amerykanki, niby wzorowe panie domu, dbające

o męża i dzieci, w rzeczywistości bezwstydnie eksponowały swoje wdzięki, emanując wyuzdanym seksapilem. W Polsce taka nieprzyzwoitość była niemożliwa. Tam kobiety wiedziały, jak zachować godność, a te tutaj stroiły się w kolorowe fatałaszkę, farbowały włosy i malowały na czerwono usta i paznokcie. Helena domyślała się, że Konrad pewnie chciałby, aby i ona robiła tak samo, ale nie umiała się na to zdobyć. Wolą ubierać się w skromne i proste sukienki bez głębokich dekoltów, a naturalnie ciemne włosy zawsze przyzwoicie spinała wsuwkami w niski kok. Raz czy dwa pomalowała usta jaskrawą szminką, ale szybko ją starła, bo patrząc na siebie w lustrze, czuła się jak pospolita ładaczka.

Bywały dni, kiedy gorzko żałowała decyzji o opuszczeniu Polski. Wojna była straszna, powojenny świat brutalny i zimny, ale przynajmniej tam była u siebie. Tęskniła za Warszawą tak bardzo, że miała ochotę krzyknąć z rozpacz. Z czasem w jej głowie rozmył się obraz złych wspomnień; pozostały tylko te dobre, które bolały jak niezagojone rany. Widziała w nich rodziców, siostrę, bliskich znajomych, ale przede wszystkim Andrzeja – jedynego mężczyznę, który naprawdę ją kochał i nie wstydził się tego. „A jeśli on wrócił? Wrócił i mnie nie zastał?” – pytała nieraz siebie i te wątpliwości zatruwały jej życie.

Kilka dni temu, jak zwykle wiedzioną ciekawością, Helena znów zeszła do ciemni. I wtedy ją zobaczyła. Lauren Evans. Hollywoodzką piękność. Gwiazdę filmową. Porcelanową lalkę. Na zdjęciach, prócz ujęć w efektownej sukni z piór, prezentowała się również prawie naga, posyłając fotografowi powłóczyście spojrzenie.

Patrząc na nią, Helena poczuła, jakby ktoś twardym butem kopnął ją w twarz. Konrad zapewniał tamtego dnia, że jedzie

wyłącznie po to, by fotografować premierę filmu, ale słowem nie wspomniał, że umówił się z aktorką na prywatną sesję. Przecież to niemożliwe, żeby na przyjęciu po premierze zrobił aktoreczce zdjęcia w łóżku i na marmurowym tarasie z widokiem na Manhattan. Skręciło ją nieprzyjemnie w żołądku, gdy wyobraziała sobie, co Konrad z nią robił. Przecież taka kobieta – bezwstydna i wyuzdana – musiała zawrócić mu w głowie.

Od tamtej chwili Helena nie miała już spokoju. Obserwowała Konrada, próbowała go nawet o coś wypytać, ale ten milczał. Raz tylko zbył ją krótkim stwierdzeniem, że zrobił zdjęcia Lauren Evans i że zamierza je sprzedać do jakiegoś modnego pisma. Helena jednak nie była głupia i domyślała się, że prywatnie spotykał się z aktorką. I pewnie teraz też z nią był, bo gdzie indziej mógłby siedzieć tak długo?

Próbując stłumić zdenerwowanie, Helena wyszła z pokoju i udała się do Emilki. Zbliżała się pora kolacji, więc musiała przygotować dziewczynce coś do jedzenia.

Emilka, która większość życia spędzała w swoim pokoju, siedziała przy małym biurczku pod oknem i pochylała się nad tabliczkami z alfabetem Braille'a, błędząc palcami po wypukłych na tabliczkach punktach. Helena, widząc jej zmagania, zmarszczyła brwi. Więc jednak nauczycielka Emilki uparła się, żeby uczyć dziewczynkę tej metody dla niewidomych, choć Helena prosiła, żeby tego nie robiła. Uważała, że nauka alfabetu Braille'a oznaczała ostateczne pogodzenie się z tym, że Emilka nigdy nie odzyska wzroku. A przecież Konrad, choć bez przekonania, to jednak powtarzał, że jakaś szansa istnieje.

– Panna Alicja mówi, że im szybciej opanuję te punkty, tym szybciej zacznę czytać. Dzisiaj pochwaliła mnie, że zrobiłam duże postępy.

– Myślę, że nie powinnaś się w to angażować. Przecież czytam ci codziennie. – Helena z czułością pogładziła dziewczynkę po ciemnych włosach. Kochała ją jak własną córkę, nie jak siostrzenicę.
– Co chciałabyś zjeść na kolację?

– Grzanki z serem.

– Znowu?

– Są pyszne.

– Może przygotować ci coś bardziej wartościowego?

– Nie, mam ochotę na grzankę z serem. Tatuś prosił, żebym nie nadwyręzała twojej cierpliwości, bo masz poparzoną rękę.

Helena zmarszczyła brwi.

– To dlatego codziennie prosisz tylko o grzankę?

– Ma się rozumieć. – Dziewczynka mówiła to wszystko, nie przerywając nauki.

Helena przez chwilę obserwowała, jak delikatne palce Emilki suną po wypukłościach. Jak próbowała je zapamiętać. Jakby to była jakaś tajemna mapa. Ze wstydem pomyślała, że ona tak samo chciałaby przesunąć palcami po twarzy Konrada. Po jego policzkach, brodzie, zaroście. Po ustach. Nagłe trzaśnięcie drzwi wyrwało ją z rozmarzenia. Domyśliła się, że to on.

– Witam, drogie panie – rzekł z uśmiechem mężczyzna, stając w drzwiach pokoju córki. Helena od razu poczuła gwałtowniejsze bicie serca.

– Gdzie byłeś tak długo?

- Miałem coś do załatwienia.

Wszedł i pochwycił Emilkę w ramiona. Dziewczynka instynktownie objęła ojca za szyję, ale szybko nakazała mu się puścić i odsunąć, tłumacząc to koniecznością dokończenia lekcji. Helena patrzyła na to z gorzką zazdrością. Czemu jej Konrad nie może tak przytulić? Ona na pewno nie kazałaby mu się odsunąć.

- Właśnie miałam przygotować kolację - rzekła, starając się, żeby jej głos brzmiał uprzejmie.

- Wspaniale. Pójdę się przebrać i spotkamy się w kuchni. - Konrad chciał wyjść z pokoju, ale zatrzymał się w pół kroku. - A jak twoja ręka?

- Lepiej. Goi się.

Kiwnął tylko głową i wyszedł.

Helena westchnęła i wolnym krokiem poszła do kuchni.

Dłonie jej drżały, kiedy przygotowywała kolację, a poparzona ręka wręcz pulsowała. W niemal całym ciele Helena czuła bolesne napięcie, które trzymało ją w twardym uścisku. Odruchowo zagryzała wargi.

Kiedy Konrad wszedł do kuchni, to napięcie wcale nie zmalało, lecz tylko się pogłębiło. Helena wiedziała, że tylko on byłby w stanie pomóc jej pozbyć się bólu. Ale on tego nie wiedział. Albo nie chciał wiedzieć. Zamienił z nią kilka uprzejmych zdań, zjadł kolację i poszedł do siebie, pozostawiając po sobie zimną pustkę. Helena długo jeszcze siedziała samotnie przy stole i rozmyślała, jak sobie z tym poradzić. Jak pokazać temu mężczyźnie, że chce od niego czegoś więcej? Że codzienność, którą dzielili, nie tylko jej nie wystarczała, ale z czasem stała się prawdziwą udręką.

Na drugi dzień, kiedy Konrad pojechał do warsztatu samochodowego, a Emilka uczyła się w pokoju pod okiem nauczycielki, w drzwiach ich mieszkania stanął nieznajomy.

– Czy zastałem Konrada Rogowskiego? – zapytał, lustrując uważnym wzrokiem Helenę.

Kobieta nieco się zmieszała, bo ze względu na nie dość dobrą znajomość angielskiego swobodna konwersacja nadal przychodziła jej z trudem. Z tymi, których znała, wiedziała, jak rozmawiać, ale gdy poznawała kogoś nowego, czuła się skrępowana i podenerwowana.

Tymczasem stojący przed nią mężczyzna nie tylko patrzył na nią z naturalną śmiałością, ale był przy tym nadzwyczaj przystojny. Stosunkowo młody, bo w okolicach trzydziestki, miał śniadą cerę, ciemne oczy i mocne brwi, a do tego czarne, lekko falujące włosy.

– A kto pyta? – zapytała z wahaniem.

– Nazywam się Mason Collins. Jestem dziennikarzem.

Helena uniosła brew.

– Dziennikarzem?

– Tak. Pracuję dla „Daily News”. Czy zastałem pana Rogowskiego?

– A w jakiej sprawie? – Helena była coraz bardziej zaintrygowana, bo dotąd nie miała do czynienia z żadnym dziennikarzem.

Mężczyzna uśmiechnął się, prezentując rząd ładnych białych zębów.

– Pan Rogowski robił ostatnio zdjęcia Lauren Evans. Właśnie ukazały się w „Vogue”. Chciałbym z nim o niej porozmawiać.

– O Lauren Evans? A niby co Konrad mógłby o niej wiedzieć? – Natychmiast poczuła złość.

On jednak, niezrażony jej reakcją, jeszcze szerzej się uśmiechnął.

– Nie wiem... Cokolwiek. Ludzie lubią plotki na jej temat. Pani pewnie też lubi czytać o gwiazdach.

– Nie lubię – rzuciła sucho. – Konrada nie ma, a nawet gdyby był, to myślę, że nie miałby nic do powiedzenia na temat tej damulki. On właściwie nawet jej nie zna. Robił jej tylko zdjęcia.

Mason Collins, choć stał na schodach, postąpił krok w stronę Heleny i oparł się niedbale ramieniem o futrynę. Helenę irytowało, że był taki pewny siebie i idiotycznie wyluzowany, podczas gdy ona cała się usztywniła, jakby połknęła kij.

– A może pani coś o niej wie? Może ten fotograf coś o niej wspominał? Jakież szczegóły z ich sesji?

– Nie. Nic nie mówił.

– No cóż... – Dziennikarz z rozmysłem potarł kciukiem brodę. – Gdyby jednak coś obilo się pani o uszy, proszę do mnie zadzwonić. Chętnie porozmawiam. – To mówiąc, wręczył jej wizytówkę z numerem telefonu.

Odwrócił się, by odejść, jednak nim ruszył w dół po schodach, jeszcze raz na nią spojrzął.

– A swoją drogą ma pani piękne oczy. Dawno takich nie widziałem.

ROZDZIAŁ 11

– Co to u diabła jest!? – Richard Taylor rzucił z furią na stół restauracyjny najnowszy numer „Vogue”.

Lauren kątem oka dostrzegła, że goście w restauracji popatrzyli na nich z wyraźnym zainteresowaniem. Ona i jej agent starali się wybierać takie lokale, gdzie mogli liczyć na dyskrecję, ale Taylor był niekiedy tak ekspresyjny, żeby nie powiedzieć chamski, że nie sposób było zachować względną prywatność. Lauren – gdyż to głównie na niej skupiała się cała uwaga – robiła wtedy dobrą minę do złej gry i promiennym uśmiechem starała się nadrabiać złe wrażenie. Teraz jednak chowała twarz przed wścibskimi spojrzeniami za eleganckim toczkiem z woalką, spod którego wypływały ufryzowane blond włosy.

– O co ci chodzi? – zapytała.

Przez zdenerwowanie jak przez mgłę widziała okładkę magazynu, a na niej siebie. Ewidentnie było to zdjęcie zrobione przez Konrada Rogowskiego. Nawet nie musiała się tego domyślać, bo miała co do tego pewność.

– O co mi chodzi? Jeszcze śmiesz pytać, o co mi chodzi? Lauren, w co ty, u diabła, pogrywasz? Co to ma być? Idę dzisiaj zadowolony ulicą, jest piękny, niemal letni poranek, słońce świeci mi prosto w twarz i jestem prawie szczęśliwy, bo żona okazała się wspaniałomyślna i pozwoliła się zerznąć, i nagle co widzę? Na

witrynie sklepu z gazetami widzę nowy numer „Vogue”, a na nim ciebie!

Lauren sapnęła i zagryzła wargę.

– I o to ta cała afera? Że jestem na okładce „Vogue”? Przypominam ci, że jestem znaną aktorką i wielokrotnie bywałam na ich okładkach.

– Nie pieprz! Wiesz, że w tej kwestii nic się nie dzieje beze mnie. Nic! Jestem bogiem twojego sukcesu i twojego wizerunku, więc jakim cudem jakiś gówniany fotograf, którego nie znam, zrobił ci sesję zdjęciową, którą „Vogue” nie tylko opublikował, ale za którą pewnie zapłacił mu gruby szmal! Mam nadzieję, że zamierzasz mi to jakoś sensownie wytłumaczyć! – Richard patrzył na nią z dziką wściekłością w oczach, pukając nerwowo palcem w czasopismo. – Widziałas te zdjęcia? Są z dnia premiery Nieczystej gry!

– Wiem. Przecież do nich pozowałam – odparła chłodno i skinęła na kelnera w czarnej liberii. – Na początek poproszę kawę i zastanowię się, co zjem.

– Oczywiście. A dla szanownego pana?

Taylor skrzywił się z niezadowoleniem, jakby pytanie mężczyzny z obsługi było w tym momencie z gruntu niewłaściwe.

– To samo. A ty tylko kawę? Skromnie – zwrócił się kpiąco do Lauren. – Nie wolałabyś lampki szampana? Albo od razu całej butelki? Chyba nie będziesz sobie żałować?

– Zostanę przy kawie – odparła z uśmiechem Lauren, spoglądając spokojnie na kelnera, choć uwaga Richarda bardzo ją dotknęła.

Owszem, lubiła szampana, ale nie była w tym odosobniona, więc wypominanie jej tego uważała za zbędną złośliwość.

- A zatem co masz mi do powiedzenia? - zapytał ostro Taylor, wbijając w nią świdrujące spojrzenie, kiedy kelner odszedł, a oni zostali sami.

Lauren bezwiednie zaczęła się bawić rąbkiem leżącej na stoliku chusteczki, próbując skupić się na płynącej w tle przyjemnej muzyce. Liczyła, że to ją nieco uspokoi.

- Nic. Absolutnie nic - odparła.

- Jak to nic? Pozwoliłaś komuś za moimi plecami zrobić sobie prywatne zdjęcia, na których pozujesz w samej pieprzonej bieliźnie, i mówisz mi, że to nic?

- Nie jestem twoją własnością.

Jego oczy zwęziły się w szparki.

- Nie? To przypomnij mi, kim beze mnie jesteś? Dziwką z nocnego klubu? Te zdjęcia idealnie oddają twoją prawdziwą naturę, więc może jednak powinnaś była tam zostać i dalej płaść półnago dla napalonych facetów.

- Richard... - syknęła ostrzegawczo przez zaciśnięte zęby.

Nie chciała, żeby patrzył na nią w ten sposób. Nie znosiła tego. Za każdym razem, gdy jej agent poruszał ten temat, brutalne słowa o przeszłości mroziły Lauren i napępniały ją obawą, że wszystko się wyda, a ona zostanie ośmieszona i zdegradowana. Chciała przypomnieć mu, że dzięki niej zarabiał fortunę, ale wiedziała, że to go jedynie rozsierdzi i że wykrzyczy jej wówczas w twarz, że jest odwrotnie - że to ona dzięki niemu jest sławna i bogata.

- Jestem aktorką - rzekła już bardziej opanowanym tonem, choć kosztowało ją to sporo wysiłku. - Cholernie dobrą aktorką i mam prawo pozować do zdjęć, kiedy tylko przyjdzie mi na to ochota.

- Owszem, pod warunkiem że oboje dostaniemy za to odpowiednią gażę. Cały twój wizerunek jest na sprzedaż, ale powinien być solidnie opłacany, a nie przypominam sobie, żebym za tę sesję dostał chociaż złamanego centa!

- To była moja prywatna sesja.

- Prywatna sesja w „Vogue”, który czyta cała Ameryka! - Richard uderzył pismem w blat stolika, a Lauren rozejrzała się ukradkiem, czy czasem ktoś nie fotografuje ich kłótni. Jej dyskomfort był coraz większy, czuła się coraz gorzej. Miała wrażenie, że jeszcze chwila i nerwy wezmą nad nią górę, a wtedy przestanie nad sobą panować i zacznie krzyczeć.

- Kim jest ten sukinsyn, który zrobił ci te zdjęcia?

- Nie wiem.

- Jak to nie wiesz? Nie wiesz, przed kim paradowałaś półnago? Podpisane jest, że to jakiś Konrad Rogowski. Kto to w ogóle jest? Skąd on się wziął? Jest ci zupełnie obojętne, kto fotografuje twoje cycki? A może byłaś tak pijana, że niczego nie pamiętasz?

- Nie bądź wulgarny! - Lauren zerwała się z krzesła, ale w tym samym momencie stanął przed nią kelner z dwiema kawami na tacy.
- Przepraszam... - bąknęła niewyraźnie i ponownie usiadła na swoim miejscu.

Czuła, że policzki palą ją żywym ogniem. Kelner postawił filiżanki na stoliku i z rozmysłem oddalił się, nie czekając na dodatkowe zamówienie.

- Ta sesja jest moją osobistą sprawą, z którą ty nie masz nic wspólnego! Mam do tego prawo, bo jak słusznie zauważyłeś, to... ciało jest moje!

- Lauren, nie przeginaj!

- To ty nie przeginaj! Jeśli nadal chcesz spijać śmietankę z moich sukcesów...

- Chwileczkę - przerwał jej, łapiąc brutalnie za przegub dłoni. - A kto ci te filmy załatwia? Dzięki komu chodzisz na castingi? Rola w Nieczystej grze była wyłącznie moją zasługą. To ja płaszczyłem się przed zarządem 20th Century, żeby dali ci szansę. Ja negocjowałem kontrakt! Ty mogłabyś co najwyżej rozłożyć nogi przed prezesem wytwórni, a i tak nie wiadomo, czy coś by to dało.

Lauren potrząsnęła stanowczo głową.

- Nieprawda. Garrett dał mi szansę, bo wiedział, że się do tego nadaję.

- A wiesz, z kim będzie teraz kręcił film? Z młodym Brando. I jest duże prawdopodobieństwo, że zaproponuje ci rolę. Ale jeśli będziesz odstawiać takie numery jak ten z sesją albo stroić fochy na Petera Jonesa, to zrobię wszystko, żeby zablokować twój udział w tym filmie!

- Nie zrobisz tego.

- Zrobię, moja piękna. I będę patrzył, jak beze mnie odchodzisz w zapomnienie.

Lauren westchnęła ciężko i upiła łyk kawy. Dłonie jej drżały, gdy odstawiała filiżankę na spodek.

- Ten fotograf zjawiał się przypadkiem - rzekła, próbując nieco załagodzić sytuację, choć była zła na siebie, że w ogóle stara się tłumaczyć. - To było zaraz po premierze. Spotkaliśmy się wieczorem i pozwoliłam mu zrobić parę zdjęć. To wszystko.

- Nie pomyślałaś, że frajer sprzeda je do „Vogue”?

Lauren uśmiechnęła się mimo woli.

- Skoro to zrobił, to raczej nie jest frajerem.

Richard sapnął z irytacją i rozparł się na krześle.

- Nie chcę więcej takich sytuacji. Jeszcze jeden taki wybryk i gorzko pożałujesz. Ciesz się, że udało nam się wyciszyć skandal z Peterem, ale nie chcę cię nigdy więcej oglądać na jakiegokolwiek okładce bez mojej zgody. Nigdy! Zrozumiałaś?

Patrzyła na niego z zaciętym wyrazem twarzy, choć w środku dławiała ją bezsilność. Wiedziała, że Taylor był skłonny spełnić swoje groźby. Miał ją w garści, a przez to mógł robić, co chciał. Bo wystarczyła jego jedna wzmianka w prasie i jej kariera legnie w gruzach, a ona zostanie zmieszana z błotem. Dwulicowe Hollywood, choć wątpliwe moralnie, nie wybaczało błędów ani skandali, które mogły zaważyć na wizerunku gwiazdy. Zwłaszcza aktorki. A ona akurat miała sporo tajemnic do ukrycia przed opinią publiczną.

- Masz zamiary na tego fotografa? - zapytał Taylor, uznawszy sprawę za wyjaśnioną.

- Mówiłam już, to przypadkowa znajomość. Spodobał mi się i...

Richard skrzywił się z pogardą i rzucił okiem na tarczę złotego zegarka.

- I postanowiłaś się z nim pieprzyć w zamian za kilka zdjęć - rzucił kpiąco. - Zajmę się tym, ale teraz muszę już iść. Mam ważne spotkanie. Jeśli chcesz coś zjeść, to śmiało, oczywiście na mój rachunek, żebyś nie zapomniała, kto naprawdę o ciebie dba. - Dopił duszkiem kawę i wstał. - A, i jeszcze jedno. Mój znajomy urządza prywatne przyjęcie w Waldorf Astorii. Chce, żebyś tam była.

- Nie jestem niczyją maskotką - odparła Lauren, wyciągając z torebki złotą puderniczkę, by zamaskować makijażem nerwowe rumieńce.

– Jesteś piękna, Lauren, a takie jak ty mogą być wyłącznie maskotkami. Niech ci się nie wydaje, że jesteś kimś lepszym.

Popatrzyła na niego z niemym wyrzutem. On jednak odszedł, zostawiając na stoliku numer „Vogue”.

* * *

– Są niesamowite! – Lizzie westchnęła, wlepiając oczy w zdjęcia z gazety.

Lauren uśmiechnęła się pod nosem. Jej przyjaciółka wyglądała w tej chwili jak wzorowa pani domu. Miała idealnie ułożoną fryzurę i nieskazitelny makijaż, a kształtną figurę podkreśliła soczystozieloną sukienką za kolano, do której dobrała naszyjnik z białych pereł otulających jej łabędzią szyję. Brakowało tylko, żeby nagle wstała z fotela i z wdziękiem pobiegła do swojej idealnie wysprzątanej, bajecznej kuchni po nieskazitelnie piękny tort z wiśniami na kryształowej paterze i parującą kawę na srebrnej tacy. Byłby to idealny obrazek do amerykańskiego magazynu dla gospodyń domowych.

– Myślisz, że Robert pozwoli mi na taką sesję? Muszę z nim o tym porozmawiać. Och, jakże bym chciała mieć takie zdjęcia! I koniecznie musi mi je zrobić ten twój fotograf.

– Lizzie, przecież ty nie robisz sobie zdjęć.

Kobieta wydeła wargi.

– Chyba jednak muszę. Skoro zamierzam zajść w ciążę, to niedługo będę gruba i zupełnie stracę figurę. Więc koniecznie muszę zrobić sobie sesję teraz. Czy mogłabyś mnie umówić z tym fotografem? Jak on się nazywa? Konrad Rogowski. Powiedz mu, że dobrze zapłacę.

- Na tym na pewno mu zależy - mruknęła Lauren z lekkim sarkazmem. - Zapytam go o wolny termin, ale ostrzegam, że jest dość zapracowany. - Teraz w jej głosie zabrzmiała nutka rozbawienia, gdy pomyślała, że pewnie w tej chwili Rogowski leży pod jakimś samochodem.

- Ma aż tyle zleceń? No w sumie się nie dziwię, jestem jedynie zaskoczona, że dotąd o nim nie słyszałam.

- Bo jest mechanikiem.

Lizzie wybałuszyła oczy ze zdumienia.

- Och, cóż za zajmujące hobby! Myślisz, że mimo to znajdzie dla mnie czas? Oczywiście moje zdjęcia nie trafią do „Vogue” jak twoje, ale to nie ma znaczenia. Po prostu chciałabym mieć coś tak pięknego wyłącznie dla siebie, na pamiątkę, żeby kiedyś pokazać wnukom, że babcia była całkiem niczego sobie.

- Może trafią gdzieś indziej - rzuciła Lauren, myśląc o magazynie dla gospodyń idealnych.

Cała sceneria, w której Lizzie spędzała większość swoich dni, była doskonałym tłem do takich zdjęć. Piękny dom, jak wyjęty z katalogu i otoczony malowniczym ogrodem, wymuskane wnętrza nowojorskiej rezydencji i Lizzie niczym Kopciuszek. To idealnie oddawało charakter codzienności przyjaciółki Lauren. Od kiedy wyszła za mąż - a od tej wyjątkowej chwili minęło już sporo lat, spełniała się w roli idealnej amerykańskiej żony swojego poważnego, inteligentnego i przystojnego męża. Nic dodać, nic ująć.

Jakby na dowód tych rozmyślań Lizzie z wdziękiem wstała z sofy i podała Lauren koktajl z owoców egzotycznych w podłużnej szklance z luksusowego weneckiego szkła murano.

- Spróbuj. Sama go zrobiłam. Znalazłam przepis w poradniku dla...

- Najlepszej kucharki w Ameryce - dokończyła za nią Lauren, uśmiechając się pod nosem.

- Nie musisz być taka złośliwa!

- Ale przecież to szczerza prawda! Nie rozumiem cię, Lizzie. Twój mąż jest politykiem, w dodatku śpi na pieniądzach i mógłby wynająć ci tuzin kucharek, a ty wszystko robisz sama!

- Mam panie sprzątające i ogrodnika.

- Ale kuchnia to wyłącznie twoja działka.

- Robert jest wiecznie zapracowany... Nie chcę zawracać mu głowy takimi głupotami jak dodatkowa kucharka.

- Przecież sama możesz kogoś wynająć.

Lizzie zacisnęła uszminkowane usta.

- Och, to nie takie proste.

- Dla mnie bardzo. Piszesz ogłoszenie i za kilka dni przyjmujesz kandydatki na rozmowę.

Przyjaciółka Lauren przysiadła obok niej i upiła łyk wyśmienitego koktajlu.

- Nie chciałabym, żeby matka Roberta była niezadowolona. Jest bardzo drażliwa na punkcie kulinariów. Kiedy zobaczy, że zatrudniłam kucharkę, powie, że jestem leniwa. Już i tak ciągle mnie wypytuje, kiedy zamierzam zająć w ciążę. Jakby to było takie proste! Staramy się z Robertem od dawna, ale... - Lizzie westchnęła ciężko i spuściła głowę. - Martwię się, że coś jest ze mną nie tak. Sama wiesz, że już długo jesteśmy małżeństwem. I nic się nie dzieje!

- Byłaś u lekarza?

- Jeszcze nie. Wciąż się łudzę, że za chwilę się uda i... Z Robertem w ogóle o tym nie rozmawiamy, ale czuję, że on też intensywnie o tym myśli. Pewnie jest mną rozczarowany.

Lauren stanowczo pokręciła głową.

- Nie mów tak! A może to nie twoja wina, tylko jego? Skąd wiesz, że to nie on...

- No wiesz co?! Przecież to niemożliwe!

Lauren w skupieniu przyglądała się przyjaciółce. Znały się od dziesięciu lat, od kiedy razem zaczęły uczęszczać na lekcje tańca do Marty Szuman. Stały się nierozłączne, choć pochodziły z różnych światów. Lauren wybiła się z mroku nocnych klubów Nowego Jorku, w których zabawiała amatorskim tańcem zblazowanych bogaczy z dolarami w kieszeniach; tymczasem Lizzie wywodziła się z dobrego domu, gdzie rodzice zadbali, aby ich śliczna i dobrze wychowana córka, nauczona dobrych manier, występowała wyłącznie na przyzwoitych scenach nowojorskich teatrów. Przystojnego i niezwykle majątnego polityka Roberta Watsona Lizzie poznała podczas rewii na Broadwayu. Po występnie przyszedł do jej garderoby z naręczem kwiatów i szarmancko zaprosił na kolację, wyznawszy, że oczarowała go swoim tańcem i urodą. Dwa miesiące później ofiarował jej pierścionek zaręczynowy z nieprzyzwoicie dużym brylantem. Był to czas, kiedy Lauren nie mieszkała już w Nowym Jorku i stawiała pewne kroki w Hollywood pod okiem Richarda Taylora, a jej filmowa kariera nabierała rozpędu. Ona nawet nie myślała o zamążpójściu, podczas gdy Lizzie postanowiła definitywnie zrezygnować z tanecznych występów na broadwayowskiej scenie na rzecz sielankowego życia małżeńskiego. Zdawać się mogło, że małżeństwo państwa Watsonów w pięknym

domu pełnym złotych sztukaterii i marmurów rzeczywiście jest usłane różami. A tu się okazuje, że i w nim pojawiały się problemy i zgrzyty, choć Lauren bardziej się ich domyślała, bo Lizzie nie lubiła rozmawiać o kłopotach.

– Jeśli w najbliższym czasie nic się nie zmieni, idź do lekarza – poradziła jej Lauren.

Pomyślała przy tym, że gdyby ona kiedykolwiek zaszła w ciążę, sytuacja byłaby z gruntu odwrotna. O dziecku w ogóle nie myślała, a jeśli już, to wyłącznie w kategorii ciężaru, który definitywnie zakończyłby jej filmową karierę. Zresztą jej agent oraz ludzie z wytwórni nieustannie ją w tym przekonaniu podtrzymywali, mówiąc, że absolutnie nie powinna się ważyć na tak skrajny i nieodpowiedzialny krok.

– A co u twojej matki? – Lizzie niespodziewanie zmieniła temat.

Lauren nie była przygotowana na takie pytania.

– Nic się nie zmieniło – odparła szybko, starając się ukryć zażenowanie, które odczuwała zawsze, ilekroć ktoś wspominał jej matkę.

Rzadko myślała o Indze, a jeszcze rzadziej o niej rozmawiała, bo tak naprawdę mało kto z jej otoczenia wiedział o tym, że w ogóle ma matkę. Jedyne Lizzie doskonale znała sytuację, ale i tak Lauren nie lubiła z nią o tym rozmawiać. Wstydziła się zarówno swojej przeszłości, jak i tego, co stało się z jej matką, i na wszelkie sposoby starała się ukrywać ten wstydlivy sekret, a najchętniej wcale do niego nie wracać. W jej mniemaniu każda, nawet krótka wzmianka o matce mogłaby doprowadzić do ujawnienia całej tajemnicy, a to byłby początek końca jej kariery.

– Wciąż jest w... tym samym miejscu? – dopytywała przyjaciółka, wyraźnie ignorując reakcję Lauren.

– Tak...

Lizzie zrobiła współczującą minę.

– Dobrze, że możesz zapewnić jej godne warunki. Gdyby nie ty, nie wiadomo, co by się z nią stało. Wciąż trudno w to wszystko uwierzyć...

– Nie chcę o tym rozmawiać – przerwała jej Lauren sucho, odstawiając na tacę szklanek z niedopitym koktajlem. – Napój jest pyszny, kochana, ale wolałabym coś mocniejszego. Masz może brandy?

Lizzie zmarszczyła brwi, posyłając przyjaciółce spojrzenie pełne nagany, ale wstała i podeszła do barku.

– Kiedy wracasz do Los Angeles? – zapytała po chwili, podając Lauren napełniony trunkiem kieliszek.

– Nie wiem. Zupełnie nie mam na to ochoty, ale Richard nie pozwoli mi siedzieć w Nowym Jorku zbyt długo. Już planuje dla mnie nowy film. Podobno z Marlonem Brando. Jeśli się uda, to będzie na pewno coś...

– Mmmm, Brando, ten boski przystojniak! Tylko nie wpakuj się w kolejny romans.

– Lizzie, proszę...

– Wiem, przepraszam. A może przeniesiesz się na stałe do Nowego Jorku? Będziemy mogły częściej się spotykać. Bardzo za tobą tęsknię, jak jesteś tak daleko.

Lauren spojrzała z czułością na przyjaciółkę.

– Wiesz, że to niemożliwe. Jeśli wyprowadzę się z Los Angeles, mogę zapomnieć o graniu.

Lizzie westchnęła wyraźnie rozczarowana.

- No cóż, trudno. Ale chyba nie siedzisz teraz w Nowym Jorku ze względu na... Wiesz kogo?

Lauren pytająco uniosła brwi, udając, że nie wie, kogo przyjaciółka ma na myśli.

- Mówię o Peterze - wyjaśniła Lizzie. - Chyba już dałaś sobie z nim spokój?

- Tak, dałam. Sama nie wiem, dlaczego wplątałam się w głupi romans. - Lauren próbowała całą sprawę umniejszyć, a nawet wykpić, ale wciąż czuła do siebie żal.

Od konferencji prasowej nie widziała Petera, ale oboje należeli do świata filmu i wiedziała, że nadejdzie taki moment, kiedy zostanie zmuszona, by ponownie stanąć z nim twarzą w twarz. I nie miała pewności, jak wtedy zareaguje.

- Wiem, że liczyłaś na coś więcej... I przykro mi, że tak wyszło. Chciałabym, żebyś znalazła prawdziwą miłość - powiedziała Lizzie.

Lauren wykrzywiła usta w ironicznym uśmiechu i wychyliła niemal całą porcję brandy.

- Co za głupie gadanie! W moim zawodzie takie pojęcie nie istnieje. Nie wiem, czy w ogóle istnieje coś takiego jak miłość. Ale jestem sławna, kochają mnie miliony Amerykanów, więc po co mi prawdziwa miłość?

Lizzie sapnęła, wyraźnie powstrzymując się od komentarza.

- Ja tam uważam, że nawet w Hollywood miłość istnieje. Pamiętasz to uczucie między piękną Carole Lombard a Clarkiem Gable'em?

Lauren zaśmiała się z ironią.

- Jak mogę to pamiętać? Nie byłam jeszcze wtedy związana z filmem. I nie znałam Clarka.

- No tak, rzeczywiście, to było dawno. Zaczynałyśmy wtedy naukę tańca u Marty Szuman. Ale gdy Carole zginęła w wypadku lotniczym, cała Ameryka mówiła tylko o tym, jak Clarke Gable przez to cierpiał. Podobno kochał ją do szaleństwa. A Humphrey Bogart i Lauren Bacall? Jest od niego dużo młodsza, a nic im to nie przeszkadza. Dlatego wierzę, że w Hollywood zdarzają się też prawdziwe miłości.

Lauren w odpowiedzi jedynie przewróciła oczami. Na wynurzenia Lizzie na temat publicznych relacji damsko-męskich reagowała z pobłażliwością, bo co jej przyjaciółka zamknięta w idealnym małżeńskim świecie mogła wiedzieć o pełnym szyderstwie i wielkich pieniądzy Hollywood?

- Zostaniesz na kolacji? - Lizzie wstała.

Rzeczywiście słońce chyliło się ku zachodowi i nieuchronnie zbliżała się pora posiłku.

- Chętnie. Skoro do wyboru mam wieczór z tobą i twoim mężem albo samotność na moim luksusowym tarasie, wolę być z wami.

- Och, cóż za entuzjazm! Przydałby ci się do towarzystwa jakiś boski, przystojny amant, który jednym niegrzecznym spojrzeniem odegnałby od ciebie te fatalistyczne smutki.

Lizzie zostawiła Lauren na ogrodowym patio, a sama poszła do kuchni przygotować jedzenie. Nie było jej ponad godzinę, ale kolacja, którą podała, gdy tylko Robert wrócił do domu, była absolutnie wyśmienita niczym w najlepszej nowojorskiej restauracji. Lauren zaczęła się zastanawiać, czy to możliwe, że Lizzie

rzeczywiście przygotowała ją sama. Nigdy nie podejrzewała przyjaciółki o takie talenty kulinarne.

- Kochanie, jak coś się robi z miłością, to wychodzi po mistrzowsku - skwitowała Lizzie tę uwagę, uśmiechając się równocześnie do siedzącego obok męża.

Kiedy Lauren opuściła dom Roberta i Elisabeth i znalazła się w końcu u siebie, w czterech ścianach luksusowego apartamentu, znowu ogarnął ją nagły smutek. Wybrała się z wizytą do przyjaciółki, żeby z kimś pobyć i porozmawiać, a koniec końców nabrała jedynie przeświadczenia, że jej życie nie było kompletne. Bo czuła się samotna, tak cholernie samotna. Kiedy patrzyła na Lizzie i Roberta, jak siedzieli obok siebie przy nakrytym stole, jak niby przypadkiem dotykali swoich dłoni, coś wewnątrz niej krzyczało z zazdrości i goryczy.

I znowu butelka brandy z jej barku opustoszała zbyt szybko, więc Lauren musiała otworzyć dodatkową karafkę z whisky. Alkohol był jej sprzymierzeńcem, przyjacielem. Przynosił zapomnienie, tłumił niechciane myśli. Piła, słuchając muzyki i wyobrażając sobie, że może kiedyś znajdzie się ktoś, kto ją tak po prostu, po ludzku i z czułością przytuli. Myślała o niezliczonej rzeszy wielbicieli, którzy ponoć umierali z miłości do niej. Ale czy któryś z nich był w stanie dać jej to, czego naprawdę potrzebowała? Czy ci wszyscy zakochani chcieli jedynie grzać się w słońcu jej sławy i korzystać z uroków jej ciała?

Obudziła się o świcie na podłodze w salonie. Próbowwała się podnieść, ale gdy dźwignęła się w górę, silne zawroty głowy nie pozwoliły jej utrzymać się w pionie, więc na czworaka, zaplątując się

w jedwabny peniuar, przemieściła się do sypialni. Tam przypomniała sobie, że dopóki był z nią Peter, prawie nie piła.

Kolejny dzień spędziła zamknięta w sypialni, dochodząc do siebie i unikając patrzenia na Mary, która krzątała się przy niej z wyjątkową troską. Lauren wstydziła się, że pokojówka po wejściu do apartamentu zapewne poczuła przetrawiony zapach alkoholu, a później zmuszona była zbierać puste butelki i widziała swoją panią w stanie kompletnej rozsyпки.

ROZDZIAŁ 12

Lauren otrzymała oficjalne zaproszenie do hotelu Waldorf Astoria na przyjęcie organizowane przez nowojorskiego przedsiębiorcę Ricky'ego Berry'ego. To nazwisko kiedyś obito jej się o uszy i pamiętała, że nie były to miłe okoliczności, gdyż podobno Berry miał niejasne powiązania z mafiosem Frankiem Costello. Nie chciała przyjmować zaproszenia od takich ludzi. Poza tym nie lubiła przyjęć, na których była traktowana wyłącznie jak ozdoba. A ewidentnie na tym spotkaniu tak by właśnie miało być.

Biorąc aromatyczną kąpiel, z lampką szampana w dłoni, zadzwoniła do Richarda Taylora, by poinformować go, że nie zamierza iść na przyjęcie. Jednak ten, jak się spodziewała, zignorował jej decyzję i od razu przystąpił do ataku.

– Tam, gdzie w grę wchodzi kariera, twoje osobiste uprzedzenia nie mają znaczenia – rzucił.

– Nie będę się przed nim popisywać. Ten facet to zwyczajny bandzior.

– Ten facet ma ogromne pieniądze, a przez to spory wpływ na branżę filmową. Właśnie wybiera się do Hollywood wyłożyć dużą forszę na nowy projekt. Powinnaś się postarać, żeby to był projekt z twoim udziałem.

– Wspominałeś coś o filmie z Brando – odparła, próbując grać na zwłokę. – Wolałabym wystąpić w nowym filmie Garretta Moore'a.

Taylor prychnął.

- Laleczko, musisz być gotowa na każdy projekt. Nie możesz ograniczać się do jednego reżysera tylko dlatego, że wyniósł cię na szczyt. Dzisiaj ty, jutro może być inna. Tak to działa niestety. Wystarczy, że na twoim czole pojawi się jedna mała zmarszczka, a Moore'a wymieni cię na młodszą.

Lauren westchnęła i upiła szampana. Wiedziała, że Richard miał rację, ale nie chciała głośno tego przyznać. Przeczuwała również, że wielkimi krokami zbliża się dzień, kiedy będzie musiała opuścić Nowy Jork i wrócić do Los Angeles, żeby przypomnieć o sobie wytwórni filmowej. Jednak nadal nie była na to gotowa. Wciąż potrzebowała chwili wytchnienia, a wiedziała, że w Fabryce Snów czeka ją wyłącznie ciężka praca. Castingi, zdjęcia próbne, zdjęcia reklamowe i niezliczona ilość bankietów, które zwykle kończyły się o świcie. To było męczące.

- Idź na to przyjęcie i pokaż się z najlepszej strony, a przymknę oko na twój wybryk z sesją zdjęciową – usłyszała w słuchawce. – Postaraj się, żeby pan Berry był tobą oczarowany. Potrafisz to.

- Przecież dobrze wiem, że ciągle będziesz przy mnie stał i pilnował, żebym była wystarczająco czarująca – rzuciła z sarkazmem.

- To jest właśnie problem, laleczko, że nie mogę tam pójść z tobą. Moja żona nie czuje się najlepiej.

„A od kiedy to przejmujesz się swoją żoną” – pomyślała Lauren, ale nie powiedziała tego głośno, bo wówczas Taylor dałby jej wykład. Woda w wannie nieuchronnie stygła, więc należało czym prędzej zakończyć rozmowę.

- Pójdiesz tam sama. Pan Berry przyśle po ciebie limuzynę.

- Jak miło... – mruknęła, nie kryjąc ironii.

Nie miała ochoty zgrywać słodkiej idiotki, a wiedziała, że będzie musiała to zrobić, żeby zadowolić ego gospodarza.

– Pamiętaj, że jeśli rozegrasz to właściwie, zapomnę o sprawie z „Vogue”. Opuść ten temat i tobie, i temu Rogowskiemu, czy jak mu tam. Nie myśl sobie, sprawdziłem go i wiem, że to jakaś płotka. Nie wiadomo, skąd się wziął. Zrobiłaś mu tą sesją niemały prezent.

Lauren nie miała wątpliwości, że Richard mówi prawdę i że zdjęcia z „Vogue” już sobie odpuścił, bo gdyby było inaczej, wiedziałyby o tym.

– Dobrze. Skoro tak ci na tym zależy – rzekła bez entuzjazmu. – Pójdę na to przyjęcie.

– A, i jeszcze jedno. – W słuchawce dało się słyszeć chrząknięcie.
– Na przyjęciu będzie również Peter Jones, ale chyba ci to nie przeszkadza?

– Nie, ależ skąd – odparła sucho Lauren, choć ta informacja ją zmroziła.

Nie zamierzała pytać, czy Peter będzie sam, czy ze swoją śpiewaczką, bo to i tak niewiele zmieniało. Kiedyś w końcu musiał nastąpić ten dzień, gdy ponownie się spotkają.

– To, że facet parę razy cię bzyknął i zostawił, to nie powód do płaczu. Więc liczę, że nie zrobisz żadnej sceny.

– Wspaniale, że we mnie wierzysz – odparła z fałszywą słodyczą i odłożyła słuchawkę na widełki.

Leżała jeszcze przez chwilę, próbując zebrać myśli. Woda była już niemal zimna, a pachnąca piana zupełnie się rozpuściła, więc wyszła z wanny i otuliła się miękkim ręcznikiem. W tym momencie przyszło jej do głowy coś absolutnie głupiego, wręcz absurdalnego, ale było to tak nachalne, że nie mogła się tego pozbyć. Wiedziała

jednak, że z realizacją musi poczekać do rana, bo o tej porze mechanik samochodowy na pewno był już w domu, a przecież numer telefonu miała tylko do warsztatu. Odruchowo znów chciała podążyć do barku, żeby napełnić kieliszek, ale powstrzymała się, bo jej myśli nadal wędrowały w stronę Konrada Rogowskiego.

* * *

Konrad zapukał do pokoju Heleny, a słysząc krótkie i obojętne „proszę”, nacisnął kławkę. Szwagierka siedziała przy niewielkim stoliku z zapaloną lampką i przeglądała zeszyt z przepisami swojej matki, robiąc przy nich własne krótkie notatki. Konrad wiedział, że ten poźółkły i sfatygowany przepiśnik, który Helena przywiozła ze sobą z Warszawy do Nowego Jorku niczym relikwię, miał dla niej ogromną wartość. Krył w sobie wszystkie tajemnice najlepszych polskich wypieków, które dla Heleny nie były tylko zwykłą pamiątką. Czerpała z nich wszelką wiedzę i inspirację do pracy. Były jak Biblia.

Matka Heleny i Anny, pani Stefania Adamczyk, przed wojną była znana wśród warszawskiej socjety z tego, że w jej domu serwuje się najwykwintniejsze ciasta, torty i ciasteczka, które wypiekała własnoręcznie, bez pomocy gosposi. Każdy, kto miał przyjemność zakosztować tych słodkich rarytasów, potwierdzał ich wyjątkowość. Helena w naturalny sposób odziedziczyła po matce zamiłowanie do wypieków i każdy z przepisów wypróbowała wielokrotnie, by na wzór rodzicielki rozpieszczać sernikami, makowcem i miodownikiem swoich klientów w cukierni Helen Cookies. A stałych smakoszy miała już spore grono, które w dodatku powiększało się z dnia na dzień. Tak naprawdę interes cukierniczy w samym sercu nowojorskiego Manhattanu szedł Helenie całkiem

dobrze, co ją samą niezwykle zdumiewało, choć to podobno była jedna z tych szczególnych możliwości, jakie dawał Nowy Jork – można było zacząć od zera, jedynie z garścią domowych przepisów w sfatygowanym zeszycie po matce, bo najważniejsze okazywały się pasja i chęci.

– Dziękuję, że zgodziłaś się zostać z Emilką – rzekł Konrad krótko, by jej teraz nie przeszkadzać.

Poza tym poczuł się niezręcznie, kiedy zauważył, że Helena oderwała wzrok od zeszytu i uważnie spojrzała na jego elegancki frak wypożyczony w zakładzie krawieckim specjalnie na dzisiejszą okazję. Na jej twarzy pojawił się wyraz surowej nagany, a przecież Konrad nie zapłacił za ubranie dużo, bo egzemplarz był używany i został jedynie odświeżony.

– To oczywiste, że z nią zostanę. Zawsze z nią zostaję, kiedy jest taka potrzeba – odparła chłodno i machinalnie potarła rękę owiniętą opatrunkiem.

Dłoń goiła się bardzo dobrze i Helena zaczęła już normalnie pracować, ale wciąż owijała poparzenie bandażem, żeby nie naruszyć rany przy codziennych czynnościach.

– Nie czekajcie na mnie, pewnie wrócę późno – oznajmił Konrad.

– To chyba jakieś ważne wydarzenie, skoro tak się wystroiłeś. Nigdy nie widziałam cię we fraku. Chyba nawet na ślubie z Anną nie byłeś tak oficjalny.

– Mam towarzyszyć komuś na przyjęciu w Waldorf Astorii – wyjaśnił zdawkowo i chciał już wyjść, ale ona wyraźnie zatrzymywała go spojrzeniem.

– Komuś z polskiej organizacji?

– Nie. To ktoś zupełnie inny.

- Kobieta?

- Tak, ale to nic szczególnego, zwykłe spotkanie towarzyskie – rzekł.

Nie zamierzał ukrywać przed Heleną tego faktu, bo nie widział ku temu powodu.

- Będziesz robił jej zdjęcia?

Mężczyzna zawahał się. Miał wrażenie, że uszczypliwość i wścibstwo w głosie szwagierki były aż nadto słyszalne.

- Nie, ale po części ten wieczór również traktuję jak pracę.

- Skoro Waldorf Astoria, to pewnie będą tam sami bogaci Amerykanie. Może uda ci się skłonić kogoś do wpłacenia datku na leczenie Emilki.

- Wiesz, że tego nie robię. Nie proszę nikogo o pieniądze. Sam zapracuję na operację córki.

- Wiem, ale może nieraz warto poprosić o pomoc. Nie musiałbyś robić tych dziwnych zdjęć.

- Dziwnych?

- A uważasz, że zdjęcia półnagich kobiet są normalne? Widziałam te z ostatniego „Vogue”, które zrobiłeś tej aktorce, Lauren Evans. Są... - Przez twarz Heleny przemknął grymas niesmaku. - Wulgarne. Na niektórych jest w samej bieliźnie.

Konrad zacisnął szczęki. Miał na końcu języka, że Helena myli wulgarność z pasją i namiętnością, ale uznał, że mogłaby to zrozumieć opacznie. Była przecież wychowana w duchu skromności, według którego dziewczętom nie pozwalano obnosić się z kobiecością, a tym bardziej publicznie obnażać swojego ciała. I on to rozumiał. Skinął więc tylko głową na pożegnanie, nie komentując uwagi Heleny, i wyszedł z pokoju. Nim opuścił mieszkanie, zajrzał

jeszcze do Emilki, ale dziewczynka była skupiona na nauce alfabetu Braille'a i nie zwróciła na niego uwagi. Dopiero kiedy bezgłośnie zamykał za sobą drzwi jej pokoju, powiedziała ledwo słyszalnie:

– Baw się dobrze, tato.

– Dziękuję, córeczko – odparł, czując nagłe wzruszenie.

To jedno proste zdanie, niby nic ważnego, a jednak dało mu do zrozumienia, że córka go dostrzega. Nie widzi go oczami, ale go dostrzega. Wcześniej nie było to takie oczywiste. Jeszcze do niedawna nawet nie mówiła do niego „tato”. Dawniej zwracała się do niego bezosobowo, aż któregoś pięknego dnia sama z siebie wypowiedziała to słowo jak gdyby nigdy nic, a on poczuł się tak, jakby usłyszał je pierwszy raz w życiu. Zwaliło go to z nóg. Oszołomiło.

Wciąż pamiętał, ile czasu, ile cierpliwości było potrzeba, żeby Emilka zaczęła go akceptować. Nie uczestniczył w jej życiu, kiedy przyszła na świat, bo tłumacząc się wybuchem wojny, zostawił żonę i małe dziecko i poszedł walczyć w konspiracji. Jako żołnierz – najpierw Związku Walki Zbrojnej, a później Armii Krajowej – ukrywał się w Warszawie, często zmieniał miejsca, a nawet wyjeżdżał i przez to odwiedzał Annę i Emilkę rzadko, sporadycznie, kiedy był w okolicy i kiedy sumienie nie pozwalało mu nie zajrzeć, by sprawdzić, jak sobie radzą. Wówczas tłumaczył sobie, że tak jest lepiej, że jego zbyt częsta obecność mogłaby ściągnąć na nie niebezpieczeństwo. Anna mogłaby zostać aresztowana przez Gestapo; przesłuchiowano by ją, rozdzielono z dzieckiem, więc trzymał się od nich z daleka. Ale prawda była taka, że wówczas nie czuł z nimi żadnej więzi, nie znalazł w sobie potrzeby, żeby być blisko żony, której nie kochał, ani córeczki, której praktycznie nie

znał. Teraz, wspominając tamten czas, czuł gniew i niepohamowaną wściekłość na samego siebie. Gdyby mógł wrócić do tamtego momentu, zrobiłby to. Pewnie nie zdołałby pokochać Anny, bo nie umiał się na to zdobyć, ale traktowałby ją tak, jak na to zasługiwała – z szacunkiem i pokorą. Przede wszystkim jednak nie porzuciłby własnego dziecka. A teraz czuł się bezsilny i nienawidził siebie, bo tamte lata przypominały mu, jakim miałkim był mężczyzną, skoro bez skrępów pozwolił, żeby jego żonę i córkę spotkało takie nieszczęście.

O śmierci Anny dowiedział się już po wojnie. Mieszkanie, w którym wraz z Emilką spędziły większość okupacji, zostało doszczętnie zniszczone. Niemcy zrównali z ziemią całą kamienicę. Konrad szukał ich więc po kapitulacji w całej zrujnowanej Warszawie, już wówczas spanikowany i z ciężarem wstydu, że je opuścił. Dopiero wtedy coś się w nim obudziło, jakiś wewnętrzny głos rozpacznie nie dawał mu spokoju, krzyczał na niego, rozszarpał sumienie na strzępy. Konrad był więc gotowy przetrząsać ruiny Warszawy własnymi rękoma, byleby odnaleźć Annę i Emilkę. Chciał je pochwycić w ramiona, mocno przycisnąć do piersi i zapewnić, że nigdy więcej ich nie zostawi.

Emilkę znalazł w czterdziestym szóstym roku w jednym z warszawskich sierocińców, jakich wtedy było mnóstwo. Pamiętał, jak stanęła w drzwiach świetlicy, trzymając za rękę siostrę zakonną. Była malutka jak na swój wiek, chuda, bardzo blada, z ciemnymi włosami splecionymi w dwa warkocze. Wyglądała na schorowaną, jakby za chwilę miała się przewrócić. Nie mówiła prawie wcale i już wówczas nie widziała. On jednak, kierowany irracjonalnym myśleniem, patrzył uparcie w jej błękitne oczy, pragnąc dojrzeć

w nich choć iskrę życia. Naiwnie myślał, że sama jego obecność wystarczy, aby Emilka go zobaczyła. Szybko jednak przekonał się, jak bardzo się mylił, bo w oczach córki była jedynie zimna, nieruchoma obojętność.

– Jej matka nie żyje – powiedziała wówczas zakonnica, nie siląc się na szczególną wrażliwość ani względem dziecka, ani względem niedawnego żołnierza. – Wiemy to od kobiety, która zostawiła u nas dziewczynkę. Pańska żona ukrywała się wraz z innymi kobietami w piwnicy zawalonego budynku, kiedy wszedł tam oddział esesmanów pod dowództwem Rudolfa Schultego. Według tego, co mówiła ta kobieta, pańska żona została wpierw zgwałcona, a później rozstrzelana.

Potem Konrad dowiedział się, że Emilia straciła wzrok na krótko po śmierci matki. Podobno doszło do wybuchu granatu i odłamki uraziły jej wzrok.

To nim wstrząsnęło. Patrzył na dziecko i nie wierzył. Przecież kiedy odwiedził je ostatnim razem, Emilka widziała. A Anna żyła.

Siostra zakonna nie ukrywała zadowolenia, że postanowił od razu zabrać dziecko, i nawet specjalnie nie zweryfikowała informacji, że rzeczywiście jest jej ojcem. Jedną gębą mniej do wykarmienia w nieludzko przepełnionym zakładzie dla wojennych sierot to zawsze coś.

Każdą z tamtych chwil Konrad pamiętał bardzo dokładnie. Każda wycisnęła na jego sercu bolesne piętno, jeszcze głębsze niż sama wojna. Tułał się po Warszawie z nieobecna duchem córką na rękach, szukając miejsca, gdzie mogliby przenocować i cokolwiek zjeść. Warszawa powoli odradzała się z gruzów, a oni wraz z nią. Konrad imał się każdej pracy, byle przeżyć, byle uratować swoją niewidomą,

wątlą i pogrążoną w traumie córkę. Nie myślał o wojnie ani o tym, co było. Nie ubolewał, że stracił wszystko, co miał. Myślał wyłącznie o tym, że jego żona, którą porzucił, umarła w najokrutniejszy sposób, a córka wszystko widziała i doznała traumy. Zaniósł nawet Emilkę do szpitala Wolskiego, ale tam nikt nie umiał jej pomóc.

Helene, siostrę Anny, spotkał przez przypadek na bazarze Różyckiego. Konrad nie ukrywał przed nią choroby dziecka, zgodził się nawet na ich spotkanie. Dopiero siostra Anny zdołała dotrzeć do dziewczynki na tyle, że Emilka zaczęła powoli reagować na otaczającą ją rzeczywistość, i to był początek żmudnej drogi dziewczynki do odzyskania częściowego zdrowia.

Teraz, mając już tamte dni za sobą, mieszkając w innym miejscu i zupełnie innym świecie, Konrad wiedział, że postąpił słusznie. W końcu zrobił coś właściwego, bo połączył dwie bliskie sobie osoby, które potrzebowały się nawzajem. Tylko on w tej rodzinnej zależności czuł się nieswojo.

Zamknął za sobą drzwi do pokoju córki, odetchnął bezgłośnie i wyszedł z domu na nowojorską ulicę, myśląc o tym, jak bardzo jego życie było teraz inne.

ROZDZIAŁ 13

Sam się sobie dziwił, że zgodził się na tę całą maskaradę.

Dwa dni temu Lauren Evans zadzwoniła do warsztatu i poprosiła go, niemal błagała, żeby zechciał towarzyszyć jej na przyjęciu w Waldorf Astorii. Nie mógł uwierzyć, że kobieta taka jak ona, mająca na skinienie każdego mężczyznę w Nowym Jorku – ba! pewnie w całej Ameryce – zadzwoniła w tej sprawie do niego. Musiała być albo wyjątkowo naiwna, albo zdesperowana, choć to drugie wydawało się mało prawdopodobne, bo przecież na własne oczy widział, że jej apartament tonął w kwiatach od wielbicieli. Teraz nie miał już wątpliwości, że upatrzyła go sobie na kolejną ofiarę. Najwidoczniej uznała, że jest doskonałym materiałem na chwilowego kochanka, pocieszyciela po straconym amancie Peterze Jonesie. Nie wiedziała jedynie, że on – Konrad – nie był facetem, który wikłał się w takie przygodne sytuacje. Kiedyś, owszem, korzystał z każdej okoliczności, żeby znaleźć się sam na sam z piękną kobietą. Ale nie teraz. Widocznie jednak Lauren za pomocą jakiegoś siódmego zmysłu odkryła w nim dawne upodobania i postanowiła je wykorzystać.

Było mu jednak na rękę, że panna Evans sama zabiegała o jego towarzystwo, a on nie musiał się specjalnie w tej kwestii wysilać. Był pewien, że jeszcze jedno, góra dwa niezobowiązujące spotkania i bez zbędnych nacisków dowie się, gdzie przebywa Inga Petersen. Od samego początku wiedział, że musi postępować z Lauren ostrożnie,

bo wydawała się raczej niestabilna emocjonalnie, a poza tym mógł łatwo narazić i siebie, i ją na niepotrzebny plotkarski artykuł w jakimś brukowcu. A tego bardzo nie chciał.

Jadąc chevroletem na 5th Avenue, zastanawiał się, w co Lauren wystroi się na przyjęcie; bo że się wystroi, nie miał wątpliwości. Ale kiedy zobaczył ją w lobby apartamentowca, kiedy wyłoniła się z windy, na moment stracił rezon. Miała na sobie czerwoną połyskującą suknię, długą do ziemi i idealnie dopasowaną do zgrabnej sylwetki, z mocno podkreślonym gorsetowym dekoltem i długim wycięciem przy spódnicy aż do połowy uda. Kiedy szła w sandałkach na obcasach, kołysząc biodrami, jej idealnie kształtna noga wyłaniała się spod fałd połyskującej materii. Na nagie raniona zarzuciła etolę z gronostajów, zaś lśniące rudoblond włosy ufryzowała w efektowne fale.

Konradowi trudno było oderwać wzrok od tego widowiska. W pierwszej chwili patrzył na nią zafascynowany, a w kolejnej nie wiedział, gdzie oczy podziąć.

– No proszę! I kogo my tu mamy! Można by pomyśleć, że jest pan całkiem przystojny, panie Rogowski – rzekła słodko Lauren, rozciągając usta w uśmiechu.

Zauważył, że oczy błyszczały jej gorączkowo.

Skinął głową na powitanie i sztywno podał jej ramię, a ona ujęła je z wdziękiem.

– Wypadaloby odwdziżyć się komplementem – upomniała go, kiedy wychodzili z apartamentowca.

– Z całą pewnością usłyszysz ich dziś mnóstwo – rzekł przekornie.

Widział, że zmarszczyła brwi, więc się uśmiechnął. Nie chciał głośno przyznać, że Lauren była piękna, że cholernie mu się podobała. To było oczywiste. Takie kobiety jak ona zawsze były piękne i musiały się podobać. Kiedy jednak dostrzegł, że dziwnie spochmurniała, postanowił się zreflektować.

– Wyglądasz wspaniale.

Rzuciła mu spojrzenie spod rzęs – niby teatralne, prowokujące, ale na niego podziałało inaczej. Dziwnie onieśmielająco.

Do hotelu Waldorf Astoria, który mieścił się przy Park Avenue, zawiozła ich limuzyna przysłana dla aktorki przez gospodarza przyjęcia, Ricky'ego Berry'ego. W bogato zdobionym w stylu art déco hotelowym foyer powitał ich sam Conrad Hilton – właściciel imponującego obiektu. Jego uroczysta postać w eleganckim fraku tonęła w złotym blasku światła spływającego z gigantycznego kryształowego kandelabra.

– Panno Evans, cóż za zaszczyt! – rzekł z przesadną uprzejmością, kłaniając się Lauren na powitanie.

– Dla mnie jeszcze większy, panie Hilton. Cieszę się, że mogę u pana gościć.

– Cała przyjemność po mojej stronie, szanowna pani. Witam również pana, panie...

– Konrad Rogowski.

– Panie Rogowski. – Uścisnęli sobie dłonie. – Zapraszamy do sali balowej. Pan Berry czeka, gotowy rozpieszczać panią wszystkim, co najlepsze – Hilton zwrócił się do Lauren. – Bez wątplenia będzie pani królową tego przyjęcia.

Na sali balowej zgromadziła się już większość zaproszonych gości; Lauren z Konradem przybyli jako jedni z ostatnich. Rogowski

domyślił się, że to było celowe działanie, bo w ten sposób aktorka wzbudzała większe zainteresowanie swoim wejściem. Choć kiedy patrzył na entuzjizm, jaki wywołała swoją osobą, pomyślał, że absolutnie nie musiała uciekać się do takich sztuczek. Każdy na nią patrzył. Każdy chciał do niej podejść i się z nią przywitać.

On sam czuł się nie tyle nieswojo, ile śmiesznie, stojąc u jej boku. Nie pasował do tej nowojorskiej socjety, do tego przejawskrawionego blichtru, którym otaczali się śmierzdzący dolarami naśladowcy Rockefellera. Kiedy jednak poczuł mocniejszy uścisk palców Lauren na swoim ramieniu, zrozumiał, że ona – nie wiadomo dlaczego – naprawdę chce, żeby był tu z nią. Obserwował więc z nieukrywanym zainteresowaniem, kiedy z wdziękiem zsunęła z nagich ramion etolę wprost na rękę usłużnego kamerdynera. Część gości aż westchnęła z zachwytem, kiedy zaprezentowała czerwoną suknię w całej okazałości. On sam poczuł na ten widok, że krew uderzyła mu do głowy. I choć nie chciał się na nią gapić, nie mógł oderwać od niej wzroku.

– Bądź przy mnie – poprosiła go cicho, jednak w uszach Konrada zabrzmiało to bardziej jak rozkaz.

Nie zamierzał się z nią o to spierać. Nie dziś.

Była oszałamiająca, kiedy wtopiła się w zachwycony nią tłum, racząc wszystkich zniewalającym uśmiechem. A on jedynie stał i patrzył na nią, nie wiedząc, jaką rolę odgrywa w tym zjawiskowym spektaklu.

Orkiestra grała urzekająco, kelnerzy zgrabnie lawirowali między gośćmi, racząc ich kawiozem i złotym trunkiem, a Konrad samotnie obserwował to wszystko z pewnym dystansem. Poczuł się nieswojo, nie znając tu nikogo, więc dyskretnie odsunął się w cień i przysiadł

na krześle barowym przy kontuarze. Lauren, która w towarzystwie czuła się jak ryba w wodzie, dość szybko o nim zapomniała. Zniknęła w tłumie, zostawiając go na pastwę wpatrzonych w niego zdumionych kobiet. Zastanawiał się, ile z nich uważa, że jest najnowszym kochankiem Lauren. Przemknęło mu również przez myśl, że dawniej w takim miejscu upatrywałby okazji do kolejnego flirtu, niezobowiązującego romansu, które niegdyś uwielbiał. Wciąż tkwiło w nim to zaciekawienie, czuł tę szczyptę podniecenia, które prowadziły go wprost w chętnie kobiece ramiona, ale dziś potrafił już nad sobą panować.

Rick Berry, gospodarz przyjęcia, okazał się szczupłym i śmiesznie niskim mężczyzną po czterdziestce, z równo przyciętym szpakowatym wąsem. Ubrany był elegancko, według najnowszych trendów, a mimo to nie wyglądał jak człowiek, który dysponował fortuną i trzymał w garści sporą liczbę amerykańskich przedsiębiorstw. Jednak grupa poważnych mężczyzn, którymi się otaczał, wyraźnie świadczyła o jego przywódczej pozycji.

Konrad zauważył, że Berry cały czas wodził wzrokiem za Lauren, gdy tymczasem ona zgrabnie unikała go jak ognia. W końcu jednak stanęli naprzeciwko siebie i wtedy już panna Evans nie miała możliwości ucieczki.

„Po co tu przyszła, skoro nawet nie lubi tego faceta?” – zastanowił się Konrad, nie spuszczając wzroku z Lauren i jej rozmówcy. Ona uśmiechała się jak zawsze, pozwoliła się pocałować w dłoń, ale zaraz potem natychmiast odsunęła się od Berry’ego na bezpieczną odległość. W tej samej chwili jej postać zasłonił Rogowskiemu wianuszek mężczyzn, którzy ją otoczyli. Kątem oka widział za to Petera Jonesa, który wystrojony niczym dandys siedział przy stoliku

ze swoją uroczą narzeczoną. Jednak panna Betty Lee nie zajmowała go wystarczająco, bo raz za razem zerkał w kierunku Lauren.

– Pan jest tym nowym fotografem?

Konrad oderwał spojrzenie od Petera Jonesa i popatrzył wprost w błękitne kobiece oczy, mocno podkreślone czarną kreską.

– Nowym fotografem? – powtórzył, nieco zbity z tropu.

– Tym z „Vogue”.

Musiał przyznać, że wpatrująca się w niego nieznajoma była niezwykle urodziwa, z jasną alabastrową cerą, uszminkowanymi na czerwono ustami i kruczoczarnymi lokami wijącymi się wokół policzków. W dodatku suknię miała tak prowokującą, że Konrad przez tiul obszyty na dekolcie kryształkami dokładnie widział kształt jej piersi. I nawet jeśli nie chciał tam patrzeć, to jego wzrok mimowolnie i tak uciekał w to fascynujące miejsce. Jaskrawoczerwone usta rozszerzyły się w zalotnym uśmiechu.

– Moja sława mnie wyprzedza – rzekł z lekkim sarkazmem.

– Pan się dziwi? Te zdjęcia Lauren są znakomite. I nie jej w tym zasługa, chociaż widać, że starała się, jak mogła.

– Dziękuję. Myślę jednak, że w dużej mierze to zasługa panny Evans. Jest doskonałą modelką.

Rozmówczyni Konrada wydeła wargi. Widać było, że jego odpowiedź nie przypadła jej do gustu.

– Och, bo nie miał pan do czynienia ze mną. – Wyciągnęła do niego dłoń, której nadgarstek ozdobiony był szeroką, połyskującą złotem bransoletą. – Rachel Sobieski – przedstawiła się. – Słyszałam, że jest pan Polakiem, a ja mam takie ciekawe nazwisko. – Zaśmiała się zalotnie. – I uznaję to za znak, że powinniśmy się bliżej poznać.

- Konrad Rogowski. Czuję się zaszczycony, panno Sobieski - odparł z przesadną uprzejmością, ujmując jej dłoń i delikatnie muskając.

- Nie panna. Pani - poprawiła go. - Mój mąż gdzieś się tu kręci.

W tym momencie Konrad pomyślał, że musi się bardzo pilnować, by już ani razu nie zerknąć na kuszące kształty pani Sobieski, wyłaniające się spod olśniewającej sukienki. Nie miał ochoty nieopatrznie sprowokować czyjegoś męża, nawet jeśli pani Sobieski przywdziała tę kreację celowo, żeby doprowadzić innych mężczyzn do granic przyzwoitości.

- Chętnie zapozowałabym panu do zdjęć - rzekła przymilnie. - W ubraniu i bez, zależy od okoliczności.

Konrad skinął głową.

- Ostrzegam, że to może sporo kosztować - odparł.

- Zapłacę każdą cenę. Myślę, że jest tego warta.

- Być może przecenia pani moje umiejętności. W Nowym Jorku jest mnóstwo świetnych tutejszych fotografów, powiedziałbym nawet, że same talenty.

- Ale to pana zdjęcia w tej chwili zrobiły największą furorę. Nie wie pan, że idzie się do tego, kto jest na fali? Tak to działa.

Rogowski odchrząknął. Cała ta prowokująca rozmowa wydawała mu się wielce zabawna.

- Nie miałem pojęcia - odparł rozbrajająco szczerze i się uśmiechnął.

- Proszę się nie śmiać, bo może się pan zdziwić. Już i tak jest pan na językach całej obecnej tu socjety. Z pozoru nikt na pana nie patrzy, ale wszyscy pana widzą, bo przyszedł pan z nią. - To mówiąc, Rachel Sobieski zerknęła znacząco w stronę rozchwytywanej przez

mężczyzn Lauren. – Każdy zastanawia się, co was łączy. Czyżby coś... gorącego?

– Prócz tych wyjątkowych zdjęć, o których pani wspomniała, nic więcej.

– Ciekawe... – mruknęła kobieta i wsunęła mu do kieszonki fraka zwiniętą karteczkę. – Proszę mnie nie zawieść i... zadzwonić do mnie. Chętnie wejść z panem w taką samą relację jak nasza aktoreczka Lauren.

Nim się zorientował, Rachel już sobie poszła. Dostrzegł tylko, że w którymś momencie spotkała się z mężczyzną w mocno średnim wieku, który objął ją ramieniem. „Pewnie pan Sobieski” – pomyślał Konrad z nikłym uśmiechem. On sam postanowił wrócić do tego, co robił wcześniej, czyli obserwowania Lauren Evans. Tutaj przynajmniej mógł to robić bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

Wziął od kelnera szklankę z wodą i poszukał wzrokiem swojej towarzyski. Wciąż stała w tym samym miejscu, ale teraz obejrzała się przez ramię i popatrzyła na niego. Uśmiechnął się lekko, a ona odwzajemniła uśmiech.

Nie miał pojęcia, co tu właściwie robi. Niby przyszedł z nią, ale stał zupełnie z boku, z dala od toczących się rozmów. Nawet nikogo tu nie znał. Gdyby chociaż miał przy sobie aparat, mógłby zrobić parę ujęć, przezornie jednak nie zabrał go ze sobą, by nie prowokować. Wiedział, że ludzie z wyższych sfer finansjery byli na tym punkcie wyjątkowo przeculeni. Nie życzyli sobie, żeby ktoś fotografował ich na przyjęciach i w prywatnych kularach, a za każde takie zdjęcie gotowi byli podać fotografa do sądu.

Obserwował ich. Wpływowi, bogaci. Bardzo pewni siebie. Ludzie sukcesu. Nie było w nich widać wojennej traumy. Wojna nie

dotknęła żadnego z nich, nie odebrała im nawet małego kawałka ich bogatego życia. Owszem, mieli swoje Pearl Harbor, ale mimo wszystko Ameryka żyła pełnią życia, rozwijała się, biegła do przodu. Żadnych zbombardowanych miast ani milionów poległych. Ameryka nie przejmowała się zbrodniarzami wojennymi, bo Ameryka była w tej straszliwej minionej wojnie zwycięzcą. A zwycięscy o nic nie proszą. Zwycięscy rozdają karty jak te, które zostały rzucone na stół Japończykom po Hiroszynie czy Nagasaki. I to, czy któryś ze zwycięzców pochyli się nad ofiarą, zależy tylko od nich. Od ich dobrej woli bądź cynicznej gry.

Konrad wiedział, że nie powinien mieć pretensji o to, co przytrafiło się jemu i jego rodakom. Na pewno nie powinien mieć pretensji do tych zadowolonych z życia, ociekających bogactwem kapitalizmu Amerykanów, zgromadzonych na cholernie wystawnym przyjęciu w Waldorf Astorii. To nie oni dwie dekady temu wypuścili z klitek bestie komunizmu, faszyzmu i nazizmu. A jednak ich ostentacyjna beztroska, pewność siebie i zupełny brak poczucia jakiegokolwiek straty wzbudzały w nim niechęć i wzdarcę.

– Może kieliszek czegoś mocniejszego? – Tuż przed nim zjawił się kelner z tacą pełną trunków.

– Nie, dziękuję – odparł.

Wciąż patrzył na Lauren i zauważył, że w którymś momencie ona i Berry odsunęli się w kąt sali. Stali teraz sami, w półcieniu, i rozmawiali o czymś żywo. Jej twarz przypominała buzię porcelanowej lalki, była nieporuszona; jego oczy wpatrywały się w nią uporczywie. Berry zbliżał się do niej coraz bardziej, aż wreszcie wyciągnął dłoń i przesunął palcami wzdłuż jej nagiego

ramienia. Następnie przyciągnął ją do siebie i poprowadził w stronę parkietu.

Konrad odwrócił wzrok. Po co zgodził się z nią przyjść? Ma tu teraz stać bez sensu i gapić się, jak napaleni faceci próbują ją poderwać?

– Ciebie też złapała w swoje sidła?

Rogowski popatrzył na stojącego przed nim hollywoodzkiego amanta Petera Jonesa. Aktor był sam, bez swojej uroczej narzeczonej.

– Niby kto? – zapytał od niechcienia, choć wiedział, kogo Peter ma na myśli.

– Lauren, oczywiście. Ta modliszka każdego owinie sobie wokół palca.

– Mówi pan o sobie, panie Jones? Że to pana owinęła sobie wokół palca i tak to pana zmartwiło, że perfidnie postanowił ją pan porzucić?

Mężczyzna ironicznie zmarszczył brwi.

– Widzę, że chcesz udawać twardziela, ale bez przerwy się na nią gapisz. Nietrudno to zauważyć.

– Bo mnie o to prosiła – odparł Konrad. – Chciała, żebym miał oko na takich, co to nie potrafią trzymać rąk przy sobie – wyjaśnił oschle.

Wiedział, że nieco naciągnął rzeczywistość, ale nie musiał temu wypacykowanemu gogusiowi z Fabryki Snów tłumaczyć, że sam nie wie, po co tu jest. Swoją drogą był zły, że ktoś zauważył jego zainteresowanie Lauren. Chyba rzeczywiście wpatrywał się w nią zbyt uporczywie.

– Widziałem cię na premierze Nieczystej gry. Jesteś jej osobistym gorylem?

– Coś w tym rodzaju.

– W takim razie pewnie zainteresuje cię, że właśnie znikła gdzieś z Rickym. Podejrzewam, że raczej nie poszli zwiedzać, bo wpatrywał się w nią jak w łakomy kęs. Na twoim miejscu bym to sprawdził.

– Mam jej przerwać schadzkę?

– Znam ją dobrze i myślę, że ona nie życzyłaby sobie schadzki z kimś takim jak Rick Berry.

Konrad mimowolnie zacisnął szczęki i popatrzył na parkiet. Rzeczywiście nie było na nim ani Lauren, ani Berry'ego. Kiedy udało im się niezauważenie zniknąć? Pomyślał, że nie powinno go to obchodzić. Skoro Lauren postanowiła pójść gdzieś z bogaczem sam na sam, nic mu do tego.

– Panna Evans jest dorosła i może chodzić, dokąd chce – powtórzył przesadnie lekkim tonem, dopijając wodę.

Zamierzał stąd wyjść. Chciał już wrócić do domu. Uświadomił sobie, że nic tu po nim i że zgadzając się towarzyszyć Lauren, niepotrzebnie się wygłupił.

– Cieszę się, że pana poznałem, panie Jones – rzekł do Petera, wyciągając do niego rękę na pożegnanie.

– Już wychodzisz? – zapytał tamten, wyraźnie zaskoczony.

– Tak. Pewnie pan zauważył, że niekoniecznie wpasowałem się w tutejsze towarzystwo.

– Zauważyłem – przyznał z rozmysłem Jones. – Zastanawiałem się, po co właściwie tu jesteś.

Konrad nie odpowiedział. Zostawił Petera Jonesa i skierował się do wyjścia z sali balowej. Lecz we foyer, po którym kręcili się

hotelowi gości, dostrzegł znikającą w jednym z korytarzy czerwoną, połyskliwą sukienkę. W pierwszej chwili chciał to zignorować i tak jak sobie zamierzył – wyjść z hotelu, ale coś go powstrzymało. Dotarło do niego, że chyba jednak nie wypada zostawić Lauren bez słowa wyjaśnienia i bez pożegnania.

Udał się w kierunku, gdzie zniknęła aktorka. Do holu windowego dotarł, kiedy zamykały się drzwi jednej z wind. Nie zdążył. Stał więc i patrzył, na które piętro pojechała.

Po co Lauren udała się z Berrym do prywatnego pokoju, skoro wyraźnie go nie lubiła? Przecież Konrad widział, że próbowała trzymać faceta na dystans. Oczywiście nie powinno go to w ogóle zajmować, ale przypomniał sobie jej prośbę, którą wypowiedziała przy wejściu na przyjęcie: „Bądź przy mnie”.

Cholera, to nie jego sprawa, z kim ta hollywoodzka gwiazdeczka się spotyka. Przecież jego też niemal zaciągnęła do łóżka i gdyby jej nie powstrzymał...

Nacisnął guzik przywołujący windę.

ROZDZIAŁ 14

– Puść mnie! – Lauren syknęła wściekle, kiedy dłoń mężczyzny boleśnie zacisnęła się na jej nagim ramieniu.

Berry wywlókł ją z windy. Próbowwała się wyrwać, szamotała się, ale on trzymał ją zbyt mocno. Była pewna, że zaraz wykwitną jej na skórze siniaki. Oprawca ciągnął ją za sobą po pustym hotelowym korytarzu tak brutalnie, że bała się, iż wyrwie jej ramię ze stawu.

– Gdybyś była miłsza i bardziej posłuszna, nie musiałbym uciekać się do takich środków – wydyszał.

Lauren powoli traciła siły i równowagę. Wypiła alkohol, ale nie tyle, żeby nie była w stanie zapanować nad sytuacją. Jednak chwiała się na wysokich obcasach.

– W czym mam być posłuszna? – wycedziła przez zęby.

Z nienawiścią patrzyła na tego karzełkowatego mężczyznę, który z jakiegoś powodu uroił sobie, że spędzi z nią wieczór sam na sam w apartamencie. Kiedy jej to zaproponował podczas tańca, który zresztą również wymusił, natychmiast stanowczo odmówiła, ale jego to nie zniechęciło. Chwycił ją za ramię i nim się zorientowała, wyciągnął z sali balowej. Oczywiście nikt z gości nie zaprotestował, nikt nie pospieszył jej z pomocą, a przecież ktoś musiał dostrzec, że to się dzieje wbrew jej woli. Przez cały czas była przecież w centrum uwagi, więc jak to możliwe, że nagle wszyscy oślepli? A ona bała się krzyczeć z obawy przed kolejnym skandalem, którego tym razem nie dałoby się tak łatwo zatuszować konferencją prasową.

- Taylor mi ciebie obiecał. Mówił, że będziesz mi przychylna. Chyba wspominał, że od tego, co mi dzisiaj ofiarujesz, zależy twoja filmowa przyszłość?

- Nie jestem własnością Taylora! - odparła.

Berry zaśmiał się grubiańsko.

- Myślisz, że po co zorganizowałem to cholerne przyjęcie? Dla ciebie, ślicznotko! Żebyś tu przyszła! Chciałem cię wziąć po dobroci, obsypać komplementami i co tam jeszcze byś chciała... - Zatrzymał się gwałtownie i nim Lauren zorientowała się, co zamierza, chwycił ją wpół i przycisnął do ściany.

Próbowała się wyrwać, ale przygwoździł ją boleśnie ramionami, a ustami przyssał się do jej szyi. Poczowała jego alkoholowy oddech.

- Pragnę cię od dawna... Od kiedy cię zobaczyłem, myślę tylko o tym, żeby cię zerznąć... - Zaczął gwałtownie podwijać jej sukienkę.

Zagotowała się w niej wściekłość, a serce zadudniło w piersi. Próbowała go odepchnąć, ale był silniejszy, więc działając pod wpływem impulsu, wbiła mu obcas w stopę. Odskoczył jak oparzony, krzycząc z bólu i wściekłości.

- Ty cholerna dziwko!

- Ciesz się, że nie zrobiłam ci czegoś gorszego! - wycharczała i puściła się biegiem przed siebie.

Złapał ją w pół drogi do windy i szarpnął z całej siły za materiał sukienki, która rozdarła się na plecach na całej niemal długości.

- Zostaw! - krzyknęła w panice.

Upadła na kolana, a w tym samym momencie drzwi windy rozsunęły się i wyszedł z nich Rogowski. Przez krótką chwilę stał zdziwiony, analizując sytuację, lecz wtedy Lauren jęknęła i szybko

podniosła się na nogi, po czym dopadła do Konrada, wbijając paznokcie w jego ramię.

– Co tu się, u diabła, dzieje? – zapytał, szczerze poruszony, patrząc na wystraszoną aktorkę.

– Próbował mnie zgwałcić – wyszeptała, ciężko dysząc.

Nie patrzyła na Berry'ego, bo ogarnęły ją nagłe mdłości. Nie myśląc nad tym, co robi, ukryła twarz na piersi Konrada, a on odruchowo przycisnął ją do siebie ramieniem.

– Panie Berry, chyba nadużywa pan przywileju gospodarza – rzekł wściekle.

– Ta suka sama się o to prosiła!

– Obraża pan kobietę, która ufnie przyszła na pańskie przyjęcie, i w haniebny sposób naruszył pan jej cielesność!

Lauren czuła pod policzkiem, że Konrad napiął mięśnie, a serce biło mu w zawrotnym tempie.

– A kim ty jesteś, do cholery, żeby tak do mnie mówić? Kto cię tu w ogóle zaprosił?! Mogę z nią robić, co mi się podoba, i nic ci do tego! Na jedno moje słowo ta dziwka może boleśnie skończyć swoją gwiazdorską karierę!

– Nie zbliżaj się do mnie! – krzyknęła Lauren w panice, kiedy Berry zrobił kilka kroków w ich stronę.

– Ostrzegam, jeśli zbliży się pan jeszcze krok, to gorzko tego pożałuje! – Głos Rogowskiego brzmiał twardo i lodowato.

Berry wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu.

– Zapytaj jej, czy jest pewna, że chce stąd odejść, bo jeśli to zrobi, jej kariera będzie zrujnowana!

Konrad prychnął.

– To pańska kariera będzie zrujnowana, bo ja z przyjemnością zgłoszę się na policję i wyjaśnię szczegółowo, co tu się stało.

Berry zaśmiał się z sarkazmem.

– Nie zrobisz tego, chłoptasiu, bo moje wpływy sięgają dalej, niż ci się wydaje.

– Zrobię. Nie znam pana, panie Berry. Nie wiem, kim pan jest i co pan może, i szczerze powiedziawszy, niewiele mnie to obchodzi.

Konrad odwrócił Lauren w stronę windy; w tym momencie kobieta poczuła ostre szarpnięcie za ramię. Berry nie zamierzał dać za wygraną. Złapał ją za rękę i brutalnie przyciągnął do siebie. Nim zorientowała się, co się dzieje, otoczył ją ciasno ramieniem i przyłożył do jej policzka niewielki nóż sprężynowy. Jęknęła w panice i strachu. Czowała, że wszystko w niej tężeje. Niemal przestała oddychać, bojąc się, że zaraz poczuje na skórze ostre narzędzie.

– Wynoś się stąd! – syknął Berry do Rogowskiego. – Bo inaczej ślicznotka jeszcze bardziej popamięta! Chyba nie chcesz, żebym niechcący oszpecił jej piękną buźkę? Wiem, że ci przykro, że musisz mi ją oddać, bo pewnie podobało ci się zabawianie się z nią w łóżku, ale od teraz jest moja. Teraz ja będę się z nią zabawiał.

Lauren zauważyła, jak twarz Konrada zmienia się w jednej chwili. Nagle pojawiła się na niej dzika furia, a on sam rozrósł się niemal do monstrualnych rozmiarów. Wrzasnął wściekle i nim Berry zorientował się w sytuacji, walnął go z całej siły pięścią w szczękę. Tamten potoczył się na korytarz i stracił równowagę, a nóż wypadł mu z ręki. Lauren odskoczyła. W panice podniosła ostrze i ścisnęła je w dłoni.

Konrad ruszył miarowym krokiem za zataczającym się na czworakach gospodarzem. Lauren ze strachem stwierdziła w duchu, że jeśli Polak dopadnie Berry'ego, zwyczajnie go zabije. Podbiegła do Konrada i szarpnęła go za ramię.

– Chodź! Szkoda na niego życia – wyszeptwała gorączkowo.

Rogowski przez chwilę patrzył na nią nieprzytomnym wzrokiem. W pierwszym odruchu przeraziła się, bo uświadomiła sobie, że jeszcze nigdy nie widziała takiej zaciętości. Tak olbrzymiej, szalonej wściekłości. Ale im dłużej patrzyła mu w oczy, tym bardziej on się uspokajał. Jego oddech zwalniał. Wreszcie Konrad oderwał od niej ponure spojrzenie i popatrzył na wystraszonego Ricky'ego Berry'ego, któremu z nosa skapywała krew prosto na miękką wykładzinę.

– Dziękujemy panu za przyjęcie, ale raczej już pójdziemy – mruknął z ironią Konrad, oddychając głęboko.

Chwycił Lauren za rękę. Bez słowa oboje weszli do windy i zjechali do foyer. Następnie niemal wybiegli z hotelu, nie oglądając się za siebie. Przez jakiś czas szli wieczorną zatłoczoną ulicą, trzymając się za ręce i nie zważając na oglądających się za nimi przechodniów. Konrad usiłował złapać taksówkę. Lauren w którymś momencie pod wpływem silnych emocji poczuła nagłą słabość i osunęła się na bruk, ale mężczyzna pochwycił ją i podtrzymał przed upadkiem.

– Już dobrze. Jestem z tobą.

Przygryzła wargi, czując napływające do oczu łzy.

W końcu jakiś taksówkarz zlitował się nad nimi i zatrzymał samochód, a Konrad posadził Lauren na tylnym siedzeniu.

Lauren cała się trzęsła. Dopiero w taksówce uświadomiła sobie, że w dłoni bezustannie ściska nóż. Dygocząc, podała go Konrowi,

a ten bez słowa schował go do kieszeni fraka, jakby to była zwykła chusteczka. Nie odzywali się do siebie, lecz ona odruchowo oparła głowę na jego ramieniu. Kiedy wyszli z taksówki, znów zachwiała się, więc Konrad wziął ją na ręce i zaniósł do apartamentowca.

Teraz, leżąc w łóżku, w na wpół rozerwanej sukni, Lauren patrzyła na spowitą w mroku sylwetkę Konrada Rogowskiego i nie mogła nazwać uczuć, jakie kłębiły się w jej głowie. Jeszcze godzinę temu widziała swego towarzysza w stanie absolutnej wściekłości, gotowego rozszarpać gołymi rękoma Berry'ego. A teraz Konrad był spokojny i opanowany. Oraz czuły. Bo zanim położył ją na łóżku, wpierw upewnił się, że nic jej nie jest, że ten bydlak nie zrobił jej krzywdy.

– Przykro mi, że cię w to wplątałam – powiedziała żałośnie, przygryzając wargę.

– Przykro mi, że cię to spotkało – odparł.

Lauren poczuła, że coś gwałtownie ścisnęło ją za gardło. Boże, gdyby tylko wiedział, ile już razy była w takiej sytuacji. Ile razy opędzała się od nachalnych facetów, od ich brutalnych dłoni, obrzydliwych spojrzeń, zapalczywych zamiarów. I ciągle słyszała, że to cena, którą musi zapłacić, jeśli chce coś znaczyć. Bo jest piękna, więc inni mają do niej prawo. Kiedyś, przed laty, dokładnie to samo musiała znosić jej matka.

– Zostań dzisiaj ze mną – poprosiła cicho, patrząc mu głęboko w oczy. – Nie chcę być sama.

Łagodnie przejechał kciukiem po jej policzku.

– Nie mogę zostać. Muszę wrócić do domu. Do córki.

Lauren uśmiechnęła się przez łzy.

– Masz córkę? Opowiedz mi o niej.

Westchnął. Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, aż wreszcie pokiwał głową.

– Innym razem. Teraz spróbuj zasnąć.

Zamknęła oczy i poczuła, jak gładzi ją po włosach. Ten dotyk był delikatny, czuły.

Nawet jeśli Konrad chciał jej powiedzieć coś jeszcze, to nie zrobił tego. Po prostu wstał i wyszedł. A ona poczuła, że po jej policzkach spływają gorące łzy. Żal ogarnął ją tak nagle, że nie umiała tego powstrzymać. Odruchowo otworzyła dłoń, która wciąż bolała od zbyt mocnego ściskania noża, którym Berry próbował ją okaleczyć.

Później starała się zasnąć, ale nie mogła. Skuliła się pod kołdrą, bo zrobiło jej się nienaturalnie zimno, choć w pokoju było ciepło. Ona jednak dygotała i kuliła się w sobie. Wciąż zdawało jej się, że czuje na sobie brutalny dotyk męskich palców i ostrze małego noża tuż przy swoim policzku. Ów dotyk był zapowiedzią tego, co miało się wydarzyć. I co już raz się wydarzyło dawno temu. Zamykała oczy i jak na zawołanie widziała przed sobą twarde, odzierające z godności spojrzenie. Czuła paraliżujący strach i ból, który rozrywał ją na strzępy. Czuła oślizgły dotyk, przyspieszony oddech. Wciąż była jedynie obiektem zwierzęcego pożądania, przedmiotem, po który można sięgnąć bez pytania o zgodę. Nikim więcej.

* * *

Konrad wszedł do mieszkania. Już w progu zdjął marynarkę eleganckiego fraka, jakby go parzyła. W jego ciele wciąż gotowała się wściekłość. Po co dał się w to wciągnąć? Po jaką cholerę poszedł z Lauren Evans na to przyjęcie i pozwolił, żeby wplątała go we własne kłopoty? Z drugiej strony, gdyby go tam nie było... Nie chciał

nawet myśleć o tym, co ten bydlak mógł jej zrobić. Przecież nikt, absolutnie nikt z gości nie pofatygował się, by jej pomóc. Jedynie Peter Jones niby od niechcienia napomknął, że Lauren zniknęła z gospodarzem przyjęcia, a to znaczyło, że aktor się domyślał, co się mogło wydarzyć. Sam jednak nie zrobił nic.

Dotąd Konrad nie patrzył na Lauren Evans jak na ofiarę. Widział w niej jedynie piękną i nieco próżną kobietę, sławną aktorkę, obiekt uwielbienia i męskich fantazji, którym sam byłby się poddał, gdyby nie miał dość zdrowego rozsądku. Nigdy jednak nie zastanawiał się szczególnie nad tym, jak wygląda życie kogoś takiego jak ona. Aż do teraz.

Kiedy zobaczył, jak ten drań Berry przyciska nóż do jej policzka, coś się w nim obudziło. Dawne, zapomniane demony dały o sobie znać. Konrad widział już wokół siebie tyle śmierci i gwałtu, tyle okrucieństwa, jakie niosła ze sobą wojna, że incydent z Lauren nie powinien robić na nim wrażenia. A jednak poruszył go głęboko i na nowo obudził instynkt nakazujący walczyć. Nie zapanował nad sobą, nad własną wściekłością, i gdyby Lauren go nie powstrzymała, pewnie teraz siedziałby w nowojorskim areszcie za brutalne pobicie albo próbę zabójstwa.

Odetchnął głęboko i potarł twarz dłońmi. Nie zapalał światła, żeby nie budzić Heleny, i po ciemku wszedł do kuchni. Zdziwił się, kiedy przy stole zobaczył pochyloną, wspartą na łokciu postać.

– Hela? Co tu robisz? Czemu nie śpisz?

– Nie mogłam zasnąć. Czekałam na ciebie. – W głosie kobiety słychać było znużenie.

– Po co? Mówiłem, że wrócę późno.

Konrad nacisnął włącznik światła. Helena uniosła głowę i spojrzała na niego, mrużąc oczy. Włosy miała splecione w warkocz, ubrana była w koszulę nocną i podomkę.

– Coś się stało? Coś z Emilką?

Helena pokręciła głową.

– Nie. Emilka śpi. To ze mną jest coś nie tak.

Konrad na moment wstrzymał oddech. Przyjrzał się szwagierce, próbując doszukać się w jej twarzy oznak złego samopoczucia czy ewentualnej choroby. Kiedy niespodziewanie wstała od stołu, cofnął się o krok. W jej spojrzeniu było coś, co nakazało mu wzmóc czujność. Widział to niekiedy już wcześniej, ale nigdy tak wyraźnie. Helena patrzyła na niego z lękiem zmieszonym z czymś jeszcze. To coś sprawiło, że stężyły mu wszystkie mięśnie.

– Zastanawiałam się, czy wrócisz do domu na noc – odezwała się z nutką pretensji w głosie.

– Mówiłem, że wrócę.

– Ale nie byłam tego pewna. Jestem zazdrosna.

Konrad zmarszczył brwi i odchrząknął.

– Hela, to, co mówisz, jest niedorzeczne.

Podszedł do kuchni i nastawił wodę na herbatę. Nie był głodny, ale miał ochotę napić się czegoś ciepłego.

Odwrócił się i zobaczył, że Helena stoi tuż przy nim, na wyciągnięcie ręki. Miał wrażenie, że oddycha zbyt szybko, bo jej pierś wznosiła się i opadała jak po szybkim biegu. Na policzki wystąpiły rumieńce. Nim się zorientował, co zamierza, wspięła się na palce i przycisnęła swoje usta do jego ust. Odepchnął ją tak gwałtownie, że się zachwiała.

– Co ty robisz? – zapytał wstrząśnięty.

Jej wargi drżały, a oczy rzucały iskry.

– Nie chcę, żebyś robił to z innymi kobietami!

– Co?!

– Chodził z nimi do łóżka.

Patrzył na nią coraz bardziej zdumiony. Ta sytuacja wydała mu się groteskowa.

– Heła, skończmy tę nedorzeczną rozmowę i idźmy spać – rzucił i wrócił do parzenia herbaty.

Gdy brał do ręki kubek, zauważył, że dłonie drżą mu nienaturalnie.

– Nie chcę. Chcę być z tobą. Powinniśmy być razem, Konradzie.

Spojrzał na nią ponownie i uświadomił sobie, że Helena mówiła serio. W całej jej postawie widać było pragnienie, gotowość dania mu tego, czego on od niej nie chciał. Boże, uważał to wręcz za nedorzeczne!

Wzdrygnął się.

– Przestań! – upomniał ją ostro. – Idź spać i zapomnijmy o całej sprawie.

– Nie! – Doszła do niego i zaborczo chwyciła go za ramię. Jej szare oczy błyszczały gorączkowo. – Mieszkamy razem, żyjemy ze sobą jak mąż i żona...

– Nie jak mąż i żona – poprawił ją sucho, chłoszcząc surowym spojrzeniem. – Jesteś siostrą mojej żony.

– Ona nie żyje. A ja tu jestem. Każdego dnia...

Konrad odchrząknął. Czuł coraz większe zdenerwowanie. Nie spodziewał się po sobie takiej reakcji.

- Mieszkamy razem, bo tak jest łatwiej i bezpieczniej. Jeśli masz potrzebą spotykania się z kimś, chodzenia na randki, to rób to. Ja nie mam nic przeciwko.

Helena skrzywiła się na tę uwagę, wyraźnie zgorazona.

- Chyba wiesz, że ludzie gadają, że my...

- Niech gadają! Przecież nie jesteśmy w Polsce!

- Ale ja nie chcę, żeby o mnie gadali! Żeby wytykali mnie palcami! Jestem uczciwą kobietą i pragnę... Być z tobą. Myślałam, że po to mnie tu zabrałeś... Żebyśmy byli razem. Myślałam, że mogę zastąpić ci Annę.

Konrad patrzył na Helenę kompletnie oniemiały. Nie wierzył w to, co właśnie usłyszał, choć powinien był to przewidzieć. To naturalne, że kiedy dwoje ludzi jest ze sobą na co dzień, coś takiego musi nastąpić... Przynajmniej po jednej ze stron. Jaki był głupi, że o tym nie pomyślał! A teraz stał i patrzył niemo na owładniętą pragnieniem kobietę, która bezceremonialnie oferowała mu siebie. Przez głowę przemknęło mu, że niedawno podobnie potraktowała go Lauren. Tylko że ona chciała go na jedną noc, a Helena najwyraźniej życzyła sobie czegoś znacznie poważniejszego.

- Jutro z samego rana zacznę szukać innego mieszkania – rzekł ochryple. – Wyprowadzę się z Emilką najszybciej, jak to możliwe.

- Nie! – zawołała Helena niemal histerycznie. – Nie, nie zostawiaj mnie. Jeśli odejdziesz i zabierzesz Emilkę, nie zniosę tego.

- Po tym, co się właśnie stało, nie możemy żyć razem pod jednym dachem.

Twarz Heleny zrobiła się blada.

- Możemy – odparła kobieta piskliwie. – Skoro nie da się inaczej, to... Nie zmieniajmy tego, co jest. – Z jej oczu popłynęły łzy. –

Myślałam, że my...

Konrad przez chwilę stał w bezruchu, aż wreszcie instynktownie objął Helenę i przytulił.

– Już dobrze. Rozumiem. Przepraszam, ale... Nie mogę inaczej. Nie chcę zmieniać tego, co jest. Jeśli chcesz, to zostaniemy z Emilką i nadal będziemy żyć jak do tej pory. Ale jeśli uznasz, że powinienem się wyprowadzić... Powiedz mi o tym.

– Nie będziemy już do tego wracać – odparła ściszym głosem, spuszczając głowę.

Wyślizgnęła się z jego objęć i nim się zorientował, wybiegła z kuchni.

Konrad zaparzył herbatę. Nastrój miał wyjątkowo podły. Najpierw Lauren, teraz Helena. Do diabła! Jak to możliwe, że po tym wszystkim, co przeżył w ciągu ostatnich lat, kiedy zdecydował się żyć jak mnich, kiedy obiecał sobie, że już nigdy nie zwiąże się z żadną kobietą, one pchały mu się w ramiona? A on miał świadomość, jak to wszystko się skończy. Już raz unieszczęśliwił kobietę i nie zamierzał powtórzyć tego błędu. Wiedział również, że nie może zostawić spraw swojemu biegowi, bo to była prosta droga do katastrofy.

Pijąc gorącą herbatę, postanowił, co dalej. Musiał poukładać sprawy zdrowotne Emilki i jak najszybciej pomyśleć o wyprowadzce do innego mieszkania.

ROZDZIAŁ 15

Lauren siedziała w negliżu pośród rozgrzebanej pościeli, obejmując ramionami podwinięte kolana. Była u siebie, we własnej sypialni, ale nachalna obecność Richarda Taylora czyniła jej to miejsce nienawistnym. Tylko siła woli powstrzymywała ją przed tym, żeby nie zerwać się i nie uciec, byle dalej od jego przytłaczającej osoby. Wbiła palce w skórę ramion tak mocno, że czuła raniące ją paznokcie. Znow coś ją paraliżowało, nie pozwalało wyrzucić z siebie gniewu, który narastał w niej jak balon. Miała na sobie koszulę nocną, ale przy Richardzie czuła się jak zupełnie naga, obnażona z resztek godności. Przytłaczał ją i zawstydział, kiedy wodził bezczelnym spojrzeniem po jej półnagim ciele. Jakby to on decydował, nie ona. Jakby rościł sobie pełnię praw do jej twarzy, piersi, ud, bo uważał się za jej stwórcę. Rzadko inicjował kontakt fizyczny, nigdy też nie próbował się do niej dobierać, jak robili to inni mężczyźni, i Lauren dość szybko zrozumiała dlaczego. Richard nią gardził, bo wiedział, kim była, zanim zrobił z niej sławną aktorkę, i często jej o tym przypominał. Z jednej strony odczuwała ogromną ulgę, że nigdy nie zmuszał jej do seksu, z drugiej zaś upokorzenie, jakie odczuwała, gdy zachowywał się z wyższością, dławiło ją, a jej poczucie wartości sięgało bruku.

Teraz, próbując opanować napływające do oczu łzy, starała się nie myśleć o tym, że chwilę temu Richard uderzył ją w twarz i że gwałtowny, pulsujący ból szczęki przyprawił ją o mdłości. Agent

zrobił to zaraz po tym, jak nieproszony wkroczył do jej sypialni. Pokojówka jeszcze nie przyszła, bo pora była zbyt wczesna, nie mogła go więc wpuścić ani tym bardziej powstrzymać przed wtargnięciem, ale Lauren mgliście przypomniała sobie, że kiedy Konrad wychodził z jej apartamentu, nie zamknęła za nim drzwi. Nie miała wówczas siły zwlec się z łóżka. Richard więc bez problemu wszedł do jej mieszkania.

Wyszarpnął ją z pościeli, jeszcze śpiącą i otępiałą po wypitym kilka godzin wcześniej alkoholu, a potem bez słowa wyjaśnienia uderzył w twarz, aż ponownie opadła na łóżko jak szmaciana lalka.

Była tak wstrząśnięta, że na moment zupełnie straciła oddech. Czuła tylko obezwładniający ból. W końcu, gdy pierwszy szok minął, podniosła się na łóżku i rzuciła się na agenta z pazurami. Jednak Richard niemal natychmiast złapał ją za nadgarstki i unieruchomił. Był dużym mężczyzną, więc nie miał żadnego problemu z obezwładnieniem jej.

– Ty głupia suko! Jutro z samego rana zadzwonisz do Ricky’ego Berry’ego z przeprosinami, a wieczorem pójdziesz do niego i ukorzysz się za swoje zachowanie!

– Wynoś się z mojej sypialni! Z mojego mieszkania! Teraz! – wysyczała przez zaciśnięte zęby, dygocząc ze złości. – Nie chcę cię tu widzieć!

W odpowiedzi tylko uśmiechnął się pogardliwie. Jednym ruchem rozsunął ciężkie story i wpuścił do sypialni jasne światło słońca, które na moment oślepiło Lauren. Skapitulowała, widząc, że mężczyzna nie zamierza wyjść. Rozsiadł się w fotelu naprzeciwko łóżka, nonszalancko założył nogę na nogę i utkwiał w niej twardy wzrok. Po chwili wyciągnął papierosa ze złotej papierośnicy.

A ona usilnie próbowała ukryć przed nim upokorzenie.

- Więc jak już ustaliliśmy, jutro pójdziesz do pana Berry'ego i ładnie go za wszystko przeprosisz - oświadczył Richard, wydmuchując dym. - Również za to, że jakiś pierdolony frajer, z którym poszłaś na przyjęcie, rozkwasił mu nos. Jak się domyślasz, pan Berry musiał skorzystać z pomocy lekarza.

- Nigdzie nie pójde - wycharczała, czując suchość w gardle.

Richard skrzywił się z niezadowoleniem i odłożył papierosa do popielniczki. Niespiesznie wstał z fotela i zbliżył się do niej.

Lauren skuliła się instynktownie, z obawy przed kolejnym ciosem, ale on tylko ujął ją pod brodę i zmusił, żeby na niego spojrzała.

- Coś mówiłaś? Bo chyba nie dosłyszałem. - Jego pociągła twarz była teraz blisko jej twarzy.

Lauren widziała, jak prześlizgnął się wzrokiem po miejscu, w które chwilę temu ją uderzył. Boleśnie potarł kciukiem jej wargi, po czym wsunął palec między jej zęby.

Zadygotała z obrzydzenia. Szarpnęła go za rękę i odsunęła ją od swojej twarzy.

- Nigdzie nie pójde! - wycedziła. - Berry próbował mnie zgwałcić.

- Pójdziesz. - Taylor popatrzył jej głęboko w oczy. - Pamiętasz nocny klub osiem lat temu? Pamiętasz, co tam robiłaś, gdy cię znalazłem? Pomyśl, co byś robiła teraz, gdybym cię wówczas stamtąd nie wyciągnął. A dzięki mnie co masz? Sławę, klejnoty i szafy wypełnione luksusowymi fatałaszками.

Lauren ogarnęła kolejna fala mdłości. Gniew coraz bardziej rozsadał ją od środka. Policzek palił ją i najwyraźniej puchł od

uderzenia.

– Nie pójdę! – powtórzyła. – Nie dam się zaszantażować ani zgwałcić i jedyne, co jutro zamierzam zrobić, to skontaktować się ze swoim adwokatem – powiedziała to bez większej refleksji, ale kiedy to zrobiła, z satysfakcją dostrzegła, że przez twarz jej agenta przemknął nagły grymas.

– W jakim celu? – zapytał.

– W celu złożenia za jego pośrednictwem oficjalnej skargi na Ricky’ego Berry’ego za napaść i próbę gwałtu, a ponadto za grożenie mi nożem. Na ciebie również złożę skargę. Za próbę szantażu. Chyba nie muszę ci wyjaśniać, że to definitywnie zakończy naszą dotychczasową współpracę.

Richard sarkastycznie wykrzywił usta.

– Jeśli to zrobisz, będziesz skończona.

– Zaryzykuję.

– Nie radzę. Taki rozgłos tylko ci zaszkodzi, a ty potrzebujesz aplauzu, nie skandalu. Sama mówiłaś, że zależy ci na kolejnej roli, bo chcesz ugruntować swoją pozycję.

– Ale nie za wszelką cenę! Nie pozwolę, żeby ten bydlak mnie zgwałcił! Nie dam się upokorzyć. Już to, że wysłałeś mnie tam samą, wiedząc, co on zamierza, powinno przekreślić naszą współpracę raz na zawsze! Nie jesteś lepszy niż ci wszyscy alfonsi, którzy...

– A za kogo ty się uważasz? – przerwał jej. – Myślisz, że możesz dorównać takim gwiazdom jak Greta Garbo czy Rita...

– Mogę! – odparowała zimno. – Ale nie na twoich warunkach. Mam swoją godność.

Taylor zaśmiał się pogardliwie.

- Godność! A gdzie ją miałaś, kiedy tańczyłaś półnago w nocnym klubie, a napaleni faceci wkładali ci banknoty za obcisły gorset?

- Żaden z nich nigdy mnie nie zgwałcił! Żaden mnie nawet nie dotknął!

Richard przez chwilę mierzył ją uważnym wzrokiem, jakby próbował oszacować, na ile jej wściekłość jest prawdziwa. W końcu odsunął się i ponownie usiadł w fotelu.

- Więc co proponujesz? - zapytał już innym tonem, znowu ujmując w palce papierosa.

Lauren odetchnęła. Był skory do rozmowy, a to znaczyło, że odpuszczał. Już na tyle go poznała, by to wiedzieć.

- Zamierzam skontaktować się z adwokatem. Jeszcze dziś zadzwonię do niego i poproszę, żeby przyleciał do Nowego Jorku.

Mężczyzna zmrużył oczy.

- Naprawdę zamierzasz wnieść skargę? Czy to nie jest zbyt pochopna decyzja? Kogo zatrudnisz na moje miejsce? Kto będzie chciał z tobą współpracować, gdy wszyscy się dowiedzą, że mają do czynienia z pospolitą dziwką, której matka...

- Nie waż się wspominać o mojej matce!

- Chyba nie sądzisz, że po tym, jak zerwiesz ze mną współpracę, będę milczał o twoim życiu, Laro Petersen? Może ty już nie pamiętasz, skąd pochodzisz, ale ja pamiętam doskonale! I wiem, co zrobiła twoja matka, choć tak głęboko próbujesz to ukryć!

Lauren przełknęła ślinę.

- Nie wstydzę się tego, kim jestem i skąd pochodzę.

- Nie? Więc dlaczego tak skutecznie unikasz pytań dziennikarzy o miejsce urodzenia i twoje prawdziwe nazwisko? Ja to wszystko wiem, laleczko, ale oczywiście jeszcze w ramach naszej współpracy

trzymam ten sekret dla siebie. Do czasu. – Uśmiechnął się pobłażliwie, a ona poczuła, że w tym momencie nienawidzi go z całych sił.

– Dobrze wiesz, że ujawnienie tych informacji wywołałoby niepotrzebną sensację.

– Och, wiem... A ciebie postawiło w niekorzystnym świetle. Po takiej rewelacji raczej nie mogłabyś czuć się bezpiecznie. Poza tym pomyśl: który reżyser zechce współpracować z aktorką, która ukrywała swoje pochodzenie? Która wstydziła się własnej matki? Radzę ci się dobrze nad tym zastanowić, laleczko.

– Nie pozwolę traktować się jak dziwka! Co niby miałam zyskać w zamian za pójście do łóżka z Berrym? Główną rolę z intratnym kontraktem, na którym ty zarobiłbyś najwięcej?

Richard zaciągnął się i wypuścił dym.

– Sama wiesz, jak działa ta branża. Jeszcze jedna, dwie takie role jak ta w Nieczystej grze i już nic nie będziesz musiała robić. Wtedy będziesz mogła udawać świętoszkę, a nawet ogłosić oficjalnie, że nadal jesteś dziewicą. Gdyby nie ja, nie osiągnęłabyś nawet połowy tego, co masz teraz. Pamiętaj, że to ja wyciągnąłem cię z tego burdelu, opłaciłem ci szkołę aktorską w Los Angeles i pociągnąłem za odpowiednie sznurki, żeby którykolwiek z reżyserów zechciał na ciebie spojrzeć. Beze mnie jesteś nikim, laleczko!

Lauren zignorowała jego słowa. W milczeniu wstała z łóżka i trzymając się za obolałą szczękę, zamknęła się w łazience. Obawiała się, że Richard mógłby chcieć tu wejść. Z niemym szlochem osunęła się na lśniąca posadzkę. Nie wiedziała, ile czasu tak leżała, czując na całym ciele chłód łazienkowych płytek i próbując opanować płynące

po policzkach łzy, które teraz wydobywały się z niej wartkimi strumieniami. W końcu usłyszała delikatne pukanie do drzwi.

– Panno Evans? To ja, Mary. Czy potrzebuje pani czegoś?

– Jesteś sama, Mary?

– Tak.

Lauren z trudem dźwignęła się i otworzyła drzwi. Na jej widok Mary spojrzała zdumiona.

– Co się pani stało? Pani twarz...

– To nic.

Lauren podeszła do lustra w złoconej ramie i spojrzała na swoje odbicie. Wyglądała strasznie. Oczy miała opuchnięte i przekrwione, wargi napuchnięte od płaczu, a żuchwa z prawej strony była nabrzmiała i czerwona. Włosy w kompletnym nieładzie okalały jej twarz. Bezwiednie zaczęła dygotać.

Mary na moment zniknęła gdzieś w głębi apartamentu, a po chwili pojawiła się z woreczkiem wypełnionym kostkami lodu.

– Proszę to przyłożyć. Opuchlizna powinna zejść.

– Dziękuję, Mary.

Pokojówka patrzyła na Lauren z wyraźnym współczuciem i niepewnością, jakby nie wiedziała, jak się zachować, co powiedzieć lub co zrobić, żeby ulżyć swojej pani. W końcu podeszła do niej i mocno ją przytuliła.

– To pan Taylor, prawda? – zapytała. – To on panią uderzył? Minęliśmy się w drzwiach. Kazał pani powiedzieć, że nie musi pani dzwonić do pana Berry’ego ani do niego jechać. Że on chwilowo zapomina o sprawie, ale wróci do niej.

Lauren westchnęła ciężko, przesuwając palcami po twarzy. Z wdzięcznością przyjęła od Mary woreczek z lodem i przyłożyła do obolałej brody. Pomyślała o Konradzie Rogowskim. O tym, że bardzo chciałaby, aby był tu z nią. Gdyby jej w nocy nie zostawił, Richard nie miałby sposobności, żeby ją uderzyć, a ona czułaby się bezpieczniej. Wiedziała jednak, że Konrad nie mógł być z nią zawsze. Nie mógł i nie chciał. Tyle już zdążyła wyczytać z jego pełnego rezerwy zachowania. A ona... Pragnęła jedynie bliskości.

Mary bez słowa odkręciła złoty kurek przy wannie i dodała do strumienia wody kilka kropel pachnących olejków.

- Potrzebuje pani porządnej kąpieli, panno Lauren.

„Potrzebuję czegoś, co sprawi, że stanę się odporna na grubiaństwo mężczyzn” – pomyślała Lauren ponuro. Jej matka nigdy się na to nie uodporniła. Była wrażliwa i delikatna jak motyl i to ją złamało. Przez to stała się nieuleczalnie chora i głęboko nieszczęśliwa. Lauren nie chciała popełniać jej błędów, choć wiedziała, że jest do swojej rodzicielki bardzo podobna. Inga Petersen też pragnęła sławy i lepszego życia, choć świat, w którym żyła, znacznie różnił się od tego, w jakim przyszło funkcjonować jej córce. W dodatku uroda i ślepa miłość doprowadziły Ingę do osobistej katastrofy. Lauren zastanawiała się, czy nie odziedziczyła po matce genu, który przyciągał do niej niewłaściwych mężczyzn i czynił ją samotną i nieszczęśliwą. Myślała o tym również wtedy, kiedy zanurzyła się w kąpieli, która miała przynieść ukojenie, ale okazała się nieskuteczna.

Tego dnia Lauren nie była w stanie wyjść dokądkolwiek ani z kimkolwiek rozmawiać. Ubrała się niespiesznie, zażyła dawkę luminalu, który zapisał jej prywatny lekarz w Los Angeles, i położyła

się na tarasowym szezlongu. Czuła się otępiała, zarówno pod wpływem działania barbituranu, jak i po wszystkim, co się w ciągu ostatnich kilkunastu godzin wydarzyło. Nawet kiedy zadzwoniła Lizzie, Lauren poprosiła Mary, żeby ta przekazała przyjaciółce, iż do niej oddzwoni. Koniec końców nie zrobiła tego. Nie była w stanie. Nie wiedziała, co miałyby jej powiedzieć. Że czuje się przygnębiona, bo jeden facet próbował ją zgwałcić i ranić nożem, a drugi uderzył ją w twarz? Że obaj potraktowali ją jak dziwkę?

Późnym wieczorem, kiedy Mary już skończyła pracę i wyszła, zadzwonił Peter Jones.

– To ty? – zapytała zaskoczona Lauren.

Odebrała telefon tylko dlatego, że spodziewała się usłyszeć w słuchawce głos Lizzie. Kiedy rozpoznała Petera, jej przygnębienie sięgnęło zenitu, choć równocześnie po jej ciele rozlała się nagła fala gorąca. Dzień wcześniej starała się nie myśleć, że Peter też był na przyjęciu. Unikała jego towarzystwa, nie patrzyła w jego kierunku, ale i tak podskórnie czuła jego obecność, a to uświadamiało jej, że wciąż za nim tęskni. Bardzo. A teraz jego niski głos przypomniał jej o tym dobitnie.

– Chciałem zapytać, czy wszystko w porządku.

– A czemu miałoby nie być?

– Bo wczoraj tak nagle zniknęłaś. Nikt nie wiedział, co się stało. Berry też zniknął.

– A co cię to obchodzi? – zapytała znużonym głosem.

Wciąż czuła ból w żuchwie. Jedynie opuchlizna nieco zeszła.

– Bo coś nas jednak łączyło, więc mam prawo się o ciebie martwić.

- A zatem przestań to robić, bo twoja narzeczona może poczuć się zazdrosna. - Lauren bez ogródek odłożyła słuchawkę na widełki i zapatrzyła się w przestrzeń przed sobą, na przejrzyste wieczorne niebo.

Czy Richard rzeczywiście byłby zdolny do tego, żeby ją skompromitować? Czy upubliczniłby informacje na temat jej pochodzenia? Takie newsy z pewnością wywołałyby burzę, bo tak naprawdę oprócz niego i garstki ludzi, z którymi Lauren miała do czynienia jeszcze w czasach wczesnej młodości, nikt nie wiedział, że kilkanaście lat temu przyjechała do Nowego Jorku z Niemiec - a raczej uciekła, bo tego, jak wydostała się z matką z Berlina w trzydziestym szóstym roku, nie można było nazwać inaczej jak tylko spektakularną ucieczką. Tamten rozdział swojego życia Lauren starała się skutecznie wymazać z pamięci. Zapomnieć, że kiedyś była kimś innym. Że żyła na innych zasadach. Ale zdarzały się chwile, kiedy zaciskała mocno powieki i wywoływała w pamięci obrazy dzieciństwa. Widziała wówczas monumentalny gmach teatru, czuła zapach drewnianych parkietów i przykurzonych aksamitnych foteli. Wyobrażała sobie siebie, jeszcze jako dziecko, chowającą się za ciężką sceniczną kotarą i obserwującą uderzająco piękną matkę. Widziała tonącą w bogactwie świateł wielką scenę, otaczającą ją złote balkony, łoże i potężny kryształowy kandelabr, rzucający blask na szanowną widownię. Jej matka była wówczas w centrum, królowała na scenie, wzbudzała zachwyt, zazdrość i pożądanie. Była ucieleśnieniem męskich fantazji. Była tym, czego ludzie pragnęli.

Lauren odetchnęła kilka razy. Ciągnęło ją, żeby podejść do barku i nalać sobie lampkę czegoś mocniejszego. Wtedy ból głowy na pewno zniknąłby jak ręką odjął. Może nawet przestałaby czuć

pulsowanie w obolałej szczęce. Gdyby tak mogła znieczulić się na dłużej...

* * *

– Mój Boże, Lauren! Kochana moja!

Lauren poruszyła się w pościeli i uniosła sklejone powieki. Mętnym wzrokiem popatrzyła na Lizzie, która pochylała się nad nią z wielce zatroskaną miną.

– Lizzie... Co tu robisz?

– Och, skarbie! – Przyjaciółka przysiadła na łóżku i pogładziła ją po spoconym czole, do którego kleiły się kosmyki włosów. – Mary mnie wpuściła. Rozmawiałam z nią wcześniej. Powiedziała mi, co się dzieje, kiedy nie odbierałaś telefonów. Czułam, że coś jest nie tak.

Lauren odwróciła się plecami do przyjaciółki i zwinęła w kłębek. Nie miała siły nic mówić ani nawet patrzeć.

– Podobno od trzech dni nie wychodzisz z sypialni. Prawie nie jesz, tylko pijesz...

– Lizzie... To nie twoja sprawa.

– Owszem, moja, kiedy widzę, że najlepsza przyjaciółka próbuje się zabić!

– Nie próbuję się zabić...

– A jak inaczej nazwiesz to, co ze sobą robisz? Twoja pokojówka jest w rozpacz! W ostatniej chwili powstrzymałam ją przed wykonaniem telefonu do szpitala, bo była gotowa cię tam zawieźć! Ale wiem, że to by ci w tej chwili nie pomogło, a jedynie wywołało medialną burzę.

– Lizzie... – Lauren poruszyła się niezgrabnie. – Po prostu za dużo wypłam. Przeholowałam z alkoholem, ale to nic takiego.

- Owszem, przeholowałam. I nie wyjdę stąd, dopóki nie doprowadzę cię do porządku!

Lauren jęknęła. Miała wrażenie, że znów traci kontrolę nad świadomością. Mdłości szarpały jej ciałem i po chwili zwymiotowała resztki tego, co zostało w jej żołądku. A potem rozplakała się przed najlepszą przyjaciółką, czując głębokie upokorzenie.

- Już dobrze, kochanie, już dobrze - szeptała gorączkowo Lizzie.
- Mary! - przywołała pokojówkę. - Pomóż mi, trzeba to posprzątać.

Kilka godzin później już bardziej przytomna, po kąpieli i spożyciu kilku łyżek ciepłego bulionu Lauren odpoczywała na tarasie, owinięta w miękki pulower. Lizzie siedziała tuż obok niej na fotelu.

- Powinnaś natychmiast zerwać z nim kontrakt - rzuciła stanowczo, wysłuchawszy historii z Taylorem. - Po tym, co ci zrobił, nie ma mowy, żebyś nadal z nim współpracowała.

Lauren poczuła znużenie tak ogromne, że z trudem udało jej się je opanować. Ogarniała ją senność, osłabione ciało wciąż domagało się odpoczynku. Była wdzięczna przyjaciółce, że ta spędziła z nią kilka godzin, próbując postawić ją na nogi, ale teraz chciała zostać sama.

- Nie mogę z nim zerwać - odparła z goryczą.

- Niby dlaczego?

- Bo jest moim agentem. Załatwia mi najlepsze role, dba o mój wizerunek. Dzięki niemu jestem sławna. Owszem, planowałam zadzwonić do adwokata, ale ostatecznie nie zrobię tego.

Lizzie skrzywiła się.

- Uderzył cię! Zmusił do spotkania z kimś, kto próbował cię zgwałcić! Jak powiem o tym Robertowi, będzie wściekły! Zna

Ricky'ego Berry'ego. Robili kiedyś interesy i wiem, że Rob nie ma o nim dobrego zdania. Berry to łajdak!

– Nie waż się mówić o tym mężowi! – Lauren skuliła się i ciaśniej opatulila pulowerem.

Chciała ukryć się przed światem. Zniknąć. Zapomnieć o bólu, który rozsadzał ją od środka, o wściekłości, która weźmie nad nią górę, jak tylko ciało odzyska pełną sprawność, choć w tej chwili Lauren trudno było uwierzyć, że kiedykolwiek dojdzie do siebie.

Lizzie patrzyła na nią ze współczuciem i bezsilnością.

– Uderzył cię – powtórzyła z naciskiem. – Powinien za to zapłacić.

Lauren pokręciła głową.

– Myślisz, że jestem pierwsza, którą to spotkało? Jedyna? – Spojrzała na przyjaciółkę ze znużeniem. – Ten świat tak działa, Lizzie. Jesteśmy piękne, mamy pieniądze, otaczamy się drogimi przedmiotami, ale to wszystko ma swoją cenę. Powinnam się cieszyć, że Richard nie zmusił mnie do powrotu do tego sukinsyna, bo miał taki zamiar. Spójrz na siebie. Jesteś darmową służącą swojego bogatego męża. Piękna i zadbana, dbasz o jego dom, prywatny wizerunek, szykujesz mu wystawne kolacje. Brakuje ci jeszcze ślicznego dzidziusia do kompletu i będzie idealnie.

– Nie drwij ze mnie, Lauren, bo wiesz, że kocham Roberta! Między nami jest zupełnie inaczej niż... niż między tobą a...

– Wiem i gratuluję ci szczęścia – przerwała jej Lauren – ale... Wpisujesz się idealnie w standard współczesnej Amerykanki. Jesteś skrzyżowaniem seksownej żony z kochającą matką, bo taką na pewno będziesz, jak tylko powijesz dziecko.

Lizzie sapnęła z irytacją.

- Przynajmniej nie upijam się do nieprzytomności!

Lauren zacisnęła wargi. Poczula żal. Rzeczywiście – upijała się do nieprzytomności, zapijała każdy smutek i poczucie samotności, ale nie znalazła dotąd innego sposobu na zagłuszenie w sobie tej przemożnej tęsknoty za kimś, kto... Zechciałby ją kochać.

- Wiesz, że większość Amerykanów myśli, że jestem najszcześniejszą kobietą na świecie? Że mam wszystko, czego dusza zapagnie, a aplauz publiki to tylko dopełnienie mojego idealnego życia? Bo świat tak postrzega ludzi, którzy odnieśli sukces. Patrzcie na nią! Jest piękna, bogata, z całą rzeszą przystojnych adoratorów, którzy tylko czekają na jej choćby jeden uśmiech.

- Wiem...

Po policzku Lauren potoczyła się łza.

- Moja mama... Też nigdy nie zaznała prawdziwej miłości, i to ją zniszczyło. Była piękna, utalentowana, ale mężczyźni traktowali ją jak zabawkę. Jak unikatowy przedmiot. Wplątali ją w swoje brudne gierki... - Odwróciła głowę i popatrzyła przyjaciółce w oczy. - Nie chcę być jak ona.

- Nie musisz, Lauren. Wciąż możesz wyrwać się z tego bagna. Wciąż możesz powiedzieć stop. A powinnaś zacząć od porzucenia alkoholu.

- To nie jest takie proste...

- Och, wyobrażam sobie, zwłaszcza że możesz pozwolić sobie na najlepsze trunki. Sama z trudem powstrzymuję się, żeby do kolacji nie wypić całej butelki chardonnay z piwnicy Roberta.

Lauren skrzywiła się z ironią.

- Nie żartuj! - prychnęła, ale Lizzie to nie ruszyło.

- Dopilnuję, żeby z twojego apartamentu zniknął cały alkohol, i wydam dyspozycję Mary, żeby cię pilnowała. Sama też będę to robić, ale... Ty też musisz tego chcieć, Lauren. Musisz również stawić czoła Richardowi. Nie pozwalaj mu sobą manipulować.

- O to nie musisz się martwić. Dam sobie z nim radę, w końcu znoszę go od lat.

Lizzie westchnęła.

- A jeśli chodzi o Petera - podjęła ściszym głosem - to mam nadzieję, że szybko o nim zapomnisz.

- Zapomnę. Jak zawsze. Już zapomniałam.

- Mówię o tym, bo... Był tu wczoraj. Mary mi powiedziała.

Lauren się zmieszała.

- Był tu? - wyjąkała.

Lizzie przytaknęła.

- Mary go nie wpuściła. Powiedziała, że jesteś chora.

- Och! - Lauren przełknęła ślinę. - Dobrze zrobiła.

- Bardzo dobrze! Mądra z niej dziewczyna. Nie wiem, po co tu przyszedł, chyba tylko zawracać ci głowę. Mam wrażenie, że bezczelność pewnych mężczyzn nie ma granic.

- Bezczelność albo głupota.

Lauren przez chwilę wpatrywała się w kryształową karafkę z wodą stojącą na pobliskim stoliku. Zastanawiała się, czy da radę zadowolić się nią zamiast brandy czy chociażby lampki wyśmienitego szampana albo chardonnay, o którym z taką lubością wspominała Lizzie. Potem pomyślała o Konradzie Rogowskim. On w jej towarzystwie pił wyłącznie wodę, więc może...

- A czy był tu ktoś jeszcze? - zapytała.

Lizzie pokręciła głową.

– Nie... A oczekiwałaś kogoś?

– Właściwie to nie, ale... Na przyjęciu u Berry'ego był ze mną mężczyzna. To on mi pomógł. Ten fotograf z „Vogue”.

– Ten, z którym masz mnie umówić na sesję?

Lauren uśmiechnęła się łagodnie.

– Ten sam.

Oczy Lizzie rozbliły. Poprawiła się zgrabnie na fotelu i uśmiechnęła znacząco.

– Nie mówiłaś, że się spotykacie.

– Bo się nie spotykamy. On nie jest taki, jak myślisz. Trzyma mnie na dystans.

– Jest gejem?

– Nie, nie wydaje mi się. Ma córkę, więc...

Lizzie lekceważąco machnęła ręką.

– Och, to jeszcze o niczym nie świadczy. Umówię się z nim na sesję i przy okazji go wybadam. Jeśli ty na niego nie działasz, to jak nic jest gejem.

Lauren przymknęła powieki i uśmiechnęła się pod nosem. Mężczyzna, który całował ją z taką pasją, z pewnością nie był gejem, ale nie chciała tłumaczyć tego Lizzie.

– A jak zamierzasz go badać? Przecież jesteś mężatką.

Przyjaciółka udała zgorzienie.

– Nie tak, jak myślisz!

Lauren zachichotała, choć nastrój wciąż miała podły, a jej oczy były wilgotne od łez.

– Lizzie, daj spokój. Znowu coś sobie wyobrażasz.

- Niczego sobie nie wyobrażam! Po prostu muszę sprawdzić, czy nie pakujesz się w kolejny związek w stylu związku z Peterem Jonesem.

- Ten mężczyzna nie interesuje mnie w taki sposób. Poszłam z nim na przyjęcie, bo wydawał się miły, i jak się okazało, zrobiłam słusznie, bo uratował mnie przed Rickym Berrym. Ale to tyle. On nie jest dla mnie nikim szczególnym. Ot, zwykły fotograf.

- Który zrobił ci najlepszą sesję od lat. Albo mi się wydaje, albo próbujesz coś przede mną ukryć.

- Niby co?

- Że ten facet cholernie ci się podoba, tylko z jakiegoś powodu dotąd nie zdołałaś mu tego okazać.

Lauren poczuła, że opada z sił. Nie słuchała już paplaniny Lizzie, tylko ułożyła się wygodnie pod pulowerem i wystawiła twarz do zachodzącego słońca. Gdzieś z dołu dochodziły do niej odgłosy miasta - chodnikowy gwar, klaksony samochodów, dzwonki tramwajów. Przymknęła oczy i zapadła w płytki sen.

ROZDZIAŁ 16

Jimmy Carter był nadzwyczaj tolerancyjnym facetem i raczej nic go nie dziwiło ani szczególnie nie martwiło, dopóki interes szedł dobrze, samochodów do naprawy było dość, a klienci płacili na czas. Dlatego częste nieobecności Konrada w warsztacie, spowodowane wizytami z córką u lekarza czy pomaganiem Helenie w cukierni, nie były dla niego uciążliwe, jeśli tylko następnego dnia Konrad zostawał po godzinach i nadrabiał zaległą pracę przy samochodach. A że Rogowski znał się na autach i miał do tego zacięcie, to Jimmy był zadowolony. Problemy zaczęły się wówczas, kiedy okazało się, że telefony do zakładu Jimmy'ego urywają się, a dzwoniący bynajmniej nie zamierzają rozmawiać o naprawie samochodu. Niemal wszystkie połączenia dotyczyły zleceń fotograficznych dla Rogowskiego. Poza tym, ku niezadowoleniu właściciela warsztatu, telefonowały głównie kobiety, i to zamożne, które nie wiedząc czemu, nagle zamarzyły sobie, żeby stanąć przed obiektywem polskiego fotografa. Przez to wszystko nawet sekretarka zaczęła patrzeć na Konrada inaczej; posyłała mu dziwnie powłóczyste spojrzenia, jakby i ona liczyła na zdjęcia.

Rogowski, którego cała sytuacja nie mniej irytowała, widział, że Jimmy Carter jest coraz bardziej wkurzony, a pewnego dnia nawet oświadczył, że zablokuje linię telefoniczną i zmieni numer na inny. A Konrad niech sobie założy własną linię, jeśli zamierza prowadzić specjalne usługi dla pań. Rogowski zapewnił go, że zainteresowanie

jego usługami fotograficznymi jest chwilowe i wynika z opublikowania w „Vogue” sesji, jaką zrobił Lauren Evans. Na szczęście wkrótce cała sprawa rozejdzie się po kościach i wszyscy o nim zapomną. Jimmy niby mu uwierzył, ale kiedy pewnego słonecznego dnia w drzwiach warsztatu stanęła piękna i zgrabna kobieta, wystrojona w elegancką sukienkę i pantofle na obcasach, Carter zrobił się purpurowy na twarzy.

Damulka – bo inaczej nie dało się o niej powiedzieć – miała burzę rudych włosów, modną różową apaszkę w białe grochy i okulary przeciwsłoneczne w kocie oprawie.

– Dzień dobry, czy zastałam pana Rogowskiego? – zapytała uprzejmie, rozglądając się z zaciekawieniem po warsztacie.

Leżący pod samochodem Konrad sapnął. Wiedział, że od teraz czekają go poważne kłopoty.

Jimmy, nie spuszczający wzroku z piękności, podszedł do niej, wciąż czerwony, ale z miną wielce służalczą.

– Jestem właścicielem warsztatu, szanowna pani. Nazywam się Jimmy Carter. – Niezgrabnie wytarł dłonie we flanelową koszulę. – Jak mogę pani pomóc?

– Dzwoniłam do „Vogue” z prośbą o namiary na pana Rogowskiego i skierowano mnie tutaj. Zadzwoiłam więc do pańskiej sekretarki, ale oznajmiła tylko, że nie odbieracie telefonów od kobiet. Swoją drogą dość zaskakujący to zwyczaj, bo przecież kobiety też jeżdżą samochodami i któreś z nas też może się zepsuć.

– Oczywiście. Przepraszam za tę nieściskość. Moja sekretarka najwyraźniej nie wyjaśniła...

Kobieta machnęła lekceważąco ręką.

– Nieważne. Czy zastałam pana Rogowskiego?

– Rozumiem, że zepsuł się pani samochód?

– Samochód? – Dama zdjęła okulary i z oburzeniem popatrzyła na Jimmy’ego. – Ależ co pan mówi! Nie mam własnego samochodu, nie mam nawet prawa jazdy! Wozi mnie szofer.

– No cóż, zatem...

Konrad dosłyszał w głosie szefa nutkę irytacji. Wiedział, że nie może dłużej pozwalać, żeby ta urocza kobieta wyprowadzała Jimmy’ego z równowagi, bo jeszcze gotowy wpaść we wściekłość. Wysunął się więc z kanału i z pewnym ociąganiem stanął na nogi, wycierając w ścierkę brudne od smaru dłonie.

– Ja jestem Konrad Rogowski – rzekł, zwracając się do kobiety.

Popatrzyła na niego, a on natychmiast ją rozpoznał. Widział ją na premierze Nieczystej gry. Wydawało mu się wówczas, że to ktoś szczególnie bliski dla Lauren Evans.

Dama zmierzyła go uważnym, mocno krytycznym wzrokiem od stóp do głów, aż poczuł się nieco zażenowany.

– Pan to Konrad Rogowski? – zapytała ze szczerym zdziwieniem.

– Pan robi te fantastyczne zdjęcia?

Konrad usłyszał, jak jego szef cicho zaklął pod nosem.

– Tak, to ja.

Kobieta rozpromieniła się i wyciągnęła do niego rękę.

– Nazywam się Elizabeth Watson. Jestem przyjaciółką Lauren Evans. Miło mi pana poznać.

– Mnie również, panno...

– Pani – poprawiła go szybko. – Jestem mężatką. Mój mąż to deputowany Robert Watson.

– Ten Robert Watson? – zawołał oszołomiony Jimmy, a kobieta skwapliwie przytaknęła.

– Tak, reprezentant w Kongresie.

– Och, pani Watson, cóż za zaszczyt!

Konrad zauważył, że jego szef pokraśniał jeszcze bardziej i przestępował z nogi na nogę, jakby za chwilę miał wyjść ze skóry. Pani Watson uśmiechnęła się do niego pobłaźliwie.

– Proszę się nie fatygować z nadmierną uprzejmością, panie Carter. Jestem absolutnie zwyczajną kobietą, choć wielu chce sądzić inaczej. Uważają, że skoro mój mąż jest politykiem, to ja... Ach, szkoda słów. Skoro jednak pragnie pan być uprzejmy, to czy zostawi nas pan samych? To znaczy mnie i pana Rogowskiego? Muszę z nim coś omówić.

Konrad westchnął ciężko. Wiedział, że teraz już na pewno będzie miał bardzo poważne kłopoty.

– Pani Watson – zaczął rzeczowo, nim Jimmy zdążył się odezwać.

– Nie możemy rozmawiać tutaj, bo to nie jest odpowiednie miejsce. Jak pani zauważyła, to warsztat samochodowy i nawet nie ma tu gdzie usiąść. Jeżeli mój przełożony mi pozwoli, zapraszam panią na kawę. Jimmy... – Konrad zwrócił się do zdumionego szefa. – Wybaczysz, jeśli teraz wyjdę? Wynagrodzę ci to. Obiecuję.

Korzystając z tego, że Jimmy nadal pozostawał pod wrażeniem przybyszki, szybko przebrał się w kantorku, po czym zaproponował pani Watson, żeby napili się kawy w Helen Cookies.

– To na Yorkville. Cukiernia funkcjonuje od niedawna, ale zapewniam, że kawa w niej jest pyszna.

– Wydam dyspozycje szoferowi, żeby mnie tam zawiózł. Czy pojedzie pan ze mną?

- Skorzystam z własnego auta, dziękuję.

Ponownie spotkali się przed cukiernią Heleny.

Całą drogę z warsztatu Konrad zastanawiał się, co Elizabeth Watson może od niego chcieć. Czyżby to Lauren ją przysłała? Cokolwiek to było, mocno skomplikowało mu stosunki z szefem i Rogowski wiedział, że będzie musiał jakoś ugłaskać Jimmy'ego Cartera. Bo inaczej tamten mógłby wyrzucić go z pracy na zbity pysk.

Helena na widok Konrada wchodzącego do lokalu w towarzystwie eleganckiej kobiety aż przystanęła. Szybko odwróciła się do nich plecami i zajęła pakowaniem ciasta dla czekającej przy ladzie klientki. Konrad tymczasem zaprowadził Elizabeth Watson do jedyne wolnego stolika.

- Cóż za urocze miejsce! - zachwyciła się pani Watson. - Tak tu... domowo. I te zapachy! Nigdy tu nie byłam, ale wystrój jest uroczy, taki...

- Warszawski - wyjaśnił Konrad, wchodząc jej w słowo i odsuwając krzesło.

- Słucham? - zapytała zdumiona.

- Mówię, że wystrój jest warszawski. Przypomina przedwojenne warszawskie kawiarnie. Ta cukiernio-kawiarnia należy do Polki i jednocześnie mojej szwagierki, Heleny Adamczyk. To ona zadbała o każdy detal. Zależało jej, żeby lokal miał warszawski klimat, bo oboje pochodzimy z Warszawy. Szczególnie dla Heleny jest to próba zachowania w pamięci tego, co do niedawna stanowiło naszą codzienność.

- Oczywiście, to zrozumiałe. Nowy Jork jest pełen takich miejsc pamięci. Rozumiem, że mieszkacie tu od niedawna?

- Od dwóch lat.

Pani Watson zrobiła strapioną minę.

- Więc całą wojnę byliście tam? Jesteście emigrantami? Tak mi przykro. Wiem, co wasz kraj musiał wycierpieć. Mój mąż jest politykiem, więc trochę się orientuję. Ameryka bardzo przeżywała wojnę, ale wy...

- Tak, to trudna historia. - Konrad wykonał nieokreślony ruch w stronę kontuaru pełnego wypieków. - Pozwoli pani, że ją na chwilę zostawię i pójdę przygotować kawę?

- Pan to robi sam?

- To panią dziwi?

Uśmiechnęła się delikatnie.

- Trochę tak. Nie znam mężczyzny, który sam parzyłby sobie kawę. Ani mój ojciec, ani brat, ani tym bardziej mój mąż nigdy tego nie robili. Myślę, że oni nawet nie wiedzą, z czego składa się zaparzona kawa.

- To kwestia podejścia, droga pani - odparł Konrad z nutą rozbawienia.

Wszedł za kontuar i sprawnie zabrał się do przyrządzania napoju, podczas gdy Helena nadal obsługiwała klientkę, pakując dla niej ciasto.

- Masz randkę? - zapytała przyciszonym głosem, w którym słychać było lodowaty chłód.

- Nie - odparł zdawkowo i postawił dwie porcelanowe filiżanki na srebrnej tacy.

Wyjaśnianie teraz Helenie czegokolwiek było mu nie na rękę. Tak naprawdę nie zamierzał się tłumaczyć również później, ale wiedział, że szwagierka i tak wymusi to na nim wyrzutami i złośliwościami.

– Więc w jakim celu chciała się pani ze mną spotkać? – zapytał, kiedy już siadł przy stoliku, podając Elizabeth kawę i kawałek sernika.

Pani Watson uszczknęła widelczykiem malutki kawałeczek ciasta i zgrabnie wsunęła go do ust.

– Co za smak! – zachwyciła się. – A jaka konsystencja! Kto go upiekł?

– Helena. Zna się na tym. Odziedziczyła smykałkę po matce, która była mistrzynią wypieków.

– Och! – Elizabeth rozplýwała się nad sernikiem, a Konrad patrzył na nią z dozą zdumienia i lekkiej irytacji.

Nie po to wyszedł z pracy, ryzykując zdenerwowanie Jimmy'ego, żeby pani Watson mogła w jego skromnym towarzystwie chwalić sernik.

– Czy Helena to ta kobieta za kontuarem? Muszę ją poznać! Chcę zgłębić tajniki przygotowania tego ciasta, bo wie pan, ja też zajmuję się pieczeniem i gotowaniem. Goście mojego męża będą zachwyceni!

Konrad uśmiechnął się z przekąsem.

– Chętnie panie ze sobą zapoznam, ale najpierw chciałbym się dowiedzieć, co panią do mnie sprowadza.

– No tak, oczywiście. Proszę mi mówić Lizzie. Czy mogę się zwracać do pana po imieniu?

Przytaknął niemo.

– Doskonale. – Zmrużyła oczy. – A zatem Konradzie... Chciałam się z tobą spotkać, bo pragnę, żebyś zrobił mi sesję zdjęciową.

Konrad bezgłośnie westchnął.

- Widziałam tę, którą zrobiłeś Lauren - kontynuowała Elizabeth, najwyraźniej nie dostrzegając jego irytacji. - I domyślasz się, co sobie pomyślałam.

- Niestety nie - odparł zdawkowo.

- Otóż pomyślałam, że mężczyzna, który zdołał wyciągnąć na światło dzienne to, co w niej tkwi, musi być wyjątkowym artystą.

- I niby mnie się to udało? - zapytał z fałszywą skromnością, bo przecież wiedział, że zdjęcia były cholernie dobre.

- Zapewne się domyślasz, że Lauren nie jest taka, jak ją przedstawiają media. To, co widać w gazetach, to maska, rola grana przez nią na potrzeby widzów. Ona w rzeczywistości jest bardzo krucha, wrażliwa i samotna. Potrzebuje kogoś, kto...

- Wróćmy do tematu twojej sesji - przerwał jej Konrad.

Wiedział, że było to niegrzecznie, ale nie chciał słuchać, jaka jest Lauren Evans i czego potrzebuje. Wystarczyło mu, że wiedział, czego on potrzebuje od niej, i tego postanowił się trzymać.

- Ona cię nie interesuje? - zapytała Elizabeth wyraźnie zdumiona.

- Twoja sesja?

- Nie, Lauren, oczywiście! Mam wrażenie, że nie jesteś nią zainteresowany.

- Nie rozumiem...

- No wiesz... Lauren wspominała, że byliście razem na przyjęciu i że ją uratowałeś... To zabrzmiało tak, jakby coś między wami było.

Konrad się zniecierpliwiał.

- Byłem tam, bo Lauren mnie o to poprosiła. A uratowałem ją, jak to nazwałaś, bo każdy na moim miejscu zrobiłby dokładnie to

samo.

– Więc to było dla ciebie zupełnie bez znaczenia?

Konrad spuścił wzrok i upił łyk kawy. Starał się ukryć rozdrażnienie, bo nie wypadało mu się irytować w towarzystwie tej damy, a w dodatku żony znanego polityka.

– Lizzie... – zaczął z wymuszoną cierpliwością. – Nie interesuję się Lauren Evans. Nie wiem, skąd w ogóle takie przypuszczenie. Owszem, jest wyjątkowa i piękna, ale to aktorka, a ja jestem zwyczajnym facetem.

– W takim wypadku... – Lizzie zrobiła pauzę i włożyła do ust kolejny kawałek sernika. – Skupmy się na mojej sesji. Chciałabym, żebyś wykonał zdjęcia w moim domu. W ogrodzie lub w kuchni. Mam piękną kuchnię, rozumiesz, bardzo nowoczesną. To musiałyby być sesja na wysokim poziomie, oczywiście bez negliżu i takich tam, bo to z pewnością nie spodobałoby się Robertowi. Jest politykiem i musi trzymać klasę.

– Więc w tym przypadku zdjęcia w kuchni będą właściwe?

Zielone oczy Lizzie zabłyśły gorączkowo.

– Jak najbardziej. Szczycę się tym, że jestem doskonałą panią domu.

– I chciałabyś, żeby zostały gdzieś opublikowane?

– Och, bardzo, ale mój mąż nie wyrazi na to zgody.

– Więc po co ta sesja?

Lizzie uniosła dumnie podbródek i poprawiła się na krześle.

– Dla mnie samej.

– W takim razie wolałbym zrobić zdjęcia w innym miejscu niż kuchnia.

Kobieta pokręciła głową.

– Nie! Kuchnia to moje królestwo. Uwielbiam tam być. Kiedyś... Lubiłam tańczyć. Tak naprawdę to kochałam. I nadal Kocham, bo jestem tancerką. Kiedy mój mąż wyjeżdża do Waszyngtonu, wciąż tańczę. Mam w domu specjalną salę pełną luster, gdzie mogę tańczyć do woli... Ale najgorsze jest to, że zawsze wtedy trochę tęsknię za sceną i publicznością...

Konrad uniósł brwi w wyrazie zdumienia.

– Lauren i ja poznałyśmy się w broadwayowskiej szkole tańca u panny Marty Szuman. Polki, tak jak ty.

– Lauren mi wspominała.

– Tak. Lauren to moja najlepsza przyjaciółka i Kocham ją jak siostrę, której nigdy nie miałam. Teraz widujemy się rzadko, bo ona została gwiazdą filmową, a ja wyszłam za mąż...

– Za Roberta Watsona – dokończył za nią.

– Tak...

Konrad umilkł. Zupełnie niespodziewanie przyszło mu coś na myśl. Patrzył uważnie na Elizabeth Watson i zachodził w głowę, dlaczego wcześniej na to nie wpadł.

– Twój mąż należy do partii demokratów?

– Owszem. Jesteś im przeciwny?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, ale skąd. Chciałbym jedynie wiedzieć, czy ma kontakty z prezydentem Trumanem.

Elizabeth w okamgnieniu stała się czujna.

– To zależy... – odparła nieco oschle.

Nagle nabrała wyraźnego dystansu i Konrad to zauważył.

- Wiele osób mnie o to pyta - dodała - więc sam rozumiesz. Nie jestem zobligowana do udzielania takich informacji.

- A co musiałbym zrobić, żebyś poczuła się zobligowana? - zapytał bez ogródek.

Wiedział, że nie ma nic do stracenia, więc postawił na otwartość.

Elizabeth przez chwilę wpatrywała się w niego intensywnie. Widać było, że analizuje odpowiedź.

- Nie ma takiej rzeczy, którą mógłbyś zrobić - rzekła wreszcie. - Bo nigdy nie zdradzam służbowych tajemnic mojego męża. Jedyne, co mogę ci zaproponować, to osobistą rozmowę z Robertem.

Konrad odchrząknął.

- A jak mógłbym się z nim spotkać?

- Zanim odpowiem, musisz mi wyznać, dlaczego chcesz się z nim rozmówić. Chyba rozumiesz, że nie narażę swojego męża na niebezpieczeństwo lub śmieszność.

Konrad doskonale to rozumiał, więc przez chwilę milczał, szukając odpowiednich słów do nakreślenia sprawy.

- Musisz wiedzieć, Lizzie, że bez względu na to, co robię i gdzie mieszkam, jestem Polakiem - odezwał się w końcu. - Całe życie spędziłem w ojczyźnie i walczyłem w wojnie ze szkopami o wyzwolenie swego kraju. Wiem, że dla Amerykanów patriotyzm to nie jest puste słowo, bo wy naprawdę wysoko cenicie sobie bohaterów i wolność. Od kiedy wyemigrowałem do Nowego Jorku, staram się o posłuch u amerykańskich władz, by uzyskać zgodę na publikację pewnych zdjęć.

- Jakich zdjęć?

- Wojennych. To fotografie, które zrobiłem w Polsce podczas okupacji. Przedstawiają zbrodnie na ludności cywilnej, dokonywane

zarówno przez hitlerowców, jak i Sowietów. Wielu zbrodniarzy dotąd nie spotkała sprawiedliwość, a ja chciałbym...

Elizabeth kiwnęła głową.

– Rozumiem.

Konrad potarł czoło.

– Rząd brytyjski, z którym współpracowaliśmy przez całą wojnę, teraz odwrócił się do nas plecami. Żaden inny europejski kraj nie jest szczególnie zainteresowany ściganiem zbrodniarzy, chyba że ci sami wpadną. Wtedy robi się pokazowe procesy i egzekucje. A ja chciałbym pokazać prezydentowi Trumanowi zdjęcia, które są niezbitym dowodem na to, co działo się w moim kraju. Chciałbym, żeby świat dowiedział się o cierpieniach mojego narodu.

– Uważasz, że to coś da? Zmieni spojrzenie na politykę międzynarodową?

Konrad zmarszczył brwi.

– Znasz się na tym?

– Jestem żoną swojego męża. To, że moim środowiskiem naturalnym jest kuchnia, nie oznacza, że jestem głupią gęsią. Interesuję się polityką chociażby po to, żeby mieć o czym rozmawiać z gośćmi, których podejmujemy w naszym domu.

– Twój mąż jest szczęściarzem.

Elizabeth wyraźnie się rozpromieniła.

– Och, on o tym wie! Wróćmy jednak do twojego spotkania z Robertem. Zaproszę cię na kolację, to najprostszy sposób. Ale mam pewne warunki.

– Domyśliłem się tego...

- Po pierwsze, poznasz mnie z tą cudowną kobietą, która zna przepisy na niebiańskie ciasta. Po drugie, przyjdiesz na tę kolację w towarzystwie Lauren... A po trzecie - uśmiechnęła się z satysfakcją - zrobisz mi zdjęcia. Jak najszybciej.

- Sporo tych warunków.

- Nie zapominaj, kim jest mój mąż. Nie każdy może dostać zaszczytu osobistej rozmowy z nim.

- W takim razie umowa stoi. I oczywiście nie przyjmę za sesję żadnej zapłaty.

- Ma się rozumieć!

ROZDZIAŁ 17

Dla Heleny widok znanej hollywoodzkiej aktorki Lauren Evans w drzwiach jej malutkiej, skromnej cukierni był prawdziwym szokiem. Wpierw oniemiała, kiedy stojąc za kontuarem pełnym ciast i szklanych słoików wypchanych po brzegi kruchymi smakołykami, zobaczyła aktorkę do tej pory oglądaną wyłącznie na billboardach i wielkim kinowym ekranie, a później poczuła coś w rodzaju zmieszania i niepohamowanej zazdrości. Bo inaczej nie umiała zareagować na postać tak piękną i poruszającą się z taką elegancją, jakby frunęła nad ziemią. Kobiecie towarzyszył zniewalający zapach perfum. Lauren wyglądała jeszcze efektowniej niż pani Elizabeth Watson, która zagościła w cukierni trzy dni wcześniej. Zresztą sprawa z Elizabeth okazała się zupełnie niegroźna, bo wyjaśniło się, że kobieta ma męża, a z Konradem spotkała się wyłącznie w sprawie bardzo przyzwoitej sesji zdjęciowej w kuchni. Kiedy panie zostały sobie przedstawione, niespodziewanie szybko znalazły wspólny język w temacie wypieków i gotowania. Obiecały sobie, że wkrótce się spotkają, żeby wspólnie zgłębić temat.

Z Lauren Evans sprawa wyglądała daleko gorzej.

Panna Evans, modnie ubrana i efektownie ufryzowana, była nieskazitelna. Helena, szybko obadawszy wzrokiem jej zjawiskową postać, pomyślała, że ona nigdy nie potrafiłaby trzymać się tak prosto, jakby połknęła kij, i do tego tak swobodnie kroczyć na obcasach. Ale Helena nie była przecież aktorką, a jedynie zwyczajną

kobietą, która znała się wyłącznie na pieczeniu ciast i prowadzeniu domu, a nie na poruszaniu się tak, żeby wszystkim opadały szczęki. Zaś Lauren Evans była gwiazdą Hollywood. Ideałem.

Nagle zielony fartuszek w białe groszki, nałożony na melanzową sukienkę, wydał się Helenie pretensjonalny, a wręcz śmieszny. Jakże pospolicie musiała wyglądać, wręcz brzydko, przy tym pięknym, barwnym motyłu, z którego w porywie zazdrości chętnie zdarłaby te luksusowe fatałaszkę.

Odruchowo zerknęła za plecy aktorki, w stronę przeszklonych drzwi cukierni, by sprawdzić, czy przed lokalem nie stoi limuzyna. Na szczęście samochodu nie było, więc odetchnęła z ulgą. Nie chciała ze swojej cukierni robić widowiska.

– W czym mogę służyć? – zapytała nienaturalnie piskliwym głosem, kiedy panna Evans zbliżyła się do kontuaru i popatrzyła Helenie w oczy.

Boże, jakie ona miała tęczówki! Błękitne i zimne. Wręcz lodowate, z dziesiątkami jasnych punkcików. Na ekranie nie było tego widać.

– Dzień dobry. Nazywam się Lauren Evans. – Aktorka wyciągnęła dłoń w stronę oszołomionej Heleny. – Poinformowano mnie, że mogę tu znaleźć Konrada Rogowskiego.

Helena nagle poczuła, że oblewa ją zimny pot. Odruchowo poprawiła włosy.

– Kto panią o tym poinformował?

– Dzwoniłam do warsztatu samochodowego Jimmy'ego Cartera, gdzie pan Rogowski pracuje, ale sekretarka wyjaśniła mi, że Konrad wziął wolne i że mogę go szukać tutaj. – Lauren uśmiechnęła się

i ukradkiem rozejrzała po wnętrzu maleńkiej cukierni. – Cóż za urocze miejsce – dodała. – I jak pięknie pachnie!

– Tutaj go nie ma – odburknęła Helena, ignorując komplement.

Miała nadzieję, że jej angielski okaże się na tyle sprawny, że nie ośmieszy się przed tą damulką jakimiś łamańcami.

Aktorka ponownie zwróciła na nią jasnobłękitne spojrzenie.

– W takim razie gdzie mogę go znaleźć?

Helena zacisnęła usta w wąską kreskę. Ta kobieta z jednej strony bardzo ją onieśmielała, a z drugiej potwornie irytowała. Helena chciała, żeby aktorka już sobie poszła i nigdy więcej nie przekraczała progu skromnej cukierni, bo jej zjawiskowa postać burzyła harmonię tego miejsca.

– Pojechał z córką do szpitala. Skoro się znacie, to powinna pani wiedzieć, że Konrad ma chorą córkę.

– Cóż. Nie wiedziałam, że jest chora...

– Jest niewidoma – wyjaśniła Helena sucho. – Być może Konrad nie chciał pani o tym mówić, bo się wstydził. Wie pani, jak ludzie potrafią reagować na kalectwo.

Lauren zmarszczyła idealne brwi, jakby ta uwaga jej się nie spodobała.

– Otóż nie wiem – odparła chłodno.

Helena poczuła się zbита z tropu.

– Chodzi o to, że niektórzy nie traktują tego z należyłą powagą.

– Ja do takich ludzi nie należę. No cóż... Skoro Konrada nie ma, to już pójdę. – Lauren jeszcze raz rozejrzała się po urokliwym wnętrzu.

– Proszę go poinformować, że byłam, i poprosić, by się ze mną skontaktował.

- Oczywiście.

- Niech się pani tak nie spieszy. On na pewno zaraz tu przyjdzie – niespodziewanie doszedł je czyjś głos, nieco zachrypnięty od nikotyny.

Helena i Lauren równocześnie spojrzały w głąb cukierni. W samiutkim rogu, przy niewielkim stoliku nakrytym obrusem w biało-czerwoną kratę, siedziała starsza pani, Daisy O'Neill. Dla Heleny jej obecność w cukierni była czymś naturalnym, jak to, że rano wstaje słońce, bo pani O'Neill od czasu otwarcia cukierni przychodziła regularnie dzień w dzień, bez względu na pogodę, i przesiadywała przy tym samym stoliku z filiżanką kawy i ptysiem. Niejednokrotnie powtarzała, że brakowało jej takiego uroczego miejsca, a teraz wreszcie ma gdzie wyjść na pyszną kawę i w spokoju popatrzeć na wiecznie zagonionych ludzi.

Zwykle obecność starszej pani nie przeszkadzała Helenie, czasem nawet kobiety dyskutowały ze sobą żywo o różnych sprawach, choć Helena uważała Daisy O'Neill za starą dziwaczkę, bo ta bez ogródek i z uszczypliwą ironią komentowała wszystko, co stawało się obiektem jej nagłego zainteresowania. Teraz jednak uwaga staruszki mocno Helenę zirytowała.

- Pani O'Neill, nie może pani wiedzieć, że Konrad tu przyjdzie. Jest dziś dość zajęty, więc to raczej mało prawdopodobne.

- Przyjdzie. I wiesz to tak samo jak ja, Helen Adamczyk. Panno Evans, proszę zamówić sobie kawę i tego przepysznego ptysia, który swoim smakiem przenosi do nieba. Zapraszam, niech pani usiądzie tu ze mną. Poczeka pani na Konrada, a ja z największą przyjemnością porozmawiam z tak popularną aktorką. Przynajmniej będę miała co wspominać, bo liczę, że okaże się pani przyjemną

towarzyszką do rozmowy. Wie pani, że znam wszystkie pani role? Kino to moja pasja. Jak tylko panią zobaczyłam w progu, od razu wiedziałam...

Tego już było dla Heleny za wiele.

– Panna Evans na pewno nie ma czasu – rzuciła szybko, z trudem powściągając irytację.

– Ależ mam! – Błękitne oczy aktorki rozbłysły z zaciekawieniem. – Chętnie napiję się z panią kawy – zwróciła się do Daisy. – Tylko jeśli chodzi o tego ptysia...

– Ptyś jest obowiązkowy! – rzuciła pani O'Neill tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Musi pani poznać wypieki tej utalentowanej, acz nieco sztywnej w obejściu kobiety. – To mówiąc, popatrzyła znacząco na Helenę. – Kiedy niemal przez tydzień lokal był zamknięty, cierpiałam prawdziwe katusze, nie mogąc skosztować ponownie tego kawałeczka nieba. Powiecie, że w moim wieku powinnam ograniczać takie słodkie przyjemności, ale cóż człowiekowi pozostaje na starość, jeśli nie małe grzeszki? Na nic innego już sobie pozwolić nie mogę, choć chciałabym, oj, chciała!

Helena zerknęła na Lauren.

Aktorka z zachwytem wpatrywała się w staruszkę, a zwłaszcza w jej ogromny, staromodny i nieco tandetny kapelusz z szerokim falującym rondem, ozdobiony barwnymi piórami. Pani Daisy O'Neill, z pochodzenia Irlandka, według gustu Heleny ubierała się jak postrzelona dziwaczka, uciekiniarka ze sceny jakiegoś teatru rewiewego. W dodatku dość szybko przekonała się, że nikt oprócz niej nie zwracał uwagi na ekscentryczny wygląd starszej pani ani na farbowane na wściekle rudy kolor włosy, które Daisy upinała w misterny kok jak dama z wyższych sfer. Do tego nakładała zbyt

wyzywający makijaż. Helenę szczególnie śmieszyły jej pomalowane na czerwono usta; szminka niestety kiepsko się trzymała, więc wyglądało to niechlujnie, wręcz groteskowo. Ale szczerść i bezpretensjonalność starszej Irlandki przy bliższym jej poznaniu nakazywały innym w pełni akceptować jej wyjątkowo niestandardowy wygląd.

– Podać pani kawę? – zapytała Helena, zwracając się sztywno do Lauren.

Ta uśmiechnęła się słodko.

– Tak. I ptysia.

Z kuchni wyszła pani Pansy. Zapatrzyła się wpierw na Lauren, a później oszołomiona, z otwartymi ustami, spojrzała na Helenę.

– Czy to ona? – zapytała półgłosem, kiedy aktorka oddaliła się w stronę stolika. – To Lauren Evans?

– Niestety. Nie wiem, co tu robi, ale jej obecność nie wróży nic dobrego.

– Jak to nie wróży nic dobrego? – Pani Pansy zachnęła się. – Przecież gdy inni się dowiedzą, że Lauren Evans piła tu kawę i jadła ciastko, zaczną się tu schodzić tłumami! To żywa reklama! Och, mój Boże! Że też moje oczy dostały tego zaszczytu! Szkoda, że nie ma tu mojej Nelli...

– Proszę nie robić niepotrzebnej sensacji! – skarciła ją Helena i zabrała się za parzenie kawy.

Dłonie jej drżały, kiedy nalewała gorący napój do filiżanki. Czuła, że w środku rośnie jej jakaś gula, która utrudnia przełykanie. Jak to możliwe, że ta aktoreczka pojawiła się aż tutaj? Była aż tak bezwstydna? Przecież wiadomo, że skoro przyszła za Konradem, to

znaczyło, że coś ich łączy. Czy to możliwe, że Konrad stracił rozum i poszedł z tą kobietą do łóżka?

Ustawiła filiżankę na tacy, a obok na talerzyku wyeksponowała pulchnego ptysia. Idąc przed siebie z tacą, w głowie miała tylko jedną myśl – że chętnie wylałaby zawartość filiżanki na piękną sukienkę Lauren Evans, a jeszcze lepiej chlusnęła jej nią w twarz.

– Pani kawa – powiedziała z fałszywą uprzejmością.

Lauren uśmiechnęła się z wdzięcznością. Boże, jaki ona miała obrzydliwie olśniewający uśmiech. I te idealne zęby!

– Dziękuję. Pani O'Neill właśnie opowiada mi niesamowitą historię!

Helena lekceważąco podparła się pod boki i skrzywiła z niesmakiem.

– O tym, jak to płynęła z Irlandii do Ameryki na Titanicu?

– Tak! I cudem przeżyła katastrofę. To iście filmowa opowieść!

– I bardzo nieprawdopodobna – odburknęła Helena.

Pani O'Neill, widząc sceptycyzm Heleny, machnęła ręką.

– Wciąż mi nie wierzy – rzekła zwracając się do Lauren – myśli, że kłamię. Wydaje jej się, że tylko ona ma monopol na osobiste nieszczęścia i rozpamiętywanie bóleści. Polacy są tacy dramatyczni w swoim podejściu do rzeczywistości, że bywa to wręcz śmieszne.

– Jakie nieszczęścia? – zapytała Lauren wyraźnie zaintrygowana, wbijając wzrok w Helenę.

– Helen przeżyła wojnę w Polsce. Całą spędziła w okupowanej Warszawie. Nie przeczę, że zapewne było to straszne przeżycie i będzie się za nią ciągnęło, dopóki nie zamknie oczu na zawsze, ale to nie daje jej prawa odbierać innym ich własnych przeżyć. Mogę się założyć, że pani, panno Evans, też ma swoje dramatyczne przeżycia.

Helena poczuła się jawnie dotknięta sarkastyczną wypowiedzią pani O'Neill. Uważała, że starsza kobieta jak zwykle posunęła się za daleko, porównując katastrofę Titanica z nazistowską okupacją, i jakkolwiek dyskusję na ten temat uważała za poniżej wszelkiej godności. Nie lubiła rozmawiać o wojnie z obcymi, zwłaszcza tu, w Nowym Jorku, gdzie ludzie podchodzili do tej sprawy zupełnie inaczej – w mniemaniu Heleny zbyt lekceważąco. Ale co oni mogli wiedzieć o prawdziwych dramatach i walce o każdy dzień życia pod butem hitlerowskiego i sowieckiego najeźdźcy, skoro na co dzień byli wolni, mieszkali w pięknych, wygodnych domach i pławili się w luksusach amerykańskiego kapitalizmu. Owszem, słyszało się to i owo, że hollywoodzcy aktorzy jak Clarke Gable czy James Stuart byli na wojnie i służyli w amerykańskim lotnictwie wojskowym, a Leslie Howard – którego Helena wyjątkowo polubiła w roli Ashleya w *Przeminęło z wiatrem*, zginął w katastrofie lotniczej podobno podczas pełnienia misji szpiegowskiej, ale to były wyjątki, które nie robiły na Helenie szczególnego wrażenia. Ona i tak wiedziała swoje i uważała, że jej doświadczenia z kraju, który został najmocniej dotknięty hitlerowską okupacją, stanowią kwintesencję zła i nieszczęść, jakie dotyczą ludzi podczas wojny.

W cukierni pojawili się nowi klienci, więc Helena bez żalu zostawiła dwie niemożliwie plotkujące kobiety i poszła do swoich obowiązków. Raz po raz zerknęła jednak na aktorkę, licząc, że ta w końcu wstanie od stolika i oznajmi, że musi już iść, bo czekanie jej się znudziło. Ale jak na złość wyraźnie jej się nie spieszyło. A pani O'Neill, zachwycona niecodziennym towarzystwem, zabawiała ją rozmową.

Czas mijał, a one niewzruszenie tkwiły w kącie cukierni, żywo o czymś dyskutując, nie zwracając uwagi na wchodzących i wychodzących klientów i na samą Helenę, która miała coraz gorszy nastrój. W końcu, tak jak przewidywała pani O'Neill i czego obawiała się Helena, w cukierni pojawił się Konrad. Jak zwykle był sam, bez Emilki, bo zwyczajowo odwiózł córkę do domu, zostawiając ją pod opieką nauczycielki.

Na jego widok Helena zeszywniała. Jak bardzo chciała, żeby tu nie wchodził! Żeby nie dostrzegł tej hollywoodzkiej pięknotki w kącie cukierni. Ale to było niestety tylko jej pobożne życzenie.

- Konrad! - zawołała starsza pani, przywołując go skinieniem niczym kelnera. - Jest tu pewna urocza dama, która czeka na ciebie od południa! Ale tak nam się dobrze rozmawiało, że to nie był stracony czas, prawda, słodziutka?

Konrad rzucił Helenie przelotne i nieco zdumione spojrzenie i od razu skierował się w stronę stolika, przy którym siedziały Daisy i Lauren. Był wyraźnie zaskoczony, ale starał się zachować opanowanie, choć Helena była pewna, że to tylko poza. Nie widziała jego twarzy, bo był odwrócony do niej tyłem, ale mogłaby przysiąc, że wlepił spojrzenie w Lauren Evans. Tymczasem aktorka rozpromieniła się niczym pensjonarka; nie było wątpliwości, że widok Konrada sprawił jej nadzwyczajną przyjemność.

Talerzyk, który Helena trzymała w dłoni, niespodziewanie wyślizgnął się i spadł na kamienną posadzkę, robiąc niemożliwy hałas. Wszystkie oczy natychmiast skierowały się na nią.

- To nic takiego - odburknęła i ukucnęła, by schować się przed nachalnymi spojrzeniami.

Na pomoc natychmiast przybiegła pani Pensy, ale Helena odesłała ją z powrotem do kuchni.

– Wszystko w porządku? – zapytał Konrad, podchodząc.

Klęknął przy niej, żeby pozbierać odłamki talerzyka.

– Tak.

– Pewnie ta ręka nie jest jeszcze w pełni sprawna. Powinnaś ją oszczędzać – rzekł, patrząc jej w oczy.

Helena poczuła, że coś głęboko w niej się burzy, jakby za chwilę miało wybuchnąć. Jak śmiał być dla niej taki miły po tym, gdy ostentacyjnie odepchnął ją w nocy, kiedy tak się przed nim poniżyła i kiedy teraz, jeszcze przed chwilą, robił maślane oczy do tej głupiej aktoreczki.

– Spotykasz się z nią? – zapytała z pretensją w głosie.

– Z kim?

– Z tą Evans. Po co tu przyszła?

– Hela...

– Nie okłamuj mnie! Wiesz, że tego nie znoszę. Anna była moją siostrą i ciężko mi się patrzy...

– Przestań! – upomniał ją ściszonego głosem. – Z nikim się nie spotykam.

– To po co tu przyszła?

– Konrad? O co chodzi? – Przed nimi stanęła wyprostowana jak struna, piękna Lauren Evans, w chmurze drogich perfum, które kolejny raz dotarły do wyczulonych nozdrzy Heleny. Oczywiście nie umknęły również jej uwadze eleganckie czółenka na wysokich obcasach, w których nogi aktorki wyglądały nadzwyczaj zgrabnie.

Konrad westchnął ciężko.

- O nic. Helena niedawno poparzyła sobie rękę i nie wróciła jeszcze do pełnej sprawności.

- Przykro mi - rzekła ze współczuciem Lauren, co jeszcze bardziej rozsierdziło Helenę.

Była wściekła i czuła się upokorzona. Nie mogąc znieść wzroku aktoreczki, skupiła się na sprzątaniu odłamków ceramiki.

- Przyjdę później i pomogę ci zamknąć cukiernię - rzekł Konrad do Heleny.

- Nie musisz. Poradzę sobie. Lepiej wróć do domu i zajmij się córką. Mam wrażenie, że ostatnio spędzasz z nią zbyt mało czasu.

ROZDZIAŁ 18

Lauren patrzyła na Konrada, jak ten z obojętną miną je obiad. Siedzieli w restauracji, w której Lauren nigdy wcześniej nie gościła. Ktoś z obsługi na wyraźną prośbę Rogowskiego zaprowadził ich do przytulnego stolika na tyłach lokalu, w niewielkim ogródku z szemrzącą fontanną, z dala od ciekawskich spojrzeń i zgiełku nowojorskiej ulicy. Byli w tym miejscu zupełnie sami, nie licząc kelnera, który stał w pewnym oddaleniu, gotowy na ich wezwanie.

- Wiem, że przywykłaś do bardziej wyrafinowanych lokali, ale jedzenie jest tu wyśmienite, a obsługa doskonała - powiedział Konrad, gdy usiedli.

- I nie trzeba ubierać się zbyt szycownie - dodała Lauren z nikłym uśmiechem, lustrując wzrokiem jego zwyczajny strój składający się z prostych spodni i flanelowej koszuli.

Wciąż nie umiała stwierdzić, czy bardziej podobał jej się w eleganckim fraku, czy jednak w wydaniu codziennym, które dalekie było od kanonów mody, którym hołowali amanci pokroju Petera Jonesa. Bliżej mu było do luznego, niezobowiązującego stylu Marlona Brando, tylko że Brando zgrywał luzaka, bo taki miał wizerunek, a Konrad był w tym sposobie bycia zupełnie naturalny. Lauren uświadomiła sobie, że od lat nie miała do czynienia z kimś takim jak on - zwyczajnym facetem, bez gwiazdorskiego szyku. Miała przeczucie, że pod wieloma względami jest podobny do niej, bo i pochodzili z nieco podobnych światów. Różnica polegała na

tym, że on w tamtym świecie pozostał, podczas gdy ona wspięła się na sam szczyt możliwości i znalazła się w zupełnie innej przestrzeni.

– Tę restaurację prowadzi mój znajomy, Andrew Borowski. Jak się pewnie domyślasz, też Polak. Z przyjemnością poznałby cię osobiście, ale niestety nie ma go dziś. Zapewnił jednak, że zawsze jesteś tu mile widziana i że będzie dbał o dyskrecję. Stolik mamy tu zawsze i o każdej porze.

Uniosła brwi w wyrazie zdumienia.

– Czyżbyś zamierzał zabierać mnie tu częściej?

– To zależy od tego, jak nam się będzie rozmawiało.

– Cóż za szczerza deklaracja – odparła, nie dając po sobie poznać, że nieco ją to uraziło.

Konrad wciąż traktował ją z góry. Nie próbował jej się przypodobać i nieustannie ją to zdumiewało. Kiedy go poznała, była pewna, że to tylko poza albo zwykła niepewność. Jednak im częściej go widywała, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że jej sława i kariera nie robiły na nim żadnego wrażenia.

– Zadałaś sobie sporo trudu, przychodząc do cukierni Heleny. Domyślam się, że dostałaś adres od sekretarki Jimmy'ego.

– Ach, tak. To bardzo prostolinijna dziewczyna – skwitowała Lauren z nikłym uśmiechem, wspominając entuzjazm, z jakim panna rozmawiała z nią przez telefon.

– Jest tobą zafascynowana, jak każdy.

– No tak... – Lauren spojrzała na niego uważnie. – A wracając do naszego spotkania, to... chciałam ci podziękować – powiedziała, starając się, żeby zabrzmiało to szczerze.

Miała nadzieję, że Konrad nie dostrzeżeł w jej twarzy śladów minionych dni, kiedy na różne sposoby próbowała dojść do

równowagi po dramatycznym w skutkach przyjęciu u Ricky'ego Berry'ego i po wizycie w jej apartamencie Richarda Taylora. Sypiała źle, mało jadła i czuła przewlekłą nerwowość związaną z nagłym odstawieniem alkoholu. Lizzie rzeczywiście skrupulatnie zadbała o to, żeby w apartamencie nie została nawet kropla mocniejszego trunku. Do tego dokarmiała Lauren pysznościami, które gotowała samodzielnie, zaznaczając, że wcale nie jest niewolnicą przykutą łańcuchem do kuchenki, lecz po prostu bardzo to lubi. Wezwała również prywatnego lekarza, a ten po krótkim i dość zdawkowym badaniu Lauren stwierdził, że pacjentka potrzebuje jedynie solidnego odpoczynku, i zapisał jej proszki na sen.

– Czy podejrzewa pani u siebie ciążę? – zapytał w pewnym momencie, notując coś w swoim kajeciku.

– Co takiego?

– Ciążę. Niektóre objawy mogłyby na nią wskazywać.

– Nie, to niemożliwe – odparła z pełnym przekonaniem, więc lekarz nie drażył tematu, ale zerknął na nią znacząco.

Lauren przez kilka kolejnych dni dochodziła do siebie. A kiedy zdecydowała się wyjść z ukrycia i przyjechać do Konrada, najpierw spędziła sporo czasu z makijażystką. Ta zadała sobie wiele trudu, by osłonić wszelkie niedociągnięcia urody swojej pani spowodowane nerwami i skutki odstawienia alkoholu. Ślad na twarzy po uderzeniu przez Richarda zbladł, ale i tak Lauren sprawdzała pod światło, czy rzeczywiście warstwa pudru dobrze kryje. Nie pragnęła przypodobać się Konradowi, chciała jedynie ukryć to, co działo się z nią w ciągu ostatniego tygodnia.

– Jeśli chodzi ci o ten wieczór w Waldorf Astorii...

– Właśnie o to – weszła mu z słowo. – Od początku nie czułam się tam bezpiecznie. Nie chciałam iść na to przyjęcie, ale mój agent uznał, że powinnam.

– Więc dlaczego twój agent nie poszedł z tobą?

– Bo nie mógł.

Konrad przełknął kęs tego, co miał na widelcu.

– Często naraża cię na takie sytuacje?

Lauren na moment wstrzymała oddech. Miała wrażenie, że w głosie mężczyzny dosłyszała z trudem ukrywaną wzdargę, jakby domyślał się całej prawdy.

– Chodzi ci o to, że... – zająknęła się.

– O to, że ten bogaty skurwysyn, u którego gościłaś, próbował cię zgwałcić – podjął ostro Konrad. – Gdyby mnie tam nie było, wiesz, jak by się to mogło skończyć. Pomijam fakt, że przyłożył ci do twarzy nóż, i to nie z zamiarem poddania cię wyrafinowanej pieśszczocie.

Lauren przełknęła nerwowo ślinę.

– Dlatego dziękuję, że byłeś tam ze mną.

Konrad popatrzył jej w oczy.

– Zamierzasz przejść nad tym do porządku dziennego?

– Co masz na myśli?

– To, że nie poszłaś z tym na policję ani nigdzie indziej.

Kobieta spuściła wzrok i bezwiednie pogrzebała widelcem w talerzu. W końcu wzruszyła ramionami.

– Myślę, że nie warto. Przecież nic się nie stało.

– Bo go powstrzymałem, do cholery! Ten facet groził ci nożem! Chciał cię skrzywdzić!

– Ale nic się nie stało – upierała się Lauren, choć jej głos zaczął lekko drżeć. – Wiem, że wyglądało to groźnie, ale...

– Ale jesteś do tego przyzwyczajona? Że mężczyźni traktują cię jak... – Rogowski urwał nagle i wciągnął głęboko powietrze.

– Jak dziwkę? To chciałeś powiedzieć? – Lauren z nerwów spłoszyła.

Nie mogła znieść jego ostrego spojrzenia, zaciętości w jego surowej twarzy. Dotąd nikt tak otwarcie nie nazywał tych rzeczy po imieniu, choć przecież była świadoma, w jaki sposób jest postrzegana. Jak widzi ją Richard. Ale po każdym takim wstrząsie, gdy musiała na nowo dochodzić do siebie, powtarzała sobie w duchu, że to cena sławy, którą musi płacić, bo ten świat tak właśnie wygląda. Teraz jednak Lizzie i Konrad postanowili dobitnie pokazać jej, jakie to z jej strony beznadziejne.

– Czy to już się kiedyś zdarzyło? – zapytał Konrad, nie siląc się na delikatność.

Lauren zadrżała. Poczula, że jakaś niewidzialna obręcz brutalnie zaciska się na jej szyi. Zaczęła gwałtownie oddychać, ale nie mogła wykrztusić z siebie słowa.

Konrad z brzękiem odłożył widelec na talerz.

– Wybacz. Nie chciałem cię urazić. Nie rozumiem tylko, dlaczego na to pozwalasz? Dlaczego nie ma obok ciebie nikogo, kto stanąłby w twojej obronie? Jesteś przecież znaną aktorką, a to daje ci pewne przywileje. Rzekłbym nawet, że bardzo duże.

– Ty stanąłeś w mojej obronie – odpowiedziała ściszym głosem.

Spojrzeli sobie w oczy. Coś przeskoczyło między nimi, jakaś trudna do uchwycenia iskra, która – Lauren odniosła takie wrażenie

– jego ledwie dotknęła, ale ją wręcz poparzyła intensywnością odczucia. Poczowała się niezręcznie, więc spuściła wzrok. Boże, przy żadnym mężczyźnie nie stawała się taka krucha jak przy nim, ale to pewnie dlatego, że będąc z nim, nie musiała udawać.

– Potraktujmy to jak moją zapłatę za sesję zdjęciową – rzekł Konrad głucho. – I spróbujmy zapomnieć o całej sprawie, skoro nie chcesz jej zgłaszać na policję. Mam również nadzieję, że ten sukinsyn Berry nie złożył na mnie skargi. Nie mam ochoty siedzieć w areszcie za pobicie tego gnoja.

– Myślę, że się nie odważy. Miałby za dużo do stracenia, bo to wiązałoby się ze skandalem. A tacy jak on starają się utrzymywać idealny wizerunek, żeby nie zaszkodzić sobie w interesach. Zresztą gdyby miał to zrobić, już byśmy wiedzieli.

Konrad zaśmiał się sarkastycznie.

– Pewnie przywykłaś do skandali. Gwiazda Hollywood Lauren Evans ofiarą napaści rekina nowojorskiej finansjery Ricky’ego Berry’ego. Jakie to typowe dla brukowców. I jakie poczytne.

Aktorka westchnęła. Szydercze słowa Konrada uderzały w nią. Dotykały tej części jej świadomości, która co jakiś czas przypominała jej, że żyje w złym, wręcz okrutnym świecie, pełnym kłamstw, hipokryzji, wielkich pieniędzy i wpływów, które niszczyły ludzi. Ale co on mógł o tym wiedzieć? Zwyczajny człowiek, mechanik samochodowy z ukrytym talentem do fotografii, z którego nie w pełni korzystał.

– Postaram ci się nie narzucać z moimi skandalami – odparła oschle. – Mimo wszystko jestem ci niezmiernie wdzięczna, że zgodziłeś się ze mną pójść na to przyjęcie i stanąłeś w mojej obronie.

– Skinęła ręką na kelnera. – Poproszę... – Na końcu języka miała

„lampkę wina”, ale w ostatniej chwili zreflektowała się. – Szklanekę wody.

– Dla pana również? Może wino? – zaproponował kelner uprzejmie, zwracając się do Konrada.

– Nie, dziękuję – odparł mężczyzna zdawkowo, nie spuszczać wzroku z Lauren.

– Nigdy nie pijesz alkoholu? – zapytała niby od niechcienia, próbując nieco rozładować sytuację. Próbowła się nawet uśmiechnąć, ale czuła, że wyszło sztucznie.

– Kiedyś piłem zbyt często i przy każdej nadarzającej się okazji – wyjaśnił. – Teraz nie piję wcale. Alkohol zabija trzeźwość myślenia, a ja mam chorą córkę. Muszę być przy niej zawsze, kiedy mnie potrzebuje.

– Ta kobieta w cukierni wspominała o tym. Podobno... Twoja córka jest niewidoma.

– Tak... – Konrad wrócił do jedzenia obiadu. – Ta kobieta w cukierni to moja szwagierka. Nazywa się Helena Adamczyk. Przed dwoma laty przyjechaliśmy razem do Nowego Jorku. Mieszkamy wspólnie, ale nie jesteśmy parą. – Widząc pytający wzrok Lauren, wzruszył ramionami. – Po prostu tak jest łatwiej.

– A twoja żona?

– Anna nie żyje.

– Przykro mi.

Lauren podejrzewała, że tak właśnie było, ale nie miała odwagi zapytać. Teraz, widząc jego reakcję, kiedy bezwiednie zacisnął szczęki, zrozumiała, że nadal cierpiał z powodu żałoby, choć żonę stracił zapewne już jakiś czas temu.

– Była chora?

- Nie. - Poparzył na nią ponuro. - Zabrała ją wojna, jak zresztą wielu moich przyjaciół i bliskich. Ale nie lubię o tym mówić.

- Rozumiem...

Mężczyzna spojrzał jej głęboko w oczy. Miała wrażenie, że coś się za tym spojrzeniem kryło, coś twardego i nieustępliwego. Coś jakby... Nie... Przecież to kompletny absurd. Przełknęła nerwowo ślinę. Konrad nie mógł się domyślać, kim była. Nie mógł tego wiedzieć. Niemal nikt tego nie wiedział.

- Nieważne - rzucił Konrad gwałtownie i oderwał od niej spojrzenie. - Nieraz zapominam, że nie każdy przeżył to co ja.

- Opowiedz mi o swojej córce - poprosiła, by zmienić temat.

- Ma dziesięć lat i na imię Emilka.

Lauren zawahała się, nim zadała kolejne pytanie.

- Urodziła się niewidoma?

- Nie. Straciła wzrok w wyniku wybuchu granatu. - Głos Konrada brzmiał tępo, wręcz bez emocji, a Lauren poczuła, jak krew gorącą falą uderza jej do głowy. - To było po tym, jak kilku esesmanów podczas powstania najpierw zgwałciło moją żonę... A później ją zabili. Emilka miała wtedy pięć lat. Mnie z nimi nie było, bo... - Westchnął głęboko. - Byłem żołnierzem... - Ostatnie słowo wybrzmiało z nadzwyczajną goryczą. - Wówczas myślałem, że to najwyższy honor, że tak trzeba. Mój ojciec był pułkownikiem w Wojsku Polskim. Po tym, jak Sowieci wywieźli go z tysiącami innych oficerów do obozu jenieckiego w Kozielsku, zginął zamordowany w Katyniu.

Lauren poczuła, że jej policzki płoną żywym ogniem. Patrzyła na Konrada oniemiała, niezdolna wykrztusić słowa, bo wiedziała, że nie pragnął jej współczucia. Zdążyła już zauważyć, że był typem

człowieka, który przyjmował rzeczywistość taką, jaka jest, i stawiał jej czoła. Nawet jeśli miał w sobie pokłady wrażliwości, których z jego powierzchowności trudno się było domyślić, to na światło dzienne wydobywał je wyłącznie w swoich fotografiach. Nigdzie więcej.

Konrad odsunął się na krzesło.

- A wracając do mojej córki, to lekarze tutaj dają Emilce cień szansy. Jest bardzo zamknięta w sobie. Niby się uśmiecha, opowiada mi o różnych sprawach, ale ja wiem, że w środku cierpi, bo jest głęboko samotna. Nie chodzi do normalnej szkoły, nie ma koleżanek ani kolegów... i nie ma matki. Ma jedynie mnie, Helenę i nauczycielkę, która przychodzi do niej codziennie.

- Bardzo mi przykro. - Lauren nie wiedziała, co powiedzieć ani jak się zachować.

A przecież doskonale zdawała sobie sprawę, co czuje człowiek, którego najbliższa osoba jest nieuleczalnie chora, i że żadne słowa ani gesty nie są w stanie ukoić takiego bólu. Wiedziała to doskonale.

- Pytałaś, po co mi pieniądze. Potrzebuję ich na operację córki. Wierzę, że tutejsi lekarze kiedyś jej pomogą. Może za rok, może za kilka lat, ale chcę ufać, że Emilka znów będzie widzieć.

- Chętnie ci pomogę...

- Nie. - Gwałtownie pokręcił głową. - Nie potrzebuję wsparcia finansowego. Dzięki sesji z tobą dostałem spory zastrzyk gotówki i jestem ci za to wdzięczny. Za to Emilka... - Zawahał się i popatrzył jej w oczy. Nawet lekko się uśmiechnął. - Moja córka cię podziwia. Opowiadałem jej o tobie i o zdjęciach, które ci robiłem. Wie, że jesteś sławną aktorką i tancerką. Ona uważa... - Odchrząknął wyraźnie zakłopotany. - Że jesteś piękna, co oczywiście nikogo nie

dziwi. Ale chciałyby się przekonać, czy naprawdę. Imponuje jej, że jesteś gwiazdą.

Lauren, oszołomiona jego szczerym wyznaniem, zamrugła. Poczula się zakłopotana, choć zupełnie nie wiedziała dlaczego, skoro na co dzień spotykała się z uznaniem i komplementami.

– Zgodziłbyś się? – zapytała powoli.

– Na to, żebyście się spotkały?

– Tak...

Zawahał się.

– Dla mojej córki zrobiłbym wszystko, ale... Nie wiem, czy wasze spotkanie to dobry pomysł. To mogłoby ją wyprowadzić z równowagi, a Emilka jest bardzo wrażliwa.

– Sam wspomniałeś, że czuje się samotna. Może spróbujemy dać jej odrobinę dobrych emocji?

Pokręcił głową.

– Szkoda tylko, że te emocje będą chwilowe. Ale może zanim to ustalimy, zrób dla mnie coś innego. Towarzyszyłem ci na przyjęciu, więc teraz ty pójdz ze mną. Twoja szanowna przyjaciółka Elizabeth była u mnie kilka dni temu i zaprosiła nas na jutro na kolację.

Lauren uniosła brwi.

– Nas? Razem?

– Dziwi cię to? Przecież to twoja przyjaciółka.

Lauren uśmiechnęła się łobuzersko.

– Dziwi mnie, że zaprosiła ciebie.

* * *

Konrad wiedział, że kolacja u Watsonów będzie jedną z tych eleganckich, w klimacie świąt lub uroczystości rodzinnych, dlatego założył białą koszulę i garnitur, ale odpuścił sobie krawat i teraz tego żałował.

– Czemu jesteś tak podejrzanie oficjalna? – zapytał, wyjeżdżając na jezdnię i zerkając na siedzącą na miejscu pasażera Lauren.

Może nie wyglądała tak gwiazdorsko jak wówczas, kiedy wybierała się do Waldorf Astorii, ale miała na sobie czarną tiulową sukienkę, rozkloszowaną od talii w dół, a przy ramionach i dekolcie obszytą misterną koronką. Włosy upięła na karku w węzeł, ozdobiony brylantową spinką.

– Bo kolacje u Lizzie są oficjalne. Zresztą sam się przekonasz. W dodatku wszystko, czego spróbujesz, będzie przygotowane wyłącznie przez nią. Ona wykonuje gigantyczną pracę, żeby zadowolić przyjaciół swojego męża.

– Zdaje się jednak, że jest w tym szczęśliwa.

– I za to ją podziwiam. Mam wrażenie, że Lizzie robi wyłącznie to, co sprawia jej satysfakcję.

– Całkiem dobra recepta na życie.

Resztę drogi pokonali w milczeniu. Konrad skupiał się na prowadzeniu samochodu, bo ruch na jezdni był spory, a Lauren odchyliła głowę na oparcie i z przymkniętymi oczami delektowała się wieczorną przejażdżką. Mężczyzna zerkał na nią od czasu do czasu, niedowierzając, że to ta sama kobieta, której wizerunek można było podziwiać na wielkich billboardach reklamujących Nieczystą grę. Teraz, siedząc obok niego, zdawała się zupełnie zwyczajna. Piękna, ale ludzka, bez gwiazdorskiej maniery.

– Nieźle, co? – mruknęła, kiedy wjechali za bramę rezydencji Watsonów, mieszczącej się na 5th Avenue, niedaleko rezydencji Vanderbiltów i Astorów.

Dom był duży i bardzo elegancki, w stylu neoklasycystycznym, z pięknym ogrodem i trzema tarasami.

Pani domu, ubrana w elegancką kremową sukienkę za kolano, z ozdabiającym szyję i dekolt sznurem pereł, powitała ich w drzwiach.

– Tak się cieszę, że jesteście! Przyjechała też matka Roberta. Mój mąż jest z nią w salonie. Gdyby nie wy, musiałabym cały czas zabawiać ją rozmową.

– Dlatego przybyliśmy z odsieczą – rzekła Lauren, zerkając ukradkiem na Konrada.

Mężczyzna był pewien, że Lauren usilnie próbuje dojść, co on właściwie tu robi i dlaczego Elizabeth go zaprosiła.

– Doprawdy, bardzo mi miło tu być – rzekł uprzejmie do pani domu i podał jej butelkę dobrego wina.

Lizzie poufale położyła dłoń na jego przedramieniu.

– Mówiłam Robertowi, że jesteś tym fotografem od zdjęć Lauren, więc nie zdziw się, jeśli na początku będzie na ciebie patrzył podejrzliwie. Wspominałam mu o naszej sesji i obawiam się, że jest nieco zazdrosny, choć oficjalnie tego nie pokaże.

– Chyba nie myśli, że twoje zdjęcia będą podobne do moich? – zapytała Lauren z rozbawieniem.

– Tłumaczyłam mu, że taka sesja jak twoja jest jedna na milion i że to wyłącznie zasługa wyjątkowej chemii między modelką a fotografem. – To mówiąc, Lizzie uśmiechnęła się znacząco do Konrada. – Chodźmy, poznam cię z Robertem.

To była bardzo wystawna kolacja. Tak wystawna, że Konrad niemal zaniemówił z wrażenia, kiedy w oświetlonej kandelabrami i świecami jadalni ujrzał stół uginający się od przysmaków podanych na ekskluzywnej porcelanie. Nie zabrakło przystawek w postaci kawioru, zupy z małży, pieczonego indyka, homara oraz tradycyjnego steku z wołowiny. A na deser podano sernik z polewą czekoladową.

– Z przepisu Helen Adamczyk – zachwalała Lizzie.

Konrad zauważył, że Lauren nie tknęła kawioru ani szampana, co niezmiernie go zaskoczyło, bo zdążył już zauważyć, że to połączenie lubiła wyjątkowo. Przy stole posadzono ich obok siebie, więc kiedy ją o to zapytał, bezgłośnie prychnęła.

– Lizzie uważa, że piję za dużo alkoholu, i nie pozwala mi na żadne trunki. Pilnuje mnie jak strażniczka więzienna.

– A ty jak tylko umkniesz do tego swojego Hollywood, pierwsze, co zrobisz, to wykąpiesz się w szampanie.

– A żebyś wiedział! – Popatrzyła na niego znacząco. – Gdybyś miał ochotę któregoś razu do mnie dołączyć...

Konrad uśmiechnął się pod nosem.

– Już mówiłem, alkohol jest nie dla mnie. Po nim staję się nieobliczalny.

Reprezentant do Kongresu Robert Watson okazał się człowiekiem poważnym, ale życzliwym. Choć był politykiem wysokiego szczebla, chętnie rozmawiał z Konradem, a wręcz dopytywał go o sytuację w powojennej Polsce.

– Zamierza pan tam kiedyś wrócić? – zapytał, częstując Konrada cygarem i szklaneczką whisky, kiedy obaj rozsiedli się w drugim pokoju, a kobiety zostały w salonie.

Konrad odmówił whisky, a kiedy gospodarz nalewał porcję dla siebie, zwrócił uwagę na oświetloną ciepłym światłem imponujących rozmiarów bibliotekę, gdzie wszystkie dzieła klasyków, filozofów i współczesnych literatów oprawione były w identyczną skórę.

– Jeśli okoliczności na to pozwolą, to chciałbym kiedyś wrócić do Warszawy. Skłamałbym, mówiąc, że nie tęsknię za moim miastem – rzekł Konrad po chwili. – Na razie jednak, jak pan zapewne wie, sytuacja jest beznadziejna. Komuniści rozsiedli się na dobre na stołkach i wszędzie doszukują się wrogów, zwłaszcza w byłych żołnierzach AK. Wielu moich przyjaciół zmarło za murami więzień UB i NKWD. Gdybym został w Polsce, ze mną stałoby się to samo.

Robert Watson, rozparty wygodnie w skórzanym fotelu, wypuścił dym z cygara. Konrad pomyślał, że ten na wskroś dystyngowany mężczyzna po Harvardzie nie pasuje do tak spontanicznej i wesołej kobiety jak Lizzie. A jednak kiedy widział ich razem, bez trudu dostrzegł łączącą ich głęboką więź. To było coś, czego on sam nigdy nie doświadczył, a już na pewno nie w swoim zawartym z przymusu małżeństwie.

– Walczył pan w konspiracji? – zapytał polityk z nieudawaną ciekawością.

– Tak. Walczyłem w okręgu warszawskim i byłem delegatem do Londynu. Przed wojną zostałem zawodowym żołnierzem, ukończyłem Szkołę Podchorążych Piechoty w Warszawie.

– W stopniu?

– Porucznika. Mój ojciec, który zginął w Katyniu zastrzelony przez NKWD, też był wojskowym w stopniu pułkownika.

– Proszę przyjąć ode mnie wyrazy szacunku. Bardzo mi przykro z powodu śmierci pana ojca. Katyń to potworny dramat dla waszego

narodu i hańba tej wojny.

- Za którą dotąd nikt nie zapłacił - odparł Konrad z goryczą. - Moja matka również przyplaciła to życiem, bo nie wytrzymała informacji o śmierci ojca. Tutaj, w Nowym Jorku, w polskim Instytucie Józefa Piłsudskiego, znajdują się osobiste pamiątki po nim, bo tylko to zostało. Tymczasem winni jego śmierci i tysięcy innych polskich oficerów wciąż są na wolności. Na pewno pan się domyśla, że w moim kraju zabrania się mówić głośno o tej zbrodni. Dla mnie to osobisty dramat, tak jak i to, że moi koledzy i koleżanki z konspiracji umierają torturowani w katowniach UB i NKWD.

- Wasza Armia Krajowa zasługuje na najwyższy szacunek i uznanie. Polska konspiracja to była wielka rzecz, można by rzec, fenomen na skalę światową.

- Ale nie przyniosła nam zwycięstwa. Nie da się walczyć gołymi rękoma przeciwko uzbrojonej armii. Gdybyśmy wygrali tę wojnę, byłbym teraz w kraju i nie szukałbym sprawiedliwości w obcym państwie.

- A jakiej sprawiedliwości pan szuka, poruczniku?

Rogowski mimowolnie zacisnął szczęki.

- Jak pan wie, jestem fotografem. Podczas wojny dokumentowałem na kliszach to, co działo się w Warszawie i wszędzie tam, gdzie akurat byłem. Robiłem zdjęcia ukazujące zbrodnie hitlerowskie i zbrodnie sowieckie. Mam te fotografie i wiem, że są dowodem dla trybunałów sprawiedliwości. Mogłyby pomóc w poszukiwaniu zbrodniarzy wojennych, których wciąż zbyt wielu chodzi wolno.

Amerykanin zmarszczył brwi.

- Międzynarodowa polityka jest na wyjątkowym etapie i takie ruchy mogłyby być szczególnie niekorzystne.

- Mimo to chciałbym pokazać moje zdjęcia i klisze prezydentowi Trumanowi. Roosevelt zignorował naszych emisariuszy, więc liczę, że Truman postąpi inaczej.

Robert Watson westchnął.

- Poruczniku, prezydent Truman robi wszystko, żeby ustabilizować stosunki na świecie. Jak pan wie, Ameryka zwiera szyki do walki z komunizmem, ale Polska jest już po tamtej stronie i w tej chwili nic nie można zrobić. Dostaliście możliwość skorzystania z planu Marshalla, ale odrzuciliście to w ramach sojuszu ze Stalinem. Jeśli zaś chodzi o Niemcy...

- Mam wrażenie, że ta sprawa jest ostatnio traktowana przez Amerykę zbyt pobłażliwie – rzucił Konrad z goryczą.

Polityk uśmiechnął się i wypuścił dym z cygara.

- Ogromnym sukcesem naszego prezydenta było utworzenie kilka miesięcy temu traktatu północnoatlantyckiego. To bezsprzecznie najlepsza inicjatywa państw zjednoczonych w sojuszu militarnym w walce z reżimem ZSRR. Teraz Ameryce zależy na remilitaryzacji Niemiec i włączeniu ich do NATO.

- To absurd!

- To nie absurd, lecz realna polityka, panie poruczniku. Lepiej mieć Niemców po swojej stronie, zważywszy na zagrożenie ze strony ZSRR.

- Myślę, że nie do końca o to tu chodzi – rzucił Konrad z sarkazmem. – Dla was po prostu bardziej opłacalne jest korzystanie z usług i eksperymentów przeprowadzanych przez

nazistowskich naukowców niż ich osądzenie za zbrodnie, których się dopuścili.

Kongresmen zmarszczył brwi.

– Jest pan nadzwyczaj szczery, poruczniku.

– Mówię jedynie głośno to, co jest prawdą. Chcecie, żeby byli naziści pomogli wam w rozwoju amerykańskiej gospodarki i nauki. Nie przeczę, że wielu z nich to świetni fachowcy, jak na przykład konstruktor rakiet, esesman Wernher von Braun, ale za jaką cenę? Gdzie tu moralność?

– Oczekuje pan ode mnie jednoznacznej odpowiedzi, a ja jej panu nie udzielę. Jestem zobowiązany dbać o autorytet mojego kraju, który jest światową potęgą. Pan wie, podobnie jak ja, że w tym względzie inne kraje też nie są bez winy, jak choćby Wielka Brytania czy Francja. Tam, gdzie gra toczy się o rozwój i przyszłość ludzkości, nie ma miejsca na sentymenty.

– Mimo wszystko chciałbym pokazać moje zdjęcia prezydentowi Trumanowi i prosić o możliwość ich opublikowania. Chcę, żeby świat ujrzał cierpienia mojego kraju i twarze tych, którzy katowali moich rodaków. Proces w Norymberdze to tylko kropla w morzu i dlatego proszę pana o pomoc w tej kwestii.

– To niemożliwe. Truman na pewno nie wyrazi na to zgody.

– Te zdjęcia to dowód zbrodni! – Konrad czuł, jak mięśnie tężeją mu pod koszulą.

Znów zderzał się ze ścianą. Znów ktoś beznadziejnie próbował przekonać go, że powinien milczeć.

– Współczuję panu, poruczniku. Też nie chciałbym patrzeć na agonię mojego kraju, a jeszcze bardziej nie chciałbym widzieć, jak przejmują go komuniści. Ale musi pan zrozumieć, że Ameryka to

państwo przywódcze i jak już wspomniałem, nie możemy pozwolić sobie na sentymenty. Proszę schować te zdjęcia głęboko, ale nie zapomnieć o nich. Kiedyś nadejdzie czas, gdy będą mogły ujrzeć światło dzienne. Ale jeszcze nie teraz.

Konrad opuścił dom Watsonów z poczuciem porażki. Jeśli miał jakąkolwiek nadzieję na to, że coś uzyska, właśnie ją stracił. W obliczu wielkiej polityki i globalnych interesów jakiegokolwiek rozliczenia zbrodni nie miały racji bytu. Szarpała nim bezsilna wściekłość. Bo właśnie przez tę wielką politykę on i inni Polacy nie mogli żyć w wolnym kraju.

– Coś się wydarzyło podczas twojej rozmowy z Robertem? – Lauren spoglądała na niego z niepokojem z miejsca pasażera.

– Nie, nic się nie wydarzyło. Po prostu kongresmen Watson uświadomił mi, że są rzeczy na tym świecie, których nie da się zmienić. Nawet gdybyśmy bardzo tego chcieli.

Popatrzył na nią. Wydała mu się krucha i delikatna. I bardzo błada. W jednej chwili zapomniał o własnych frustracjach.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Tak. Po prostu... Jestem zmęczona. Ostatnio zdarza mi się to dość często, a jutro z samego rana mam wywiad z dziennikarką „Harper’s Bazaar” i wiem, o co będzie mnie pytać.

– O co?

– O ciebie. Już nas widzieli razem, więc jesteś pierwszym kandydatem na mojego kochanka. – Spojrzała na niego rozgorączkowanym wzrokiem. – Czy mimo wszystko pozwolisz mi się spotkać z twoją córką?

Zauważył w jej oczach niemą prośbę. Widział, że naprawdę tego chciała.

- Emilka będzie zachwycona – odpowiedział szczerze.

ROZDZIAŁ 19

Lauren nie spodziewała się, że Konrad zechce zabrać ją do swojego prywatnego mieszkania. Była pewna, że przywiezie Emilkę do jej apartamentu na 5th Avenue, jednak mężczyzna uznał, że dla bezpieczeństwa dziewczynki najlepiej będzie, jeśli obie spotkają się w miejscu nieznanym prasie.

- Poza tym ona nie czuje się pewnie poza domem. Rzadko wychodzi, a jeśli gdzieś jeździmy, to wyłącznie do szpitala. Na tyłach mieszkania jest niewielkie podwórko i tam Emilka spędza czas na powietrzu. Proszę, żebyś nie czuła się urażona, jeśli jej zachowanie wyda ci się dziwne... - Wszystko to Konrad mówił niemal na jednym wydechu i Lauren zauważyła, jak bardzo był zdenerwowany.

Kiedy wysiedli z jego samochodu pod kamienicą, w której mieszkał, rozejrzał się wokół, jakby sprawdzał, czy nikt ich nie obserwuje albo czy przypadkiem nie czeka na nich rzesza reporterów gotowych zrobić im zdjęcia. Na ulicy jednak było spokojnie, choć dość ponuro, bo nad Nowym Jorkiem zawisły ciężkie deszczowe chmury.

- Rozumiem. Nie musisz mi tłumaczyć czegoś, co jest oczywiste. Wiem, jak postępować z chorymi - odparła Lauren, by go uspokoić.

- A niby skąd możesz to wiedzieć? Jesteś aktorką, nie pielęgniarką.

Lauren znów poczuła się dotknięta. Konradowi daleko było do jakichkolwiek pochlebstw. Nie chciała mu jednak tłumaczyć, że tak

naprawdę niewiele o niej wiedział prócz tego, co przeczytał w gazetach i co dość mocno mijało się z prawdą.

– Mój apartament różni się od twojego – rzekł, wyraźnie chcąc się usprawiedliwić, kiedy wchodzili do mieszkania. – Ale zgodziłaś się tu przyjechać, więc mam nadzieję, że rozumiesz.

– Masz mnie za kretynkę?

– Raczej za kobietę przyzwyczajoną do luksusów. Tymczasem ja jestem skromnym emigrantem z Polski.

Miała na końcu języka, że ona też jest emigrantką i też kiedyś żyła w znacznie gorszych warunkach, gorszych niż on teraz, ale powstrzymała się od komentarza. Tamte czasy miała już za sobą, więc nie było potrzeby wspominać czegoś, do czego nie zamierzała wracać.

Mieszkanie rzeczywiście było niewielkie i urządzone wyjątkowo skromnie. Z klatki schodowej wchodziło się wprost do wąskiego korytarza, a stamtąd prowadziły drzwi do innych pomieszczeń.

Konrad zdjął marynarkę, powiesił ją na wieszaku i dopiero wtedy zaprosił Lauren do pokoju, który pełnił funkcję małego, ale schludnego salonu, z którego przechodziło się wprost do kuchni. Lauren zauważyła, że czuł się zakłopotany, jakby ona swoją obecnością burzyła ascetyczny spokój tego miejsca. Nie zamierzała jednak mieć z tego powodu wyrzutów sumienia, bo przecież Konrad sam zaproponował jej przyjazd właśnie tutaj.

– Emilka jest ze swoją nauczycielką. Przyprowadzę ją, ale proszę, żebyś chwilę zaczekała. Rozgość się.

Lauren skinęła głową.

– Napijesz się czegoś? – zapytał, zanim wyszedł.

W pierwszej chwili się zawahała. Odruchowo pomyślała, że lampka czegoś mocniejszego pewnie dobrze by jej zrobiła, bo czuła się nieco spięta, ale w porę ugryzła się w język. Nie wypadało jej pić alkoholu, jeśli miała spotkać się z dzieckiem. Poza tym obiecała to Lizzie, więc tylko pokręciła głową.

Konrad wyszedł, a ona została w salonie sama.

Czuła się nadzwyczaj niezręcznie. Zgodziła się spotkać z córką Rogowskiego, ale tak naprawdę nie wiedziała, co miałyby dziewczynce powiedzieć ani jak się wobec niej zachować. Nigdy wcześniej nie miała do czynienia z nikim, kto byłby niewidomy. A już z dzieckiem wcale. W ogóle niewiele wiedziała o dzieciach, nie licząc tego, że wciąż pamiętała czasy, kiedy sama była jednym z nich.

Przysiadła na fotelu i wbiła palce w drewniane podpórki. Próbowwała się skupić, żeby ukryć narastające zdenerwowanie, ale pomimo że była zawodową aktorką, tuszowanie emocji w takich sytuacjach sprawiało jej trudność. Pewnie gdyby była tu cała ekipa filmowa, Lauren wcieliłaby się w postać obojętnej i wyniosłej femme fatale bez najmniejszego wysiłku.

Rozejrzała się po skromnym pokoju. Nie było tu pięknych, stylowych mebli ani urokliwych bibelotów, które nadawałyby wnętrzu ciekawy charakter. Był za to prosty drewniany stół przykryty wzorzystym obrusem i skromne tanie krzesła. W rogu pokoju stał orzechowy kredens z witryną i popielata sofa z poduszkami. Obok podstarzała lampa z abażurem. Wszystko nadzwyczaj ascetyczne i jakby z drugiej ręki, ale czyste i schludne.

Lauren wstała i z ciekawością podeszła do kredensu. Oprócz kilku książek w języku polskim, ułożonych w równym rzędzie, dostrzegła również kryształową staromodną popielniczkę, białe

porcelanowe filiżanki, mosiężny krzyżyk owinięty różańcem z kamieni ozdobnych, których Lauren nie rozpoznawała, i zdjęcia w ramkach. Zdjęć było najwięcej. Głównie przedstawiały młodą kobietę o jasnej trójkątnej twarzy, z dużymi oczami i ładnie wykrojonymi ustami, które jednak z pewną rezerwą uśmiechały się do obiektywu. Modelka miała ciemne włosy, ufryzowane w modne w latach trzydziestych fale. Na innym zdjęciu ta sama kobieta pozowała w parku z malutką dziewczynką na rękach. Lauren bez trudu domyśliła się, że to musiała być żona Konrada wraz z ich córką. Zdziwiła się, że nigdzie nie było żadnego zdjęcia we trójkę.

Inna fotografia przedstawiała elegancką, zgrabną kobietę w szykownej sukience ze stójką i poważnego wąsatego mężczyznę w średnim wieku. Mężczyzna stał dumnie wyprostowany, ubrany w galowy mundur żołnierski, z przypiętymi wojskowymi odznaczeniami. Na kolejnym zdjęciu Lauren ujrzała Helenę Adamczyk, którą poznała w cukierni. Helena stała w towarzystwie młodego mężczyzny i trzymała go pod ramię, jakby był jej mężem lub narzeczonym. Oboje uśmiechali się do obiektywu.

- Lauren...

Odwróciła się gwałtownie na dźwięk swojego imienia.

Do pokoju weszli Konrad i dziewczynka. Mężczyzna trzymał ją za rękę. Towarzyszyła im nadzwyczaj skromnie wyglądająca młoda kobieta, która na widok aktorki usilnie próbowała ukryć oszołomienie i zawstydzenie.

„Pewnie nauczycielka” – pomyślała Lauren.

Całą uwagę skupiła jednak na Emilce.

Dziewczynka okazała się zadziwiająco wysoka. Sięgała ojcu do ramienia. Uderzająca była również nadzwyczajna bladość jej twarzy

i szczupłość wciąż dziecięcej sylwetki w prostej, granatowej plisowanej sukience z białym kołnierzykiem. Na policzkach dziewczynki nie było rumieńców, jakie często widuje się u dzieci, a skóra zdawała się porcelanowo gładka. Ciemne, długie włosy były zaczesane w schludny warkocz. Za to oczy... Oczy były śliczne, duże, przejrzysto niebieskie, otoczone gęstymi czarnymi rzęsami i... drobnymi, jasnymi bliznami, które wyglądały jak ślady po ukłuciu igielki. Lauren spojrzała w te oczy i coś ją ścisnęło w gardle, bo dziewczynka patrzyła nieruchomo w jeden punkt.

- Panna Evans? - zapytała po angielsku z lekką dozą nieśmiałości, a jej drobne usta zadrgały w niepewnym uśmiechu.

Lauren dostrzegła, że dziewczynka odruchowo ścisnęła mocniej dłoń ojca, szukając u niego wsparcia.

Bezwiednie przygryzła wargę i próbowała się uśmiechnąć.

- Tak, nazywam się Lauren Evans. - Starła się, żeby jej głos brzmiał naturalnie, ale czuła, że nieco drży od emocji. - Twój tata wyznał mi, że chciałaś się ze mną zobaczyć. Powiedziałam mu, że to świetny pomysł, więc zaprosił mnie tutaj. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko?

Dziewczynka spontanicznie uniosła się lekko na palcach, jakby w wyrazie ekspresji, lecz nie mogła oderwać się od ziemi, choć bardzo chciała. Wciąż trzymała ojca za rękę.

- Marzyłam o tym, panno Evans! Mówiłam tacie, żeby panią poprosił i że jeśli pani może... - Wciągnęła głęboko powietrze. - To naprawdę pani? Prawdziwa aktorka? Prosto z Hollywood? - Jej podniecenie rosło z każdą sekundą i nawet Konrad zdawał się tym zaskoczony.

Lauren odetchnęła głęboko i zrobiła kilka niepewnych kroków w jej stronę. Nie czekając na pozwolenie, delikatnie ujęła ją za drugą dłoń.

– Prosto z Hollywood – zapewniła skwapliwie. – Cieszę się, że mogłam tu przyjść i cię poznać, Emily. Twój tata opowiadał mi o tobie.

Błądą twarz dziewczynki rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Mówił, że lubię tańczyć?

Lauren spojrzała niepewnie na Konrada, ale ten jedynie skinął jej głową.

– Tak, wspominał o tym.

– Pewnie lubiłabym też oglądać filmy, ale niestety nie mogę. Wiem jednak, że jest pani świetną aktorką.

Lauren ponownie przygryzła wargę i znów popatrzyła na Konrada, a później zerknęła również na nauczycielkę, która nie spuszczała z niej zafascynowanego wzroku.

– Nazywam się Alicja Stanicka – rzekła ta z nietłumioną ekscytacją, niepewnie wyciągając do Lauren rękę. Twarz miała zmienioną od nagłego wzruszenia, a policzki zaczerwienione. – To zaszczyt. Jestem oszołomiona, panno Evans. To wręcz nierzeczywiste, że pani tu jest. Uwielbiam pani filmy. Opowiadałam Emilce, jaką jest pani wspaniałą aktorką i doskonałą tancerką. Niedawno byłam w kinie na pani najnowszym filmie Nieczysta gra.

– Dziękuję – odpowiedziała Lauren uprzejmie.

Zwykle w takiej sytuacji czułaby się swobodnie i z naturalnością przyjmowałaby komplementy, ale teraz obecność niewidomej córki Konrada bardzo ją onieśmieliła. Cała ta sytuacja okazała się dla niej wyjątkowo krępująca i emocjonująca zarazem.

- Może usiądziemy? - zaproponował Konrad.

- Czy mogę panią dotknąć, panno Evans? - zapytała niespodziewanie Emilka, nim ktokolwiek zdążył zająć miejsce na sofie.

- Tak... Czemu nie.

Dziewczynka podeszła do niej bardzo blisko. Następnie uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń. Delikatnie, jakby z obawą, przesunęła palcami po ramieniu i dłoni Lauren, zatrzymując opuszek drobnego kciuka na brylantowym pierścionku. Lauren poczuła się ogromnie zmieszana.

- Ma pani narzeczonego? - zapytała dziewczynka. - To on dał pani ten pierścionek?

- Emilko! - Konrad ostrym tonem upomniał córkę.

Dziewczynka zmarszczyła brwi, wyraźnie niezadowolona z reprimendy ojca, ale natychmiast cofnęła palec.

- W porządku. To nic takiego - odparła Lauren z uśmiechem. - Nie mam narzeczonego. Ten pierścionek kupiłam sobie sama.

- Musiał sporo kosztować.

- Tak, ale nie tyle co kolczyki, które mam do kompletu.

- Jest pani bogata?

Tym razem Konrad odchrząknął z irytacją. Lauren dostrzegła, że bezpośrednio zachowanie córki wyraźnie go krępowało.

- Emilko, nie zadawaj pannie Evans takich pytań! Są niedyskretne.

- Ja chcę jedynie wyobrazić sobie, jak żyją aktorzy z Hollywood. Przecież sama nigdy tego nie zobaczę! - broniła się dziewczynka bez cienia zażenowania z powodu swojej nietaktowności.

- Owszem, jestem dość majętna - odparła Lauren uprzejmie, ignorując uwagę Konrada. - Ale ciężko na to pracuję. Być może nie wiesz, ale praca na planie filmowym jest bardzo trudna i wyczerpująca. Wymaga sporo poświęcenia.

- To dlatego nie ma pani męża i dzieci?

- Właśnie dlatego.

- To musi być niesamowite występować przed kamerą. I na pewno ma pani pełno pięknych sukien. Pewnie to lepsze niż pozowanie przed aparatem taty.

Lauren uśmiechnęła się kącikiem ust i zerknęła na Konrada. On też na nią patrzył. Czy w tym momencie pomyślał o tym samym, co ona? Czy przypomniał sobie ich sesję zdjęciową i to, co wydarzyło się zaraz po niej? Albo raczej co się nie wydarzyło...

- Mogę dotknąć pani twarzy? - Emilka przywróciła ich do rzeczywistości.

Lauren oderwała wzrok od mężczyzny i znów popatrzyła na dziewczynkę. Niewiele myśląc, pochyliła się przed nią tak, że jej twarz znalazła się na wysokości twarzy Emilki.

- Możesz. Na co dzień mnóstwo osób mnie dotyka, między innymi moja makijażystka, która dba, żebym wyglądała pięknie, więc nie czuję się skrepowana.

A jednak przeszedł ją dreszcz, kiedy dziewczynka zaczęła delikatnie badać drobnymi palcami jej twarz - najpierw policzki, nos i czoło. Na koniec zjechała opuszkami na pomalowane szminką usta. Robiła to z nadzwyczajną czułością, jakby dotykała czegoś wyjątkowo cennego.

- Mój tata i panna Alicja mieli rację. To prawda, że jest pani piękna. Jak była pani mała, pewnie wyglądała pani jak Ala z Krainy

Czarów.

Lauren zamrugła zdumiona.

- Emily, pochlebiasz mi, ale myślę, że to ty jesteś jak Ala z Krainy Czarów...

Błądą twarz dziewczynki rozjaśnił uśmiech.

- Tak pani myśli? Ciągle wyobrażam sobie, że tak jak ona wpadam do głębokiej studni za Białym Królikiem, a tam moje przygody są trochę podobne do przygód Ali, a trochę jednak inne, bo ona wszystko widzi, a ja sobie wyobrażam. Ale w mojej wyobraźni świat jest jeszcze ładniejszy, bo nie ma w nim brzydoty ani krzyku, ani bólu. I nie ma tam śmierci.

Lauren poczuła, że wzruszenie ściska ją gwałtownie za gardło. Emilka nadal wodziła dłonią po jej twarzy, a potem po włosach.

- Emilko, pozwól panie Evans usiąść. Pewnie czuje się niezręcznie... - Konrad, wyraźnie skonsternowany, próbował przerwać te zabiegi córki.

- Wiem, tato. Wszyscy czują się dziwnie, kiedy ich dotykam. - Dziewczynka niechętnie odsunęła się od Lauren i posłusznie dała się poprowadzić ojcu do pobliskiego fotela.

Panna Stanicka nie usiadła z nimi, tylko zgrabnie wycofała się z pokoju, zapewniając, że musi wracać do swoich obowiązków.

- Jest pani tancerką, prawda? - bardziej stwierdziła, niż zapytała Emilka, kiedy zostały z Lauren same, bo Konrad wyszedł odprowadzić pannę Stanicką do drzwi.

- Tak. Nawet chodziłam do prawdziwej szkoły tańca na Broadwayu.

- Ja też bardzo bym chciała, ale tata mówi, że nie mogę. Po pierwsze, brakuje mu na to pieniędzy, a po drugie, uważa, że jak

zaczę tańczyć, to mogę się przewrócić i zrobić sobie krzywdę. On myśli, że jestem niezdarna, bo nie wie, że mam wycucie rytmu.

– Mówi tak, bo się o ciebie martwi.

Dziewczynka gwałtownie pokręciła głową.

– On nie wie wielu rzeczy. Nie wie, że mogłabym tańczyć i wcale bym się nie przewróciła. Jemu się wydaje, że skoro nie widzę oczami, to nie widzę wcale. A przecież żeby tańczyć, nie trzeba mieć oczu. Wystarczy słuchać muzyki.

– To prawda...

Lauren patrzyła na dziewczynkę oszołomiona. Emilka mówiła z taką naturalnością, jakby to, że była ociemniała, nie stanowiło dla niej przeszkody.

– Przecież mam nogi – kontynuowała z entuzjazmem. – Mam zdrowe ciało, którym mogę poruszać. Jak taty nie ma w domu, tańczę w pokoju i jest mi wtedy tak przyjemnie. Wyobrażam sobie...
– urwała gwałtownie, bo do pokoju wszedł Konrad.

Lauren spojrzała na niego.

– Emily właśnie mówiła mi, że chciałyby tańczyć.

Rogowski zmarszczył brwi.

– Tak, opowiada mi o tym od dawna, ale tłumaczę jej, że to nie jest dobry pomysł.

– Dlaczego? – zapytała dziewczynka żałośnie, jakby odpowiedź ojca, którą słyszała za każdym razem, nadal nie była dla niej oczywista. – Panna Evans mogłaby pokazać mi parę kroków. Jest przecież tancerką.

Lauren spojrzała na Emilkę zdumiona.

- Panna Evans nie może pokazać ci kroków, bo nie jest wykwalifikowaną nauczycielką, tylko aktorką – odparł Konrad.

- Ależ mogę! – wyrwało się Lauren, która znów poczuła się dotknięta powierzchowną oceną Konrada.

Wyraził się o niej w taki sposób, jakby jej zawód dyskwalifikował ją w każdej innej dziedzinie życia.

- Chętnie pokażę Emily kilka prostych kroków – dodała już spokojniej. – A raczej wytłumaczę. Emily, chciałybyś?

Twarz dziewczynki pojaśniała, a ona sama podskoczyła na fotelu.

- Tak, tak, tak! – zawołała.

- Emilko, panna Evans przyszła tu z krótką wizytą. – Konrad zdawał się wyraźnie poirytowany ich spontanicznym pomysłem. – Nie było mowy o lekcjach tańca. Zresztą nie da się tańczyć bez muzyki, a my nie mamy muzyki.

Lauren błyskawicznie wstała z fotela i wygładziła na sobie sukienkę.

- To nic. Mogę zanucić. I zaśpiewać. Umiem to robić. Nie zapominaj, że jestem artystką. Emily, wstań, proszę, wezmę cię za rękę.

- To śmieszne – odburknął Konrad, krzyżując ramiona na piersi.

- Emilko, wiesz przecież, że możesz się potknąć albo nadepnąć pannie Evans na stopę.

Obie jednak zdawały się go nie słuchać, a Lauren czuła coraz większą ekscytację. Uwielbiała tańczyć, to był jej żywioł i jeśli mogła swoimi umiejętnościami sprawić choć trochę radości tej wyraźnie osamotnionej dziewczynce, to czemu miałyby sobie tego odmówić?

Podeszła do córki Konrada i delikatnie ujęła ją za obie dłonie.

– Wstań, Emily – ponowiła prośbę. – Jedną ręką obejmę cię w pasie, a drugą będę trzymała za dłoń. Co ty na to? Tak się tańczy walca.

Emilka podniosła się ochoczo z fotela. Lauren objęła dziewczynkę w szczupłej talii i delikatnie przyciągnęła do siebie.

– Spróbujemy zatańczyć walca. To taniec opierający się na takcie trzy czwarte.

– Wiem, panno Evans. Panna Alicja mówiła mi o walcu.

– Doskonale. Więc ja będę partnerem, a ty partnerką. Kiedy wykonam krok prawą nogą od pięty do przodu, ty lewą od palców do tyłu. Spróbujmy.

Lauren starała się ignorować obecność Konrada. W jej głowie zabrzmiały takty Drugiego walca Szostakowicza, który uwielbiała. Zaczęła rytmicznie i głośno podśpiewywać, podrywając siebie i dziewczynkę do ruchu. Z początku Emilka trzymała się sztywno i Lauren musiała niejako wymusić na niej ruch, ale już po chwili dziewczynka wsłuchała się w rytm nuconej melodii i zaczęła jej się poddawać. Lekko poruszały się w przód i w tył, bez obrotów jak w walcu wiedeńskim, ale zgodnie z taktem. Lauren czuła, jak wiotkie ciało dziewczynki stopniowo zaczyna poddawać się tańcowi. Jak topnieje w jej ramionach, a nogi zaczynają się poruszać niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Emilka czuła takt walca, czuła nuconą przez Lauren melodię.

– Brawo! – zawołał w którymś momencie Konrad, wytrącając je z rytmu. – To wygląda naprawdę świetnie!

– Mówiłam ci, tato, że mogę tańczyć! – Emilka śmiała się, a jej drobne, smukłe ciało aż rwało się do kolejnego walca.

Lauren spojrzała w jej niewidzące oczy, które skupiały się na jednym punkcie w przestrzeni. Przez krótką chwilę, kiedy obie były skoncentrowane wyłącznie na tańcu, Lauren zapomniała, że dziewczynka nie widzi. Sama też na krótki moment poczuła się, jakby złapała dawno już zapomniany wiatr w skrzydła. Dała się ponieść przyjemnej fali walca, którego nie tańczyła wieki. Oczywiście to, co właśnie wyczyniała z Emilką, trudno było nazwać prawdziwym walcem, ale z całą pewnością ich płąsy były do niego bardzo podobne.

– Masz potencjał do tańca Emily. Jeszcze trochę nauki przed tobą i mogłabyś być prawdziwą tancerką.

– Słyszysz, tato? Mogę być tancerką!

Konrad podszedł do córki. Odciągnął ją delikatnie od Lauren i przytulił.

– Myślę, że panna Evans zbyt ci pochlebia, córeczko, ale jestem z ciebie dumny.

– Mówię serio – odparła Lauren z powagą. – Gdyby Emily brała lekcje tańca...

– Emilka nie będzie brała lekcji tańca – przerwał jej Rogowski z naciskiem.

– Dlaczego? Myślę, że dałaby sobie radę.

– Nie będę tego tłumaczył setny raz! – W głosie mężczyzny pojawiła się zaciętość.

Oboje spojrzeli sobie w oczy i Lauren w mig zrozumiała, że Konrad nie ustąpi. Westchnęła bezgłośnie, a Emilka wyslizgnęła się z ramion ojca i po omacku wyciągnęła dłoń w stronę Lauren. Ta szybko ją ujęła i przyciągnęła małą do siebie.

- Chcę tańczyć, tato - upierała się dziewczynka, a Lauren dostrzegła, że Konrad próbował stłumić irytację.

- Być może kiedyś będziesz, córeczko.

- Chcę teraz!

- To nie jest właściwy czas. Zresztą... - Zawahał się. - Porozmawiamy o tym później. Bez panny Evans.

Usłyszeli odgłos otwierania i zamykania drzwi frontowych. Ktoś wszedł do mieszkania i po chwili w saloniku pojawiła się Helena w płaszczu mokrym od deszczu. Na widok Lauren przystanęła zdumiona.

- Zdaje się, że przeszkadzam... - wyjąkała zduszonym głosem.

- Nie, właśnie kończymy - odparł Konrad szybko. - Zostaniesz z Emilką, a ja odwiozę pannę Evans?

- Oczywiście. Jak zawsze - rzekła oschle Helena.

ROZDZIAŁ 20

Niemal przez całą drogę panowała między nimi głucha cisza. Jeszcze większa niż wtedy, kiedy Konrad po raz pierwszy odwoził Lauren do jej apartamentu po premierze filmu. On spokojnie prowadził samochód, a ona bezmyślnie wpatrywała się w miejski krajobraz. Dopiero kiedy znaleźli się na 5th Avenue, Lauren, która od dłuższej chwili walczyła z niecierpliwością, odważyła się odezwać.

– Powinieneś pozwolić jej tańczyć.

– Nic nie wiesz, Lauren.

– Wiem, że twoja córka chciałaby coś robić. Czymś się zająć. Ona czuje się samotna.

Konrad zatrzymał samochód, zgasił silnik i popatrzył na kobietę.

– Moja córka jest chora. Ona nie jest takim dzieckiem jak inne.

– Dlatego tym bardziej potrzeba jej większych bodźców...

– Nie wiesz, o czym mówisz. Emilka nie jest lalką, z którą można robić, co się żywnie podoba.

– Ani przez chwilę tak nie myślałam...

– To po co się wtrącasz?

– Bo widzę, że ona bardzo tego pragnie! Może taniec pomoże jej...

– W czym jej pomoże? – Konrad brutalnie jej przerwał. – Odzyskać wzrok? Nie sądzę. Przy pierwszym upadku uświadomi

sobie, jak bardzo jest beznadziejna, bo nie widzi. A ja chcę ją przed tym uchronić. Przed rozczarowaniem.

– A nie uważasz, że zamykając ją w domu, jedynie pogłębiasz jej kalectwo?

Konrad popatrzył na nią z błyskiem zniecierpliwienia w oczach.

– Przypomnij mi, ile masz dzieci?

– Jesteś niesprawiedliwy!

– Możliwe. Ale jestem jej ojcem i to ja decyduję, co jest dla niej właściwe.

Lauren zacisnęła wargi.

– W porządku. Skoro chcesz być krótkowzroczny, to bądź, ale wiedz, że ja też kiedyś... – Urwała gwałtownie i wciągnęła głęboko powietrze, bo w wyobraźni widziała błagalną minę Emilki. – Też kiedyś byłam w trudnej sytuacji i taniec pomógł mi z niej wyjść. Być może cię to zdziwi, ale nie urodziłam się aktorką. – Ostatnie zdanie wypowiedziała z wyraźnym sarkazmem.

Nie czekając, aż Konrad wysiadzie i otworzy jej drzwi, sama pociągnęła za klamkę i wyszła na zatłoczoną ulicę, tuż przy apartamentowcu.

Jeszcze przed godziną padał deszcz, więc jezdnią spływały potoki, a chodniki mokre były od kałuż. Lauren zgrabnie przeskoczyła nad jedną z nich i powędrowała w stronę wejścia, nie oglądając się za siebie.

Rogowski wysiadł z auta i szybko pobiegł za nią.

– Wiem, kim jesteś – rzekł, łapiąc ją za łokieć, a ona uniosła brwi z zaskoczenia.

– Wiesz, kim jestem? To chyba oczywiste. Mało kto w tym kraju tego nie wie.

Konrad patrzył na nią przenikliwie, lustrując ciemnym spojrzeniem jej twarz. Było w tym jakieś zniecierpliwienie i coś jeszcze, czego nie potrafiła odczytać. To coś wydawało się obce i niepokojące.

– Ja wiem więcej...

Lauren rozszerzyła usta w sztucznym uśmiechu, choć wewnątrz poczuła przeszywający dreszcz niepokoju.

– Czyżbyś interesował się mną w wyjątkowy sposób? – zapytała przesadnie słodko, udając kokieteryę, która miała ukryć nagłą obawę. Instynktownie zacisnęła dłoń na lakierowanej torebce. – To mi pochlebia.

– Możemy porozmawiać u ciebie? – Rogowski nie spuszczał z niej uporczywego wzroku.

Uniosła podbródek.

– To pretekst, żeby znaleźć się ze mną sam na sam w moim apartamencie? Czyżbyś miał wobec mnie jakieś szczególne plany?

– Nie. Chciałbym tylko porozmawiać.

– Szkoda... – Wyminęła go zgrabnie i pomaszerowała w stronę wejścia do budynku.

– Lauren! – Ruszył za nią i chwycił ją za rękę. Z początku mocno, ale szybko zwolnił uścisk. – Porozmawiajmy, proszę. Jest coś, o co bardzo chciałbym cię zapytać. Coś, co jest dla mnie bardzo ważne.

Teatralnie wydeła wargi i spojrzała na niego lekceważąco, z udawaną wyższością.

– Nie mam teraz czasu. – Zmarszczyła brwi. – Ani ochoty.

– Zajmę ci tylko chwilę.

– To aż takie ważne?

– Nie prosiłbym cię o rozmowę, gdyby nie było.

Lauren cmoknęła, by jeszcze trochę potrzymać go w niepewności.

– Czyżbyś zamierzał jak inni prawić mi banały o tym, jak bardzo jesteś we mnie zakochany? Chyba nie chcesz mi się oświadczyć? Bo jeśli tak, to musisz wiedzieć, że dzisiaj dostałam trzy takie propozycje i nad jedną powinnam się mocno zastanowić, bo facet jest...

– Lauren! – przerwał jej, a kąciki jego ust nieznacznie drgnęły.

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, zastanawiając się, co zrobić. Otaczał ich uliczny zgiełk, głośnie klaksony, ludzie zewsząd przemykali w różnych kierunkach. Lauren złapała się na tym, że tak naprawdę nie chce się z nim rozstawać. Nie chce wchodzić do pustego apartamentu w samym sercu tłoczego Nowego Jorku, gdzie jej jedynym towarzyszem jak zwykle będzie... szklanka wody, bo nawet brandy musiała sobie odmówić. Z drugiej strony wiedziała, że jeśli teraz ustąpi i wpuści Konrada do środka, to być może już nigdy więcej go nie zobaczy. Miała przeczucie, że to, co chciał jej powiedzieć lub o co chciał zapytać, definitywnie zakończy ich krótką znajomość.

– Spotkajmy się jutro. – Postanowiła grać na zwłokę, choć równocześnie pragnęła pójść z nim na górę i zatopić się w jego ramionach.

Tylko co, gdyby znów zderzyłaby się ze ścianą obojętności?

– Jutro mogę dopiero wieczorem – odparł. – Wiesz, że w dzień pracuję.

– Dobrze. Więc spotkajmy się w Copacabanie.

– Gdzie? – zdumiał się Konrad.

Wydawał się nieco poirytowany jej nagłą propozycją. Ona jednak uśmiechała się słodko, jakby nic sobie nie robiła z jego powagi i dystansu. Umiała dobrze grać.

– To night club przy 10 East 60th Street.

– Wiem, czym jest Copacabana. Po prostu zdziwiłem się, że proponujesz to miejsce. Byłem tam raz czy dwa.

– Naprawdę? Co tam robiłeś?

– To, co zwykle. Zdjęcia.

– Świetnie. Więc spotkajmy się tam. Mam ochotę się rozerwać, a poza tym... Pokażę ci, jak wspaniałą może być taniec. Może wówczas zmienisz zdanie co do lekcji Emily.

Zmierzyła go krytycznym wzrokiem.

– I ubierz coś wyjściowego. W takim wydaniu cię nie wpuszczą.

– Niech cię licho porwie, Lauren Evans.

– Wolałabym, żebyś ty to zrobił – odparła prowokująco, ale Konrad jak zawsze zignorował jej zaczepkę, więc pożegnała się z nim chłodniej, niż zamierzała, i chwilę później była już w swoim apartamencie. Sama.

Zdjęła wysokie pantofle, rzuciła je w kąt i na bosaka przeszła po miękkim dywanie prosto do barku z trunkami. Zatrzymała się tuż przed nim i z westchnieniem popatrzyła na karafkę z wodą. Lizzie doskonale spełniała swoją prohibycyjną misję i Lauren była pewna, że gdyby teraz przeszukała cały apartament, nie znalazłaby nawet kropli alkoholu. Lizzie była w zмовie z Mary; obie skrupulatnie pozbyły się stąd wszystkiego, co miało procenty.

Owszem, mogła zejść na dół do restauracji i tam skosztować lampkę wina, ale nie miało to sensu. I nie byłoby w porządku w stosunku do Lizzie i Mary.

Pokręciła się po salonie, bezmyślnie przerzuciła leżące na komodzie magazyny plotkarskie, zerknęła na katalog z nowymi pantoflami od Salvatore Ferragamo, ale choć kochała projektanta za sztukę, nie umiała skupić się na jego obuwniczych dziełach sztuki.

Ciężko opadła na fotel i odchyliła głowę na miękkie oparcie. Cisza w salonie zdawała się przytłaczająca, choć z zewnątrz dochodziły do jej uszu odgłosy wielkiego miasta.

Lauren przymknęła powieki.

Widziała w myślach Emilkę – taką delikatną, subtelną i radosną z przeżywanej chwili. To było piękne i okrutnie bolesne zarazem, bo Lauren ze wstydem uświadomiła sobie, że zazdrości dziewczynce tego szczerego entuzjazmu i chęci do czerpania radości z tańca. Ona gdzieś je zatraciła, choć przecież dawniej taniec był jej pasją. Dawał jej namiastkę swobody. Kiedy tańczyła, nie oglądała się na nikogo, nie musiała słuchać niczyich poleceń.

A skąd Emilka czerpała siłę i radość pomimo utraty wzroku? Jak nauczyła się żyć po śmierci matki i dramacie, którego była świadkiem? Lauren wydawało się, że Konrad, podchodząc do córki z nadmierną troskliwością, nie dostrzegał jej potencjału i potrzeby otwarcia się na coś, co mogłoby ją rozruszać oraz dać szczerą radość w tym trudnym świecie.

Tymczasem ona... Z pozoru miała wszystko, a nawet więcej. A jednak coś ją dławiło, jakieś poczucie bezsilności i braku kontroli nad własnym życiem. Doskwierał jej ciężar, którego nie umiała zdefiniować. Grzęzła w bagnie, z którego nie potrafiła się wydostać. Nie chciała się nad sobą użalać. Tłumiła to w sobie bardzo dzielnie, ale teraz poczuła, że coś w niej w środku pęka i rozsypuje się na tysiąc kawałków. Może to przez spotkanie z tym dzieckiem, które

wywołało w niej lawinę sprzecznych uczuć – od współczucia nad jej kalectwem, po podziw nad hartem ducha i niczym nieskrępowaną ekspresją?

Siedziała tak w bezruchu, przenosząc myśli z Emilki na swoją matkę. Inge Petersen.

Kiedy ostatni raz miała z nią kontakt?

* * *

– Panno Petersen, jak miło panią słyszeć. Dawno pani nie dzwoniła.

– Lauren usłyszała w słuchawce na pozór przyjazny, choć podszyty ironią głos.

Spodziewała się tego, ale mimowolnie zacisnęła dłoń na słuchawce telefonu. Rzeczywiście dawno nie interesowała się losem matki. Praca nad filmem pochłaniała ją do reszty, a życie robiło swoje.

– Jak się pani miewa? – padło uprzejme pytanie, choć Lauren odniosła wrażenie, że było wymuszone przez konwencję.

– Dobrze, dziękuję. – Na moment wstrzymała oddech. – Dzwonię, by zapytać... Jak mama?

– Bez zmian.

Lauren bezwiednie zacisnęła powieki.

– Żadnej poprawy? – zapytała cicho i odchrząknęła, żeby stłumić nagłe wzruszenie.

– Żadnej – brzmiała sucha odpowiedź.

– Bierze leki?

– Oczywiście. Ale nie wywołują u niej żadnej innej reakcji ponad tę, że jest spokojna. Proszę się nie spodziewać, że nastąpi jakaś

szczególna poprawa, bo to mało prawdopodobne. Pani matka jest nieuleczalnie chora.

Pod powiekami Lauren pojawiły się łzy. Otworzyła oczy. Jak przez mgłę widziała teraz obraz wieczornego, wciąż pochmurnego nieba nad Nowym Jorkiem. Znow zaczął padać deszcz, więc ciszę wypełniało miarowe stukanie kropeł o szyby.

- Czy ma dobre warunki?

- Wedle pani życzenia najlepsze. Dbamy o to z najwyższą starannością.

- Dziękuję... - Lauren instynktownie zagryzła wargi i spuściła głowę.

Czuła wstyd i wyrzuty sumienia. Na co dzień chowała je głęboko w sobie. Udawała. Ale one tkwiły w niej jak zadra i bolały, kiedy wracała myślami do matki.

Przed oczami stanęła jej postać Ingi - uderzająco pięknej blondynki o jasnych oczach, pięknej cerze i wiotkiej figurze. Była jak porcelanowa lalka - krucha i delikatna. I taka sama była jej dusza, podszyta cierpieniem, która w kulminacyjnym momencie znalazła w sobie dość odwagi, żeby przeciwstawić się złu.

- Uważa pani, że powinnam ją odwiedzić? - Lauren sama nie wiedziała, dlaczego o to zapytała.

Ze wstydu? Z poczucia obowiązku? Bo przecież wcale tego nie chciała. Nie chciała patrzeć na matkę chorą, zmarnowaną, przegraną. Pragnęła pamiętać ją jako piękny kwiat, jako tancerkę, którą kochano, oklaskiwano. Której rzucono do stóp czerwone róże.

- To wyłącznie pani decyzja, panno Petersen.

Nie spodziewała się innej odpowiedzi.

- No tak. Dziękuję. Pomyślę o tym. Proszę o nią dbać jak zawsze.

Nie pożegnawszy się, odłożyła słuchawkę.
Dojmujące poczucie pustki się pogłębiło.

ROZDZIAŁ 21

Helena nie mogła opanować wewnętrznego drżenia, które powoli przechodziło w bolesne napięcie. Energicznie szorowała ścierką blat kuchenny, choć błyszczał jak zawsze i nie było na nim nawet najmniejszej plamki. Starła się przy tym nie zerkać na siedzącego przy stole Konrada, który z rozłożoną na stole gazetą „The New York Times” kończył śniadanie, jednak wbrew sobie raz po raz rzucała mu ukradkowe spojrzenia. Denerwowało ją, że był taki opanowany. Wręcz nieobecny. Miała nadzieję, że coś powie, skomentuje jakoś wczorajszą niecodzienną wizytę Lauren Evans w ich mieszkaniu, ale on milczał, jakby odwiedziny sławnej hollywoodzkiej aktorki były czymś naturalnym i niewymagającym zwracania sobie tym głowy. A przecież Helena z nerwów nie spała potem całą noc i miała wrażenie, że czuje unoszący się w powietrzu zapach perfum tej Evans. Wizyta aktoreczki stanowiła naruszenie jej osobistego terytorium, była jak wejście z butami w jej prywatność. Ta wypindrzona damulka z pierwszych stron gazet coraz bardziej doprowadzała ją do szału. Swoją wymalowaną buźką i zgrabnym ciałem próbowała zburzyć to wszystko, co Helena przez ostatnie miesiące z takim zaangażowaniem budowała! Tego było za wiele!

W końcu wulkan złości rozsadził ją od środka i Helena z całej siły trzepnęła ścierką o blat.

Konrad uniósł wzrok znad gazety i popatrzył na szwagierkę zdumiony.

- Dlaczego mnie nie uprzedziłeś, że zaprosiłeś tę aktoreczkę? - wypaliła Helena.

- Przyszła do Emilki, a ty byłeś w tym czasie w cukierni. Nie widziałem potrzeby...

- To również moje mieszkanie, więc miałam prawo wiedzieć! Posprzątałabym wcześniej, przygotowała coś do jedzenia, może upiekła jakieś ciasto. Wiesz, że nie wypada przyjmować gości z pustymi rękami.

Konrad westchnął zniecierpliwiony.

- Już mówiłem: nie było takiej potrzeby. Lauren spędziła tu ledwie godzinę. Porozmawiała chwilę z Emilką, i to wszystko. Emilka była jej ciekawa.

- Lauren! - rzuciła Helena z pogardą w głosie. - Od kiedy to jesteś z gwiazdą Hollywood po imieniu! Chodzisz z nią na przyjęcia, fotografujesz ją, jakbyście byli dobrymi znajomymi albo... - Zacisnęła zęby. - Jakbyś był jej chłopcem na posyłki! Wystarczy, że zagwiżdże, a ty już lecisz! Kim ona właściwie dla ciebie jest?

Konrad był coraz bardziej poirytowany.

- Dotąd nie musiałem się tłumaczyć ze swoich relacji z innymi ludźmi, ale skoro tak wyraźnie ci to przeszkadza, to rzeczywiście powinniśmy jak najszybciej zamieszkać osobno. Jednak nie zdawałem sobie sprawy, że wspólne mieszkanie może stanowić taki problem.

Helena zadygotała ze złości. Wspólne mieszkanie! A co on sobie w ogóle wyobrażał? Że ma do czynienia z pierwszą lepszą, która da się poniżyć w najgorszy możliwy sposób? Myślał, że nie będzie musiał się jej oświadczać, tylko latać na panienki, a ona do końca będzie z nim mieszkać jak jakaś ladacznica? Przecież nawet tu, w tej

szalonej Ameryce, gdzie ludzie robili, co chcieli, jakieś zasady moralne obowiązywały, a mieszkanie pod jednym dachem bez ślubu uznawane było za ewidentny grzech. Z drugiej strony Helena poczuła nagle, znajome przerażenie. A co, jeśli Konrad zechce się wyprowadzić jeszcze dziś? I zabierze Emilkę? Tego by nie zniosła! To by ją zabiło!

– Wiesz, o co mi chodzi! – wykrzyknęła, nie panując nad drżeniem głosu. – Nikt nie wtrącał się w nasze życie, dopóki nie zjawiała się ona. Nawet pani Daisy O’Neill mówi tylko o niej, jakby nie było ciekawszych tematów do rozmowy. Evans to, Evans tamto! A mnie już głowa od tego boli!

– Bo Lauren jest sławną aktorką. To naturalne, że wzbudza zainteresowanie i wszyscy o niej mówią. Nie powinnaś się tym aż tak ekscytować.

– Ona miesza Emilce w głowie! Przez cały ranek, dopóki nie przyszła panna Stanicka, Emilka paplała tylko o niej. Ta Evans nagadała jej coś o tańcu, a wiesz, że Emilka nie może tańczyć!

– Wiem. Też uważam, że źle to wyszło. Lauren nie powinna była zachęcać jej do tańca, ale samo spotkanie było miłe. Zapraszając Lauren tutaj, spełniłem jedynie prośbę córki. Emilka żyje na co dzień w izolacji, więc należy jej się odrobina rozrywki. Poza tym lekarz uważa, że we wszelkiej aktywności nie ma nic złego pod warunkiem, że nie zagraża to bezpośrednio jej bezpieczeństwu.

– Ale taniec właśnie zagraża! Emilka może się gdzieś przewrócić, stracić równowagę, wpaść na coś...

– Dlatego tak jak powiedziałem, sądzę, że zachęcanie Emilki do tańca było niepotrzebne. Porozmawiam z nią na ten temat.

– Wątpię, aby to coś dało – prychnęła Helena. – Twoja córka od rana szczebiocze jak skowronek, jakby nagle zapomniała, że jest ociemniała... – Nagle urwała i wstrzymała oddech.

Popatrzyła na Konrada, ale ten nie dosłyszał jej słów, bo wstał od stołu i zaczął szykować się do wyjścia.

– Dzisiaj nie jadę do warsztatu. Mam umówioną sesję zdjęciową. Jutro zresztą też. – Popatrzył twardo na Helenę. – Dzięki zdjęciom, które zrobiłem tej, jak ją nazywasz, aktoreczce, mam dużo więcej zleceń. A to znaczy, że więcej zarobię.

Helena nie skomentowała, tylko odwróciła się do Konrada plecami i udała, że musi coś umyć w zlewie. Nie chciała, żeby widział jej niezadowolenie i zazdrość. Bo przecież była zazdrosna. Była cholernie zazdrosna, że Konrad znów będzie patrzył na piękne kobiety, fotografował je, podczas gdy ona była dla niego przezroczysta jak powietrze.

Nawet się nie obejrzała, kiedy wyszedł, ale gdy została w kuchni sama, w bezsilności pochyliła się nad zlewem, a jej ciałem wstrząsnął nagły, gwałtowny szloch, wyrywający się z głębi jej ściśniętej piersi. Trzęsa się cała, zaciskając dłoń na mokrej ścierce, a żal wypływał z niej wartkim strumieniem.

– Helenko, czy możemy prosić o sok? Helenko... – Panna Alicja Stanicka zatrzymała się niepewnie w drzwiach, patrząc na nią z wyrazem zdumienia. – Coś się stało? Źle się czujesz?

Helena potrząsnęła głową i wytarła wierzchem dłoni zapłakaną twarz.

– Nie, wszystko w porządku. Właśnie zbieram się do pracy. Już zresztą jestem spóźniona. – Nerwowymi ruchami zaczęła

przyglądać zapinany na guziki niebieski sweterek i prostą brązową spódnicę.

– Pan Rogowski cię nie podwiezie? – zdziwiła się nauczycielka.

– Przed chwilą wyszedł. Ma swoje sprawy – odparła Helena cierpko. – Nie proponuje mi niczego i nawet nie pyta o zdanie... Jak wczoraj z tą aktorką. Byłaś tu, gdy ona przyszła?

Alicja przytaknęła.

– Byłam. To rzeczywiście niecodzienna sytuacja, żeby sławna aktorka pojawiła się w czyimś domu. Byłam ogromnie zaskoczona, ale z drugiej strony spotkać ją na żywo to takie nieprawdopodobne! Cały wieczór opowiadałam o tym swojej rodzinie. W rzeczywistości jest jeszcze ładniejsza niż na ekranie. Poza tym wydaje się bardzo miła. Ma melodyjny głos i tak pięknie się porusza...

Słyszając to, Helena naburmuszyła się jeszcze bardziej. Żywiła nadzieję, że choć panna Stanicka ma dość oleju w głowie, żeby właściwie ocenić tę sytuację, ale najwyraźniej się pomyliła. Widać wszyscy głupieli na widok tej wypindrzonej, kręcącej zgrabnym tyłkiem laleczki.

– Konrad powinien był mnie uprzedzić, że ją zaprosi. A tak zrobił ze mnie pośmiewisko. Nie przygotowałam żadnego poczęstunku!

– Panna Evans nie chciała nic jeść. Zresztą ona pewnie...

– Oczywiście! Jada w najlepszych restauracjach – odburknęła Helena z sarkazmem. – Ciekawe, co Konrad jej robi, że tak chętnie się z nim spotyka. Nie wydaje ci się to dziwne, że przyjeżdża do naszego mieszkania? Była nawet w mojej cukierni! Myślę, że takie nachalne zachowanie nie przystoi kobiecie.

Panna Stanicka skrzywiła się z zażenowaniem.

– Chyba nie uważasz, że...

- A właśnie tak! Tak właśnie myślę! Gwiazdy pokroju Lauren Evans pozwalają sobie na dużo więcej niż przeciętna kobieta. Aktorki są piękne, bogate i wyniosłe i mogą robić z mężczyznami, co im się żywnie podoba. A że mężczyźni uwielbiają takie nieprzyzwoite kobiety, nie ma nic dziwnego, że i Konrad uległ urokowi jednej z nich. Wiesz, jacy są mężczyźni.

- Myślę, że jesteś trochę niesprawiedliwa.

Helena otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- A ty uważasz, że takie zepsucie jest właściwe? Pamiętasz, jak mówiono na takie kobiety w Polsce? A może już zapomniałaś, bo rozwiązłość tego miasta urzekła także ciebie? Ale ja nie zapomniałam. Całym sercem i duszą jestem Polką i wyznaję polskie wartości. I nigdy się ich nie wyzbędę w imię amerykańskiego zepsucia!

Panna Stanicka miała niewyraźną minę. Wydawała się nieco urażona. W końcu wyprostowała się i przybrała sztywną belferską postawę.

- Panna Evans była tu wczoraj tylko ze względu na Emilkę - zaczęła. - Dziewczynka ucieszyła się z tej wizyty. Znam to dziecko, bo spędzam z nią kilka godzin dziennie, i wiem, że takie wrażenia są jej potrzebne, a panna Evans dostarczyła wczoraj mnóstwa ekscytacji. Jeśli o mnie chodzi, to życzyłabym sobie, żeby odwiedzała Emilkę jak najczęściej. A co do pana Rogowskiego... To zachowywał się bardzo przyzwoicie.

Helena sapnęła z irytacją i odwróciła się plecami do nauczycielki.

- Przyzwoicie! - prychnęła. - On nie wie, co to przyzwoitość. - Znów popatrzyła na pannę Stanicką z zaciętością w oczach. - Ten mężczyzna nie zna zasad. Jest bezwstydnym!

- Co też mówisz, Helenko! Pan Rogowski zawsze jest uprzejmy, kulturalny i nigdy...

- Ten uprzejmy i przyzwoity mężczyzna w młodości nie odpuszczał żadnej! Fotografował kobiety dla zabawy, a one rzucały mu się w ramiona jak jakieś idiotki. A wiesz, co zrobił mojej siostrze? Ją też uwiódł! Uwiódł i zostawił z dzieckiem! Oczywiście ożenił się z nią, żeby zachować pozory przyzwoitości, ale moja siostra nic go nie obchodziła. Zostawił ją i niby poszedł walczyć, bo była wojna. A to, co my przeżywałyśmy same w okupowanej Warszawie, to nie była wojna? To, że nie miałyśmy co jeść, a szkopy wyrzucili nas z malutkim dzieckiem z domu, to było nic? Ale on... On wolał wojaczkę i śmierć niż życie z moją siostrą. Całymi latami nie interesował się nią, dopiero gdy umarła... - Helena niespodziewanie urwała i zgięła się wpół, opanowana nagłym szlochem.

Panna Stanicka, poruszona tym nagłym i brutalnie szczerym wyznaniem, podeszła do niej i delikatnie dotknęła jej ramienia.

- Tak mi przykro... Wiem, że to był okrutny czas. Moja rodzina, zanim przybyliśmy do Nowego Jorku, też to przeżyła...

- Ale to wszystko na nic - rzuciła Helena z żalnością. - To niczego nie zmienia, bo on wciąż jest taki sam... - paplała, nie słuchając tego, co mówi nauczycielka.

- Czy on...

Helena uniosła głowę, a panna Stanicka wciągnęła głęboko powietrze.

- Czy on próbuje cię... - zaczęła, ale urwała.

Helena zadrżała i popatrzyła na kobietę załzawionymi oczami.

- Nie chcę o tym mówić! - rzuciła stanowczo, niemal histerycznie.

Zszokowana Alicja ledwo dostrzegalnie kiwnęła głową.

- Rozumiem. Pójdę już, wezmę sok. Emilka na mnie czeka.

Gdy panna Stanicka zniknęła w korytarzu, Helena poczuła, jak ogarnia ją coś na kształt kolejnej fali dzikiej wściekłości. Nieokiełznanej. Nieopanowanej. Chwyliła leżący w zlewie talerz i z całej siły rzuciła nim o ścianę.

Po chwili w kuchni znów pojawiła się panna Stanicka, zaalarmowana dźwiękiem tłuczonego szkła, ale Helena zbyła ją machnięciem ręki.

- To nic. Wypadł mi. Już to sprzątam. Wracaj do Emilki.

Przez cały dzień w cukierni pani Pansy obserwowała Helenę podejrzliwym wzrokiem, a Daisy O'Neill nie umiała powstrzymać się od złośliwego komentarza. Irlandka jak zwykle siedziała przy swoim stoliku, wystrojona jak na bal sylwestrowy, pykając papierosa w długiej lufce, którą trzymała między suchymi palcami.

- Robisz się coraz bardziej zgorzkniała, moja panno - wyparowała w końcu.

- A co to panią obchodzi? - prychnęła Helena.

Zaczęło ją drażnić, że pani Daisy wciąż przesiaduje w jej cukierni i wtrąca się w nie swoje sprawy.

Staruszka wzruszyła ramionami, upiła łyk kawy z filiżanki i zaciągnęła się papierosem. Kolorowe bransoletki na jej nadgarstkach pobrzękiwały cicho.

- Ależ nic mnie to nie obchodzi. Po prostu kiedyś byłam dokładnie taka sama jak ty, krótkowzroczna i ograniczona. Myślałam, że skoro pragnę mężczyzny, a musisz wiedzieć, że

jednego pragnęłam wyjątkowo mocno, to on powinien leżeć u moich stóp i błagać o moją miłość. Ale to tak nie wygląda, moja panno. I nim się zorientowałam, młodość przeminęła, inni konkurenci zniknęli z horyzontu, a ja zostałam tutaj, z filiżanką kawy i co prawda, pysznym, bo pysznym, ale tylko ptysiem. A ty powtarzasz moje błędy. Jak głupia uganasz się za Konradem, a on ani majątny, ani przystojny. Co prawda, ma ten błysk w oku i pewnie niezły z niego kochanek, ale to nie jest mężczyzna dla ciebie! Już sam fakt, że był mężem twojej siostry, powinien cię od niego odstręczać.

– Nie uganiam się za nim!

– To czemu chodzisz wściekła jak osa, kiedy on wpada tutaj, żeby ci pomóc? Szkoda, że nie widziałaś siebie, kiedy była tu Lauren Evans. – Pani O’Neill zaśmiała się filuternie. – Nie umiesz ukrywać wzburzenia, kochanieńka. A tobie trzeba takiego mężczyzny, który będzie wpatrzony w ciebie jak w obrazek i który o ciebie zadba!

– Miałam takiego mężczyznę – odburknęła Helena z policzkami czerwonymi z zażenowania. – Ale umarł. Na tej wojnie, z której tak pani drwi.

– Nie drwię, kochanieńka, wcale nie drwię. Po prostu uważam, że podchodzisz do niej zbyt nabożnie. Zostaw za sobą, co było, i żyj! Żyj, skoro ta wojna darowała ci życie. A Konrada zostaw, bo on nie jest dla ciebie.

Helena westchnęła.

– A co z Emilką?

– To jego córka, nie twoja. Pozwól mu radzić sobie z nią samemu, a ty doglądaj ją wyłącznie jako ciotka, czyli raz na jakiś czas. Jesteś odważną kobietą, skoro nie bałaś się otworzyć cukierni. Prowadzisz ją i idzie ci całkiem nieźle, więc teraz nadszedł czas, byś zmieniła

także życie osobiste. Swoją drogą... – Pani O'Neill zmierzyła Helene krytycznym wzrokiem. – W tych nudnych ciuchach to nawet sam Casanova miałby problem, żeby zobaczyć w tobie kobietę. Widziałam ostatnio w jednym magazynie tę aktorkę... Jak jej było, no... Marilyn Monroe! Gdybyś się postarała, byłabyś do niej bardzo podobna.

– Kolejna gwiazdeczka kręcąca tyłkiem.

– Myślę, że tobie też by nie zaszkodziło, gdybyś od czasu do czasu czymś zakręciła!

Helena odwróciła się plecami do pani Daisy, udając, że musi przełożyć ciasteczka z tacy na talerz. Nie miała ochoty słuchać tych bredni, zwłaszcza że dobre rady starszej pani niczego w jej sytuacji nie zmieniały. Cokolwiek pani O'Neill by wymyśliła, Helena wiedziała, że i tak wieczorem będzie musiała wrócić do domu, a tam znów zobaczy Konrada. I wówczas nie będzie mogła sobie wmawiać, że wcale nie jest w nim zakochana.

ROZDZIAŁ 22

Night club Copacabana, jeden z najbardziej eleganckich i znanych klubów w Nowym Jorku, mieścił się w miejscu dogodnym dla bogatej nowojorskiej socjety, w pobliżu wielkopańskich rezydencji przy 5th Avenue i jednego z wejść do Central Parku. Scena klubowa, reklamowana przez portugalsko-brazylijską piosenkarkę i tancerkę Carmen Mirandę, stworzona została z myślą o wolnych i bogatych bywalcach, którzy mieli ochotę zabawić się przy swobodnych latynoskich rytmach i dźwiękach jazzu. Olśniewająca przepychem, wibrująca muzyką scena poruszała ciała i zmysły, a występy największych gwiazd i taneczne pokazy na parkiecie tworzyły niepowtarzalny klimat, oferując atmosferę pełnej swobody wszystkim, którzy mieli ochotę na niczym nieskrępowany luz.

Tego wieczora – jak podczas wielu innych – na scenie pod dyskretnie oświetlonymi białymi filarami kształtem przypominającymi brazylijskie palmy, w otoczeniu orkiestry, królował Dean Martin.

– Nie jesteś zadowolony, że cię tu przyprowadziłam.

Lauren patrzyła na siedzącego naprzeciw niej przy stoliku Konrada. Bez trudu wyczuła, że jest w ponurym nastroju. Już kiedy spotkali się przed tylnym wejściem, był wyraźnie spięty i nie podobało mu się tutaj, choć nie powiedział tego na głos, zapewne by jej nie urazić. Lauren bez trudu odczytała to jednak w jego szorstkim spojrzeniu i lekceważącej postawie, kiedy ochroniarze prowadzili

ich sekretnym przejściem do środka. Poczwała się rozczarowana, bo liczyła, że podczas kolejnego spotkania zacieśni znajomość. Sama nie wiedziała, czemu tego pragnie, ale na tym jej zależało. Już nie chciała iść z nim do łóżka jak pierwszego wieczora, kiedy nie panowała nad emocjami. Nie chciała również flirtu ani głupich słownych potyczek. Chciała jedynie, żeby z nią był. Peter ją rozśmieszał i zniewalał swoim męskim urokiem; przy Konradzie czwała się spokojna i bezpieczna. I dopóki była tu, w Nowym Jorku, tak pragnęła się czuć i uważała, że nie ma w tym nic złego. I tak niebawem wróci do Los Angeles i ich znajomość się urwie.

Do stolika podeszła kelnerka ubrana w wyszywany cekinami gorset i podsunęła Konradowi skrzynkę wypełnioną papierosami, ale ten gestem odmówił. Lauren korciło, żeby poprosić dziewczynę o coś mocniejszego niż bezalkoholowy koktajl ze świeżo wyciskanych owoców, ale wiedziała, że nie może zawieść Lizzie. Nie mogła również zawieść samej siebie, skoro postanowiła, że weźmie się w garść. Ale nie było to łatwe. Poza tym przyszła tu, żeby tańczyć, a taniec zawsze pomagał jej rozładować złą energię. Liczyła, że tym razem stanie się tak samo i alkohol nie będzie jej potrzebny.

– Nie jesteś zadowolony, że cię tu przyprowadziłam – powtórzyła Lauren, lecz Konrad uparcie milczał, rozpostarty na skórzanej sofie, obserwując obojętnym wzrokiem to, co się wokół nich działo.

Nonszalancko obejmował dłonią kryształową szklankę z wodą mineralną, jakby to był najlepszy bourbon.

Irytowało ją, że zdawał się zupełnie odporny na gwar, orkiestrę, która energicznym utworem zachęcała do kołysania się w jego rytm, i kuszące koktajle serwowane przez urodziwe kelnerki. Nawet nie

patrzył na ich zgrabne nogi w czarnych kabaretkach, jakby kobiece wdzięki były mu zupełnie obojętne.

Tymczasem wisiało między nimi jakieś nieznośne napięcie i Lauren domyślała się, że coś jest na rzeczy. Nie podejrzewała, żeby chodziło o Emilkę i taniec, bo tego tematu raczej Konrad nie zamierzał roztrząsać, bezdyskusyjnie uznając swoją przewagę nad Lauren jako ojciec dziewczynki.

- Czy oni będą tak stać nad nami cały wieczór? - zapytał wreszcie, wskazując na trzech mężczyzn w smokingach, którzy z założonymi rękami, w pewnym oddaleniu, spoglądali na ich stół.

- Przeszkadza ci to?

- Bardzo.

Lauren uśmiechnęła się kąciakiem ust.

- Pan Jules Podell, który zarządza tym miejscem, dba, żebym czuła się tu bezpieczna. Wie, że nie życzę sobie nieproszonych gości przy moim stole. Domyślasz się, co by się działo, gdyby każdy mógł tu teraz podejść i przywitać się ze mną.

- Więc powinienem czuć się wyróżniony?

- Powinieneś - odparła wyniośle. - Zwłaszcza że nie bez przyczyny stroiłam się dzisiaj dwie godziny i wcisnęłam się w tę cholernie niewygodną sukienkę.

- Bardzo ładną sukienkę - stwierdził, omiatając ją wzrokiem.

Lauren zmierzyła go powłóczystym spojrzeniem i dotknęła szkarłatnym paznokciem uszminekowanych ust. Brylantowa bransoletka na jej nadgarstku zaślniła w świetle stolikowej lampki.

- Ty też wyglądasz niczego sobie. Co prawda nie jesteś zbyt przystojny i masz nadzwyczaj paskudną minę, którą potęguje ta blizna nad górną wargą, ale... Podobasz mi się.

- Już o tym wspominałaś.

- Skoro się powtarzam, to znaczy, że naprawdę tak myślę.

Widziała, że wyraz jego twarzy się zmienił. Pojawiło się w nim ledwo dostrzegalne zainteresowanie.

- Zanim przejdziemy do sedna tego, jak bardzo ci się podobam - zaczął wolno - i zanim znów będę musiał cię powstrzymać przed nierozważnym krokiem, powiedz mi, Lauren Evans... Dlaczego tak nam do siebie blisko?

Uniosła brwi w wyrazie zaskoczenia.

- Blisko?

- Żyjemy w dwóch różnych światach. Ty jesteś sławna, piękna i bogata, a ja... No cóż.

- Też zaczynasz być sławny. Słyszałam o twojej dzisiejszej sesji dla „Life”. Wiesz, kim jest Rachel Sobieski?

- Wiem. To współwłaścicielka korporacji skupiającej znane domy mody.

- Dokładnie. A ty właśnie zrobiłeś jej zdjęcia, które poziomem jakości zapewne nie będą odbiegały od moich.

- Myślę, że będą zupełnie inne niż twoje, ale nie zmieniaj tematu. Odpowiedz, czemu tak nam do siebie blisko.

Lauren poczuła niepokojący dreszcz. Konrad patrzył na nią przenikliwie, a jego oczy w blasku lampki stolikowej zdawały się ciemniejsze, niż były w rzeczywistości.

- Nie wiem, co masz na myśli...

- Może to, że oboje jesteśmy emigrantami? - zapytał nagle, a jego głos zabrzmiał ochryple. - A może to, że oboje przed czymś

ucieśliśmy i znaleźliśmy schronienie w opiekuńczych objęciach Ameryki? – dodał już z wyraźną ironią.

Lauren nieustępliwie milczała, choć nadal czuła dreszcz. I nagle pożałowała, że nie zabrała ze sobą nic, czym mogłaby okryć nagie ramiona, bo miała wrażenie, że zaatakował ją lodowaty chłód.

– Skąd pochodzisz, Lauren? Gdzie się urodziłaś? – dopytywał Rogowski, nie spuszczać z niej wzroku. – Pytam, bo mam przeczucie, że to, co próbujesz przedstawić jako oficjalną wersję, ma niewiele wspólnego z rzeczywistością.

Lauren wstrzymała oddech.

– A jaka jest oficjalna wersja?

– Że pochodzisz z Brooklynu.

– I gdzie, według ciebie, jest tu nieprawda?

– Nie urodziłaś się w Nowym Jorku. Nie jesteś nawet Amerykanką. Zamieszkałaś na Brooklynie po przybyciu do Stanów.

Patrzyła na niego dłuższą chwilę. Próbowała wybadać, co nim kierowało, ale okazało się to niezwykle trudne. Nie była w stanie nawet się domyślić, czym się kierował, zadając jej tak osobiste pytania. I nagle zrozumiała: on wie. Wie o niej to, co tak skrzętnie próbowała ukryć przed światem. Lecz sama nie wiedziała, dlaczego nie poczuła z tego powodu strachu ani nawet lekkiej obawy. Tylko ulgę.

– Chodzi ci o to, że jestem Niemką? – wypaliła nagle oficjalnym tonem. – To chciałeś usłyszeć? Wyczytałeś to gdzieś i natychmiast uwierzyłeś, bo to takie ekscytujące?

– Jeśli to nieprawda, wyprowadź mnie z błędu – odparł twardo.

Westchnęła z irytacją. A więc doskonale wiedział, kim była i gdzie się urodziła, a teraz żądał od niej jedynie potwierdzenia.

Tylko po co? Do czego była mu ta wiedza?

- Widzę, że zadałeś sobie sporo trudu. Więc może jednak... -
Popatrzyła na niego znacząco. - Ja też ci się podobam.

Na scenie wybrzmiały pierwsze dźwięki tanecznego „Sway” Deana Martina i Lauren, nie czekając na odpowiedź Konrada, a może by nie usłyszeć, jak zaprzecza, gwałtownie poderwała się z miejsca.

- Idziesz? - Skinęła głową w kierunku parkietu.

Uśmiechnął się półgębkiem.

- Nie tańczę.

- Więc pozostaje ci tylko patrzeć...

Nie poszła na parkiet, tylko niemal na niego wbiegła. W połowie drogi zderzyła się z jakimś mężczyzną, który stanął skonsternowany i zaczął ją gorąco przeproszać, ale ona ujęła go za rękę.

- Proszę nie przeproszać, tylko ze mną zatańczyć!

Miała świadomość, że soczyste tango w wokalnym wykonaniu Deana Martina uratowało ją przed Konradem i tym, co chciał od niej usłyszeć. Tańczyła więc zapamiętale, wywołując w stolikowej publiczności rumieńce podniecenia i zazdrości. Cieszyła się, że jej przypadkowy partner okazał się wytrawnym tancerzem. Bawiła się z nim, a on obejmował ją niczym kochanek. Przez te kilka minut, wsłuchując się w melodię i głęboki głos piosenkarza, nie miała żadnych oporów przed gorącym dotykiem ani pożądanym spojrzeniem nieznajomego. Bo tango wymagało właściwej oprawy, a ona wymagała właściwej adoracji. Poddawała się więc miękko męskim ruchom; opinająca jej ciało i zmysłowo rozszerzająca się ku dołowi połyskliwa suknia prezentowała się pięknie, a niesforne kosmyki włosów wywinęły się spod złotych spinek. Dopiero kiedy

muzyka ucichła, Lauren zdyszana i z szerokim uśmiechem wpięrw popatrzyła na oklaskującą ją publiczność, a później na Konrada.

– Imponujące!

– Fantastyczne!

– Co za szyk w tańcu! Jaka gracia! – Takie głosy na tle oklasków dochodziły do niej od strony gości Copacabany.

Ale ona wciąż patrzyła tylko na mężczyznę, z którym przyszła i który nawet się nie uśmiechnął. Jedynie skinął lekko głową w jej kierunku, zapewne w geście uznania.

– Lauren, cóż za zaszczyt! – Dean Martin z uśmiechem zszedł ze sceny, ujął ją za dłoń i pocałował. – Szanowni państwo, niesamowita Lauren Evans!

Chwilę później, kiedy aplauz dla aktorki nieco ucichł, parkiet wypełnił się tańczącymi, a ona, nie zważając już na swego towarzysza, poddała się zabawie. Mężczyźni jak zawsze otoczyli ją wianuszkami, a ona tańczyła bez wytchnienia: pełna gracji, swobody i seksapilu, roztaczając wokół siebie chmurę luksusowych perfum. Żłocisty pot perlił się mgiełką na jej odkrytej szyi i karku, ramiona teatralnie to wznosiły się, to opadały, niczym na broadwayowskiej scenie, a ona śmiała się, z wymalowanym na pięknej twarzy wyrazem zmysłowej błogości. Wiedziała, że wzbudza zainteresowanie, że zebrani wokół naśladują jej ruchy, by współgrać z nią w tańcu. Ale Lauren nie szukała harmonii. Szukała... Wolności.

Nie patrzyła na Konrada, a on nie opuszczał swojego miejsca przy ich stoliku. Zastanawiała się, czy wciąż ją obserwuje i czy postrzega ją teraz taką, jaka była naprawdę – szczęśliwą, kobietą, otwartą. Kochała taniec. Kochała jego głęboką sensualność, prawdziwość i magię, która pozwalała przenieść się do świata

swobody. Taniec nie był jak jedna z jej ról, które musiała odegrać pod dyktando reżysera. Tańcem wyrażała siebie.

Kiedy w końcu straciła dech i resztki sił, zakończyła występ artystycznym obrotem, z szeroko wzniesionymi ramionami, i z wdziękiem zeszła z parkietu.

– I co powiesz? – zapytała zdyszana, siadając przy stoliku i dając znać kelnerce, żeby podała jej kolejny zimny koktajl.

– Jestem pełen uznania. Żałuję, że nie mam przy sobie aparatu.

Lauren się zaśmiała.

– Tego byłoby już za wiele. Nie sądzę, że pozwoliłabym ci opublikować takie fotografie.

– Nie chciałbym ich publikować.

Spojrzała mu w oczy i wstrzymała oddech. Znow patrzył na nią jak wówczas, gdy robił jej zdjęcia. W jego oczach był podziw, szacunek i... pragnienie. Była pewna, że gdyby teraz pochyliła się nad stolikiem, gdyby się do niego zbliżyła...

– Konrad... – Głos uwiązł jej w gardle.

Wciąż buzowała w niej adrenalina, wciąż była spocona i pobudzona.

– Jesteś niezwykle piękną kobietą, Lauren. – Brzmiał jakby z daleka, tłumiony przez dźwięki orkiestry.

Ale ona go słyszała. I pomimo że takie słowa kierowano do niej niemal codziennie, w jego ustach brzmiały zupełnie inaczej.

– Dlaczego mówisz mi to teraz? – zapytała oszołomiona.

– Bo tutaj, na oczach tych wszystkich ludzi... To absurdalne, ale jesteśmy bezpieczni.

Zadrżała i uśmiechnęła się mimo woli.

- A gdybyśmy byli sami?

- Zdjąłbym z ciebie tę suknię.

W jednej sekundzie ogarnęła ją fala gorąca. Niemal przestała oddychać.

- Więc pójdźmy gdzieś, gdzie będziesz mógł to zrobić.

- Nie kuś, Lauren.

- Bo i tak nie dasz się skusić?

Uśmiechnął się, choć dostrzegła, że kącik jego ust zadrgał nerwowo.

- Nie.

Lauren westchnęła, głęboko rozczarowana, i opadła na oparcie skórzanej sofy.

- Dotąd nie spotkałam jeszcze mężczyzny, który byłby tak oporny.

- A ja dotąd nie spotkałem kobiety, której odmawiałbym z takim trudem.

Zaśmiała się perliście i upiła łyk koktajlu. Czuła mrowienie w całym ciele.

- Dużo jest tych kobiet, którym musisz odmawiać?

- Raczej nie mógłbym się na tym polu równać z tobą. Ale nie przyszliśmy tu rozmawiać o mnie ani moich potencjalnych problemach z kobietami. Chcę cię o coś zapytać.

Lauren machnęła niedbale ręką, jakby odganiała niesforną muchę.

- Wiem. Chcesz wiedzieć, skąd pochodzę - powiedziała wyniośle, bezwiednie bawiąc się zawieszonym na szyi sznurem pereł. - I bardzo cię to intryguje, bo pewnie wydaje ci się, że skoro ty jesteś

Polakiem, a ja Niemką, to łączy nas szczególna więź, oczywiście nam tylko znana... Bo wiadomo, że to, co łączy Polaków i Niemców, jest... Wyjątkowo skomplikowane. – Zaśmiała się. – Ale niestety muszę cię rozczarować, mój drogi. Otóż mam niewiele wspólnego z krajem moich przodków. Jestem Amerykanką.

– Szczerze powiedziawszy, nie ma dla mnie znaczenia, kim jesteś. Skoro zamierzasz kłamać, bo tak ci wygodnie, to rób to nadal. Bardziej obchodzi mnie, czy znasz Rudolfa Schultego.

Lauren zamarła. Ogarnął ją lodowaty chłód, w mig ocucając jej rozgrzane ciało. Szybko jednak opanowała się z nagłego wzburzenia. I nagłego strachu.

– Po co ci to?

– Znasz go? – zapytał ponownie ściszym głosem.

Grała na zwłokę, nonszalancko przebierając palcami po perłowych kulkach naszyjnika; w rzeczywistości starała się w ten sposób ukryć nagłe wzburzenie. Kelnerka przyniosła koktajl, więc Lauren uśmiechnęła się do niej ze sztuczną wdzięcznością i od razu upiła spory łyk.

– Kim jest ten Rudolf Schulte? – zapytała, starając się, żeby jej głos brzmiał zwyczajnie.

Konrad zacisnął szczękę.

– Jeśli go znasz, powinnaś wiedzieć.

– Sporo mężczyzn w Niemczech nosi to imię i nazwisko.

– Ten, o którego pytam, był SS-Obersturmführerem.

Lauren poczuła, że jej policzki nagle robią się szkarłatne. Odwróciła twarz od Konrada w stronę rozgrzanego do czerwoności parkietu, próbując zataić emocje. Równocześnie czuła się coraz bardziej niepewnie. Serce waliło jej w piersi jak oszalałe, a ona

zastanawiała się gorączkowo, kim naprawdę jest siedzący przed nią mężczyzna. Dlaczego pyta ją o... coś takiego?

– To nie jest rozmowa na ten wieczór – odparła chłodno.

– Próbujesz minąć się z prawdą.

– Próbuję się dobrze bawić, a ty skutecznie mi to utrudniasz.

– Bo nie jestem skory do zabawy. Uprzedzałem cię, a ty mimo to mnie tu zaciągnęłaś. Mogliśmy załatwić to wczoraj, w twoim apartamencie, i byłoby po sprawie.

Odetchnęła parę razy i zmrużyła oczy.

– Za kogo ty mnie masz?

Nie odpowiedział. Upiła łyk koktajlu, próbując opanować zdenerwowanie.

– Dobrze. Powiem ci, co wiem, jeśli pozwolisz mi udzielić Emily kilku lekcji tańca.

Sama nie wiedziała, dlaczego to powiedziała, ale czuła, że to jedyny sposób, żeby cokolwiek ugrać w tej kwestii. Konrad chciał wyciągnąć z niej informacje, które były dla niego ważne, a ona musiała się dowiedzieć, dlaczego tak mu na tym zależało.

– Co za absurd! – Zjeżył się i zrobił nieokreślony ruch ręką. – Stawiasz głupie i nierealne warunki.

– To żaden absurd. Twoja córka pragnie tańczyć, a ja chcę jej pomóc.

– Do diabła, nie zmieniaj tematu! – Konrad nagle stał się mocno poirytowany, choć jeszcze przed chwilą doskonale nad sobą panował.

Zaskoczyło ją to i natychmiast przypomniała sobie, z jaką łatwością zaatakował Ricky'ego Berry'ego. Jakby przejście ze stanu

względego spokoju do stanu niekontrolowanej furii oddzielała bardzo cienka granica.

– Zgódź się, a odpowiem na twoje pytanie.

– Próbujesz wmanipulować w to moją córkę.

Zrobiło jej się przykro, że w ogóle tak myślał.

– Nie. Próbuję jej sprawić odrobinę radości.

– Dobrze – sapnął z irytacją. – Zgadzam się. Ale jeśli skrzywdzisz moje dziecko...

Popatrzyła mu prosto w oczy.

– Jak możesz mnie o to podejrzewać? Chcę jedynie nauczyć ją tańczyć. Za to ja nie mam żadnej pewności, czy ty nie skrzywdzisz mnie.

Nie odpowiedział.

Lauren przezornie wstała od stolika. Resztę wieczoru postanowiła spędzić wyłącznie na tańcu. Coś między nią a Konradem się zepsuło i miała obawę, że już nie zdołają tego naprawić. Ich znajomość może i była krótka, lecz Lauren uświadomiła sobie, że z pewnością nieprzypadkowa.

* * *

Światło poranka nachalnie wlewało się do pokoju, biorąc we władanie kolejne meble, ściany i sufit.

Helena z podkulonymi nogami siedziała na łóżku, niedbale wsparta o poduszki. Nienawidziła tego świtu. Nienawidziła budzącego się dnia. Wiedziała, że od teraz będzie inaczej, bo jak mogło nie być, skoro Konrad od tylu godzin przebywał poza domem. Po raz pierwszy.

Wytoczyła się z pościeli niczym pijana i spojrzała za okno. Ulica tętniła życiem, bo Nowy Jork nigdy nie zasypiał. Po chodniku krążyli ludzie. Ale Konrada nie było.

Bezwiednie przejechała wilgotną od potu dłonią po zmęczonej twarzy.

Gdyby mogła się od niego uwolnić. Gdyby tylko mogła...

Cicho, niemal na palcach, wyszła z pokoju, żeby nie obudzić Emilki. W pierwszym odruchu zamierzała pójść do kuchni, ale ostatecznie, sama nie wiedząc czemu, skierowała się w stronę zejścia do piwnicy. Coś ją tam nieodparcie ciągnęło, a ciekawość nie pozwalała jej zaznać spokoju. Helena nie chciała patrzeć na zdjęcia kobiet ani tym bardziej na fotografię Lauren Evans, ale nie umiała też się powstrzymać. Jakby patrzenie na aktorkę miało przynieść jej ulgę, a równocześnie wzmocnić w niej niechęć, której już teraz było blisko do chorej nienawiści.

Tym razem jednak nie rzuciły jej się w oczy zdjęcia, a szara teczka dokumentowa leżąca na stoliku. Była zamknięta, lecz Heleny to nie powstrzymało. Zapaliła żarówkę i usiadła na krześle, po czym przysunęła do siebie teczkę. Głośno przełknęła ślinę na widok pierwszego protokołu, do którego dołączono zdjęcie Lauren z podpisem: „Lara Petersen, lat dwadzieścia osiem, urodzona w Berlinie w 1922 roku. Matka Inga Petersen, ojciec nieznanym”.

Pod protokołem widniały zdjęcia prasowe Lauren i inne informacje na jej temat.

Lauren Evans pochodziła z najbardziej znienawidzonego przez Helenę narodu morderców i fanatyków.

Niemka. Aktoreczka była cholerną Niemką.

ROZDZIAŁ 23

Czternastoletnia Lara Petersen patrzyła przez malutkie okienko na wirujące w powietrzu płatki śniegu. Lubiła obserwować, jak tańczyły w powietrzu niesione wiatrem, w fantazyjnej choreografii. Wyobrażała sobie, że też jest takim wirującym płatkiem – pięknym, czystym, nieskazitelnym, o nieskrępowanych, płynnych ruchach. Ile w tym było swobody, ile wolności! Dziewczynka chichotała na myśl o tym, jak daleko mogłaby w tym szalonym tańcu dolecieć i zatrzymać się dopiero tam, gdzie sama by zapragnęła.

Było jej zimno, bo lodowaty chłód wciskał się do izby na strychu kamienicy przez szczeliny w dziurawym dachu; otuliła się wełnianą chustą swojej matki. Lubiła to robić, bo czuła wtedy subtelny zapach jej jedynej wody toaletowej.

Gdyby otworzyła okienko i wychyliła się przez nie odpowiednio daleko, zobaczyłaby dach berlińskiego teatru kabaretowego. Ale mama zakazywała jej otwierać okno w takie zimno, bo siarczasty mróz wpadał bardzo szybko do izby, a ogrzać ją małą kozą było wyjątkowo trudno. Zwłaszcza jeśli wciąż brakowało opału. Lara musiała więc zadowolić się wyłącznie świadomością, że zupełnie niedaleko stąd jest absolutnie wyjątkowe miejsce, o którym śniła dniami i nocami. Marzyła, że któregoś pięknego dnia, podobnie jak jej mama, wystąpi w tym teatrze jako tancerka, a ludzie zgromadzeni na widowni będą bić brawo. Ale matka dziewczynki, choć sama była tancerką, drwiła z jej marzeń i powtarzała, że kabaret to kłamstwo.

Lara nie rozumiała, dlaczego mama tak mówi. Zapytała kiedyś wprost, dlaczego nie pozwala jej marzyć o karierze tancerki, skoro sama tańczy, a publiczność ją kocha, ale Inga Petersen wpadła w złość i nakazała jej nigdy więcej o tym nie wspominać. Dziewczynka więc nie wspominała, choć czuła żal z powodu niespełnionych marzeń i traconych nadziei.

Kiedy Inga Petersen chodziła na próby występów kabaretowych, niekiedy zabierała ze sobą Larę. Dziewczynka siadała wówczas na drewnianej podłodze blisko sceny, za ciężką kurtyną, i obserwowała to, co się działo na deskach. Te chwile były dla Lary magiczne. Widziała, jak Inga rozkwita w tańcu niczym najpiękniejszy kwiat. Jak budzi się ze snu. Lara myślała wówczas, że też tak chce. Całe jej ciało domagało się ruchu, wyzwolenia energii, ale mama zabraniała tańczyć podczas prób. Dopiero gdy trening dobiegał końca, zostawała z córką parę minut dłużej i pozwalała jej pląsać na parkiecie, ale tylko chwilę, niezbyt długo, żeby nikt nie zauważył ich obecności i nie miał do nich pretensji.

Inga Petersen była piękną kobietą – tak piękną, że mężczyźni oglądali się za nią na ulicy. Córka widziała ich głodne spojrzenia, słyszała zaczepki i sprośne żarty, ale Inga zdawała się niewzruszona. Całą swoją urodę oddawała wyłącznie jemu – tajemniczemu mężczyźnie, który odwiedzał je dwa razy w tygodniu, by zabrać gdzieś matkę na kilka godzin i odprowadzić z powrotem do izdebki na strychu przed nocą. Lara zawsze wtedy zostawała sama i cierpliwie czekała na powrót mamy, poświęcając ten czas głównie na naukę, bo wyjątkowo lubiła się uczyć i chodzić do szkoły. A kiedy Inga w końcu wracała i kładła się do łóżka obok córki, Lara przytulała się do niej bardzo mocno i wciągała w nozdrza jej słodki

zapach, który był jednak zmieszany z zapachem tamtego mężczyzny...

Lauren gwałtownie otworzyła oczy. Przekręciła się w fotelu, w którym drzemała, jakby nagła zmiana pozycji miała uwolnić ją od natrętnych myśli. Czuła kołatanie serca, a dłonie miała spoczone. Dotknęła palcami zimnej twarzy. Jej skóra była gładka i aksamitna.

„Jesteś jak pączek róży. Pączek róży, moja małeńka”.

Rozgorączkowana zaczęła rozglądać się po swoim luksusowym salonie, jakby nie rozpoznawała tego miejsca; jakby wciąż była w małej, zimnej izdebce na strychu kamienicy w centrum Berlina. Jej boleśnie napięte ciało domagało się ulgi, uwolnienia z uścisku strachu. Zaczęła szybko oddychać. Choć wcale tego nie chciała, przed jej oczami pojawiła się postać mężczyzny w mundurze ze swastyką na ramieniu. W jej wyobrażeniu był demonem – pięknym, zimnym, drapieżnym demonem.

Wstała z fotela i niemal straciła równowagę, w ostatniej chwili chwytając się poręczy i chroniąc przed upadkiem. Walcząc z oblewającymi ją falami zimnego potu, podeszła do barku. Trzęsącą się dłonią chwyciła karafkę i przechyliła, ale czując w ustach smak wody, skrzywiła się i ze złością cisnęła karafką na podłogę. Otworzyła barek i przygryzając wargi niemal do krwi, wściekle zaczęła wyrzucać z niego puste szklanki i kieliszki. W końcu bezsilnie opadła na kolana. Sama nie wiedziała, kiedy z jej gardła wydobył się krzyk – głośny, charczący, bolesny. Krzyk, który wciąż w sobie nosiła przez te wszystkie lata. Zagłuszała go, ignorowała, nienawidziła, ale on w niej tkwił.

W końcu urwała, łkając i się krztusząc.

Trwała tak, dopóki jej oddech się nie uspokoił i serce nie zaczęło bić normalnie. Nie wiedziała, ile czasu minęło, ale kiedy wyszła na taras zaczerpnąć świeżego powietrza, nad Nowym Jorkiem zapadał już zmierzch.

Objęła się ramionami. Z tarasu rozciągał się widok na niekończące się miasto. Na jej miasto. To był jej świat. Nie była Niemką – była Amerykanką. Nazywała się Lauren Evans, nie Lara Petersen.

Z całej siły zacisnęła dłonie na tarasowej barierce.

Musi wziąć się w garść. Musi się otrząsnąć. Była pewna, że potrafi to zrobić, że tamto już dawno zostawiła za sobą.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, powlokła się do łazienki i wyjęła z szuflady komody luminal. Dopiero po dawce leku była w stanie przestać czuć i zasnąć.

* * *

Konrad nie był zadowolony, kiedy Lauren zjawiała się w jego mieszkaniu w sobotni poranek, zupełnie niezapowiedziana, a w dodatku z szoferem u boku, który taszczył całkiem pokaźnych rozmiarów adapter do odtwarzania płyt winylowych oraz płyty.

– Co tu robisz? – zapytał zaskoczony, witając ją w drzwiach.

Nie zdążył się nawet porządnie ubrać. Był na bosy, w białym podkoszulku i spodniach na szelkach, które luźno zwisały wzdłuż ud. Ona za to prezentowała się uroczo. Miała na sobie rozkloszowaną sukienkę, która błękitnym kolorem podkreślała głębię jej przejrzystych oczu. Wyglądała niczym księżniczka z bajki Walta Disneya i Konrad zastanawiał się, jak ona to robi, że ze

zmysłowej i seksownej femme fatale potrafi przeobrazić się w słodką, niemal niewinną panienkę.

– Przyjechałam do twojej córki. Umawialiśmy się przecież.

– Na dzisiaj? – Patrzył na nią zdumiony.

– Im szybciej zaczniemy, tym lepiej. Zwłaszcza że wkrótce pewnie zmuszą mnie do powrotu do Los Angeles.

Wyminęła go w drzwiach i gestem nakazała szoferowi, żeby wszedł za nią z gramofonem. Konrad przyglądał się temu bezradnie.

– Kto cię zmusi do powrotu? – zapytał, ruszając za nią.

– Wytwórnia filmowa. Codziennie dzwonią do mojego agenta z pytaniem, kiedy zamierzam przyjechać.

– I co cię powstrzymuje?

Zatrzymała się w pół kroku, okręciła na obcasie i popatrzyła na niego z uśmiechem.

– Ty.

– Ja? – zapytał głupio, patrząc jej prosto w oczy.

Uśmiechnęła się, ale odwróciła od niego spojrzenie.

– A raczej twoja córka – sprostowała, choć Konrad nie był pewien, czy ta odpowiedź to nie unik z jej strony.

Po ich ostatnim spotkaniu w Copacabanie był raczej przekonany, że Lauren będzie omijać go szerokim łukiem, by nie prowokować sytuacji, w których musiałaby mu zdradzić swoje tajemnice. A tymczasem ku jego zdumieniu sama pchała mu się do domu i... do jego życia.

Lauren dziarsko wkroczyła do saloniku, prowadząc za sobą szofera. Zachowywała się tak swobodnie, jakby była u siebie.

- Co robisz? - zapytał Konrad nerwowo, widząc, że disnejowska księżniczka rozgląda się krytycznie po pokoju.

- Szukam odpowiedniego miejsca na gramofon. Nie posiadacie odtwarzacza płyt, a ucząc Emilkę tańca, nie mogę przecież cały czas nucić i śpiewać. Do tego potrzebna jest muzyka!

- Lauren...

Znów na niego spojrzała. Miała takie oczy, że poczuł nagłą słabość. W ogóle zbyt często odczuwał przy niej tę słabość, jak wtedy, w Copacabanie, kiedy obserwował ją na parkiecie.

- Przecież się zgodziłeś.

- Tak, ale byłem pewien, że to ustalimy. Umówimy się czy coś. Nie możesz tak tu wpadać...

- Dlaczego nie?

- Bo jesteś gwiazdą Hollywood! - wypalił bezmyślnie.

- A co to ma do rzeczy?

- Ktoś może cię zobaczyć, a ja nie chcę żadnych zdjęć w brukowcach. Sama mówiłaś, że media już węszą.

Uśmiechnęła się z przekąsem, jakby Konrad wygadywał głupoty.

- Podobno chciałeś się czegoś ode mnie dowiedzieć. I co? Już ci się nie spieszy?

Nie czekając na odpowiedź, nakazała szoferowi, żeby postawił gramofon na niewielkim stoliku, a następnie podziękowała mu z uśmiechem i wyjęła z lakierowanej torebki banknot dziesięciodolarowy.

Kiedy Lauren i Konrad zostali sami, przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Konrad miał ochotę natychmiast zapytać ją o Schultego, ale wiedział, że nic mu nie powie. Jeszcze nie teraz.

Niezręczną ciszę między nimi przerwała Emilka, która niespodziewanie stanęła w drzwiach saloniku.

– Tato?

Rogowski oderwał spojrzenie od Lauren i skierował uwagę na córkę. Odchrząknął nieco zakłopotany; nie powiedział jeszcze Emilce o lekcjach tańca. Nie chciał jej robić złudnych nadziei, dopóki nie ustalą szczegółów z Lauren.

– Emilko, pewnie się ucieszysz, bo znowu odwiedziła nas panna Evans. Pragnie uczyć cię tańca. Jeśli oczywiście nadal tego chcesz.

Dziewczynka natychmiast rozpromieniła się, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a jej policzki nabrały rumieńców.

– Lauren Evans? To naprawdę pani?

– Tak! – Lauren doskoczyła do Emilki i ujęła jej drobne dłonie w swoje. – Twój tata pozwolił mi cię uczyć! Czy to nie wspaniałe?

Konrad patrzył na nie z pewną obawą, ale widząc spontaniczną radość Emilki, powstrzymał się od komentarza. Dawno nie widział u córki takiej reakcji. Chyba nawet od czasu, jak ją odnalazł w sierocińcu – nigdy.

Emilka była wyraźnie oszołomiona i podekscytowana i bez sprzeciwu dawała się prowadzić Lauren. Najpierw cierpliwie czekała, aż Konrad i Lauren przygotują miejsce do tańca, odsuwając na bok wszystko, co mogłoby przeszkadzać, a później, wsłuchując się w muzykę z płyty gramofonowej, zaczęła wykonywać polecenia Lauren. A ta z niebywałą cierpliwością ciepłym głosem tłumaczyła dziewczynce pierwsze kroki.

Konrad stał przez jakiś czas z rękami skrzyżowanymi na piersi i obserwował ich zmagania, a ponieważ obie były skupione na sobie

i nie zwracały na niego uwagi, oznajmił, że idzie do ciemni wywołać parę zdjęć.

– Nie przeszkadzaj sobie – rzuciła Lauren.

Poszedł więc wywoływać kolejne fotografie, których ostatnio robił coraz więcej. Zadzwonili do niego nawet z „Vogue” z pytaniem, czy zgodziłby się zostać ich etatowym fotografem od sesji modowych, co z jednej strony było ogromnym wyróżnieniem, a z drugiej zaszufladkowałoby go jako fotografa modelek. A przecież nie na tym polegały jego pasja i powołanie. Te zdjęcia, owszem – były piękne i wyraziste, nadawały się na okładki poczytnych magazynów, ale nie były prawdą. Tą prawdą, którą w sobie miał i którą chciał jako fotograf świata pokazać. Wiedział również, że jeśli zrezygnuje z pracy fotografa, straci szanse na doskonałe zarobki, a pieniądze były mu potrzebne.

W tym tygodniu zrobił trzy sesje, które kosztowały go nadgodziny w warsztacie u Jimmy’ego, a w przyszłym szykowały się kolejne. Miał też umówione spotkanie z Elizabeth Watson, choć akurat tego wyczekiwał z niecierpliwością, bo chciał się jej odwdzięczyć za zaproszenie na kolację, nawet jeśli nie osiągnął wówczas tego, na czym tak mu zależało.

Analizował zdjęcia, które właśnie wywołał, i dość szybko doszedł do wniosku, że żadna z uwiecznionych na nich kobiet – choć nie brakowało im urody ani naturalnego wdzięku – nie miała w sobie tego głębokiego magnetyzmu, który posiadała Lauren. Na fotografii Lauren mógł patrzeć bez końca, choć nawet nie wiedział dlaczego. Oczywiście przekonywał siebie, że myśli tak o niej jako o modelce, nic ponadto, i że myśli te nie mają nic wspólnego z jego osobistymi

pragnieniami, bo pragnień już nie miał. Zdusił je w sobie dawno temu, gdy życie brutalnie nakazało mu dorosnąć.

Kiedy po dłuższym czasie wrócił do salonu, Emilka i Lauren siedziały razem na podłodze, oparte o siebie ramionami, i z czegoś się zaśmiewały.

Konrad przez chwilę obserwował je, stojąc w drzwiach, kompletnie zaskoczony nagłą zmianą w zachowaniu córki. Dotąd nie widział u Emilki takiej energii, takiego szczerego uśmiechu. Zachowywała się, jakby utrata wzroku nie przeszkadzała jej w korzystaniu z uroków chwili. Wstrząsnęło to nim, bo zrozumiał, że przyczyną tego była wyłącznie Lauren. W krótkim czasie dokonała czegoś, co nie udało się ani jemu, ani Helenie, ani nawet pannie Stanickiej.

– Chyba już pora kończyć lekcje? – zasugerował, wchodząc do pokoju.

Obie, jak na komendę, zwróciły twarze w jego stronę.

– Tato, Lauren jest niesamowita! – zawołała Emilka. – Wiesz, że jej mama też była tancerką? Tańczyła kiedyś w rewii!

– Naprawdę? – Konrad popatrzył na Lauren i zauważył w jej oczach nagłe zmieszanie. – Gdzie?

Lauren odwróciła wzrok i bezwiednie pogłaskała Emilkę po włosach.

– Poradziłaś sobie świetnie. Następnym razem poćwiczymy coś trudniejszego.

– Kiedy znowu przyjdiesz?

Lauren zerknęła na Konrada.

– To zależy od twojego taty.

Konrad wiedział, że jest na straconej pozycji; jeśli nie pozwoli Emilce na kolejne lekcje, córka mu tego nie wybaczy. Jednak nigdy dotąd nie widział u niej takiego podniecenia i entuzjazmu, więc może Lauren miała rację? Może taniec nie był taki zły i w niczym jego małej dziewczynce nie zagrażał?

– Porozmawiam z twoim tatą – zapewniła solennie Lauren, ściskając dłoń Emilki. – A teraz już musimy się pożegnać. Zbliża się pora obiadowa, a ja jestem z kimś umówiona.

– Gdy wróci ciocia Helenka, pokażę jej, czego mnie nauczyłaś.

– Cudownie. – Lauren pocałowała dziewczynkę w czubek głowy i wstała.

Konrad doszedł do córki i ujął ją za rękę, pomagając jej się podnieść.

– Gramofon sobie zostawcie. Jest wasz – odparła Lauren, szykując się do wyjścia.

Rogowski obserwował ją, jak chowała do torebki jedwabną chusteczkę, którą ocierała pot z karku, i nagle dotarło do niego, że nie chce, aby Lauren sobie poszła. Po raz pierwszy chciał, żeby została. Nie dla niego. Dla jego córki.

– Może zjesz z nami obiad? Nic specjalnego, zwykła zapiekanka...

Popatrzyła mu prosto w oczy.

– Dziękuję, ale naprawdę jestem umówiona. Może innym razem.

– Pewnie. Innym razem...

Wyszła, a Konrad poczuł, że zrobiło się dziwnie pusto. I cicho.

– Tato, mogę z nią tańczyć? Lauren jest wspaniała! – zawołała rozentuzjasmowana Emilka.

Zacisnął wargi.

- Możesz, skarbie.

Od tamtej pory Lauren przychodziła niemal codziennie, zawsze w porze, kiedy Helena była w cukierni, a Konrad pracował w warsztacie bądź miał sesję zdjęciową, więc nie widywali się wcale. Wprawdzie był to czas nauki Emilki z panną Stanicką, ale nauczycielka robiła sobie wtedy przerwę na lunch, a Emilka z radością oddawała się przyjemnościom płynącym z tańca.

Jednego dnia Konradowi udało się wrócić ze zdjęć szybciej i zastał je w tanecznym uścisku, krążące wokół pokoju. Emilka miała wymalowaną radość na twarzy, a Lauren - nie mniej szczęśliwa - skupiała się na tłumaczeniu jej poszczególnych kroków i ruchów.

Konrad patrzył na nie zdumiony i jednocześnie głęboko wzruszony. Jego córka tańczyła doskonale, była taka lekka, a jej ruchy harmonijne. Jakby urodziła się, by to robić. Konradowi przyszło na myśl, czy Emilka przypadkiem nie odziedziczyła tego po matce. On tego nie wiedział, bo nigdy nie zatańczył ze swoją żoną.

Nagle zapragnął wyciągnąć aparat i uwiecznić te chwile na kliszy. Przecież dawno temu obiecał ciotce, że będzie fotografował wyłącznie to, co jest warte zapamiętania.

W końcu to zrobił, a one nie oponowały, kiedy krążył wokół nich z aparatem w dłoni i robił zdjęcie za zdjęciem. Raz Lauren uśmiechnęła się prosto do niego - prawdziwie, szczerze, bez sztucznej aktorskiej manieri - i Konrad poczuł wówczas gwałtowne bicie serca.

- Emily jest taka żywa - powiedziała później Lauren, kiedy szykowała się do wyjścia. - Chciałabym zabrać ją na plażę, jeśli się zgodzisz. Mówiła, że pragnie poczuć piasek i zapach oceanu.

- Nie! - odparł natychmiast Konrad.

Ten pomysł Lauren był jeszcze gorszy niż pomysł z nauką tańca.

- Dlaczego? Czemu trzymasz ją w zamknięciu?

- Może o tym nie pamiętasz, ale moja córka nie widzi!

- Rzeczywiście! Będąc z nią, zapominam o tym, bo ona zachowuje się naturalnie! Jest swobodna i pełna życia!

Konrad westchnął.

- Bo jest w domu, w bezpiecznym miejscu.

- Pozwól jej wyjść, ten jeden raz. - Lauren nie dawała za wygraną. - Pójdziemy tam razem. Będziesz jej pilnował. Jeśli sytuacja wymknie się spod kontroli, od razu wrócimy do domu. Ja też nie chcę, żeby stała jej się krzywda. - Wpatrywała się w niego upartym, przenikliwym wzrokiem.

Jej przejrzyste niebieskie tęczówki działały na niego jak magnes. Nie mógł przestać na nią patrzeć.

- Dobrze - skapitulował, choć bez entuzjazmu. - Pojedziemy tam w sobotę. Do końca tygodnia muszę być w warsztacie i mam jeszcze sporo zdjęć do wywołania.

Uśmiechnęła się.

- Obiecuję, że nie pożałujesz. Twoja córka tego potrzebuje.

Już tego żałował. Pozwolił swojej córce za bardzo zbliżyć się do tej kobiety. A przecież wiedział, że ta znajomość wkrótce się zakończy. Lauren wróci do swojego hollywoodzkiego świata, jego córka do dawnego życia, a on wciąż będzie szukał człowieka, który powinien zapłacić za śmierć jego żony.

ROZDZIAŁ 24

Samochód zatrzymał się tuż przy chodniku, po którym szybkim krokiem stąpała Helena. Kropił deszcz, więc szła z rozłożonym parasolem, lecz teraz zatrzymała się gwałtownie, obruszona, bo wyglądało to tak, jakby kierowca zamierzał przejechać po jej stopach.

– Co pan wyprawia! – krzyknęła ostro do mężczyzny za kółkiem, w nerwach kalecząc angielski.

Kierowca opuścił szybę od strony pasażera i spoglądał na nią znad kierownicy. Oburzenie Heleny sięgnęło zenitu, kiedy spostrzegła, że ten pirat drogowy beczelnie się uśmiecha.

– Może panią podwieźć? – rzucił nonszalancko.

– Nie! – odparła i poszła przed siebie.

Samochód wolno ruszył za nią.

– Podwiozę panią.

Popatrzyła na kierowcę spod byka. Irytowało ją, że tak głupio się uśmiechał, jakby wcale nie chciał jej podwieźć, a poderwać. Mimo woli zaczerwieniła się. Dlaczego ci Amerykanie muszą być tacy bezpośredni?

– Już mówiłam, że nie chcę.

– Pani mnie nie poznaje? Nazywam się Mason Collins. Jestem dziennikarzem.

Helena przystanęła i jeszcze raz zerknęła na mężczyznę.

- Podobno szukała mnie pani w redakcji „Daily News”.

- Tak, rzeczywiście – bąknęła zmieszana. – Proszę wybaczyć, nie poznałam pana.

Na twarzy mężczyzny wykwitł szeroki uśmiech.

- Więc zapraszam do samochodu. Podwiozę panią i porozmawiamy o tym, co pani dla mnie ma.

Helena odetchnęła parę razy. W końcu zamknęła parasolkę, otworzyła drzwi od strony pasażera i wsiadła do środka.

- Proszę mnie zawieźć do rezydencji Watsonów. Tylko szybko, bo jestem już spóźniona.

Jednak mężczyzna najwyraźniej nie zamierzał się spieszyć, bo nie odpalił silnika, tylko przyglądał jej się przez chwilę, po czym wyciągnął rękę na powitanie.

- Cieszę się, że znów się widzimy.

Helena popatrzyła na niego kątem oka, w obronnym geście przyciskając do siebie torebkę. Mokra parasolka drażniła ją w łydkę, a krople wody skapywały na pantofle.

- Ja też, ale proszę już jechać – odparła chłodno, nie odwzajemniając gestu i odwracając głowę w stronę szyby.

Dziennikarz ruszył przed siebie.

- Pracujesz u Watsonów? – zapytał niespodziewanie, a ona popatrzyła na niego z oburzeniem.

Od kiedy to pozwoliła mu zwracać się do niej na „ty”? Wiedziała, że Amerykanie mieli dość swobodny stosunek do nieznajomych, ale ją to denerwowało!

- Nie.

- To po co tam idziesz?

– Nie twoja sprawa!

Jechali w milczeniu. Pięć minut później zatrzymali się przed wielką bramą, kutą z żelaza.

– Jesteśmy na miejscu – rzekł Mason. – Więc teraz powiedz mi, po co przyszedłaś do redakcji.

– Przyszłam, bo... – Helena przełknęła nerwowo ślinę. – Mam pewne informacje, które mogą być interesujące dla prasy.

– Na jaki temat?

– Lauren Evans.

Kilka minut później wysiadła z samochodu. Była dziwnie zawstydzona, czując na sobie świdrujący, ale całkiem ujmujący wzrok dziennikarza. Otworzyła parasolkę i odruchowo wygładziła niewidzialne zagniecenie na prostej spódnicy.

– Jeśli nie masz jak wrócić, mógłbym po ciebie przyjechać – zaproponował uprzejmie Mason.

– Poradzę sobie. Zresztą nie wiem, o której wyjdę.

– W porządku. Więc... Miło było cię podwieźć, Helen.

Patrzyła, jak odjeżdżał, a gdy zniknął jej z oczu, nacisnęła dzwonek przy bramie prowadzącej do rezydencji Elizabeth i Roberta Watsonów.

* * *

– Przygotowałam ci tradycyjne przepisy na bajgle, które można upiec z makiem i podać z serkiem śmietankowym, łososiem i cebulką. Oprócz tego tradycyjny pancake, choć zdaje się, że już go smażyysz...

Helena ledwo słyszała, co mówi do niej Elizabeth, bo niemal kompletnie oszołomiona rozglądała się po okazałej i absolutnie

ekskluzywnej kuchni. Zdawało jej się, że w tej czystej jasnej przestrzeni wszystko ma swoje miejsce – od idealnie skomponowanych szafek i półek w kolorze ciepłej wanilii, po drobne elementy wystroju, takie jak koszyczki na pieczywo czy słóiczki z przyprawami. Nawet pastelowe zasłony w oknach zostały dobrane z wyjątkowym smakiem i dodawały wnętrzu przytulności. Największe wrażenie na Helenie robiła jednak stylowa lodówka, jakiej kobieta nie widziała w żadnym zwykłym domu, i nowoczesny piekarnik na prąd. A na lśniącym blacie, pod jedną z wiszących szafek, stał robot do wyrabiania ciasta. Ona, nie dość, że nie mogła sobie pozwolić na takie innowacje, to w dodatku o istnieniu niektórych nie miała pojęcia. Nic dziwnego – nie przeglądała żadnych katalogów ze sprzętami kuchennymi, bo nie było jej na to stać. Owszem, miała lodówkę i w mieszkaniu, i w cukierni, ale obie były już dość wiekowe, no i nie tak zgrabne i funkcjonalne jak ta w kuchni Elizabeth Watson. Helena zdążyła się już przekonać, że Ameryka co chwilę zaskakiwała ją swoją nowoczesnością, za którą ona nie mogła nadążyć.

– Helen, czy ty mnie słuchasz?

Helena otrząsnęła się z zadumy i popatrzyła w spoglądające na nią ciepłe oczy Elizabeth Watson.

– Tak. Zamyśliłam się. Przepraszam.

– Rozglądasz się po mojej kuchni, zamiast skupić się na rozmowie.

– To dlatego, że nie widziałam dotąd takiej pięknej i nowoczesnej. Elizabeth uśmiechnęła się z pobłażliwym zrozumieniem.

– No tak, nieraz zapominam, że mogę pozwolić sobie na nieco więcej... To prawda, moja kuchnia jest wyjątkowa i dbam o nią

z największą starannością. Cieszę się, że zrobiła na tobie wrażenie, zwłaszcza że kiedy zajęliśmy ten dom z Robertem, osobiście zadbałam o jej wyposażenie. Pochłonęło to mnóstwo czasu i, jak słusznie się domyślasz, pieniędzy, ale jestem zadowolona z efektu.

Helena mimowolnie westchnęła. Przy tej zamożnej, choć bez wątpienia uroczej kobiecie czuła się prosta, szara i zacofana. Bo Elizabeth już samym swym wyglądem pasowała do tych stylowych wnętrz.

– Nawet za pięćdziesiąt lat nie będę takiej posiadać – odparła Helena z goryczą.

Elizabeth się zaśmiała.

– Och, kochana, z twoim talentem do pieczenia niedługo staniesz się majątną kobietą! Tak się cieszę, że się poznałyśmy! Możemy wymienić się naszymi kulinarnymi doświadczeniami.

Helena nie podzielała nadzwyczajnego entuzjazmu Elizabeth co do zbitcia przez nią fortuny, ale nie powiedziała tego głośno. Miała wrażenie, że ludzie w tym kraju mieli dziwny i według niej nierealistyczny sposób patrzenia na świat. Ktoś by powiedział, że właśnie dlatego rozwijali się tak szybko i spektakularnie, ale ona była tym odrobinę zgorszona. Dla niej – wychowanej w tradycyjnej polskiej rodzinie – to wszystko było zbyt... gwałtowne. Sama nie miała odwagi marzyć o zdobyciu majątku na czymś tak prozaicznym jak pieczenie ciast. Już samo myślenie o tym wydawało jej się absurdalne, nie mówiąc już o mówieniu o tym na głos. Poza tym, czy kobiecie tak wypadało? Przecież ona nie prowadziła swojej cukierni dla zdobycia bogactwa czy prestiżu, a jedynie po to, żeby zarobić na swoje utrzymanie. Gdyby poślubiła kogoś takiego jak Robert Watson, nie musiałaby w ogóle martwić się pieniędzmi. Ale jej sytuacja

osobista wyglądała tak, a nie inaczej i nic nie wskazywało, żeby w najbliższym czasie miała się zmienić.

Zaproszenie od Elizabeth Watson Helena przyjęła z zaskoczeniem. Nie sądziła, że jej wypieki aż tak przypadły kobiecie do gustu, ale kiedy Elizabeth dwa dni temu znowu zjawiła się w cukierni i głośno zachwycła się tortem czekoladowym i keksem, Helena nie kryła satysfakcji i z radością przyjęła jej zaproszenie.

Usiadły przy dużym jasnym stole, nakrytym eleganckim obrusem wyszywanym w kwiaty. Elizabeth podała herbatę w porcelanowym imbryczku i brownie z orzechami włoskimi.

– Czy w Polsce wszyscy tak pysznie pieką? – zapytała, siadając z wdziękiem na wyściełanym miękką poduszką krześle.

Helena wzruszyła ramionami.

– Nie wiem... Chyba nie. Moja mama zawsze robiła pyszne ciasta, więc była doskonałą nauczycielką. Pieklam i gotowałam z nią wszystko, bo sprawiało mi to przyjemność. Wymyślałyśmy lepsze rarytasy niż w Bristolu czy Oazie – dodała nieskromnie, a widząc nierozumiejący wzrok Lizzie, dodała: – Oaza to taka luksusowa restauracja w Warszawie. Ale w trakcie wojny... brakowało nam mąki, dodatków. Wszelkich podstawowych produktów. Nie było z czego nawet upiec chleba.

– To musiało być straszne. Pewnie nie lubisz wracać wspomnieniami do tego czasu.

Helena spuściła głowę.

– Nie lubię. Moja rodzina nie przeżyła wojny. Ojciec i mama nadziali się na łapankę, a siostra zmarła po klęsce powstania warszawskiego. Miałam też narzeczonego... – Westchnęła cichutko,

a Elizabeth zrobiła współczującą minę i instynktownie ujęła jej dłoń w geście pocieszenia.

– Co mu się stało?

– Nie wiem. Nie wrócił z wojny.

– Och, to straszne! Gdyby mój Robert... – Lizzie urwała.

– Nie wiem na pewno, czy mój narzeczony nie żyje – odparła Helena z goryczą. – Taka wiadomość nigdy do mnie nie dotarła. Jednak teraz, odkąd mieszkam tu, w Nowym Jorku, wiem, że już się tego nie dowiem.

– To musiało być dla ciebie trudne: zostawić wszystko i wyjechać tak daleko. Być może na zawsze.

– Ale był to też jedyny sposób, żeby spróbować od nowa. Konrad zabrał mnie i Emilkę...

– Emilkę?

– No tak, swoją córkę.

Elizabeth, choć zaskoczona, skinęła głową.

– Nie wiedziałam, że ma dziecko, ale w sumie nie pytałam go o to. Rozmawialiśmy o sesji zdjęciowej, nie o sprawach prywatnych.

Helena na wzmiankę o sesji się wzdrygnęła.

– Czy też będziesz przed nim... No wiesz... Rozbierać się?

Elizabeth się zaśmiała.

– Ja? Ależ skąd! Mój mąż jest reprezentantem w Kongresie! Umówiliśmy się na grzeczną sesję w mojej kuchni, ewentualnie w ogrodzie. Wiem, że Rogowski ma do tego smykałkę i zrobi dobre zdjęcia. Mogłabym zatrudnić kogokolwiek, ale w jego fotografiach jest coś takiego...

Helena od razu pomyślała o tych wszystkich zdjęciach porozwieszanych w jego ciemni. W jej mniemaniu Konrad miał w sobie wyłącznie to, że kobiety stając przed nim, nie mogły się powstrzymać, żeby się do niego nie wdzięczyć z nadzieją, że spojrzy na nie przychylnie.

– Między wami coś jest? No wiesz... – Elizabeth zadała to pytanie zupełnie naturalnie.

Helena zaprzeczyła nerwowo.

– Nie. Był mężem mojej siostry. Jedynie mieszkamy razem.

– I nigdy...?

– To byłoby nieprzyzwoite. Zresztą... – Helena nagle podniosła wzrok na Elizabeth. W jej oczach była niepewność i zażenowanie. – Ostatnio pewna kobieta powiedziała mi, że jestem... – odchrząknęła zawstydzona. – Mało interesująca.

– Ach, tak. I co jej odpowiedziałaś?

– Nic. Wydaje mi się, że może ma rację. Tylko że ja nie umiem się zmienić. To znaczy...

Elizabeth zmierzyła ją z góry do dołu.

– Jesteś przecież całkiem ładna. Musiałabyś jedynie zmienić nieco uczesanie i zacząć ubierać się bardziej na czasie. Kiedy mój mąż wyjeżdża do Waszyngtonu, nie mam zbyt wielu zajęć, więc mogłabym pójść z tobą na zakupy i do fryzjera.

Helena się zarumieniła.

– Nie wiem, czy powinnam cię o to prosić.

– Och, zrobię to z przyjemnością! W zamian ty zdradzisz mi kilka tajników swojej kuchni. Poza tym... – Elizabeth przymrużyła oczy. – Może mogłabyś piec dla mnie ciasta na przyjęcia? Dobrze zapłacę.

Helena uśmiechnęła się łagodnie.

– Czemu nie, choć muszę przyznać, że to brownie wyszło ci genialnie.

Elizabeth przyjęła komplement z wyraźną satysfakcją.

– Mam zresztą pewien pomysł – rzekła po chwili, raz jeszcze lustrując wzrokiem sylwetkę Heleny. – Mamy podobne figury, choć ja jestem od ciebie wyższa, ale to nic nie szkodzi. Trzymam w szafie sporo ubrań, których nie noszę, więc mogę ci je oddać. Myślę, że będziesz się w nich prezentować lepiej niż ja. Co ty na to?

Helena nie kryła oszołomienia, kiedy okazało się, że Elizabeth oddała jej chyba połowę swojej szafy. Były tam sukienki z tak szlachetnych materiałów, że kobieta aż wzdychała z zachwytem. Ponadto sweterki, spódniczki i nawet para eleganckich białych spodni za kostkę, ale na to Helena raczej nie była gotowa. Zapakowały ubrania do dwóch dużych toreb, a potem Elizabeth poleciła swojemu szoferowi odwieźć pannę Adamczyk do domu.

ROZDZIAŁ 25

Konrad jeszcze w dniu wyjazdu na plażę podchodził do tego pomysłu ostrożnie, żeby nie powiedzieć sceptycznie. Próbował namówić córkę do pozostania w domu, opowiadając o potencjalnych zagrożeniach, jakie mogą napotkać podczas wycieczki, ale Emilka skwapliwie zapewniała, że bardzo chce jechać nad ocean, bo Lauren mówiła, że to świetna zabawa. Poza tym panna Alicja też przyznała, że to dobry pomysł.

Konrad skapitulował, ale bał się, że bliskość oceanu może przypomnieć Emilce rejs liniowcem do Nowego Jorku, kiedy to cała niemal podróż przesiedziała wystraszona w swojej kajucie, nie wychodząc na pokład. Czuła się wtedy wyjątkowo źle i niemal się nie odzywała, jakby ogarnęło ją jakieś wewnętrzne przerażenie, które jeszcze bardziej spotęgowało jej apatię. Lauren kilkakrotnie zapewniła go, że jeśli tylko coś będzie nie tak, wrócą do domu, więc postanowił zaryzykować.

Pogoda była wspaniała. Czerwiec okazał się przyjemnie ciepły, a wiatr znad oceanu przynosił orzeźwienie.

W pierwszym odruchu planowali pojechać na Long Beach, ale szybko się zreflektowali. Była to najchętniej uczęszczana plaża przez nowojorczyków, uznali więc, że ze względu na Emilkę, która nie była przyzwyczajona do ogólnego zgiełku, wybiorą inne miejsce. Zdecydowali się na spokojniejszą i mniej ludną Manhattan Beach.

Aktorka widziała, że Konrad, choć wyraźnie spięty pierwszą wycieczką swojej córki, nie mógł się powstrzymać przed spoglądaniem na Lauren z zainteresowaniem.

– Wyglądasz inaczej – odezwał się w pewnej chwili.

– To oczywiste. Nie mam makijażu.

– Żaden dziennikarz by cię nie rozpoznał.

Zaśmiała się.

– Taki był cel. Nie chcę, żeby ktoś robił mi zdjęcia, kiedy będę z tobą i Emilką korzystała z uroków natury.

Nic na to nie odpowiedział, ale po jego minie poznała, że chyba spodobała mu się bez całej tej warstwy, która miała ją czynić piękną w świetle jupiterów. Sama przed sobą przyznawała, że bez makijażu wyglądała, jakby ledwo przekroczyła dwudziestkę. Jej naturalność, pozbawiona codziennej maski seksownej damulki, do tego luźny strój, na który składały się lekkie beżowe spodnie i kremowa koszula, bardzo jej odpowiadały. Nawet włosy zostawiła naturalnie ułożone: przewiązała je tylko kolorową chustką, więc opadały jej na kark i ramiona.

Konrad założył nieformalną koszulę i – co nie umknęło jej uwagi – džinsy, w których nigdy wcześniej go nie widziała, choć były już mocno popularne nie tylko wśród klasy robotniczej, ale i nowojorskiej socjety, a szczególnie często nosił je sam Marlon Brando.

Emilka, wchodząc na plażę, mocno trzymała ojca za rękę. Powiedzieli jej, żeby zdjęła buty i szła bosą; kiedy jej stopy zatapiały się w piasku, była zachwycona. Konrad patrzył na nią, jakby była malutkim dzieckiem, które dopiero co uczy się chodzić, a Lauren zaciskała usta, nie umiejąc powstrzymać wzruszenia.

– Jest miękki! I łaskocze.

– Musisz iść ostrożnie, żeby nie natrafić na kamień, choć patrzę uważnie, córeczko, żebyś na nic nie nadepnęła.

Emilka niemal zachłystywała się orzeźwiającym powietrzem. Mrużyła powieki, kiedy wiatr łaskotał ją w twarz. W końcu usiadła na piasku i jak zahipnotyzowana wsłuchiwała się w śpiew oceanu. Konrad siedział tuż przy niej, ciasno obejmując ją ramionami.

Lauren patrzyła na nich z nagłym kluciem w sercu. Nie miała prawa burzyć tej więzi, którą mieli, ale tak bardzo zapragnęła wejść między nich i poczuć bliskość. Nasycić się uczuciem, które od nich biło. Ją rozpieierały wyłącznie tęsknota i rozpaczliwa samotność. I poczucie, że najprawdopodobniej nigdy z nikim nie zazna takiej bliskości.

Spacerowali wolno wzdłuż plaży, tuż nad brzegiem morza, a spienione fale obmywały im stopy. Emilka cały czas trzymała ojca za rękę, ale w którymś momencie chwyciła również dłoń Lauren.

– Chciałabym, żebyś zawsze była z nami – powiedziała nagle z naiwną szczerością.

Była dzieckiem, więc Lauren, choć poczuła się nieswojo, uznała, że Emilka ma prawo do takich wyznań. Nie chciała burzyć jej nadziei tłumaczeniem, że to absolutnie niemożliwe.

Jednak Konrad zrobił to za nią.

– Emilko, Lauren jest aktorką i wkrótce wyjedzie.

– Do Hollywood?

Lauren westchnęła i popatrzyła na Konrada z wyrzutem.

– Tak. Do Hollywood – potwierdziła. – Ale dopóki tu jestem, będę do ciebie przychodzić. A później, za każdym razem, gdy będę

w Nowym Jorku, zawsze się z tobą spotkam. Jesteś pierwsza na mojej liście.

Emilka wyraźnie spochmurniała.

– Więc niedługo przestaniesz ze mną tańczyć.

Lauren nic na to nie odpowiedziała. Nie miała dość siły, żeby właśnie teraz, w tym wyjątkowym dniu, tłumaczyć dziewczynce, że tak właśnie wygląda życie. Że nic nie trwa wiecznie, a już zwłaszcza to, co jest piękne. Sama łapała się na tym, że momenty spędzane z Emilką były dla niej bezcenne.

Potem znów przysiedli na piasku i Lauren wyjęła z koszyka przygotowane przez Mary kanapki oraz wodę i sok. Cały czas czuła na sobie uważny wzrok Konrada; wyglądało na to, że patrzenie na nią nagle zaczęło mu sprawiać nadzwyczajną przyjemność. Nawet się z tym specjalnie nie krył, co było niecodzienną odmianą. Kiedy jednak odwzajemniała spojrzenie, odwracał głowę.

Po posiłku Konrad wyjął aparat i zaczął robić im zdjęcia, a one turlały się na piasku i robiły różne dziwne pozy, zaśmiewając się do rozpuku. Lauren widziała, jak dziewczynka chłonie te momenty. Widziała, jak przepuszcza piasek przez palce, jak go wacha. W pewnej chwili włożyła sobie nawet odrobinę do ust jak małe dziecko, jakby nawet za pomocą zmysłu smaku chciała poznać jego konsystencję. Później, trzymając się za ręce, ostrożnie weszły po kolana do wody i tam też pozwoliły zrobić Konradowi kilka zdjęć.

Do mieszkania wrócili późnym popołudniem. Zmęczeni i głodni, bo kanapki okazały się niewystarczające, by zaspokoić apetyt, który wzmagало oceaniczne powietrze, ale za to nadzwyczaj szczęśliwi.

Emilka od razu zawędrowała w ramiona Heleny, która niezbyt skora do pogawędki szybko zniknęła z dziewczynką w jej pokoju.

– Odwiozę cię – rzekł Konrad, kiedy on i Lauren zostali w korytarzu sami.

– Nie, pojedę taksówką. Ty zajmij się Emilką. To był dla niej dzień pełen wrażeń. Pewnie będzie to przeżywać. Miło byłoby to kiedyś powtórzyć. Może zabrałabym ją na spacer do Central Parku? Tam jest sporo zacisznych miejsc...

Poczuła się nieswojo, bo zbliżył się do niej o krok. Normalnie nie miałyby nic przeciwko jego bliskości, nawet by sobie jej życzyła, ale teraz poczuła dreszcz. Inny niż to, co odczuwała dotąd, niemający nic wspólnego ze zwykłym pożądaniem. Gdzieś w zakamarkach świadomości odezwały się ostrzegawcze tony mówiące jej, że jest na prostej drodze do kolejnego głupiego zatracenia się w mężczyźnie, który nie był dla niej. Nie chciała patrzeć w jego ciemne oczy, ale nie mogła się przed tym powstrzymać. Nie mogła również zapanować nad pragnieniem, żeby go pocałować. Spojrzała na jego usta, na bliznę nad górną wargą. Chciała go dotknąć, ale on odwrócił głowę.

– To... Kiedy się spotkamy? – zapytał, gdy Lauren, otrząsnąwszy się, zbierała się do wyjścia.

Domyśliła się, że chodziło mu o rozmowę, którą musieli w końcu podjąć. I nic poza tym. Uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Jutro wieczorem. Przyjedź do mojego apartamentu. Bez obaw... Będę grzeczna.

* * *

Lauren od rana myślała o Emilce. O tym, jak dziewczynka doskonale radziła sobie w tańcu i ile dawało jej to radości. Córka Konrada była spontaniczna, nie bała się i z uporem pokonywała kolejne bariery. Momentami Lauren zapominała, że dziewczynka nie widzi. Jej

samej te lekcje też dawały mnóstwo radości. Tak naprawdę dawno nie czuła takiej swobody i przyjemności z robienia czegokolwiek i łapała się na tym, że co dzień czeka na moment, kiedy będzie mogła wsiąść do taksówki i pojechać na kolejną lekcję tańca.

– Panno Evans, ktoś właśnie dostarczył to pod drzwi.

Lauren zerknęła znad talerza ze śniadaniem na Mary. Pogoda tego dnia była piękna, słońce grzało od rana, a muskający wiatr dawał przyjemne orzeźwienie, więc jadła posiłek na tarasie, delektując się aurą i podziwiając falujące korony drzew rozciągającego się pod nią Central Parku. Uliczny zgiełk, który docierał do jej uszu, zupełnie jej nie przeszkadzał. Nawet lubiła ten miejski hałas. Wtedy czuła, że świat wokół niej żyje, biegnie do przodu, a ona wraz z nim.

– Co to?

– „New York Post” – to mówiąc, pokojówka z nieco niewyraźną miną rozłożyła przed Lauren gazetę.

Zdjęcie przedstawiało ją i Konrada Rogowskiego, a artykuł był opatrzony wielkim nagłówkiem: Kochanek Lauren Evans brutalnie atakuje Ricky’ego Berry’ego.

Lauren przemknęła wzrokiem po artykule, czując, jak w jej żyłach wrze krew.

– Co to ma być, do cholery?! – syknęła bardziej do siebie niż do pokojówki, ale ta, wyraźnie speszona, przygryzła wargę.

– Ten bezczelny kłamca Berry udzielił wywiadu Walterowi Winchellowi!

Jeśli Lauren czuła się spokojna i w miarę zrelaksowana, to cały jej spokój ulotnił się w jednej sekundzie. W tekście była mowa o tym, jak to nikomu dotąd nieznanemu fotografowi polskiego pochodzenia

Konrad Rogowski w szale zazdrości o swoją kochankę, znaną aktorkę Lauren Evans, napadł z pięściami na nowojorskiego finansistę Ricky'ego Berry'ego i rozkwaśił mu nos. Zrobił to podczas eleganckiego przyjęcia w hotelu Waldorf Astoria na oczach dziesiątek zbulwersowanych gości.

- Jak ten drapieżca Berry mógł naopowiadać takich bzdur! - Lauren ze złością uderzyła dłonią w blat, aż kawa w filiżance chlusnęła na stolik i ochlapała jej poranny peniuar.

Wściekła podniosła się z krzesła, ale po chwili bezsilnie opadła na nie z powrotem.

- Mary, podaj mi, proszę, telefon. Muszę zadzwonić.

Drżącymi dłońmi wykrciła numer do warsztatu Jimmy'ego Cartera, ale sekretarka poinformowała ją, że Konrad dzisiaj nie pracuje.

- Znowu ma sesję zdjęciową, panno Evans - rzekła słodkim głosem.

Lauren podziękowała i odłożyła słuchawkę. Niemo zapatrzyła się w przestrzeń.

- Panno Lauren... - Mary stała w drzwiach tarasu z miną coraz bardziej niepewną. - Przed chwilą był tu odźwierny Smith. Na ulicy przed wieżowcem zebrała się spora grupa dziennikarzy. Chcą z panią rozmawiać.

- Nie!

- Smith mówił, że zagrozili, iż będą czekać, dopóki pani do nich nie zejdzie. Kilku powiedziało, że wejdzie na górę. Wie pani, że on sam nie da im rady.

- Więc niech zadzwoni po pomoc, policję, kogokolwiek! Nie będę z nimi rozmawiać!

Konrad! Mój Boże, przecież za chwilę te plotkarskie hieny zjawią się u niego, będą mu deptać po piętach, żądając wyjaśnień w sprawie opisanego incydentu. A Emilka... Lauren jęknęła z rozpaczą. Ona sama wielokrotnie padała ofiarą prasowych kłamstw i burzliwych plotek i wiedziała, czego może się spodziewać, ale Emilka i Konrad... Oni żyli z dala od tego bagna i gdyby nie Lauren, wciąż by tak było.

Jej chaotyczne myśli przerwało głośne dudnienie do drzwi apartamentu. Lauren odruchowo objęła się ramionami.

– Mary, jeśli to dziennikarze, broń Boże ich nie wpuszczaj!

– To ja.

W wejściu na taras stanął Rogowski.

– Konrad! – Lauren, niewiele myśląc, błyskawicznie pokonała dzielącą ich odległość i objęła go ramionami za szyję.

– Przepraszam... – wyjąkała. – Nie chciałam cię w to wplątać.

Czuła, że był bardzo spięty. Odruchowo otoczył ją ramieniem, ale nie było w tym czułości.

– To nie twoja wina. Sam się o to prosiłem.

Lauren uniosła twarz i popatrzyła na niego. Jego wzrok był nieprzenikniony, wręcz zimny. Miała wrażenie, że nigdy dotąd nie widziała u niego takiej wrogiej obojętności. Zawsze był poważny, niedostępny, ale tym razem to było coś więcej.

– Właśnie wracam z przesłuchania. Wezwali mnie na komisariat w sprawie tego pobicia.

Lauren zamarła.

– I co im powiedziałaś?

– Prawdę. Że Berry próbował zaciągnąć cię siłą do pokoju, a ja go powstrzymałem. Mówiłem, że groził ci nożem.

– Uwierzyli ci?

Konrad zaśmiał się z goryczą i delikatnie odsunął ją od siebie.

– Nawet jeśli, to bez znaczenia, bo Berry ma tam swoich ludzi.

– Chcą cię oskarżyć?

– Już to zrobili. Zamierzają postawić mnie przed sądem i zmusić do oficjalnych przeprosin. Chyba że...

Lauren zamarła, czując, jak serce dudni jej w piersi. Widziała spojrzenie Konrada. Domyśliła się, co zaraz jej powie.

– Chyba że się z nim spotkasz i...

– I go przeproszę – rzekła matowym głosem.

Konrad nie odpowiedział, ale nie musiał. Lauren wiedziała, że chodziło właśnie o to. Miała się oddać temu brutalowi na pożarcie. Dopadły ją nagłe mdłości. Odruchowo położyła dłonie na brzuchu i odwróciła się do Konrada plecami.

– Chyba nie uważasz, że ci na to pozwolę? – usłyszała jego ostry głos.

Obejrzała się na niego zdumiona.

– Nie pozwolę, żebyś zbliżyła się do tego drania – dodał. – Żałuję, że nie roztrzaskałem mu tej gęby na miazgę.

– Przestań...

Pokiwał głową.

– Dziwny jest ten twój świat, Lauren, ale skoro już się w nim znalazłem, i to na własne życzenie, to muszę ponieść tego konsekwencje. Nie chcę jedynie, żeby ucierpiała na tym moja córka. Obiecałem sobie, że nie pozwolę, by jeszcze kiedykolwiek ktoś ją

skrzywdził... – Jego ostre spojrzenie cięło ją jak sztylet. – A ona cię lubi. Przywiązała się do ciebie. Aż za bardzo.

Lauren opuściła ramiona. Gorące łzy spłynęły po jej policzkach. Poczowała miazdzącą bezsilność.

– Nie wiem, co sobie wyobrażałem, pozwalając wam na kontakt – kontynuował wściekle, nie zwracając uwagi na jej rozpacz. – Przecież ty nie jesteś z naszego świata. Nie należysz do nas. Jesteś inna. Od początku byłem tego świadom, a jednak znów okazałem się niewystarczająco trzeźwy.

– Wiesz, że umyślnie nigdy bym jej nie skrzywdził. – Głos jej drżał. – Ona wiele dla mnie znaczy.

– Nigdy więcej się z nią nie spotkasz, Lauren. Nigdy.

Patrzyła na niego, z wysiłkiem połykając łzy. Rogowski był niewzruszony, jakby to wszystko, co do niej mówił, nie miało dla niego żadnego znaczenia. Jakby był zupełnie niewrażliwy, pozbawiony jakiegokolwiek współczucia. Gdy tymczasem ona miała wrażenie, że jej serce za chwilę roztrzaska się na tysiąc kawałków.

– Nie przejmuj się mną – rzekł, kiedy ona nie była w stanie wykrztusić z siebie słowa. – Poradzę sobie z Rickym Berryem. Też mam znajomości i jest ktoś, kto mi pomoże. Tak naprawdę to właśnie ten ktoś skierował mnie do ciebie. W innym wypadku nigdy byśmy się nie spotkali, bo nie o twoje zdjęcia mi chodziło, Lauren. Jesteś piękna i sławna, ale to mnie nie obchodzi. Nie zależało mi na fotografowaniu ciebie.

Patrzyła na niego zdumiona, nie rozumiejąc.

– Powinnaś była się domyślić, że nasze spotkanie nie należało do przypadkowych. Poznałem cię, bo potrzebuję informacji.

I zamierzam je od ciebie dostać, bo jesteś mi to winna. Nic innego nie ma dla mnie znaczenia.

Bezwiednie pokiwała głową. Była tak wstrząśnięta, że nie mogłaby sprzeciwić się niczemu.

– Dziś wieczorem... – wyszeptała zdrętwiałym głosem.

– Tak. Dziś wieczorem. Jeśli pozwolisz, chciałbym to definitywnie zakończyć. Zostałbym teraz, by wyciągnąć z ciebie wszelkie informacje, ale widzę, że potrzebujesz czasu, by się otrząsnąć. Poza tym na dole czeka tłum dziennikarzy i coś trzeba z nimi zrobić.

– Więc jak tu wszedłeś? – zapytała, starając się opanować. – Jak udało ci się ich ominąć?

Uśmiechnął się krzywo.

– Jeszcze parę lat temu w Warszawie lawirowałem między uzbrojonymi hitlerowcami, więc ci na dole nie są dla mnie żadną przeszkodą.

Zanim wyszedł, zbliżył się do niej i przez chwilę patrzył jej w oczy. Jego wzrok nagle złagodniał, dostrzegła w nim nawet czułość. Nie umiała powstrzymać drżenia, kiedy delikatnie pogłaskał ją po policzku.

– Wrócę wieczorem, ale do tej pory uważaj na siebie.

Wyszedł, a ona została sama, głęboko wstrząśnięta. Bezwiednie usiadła na krześle, czując pogłębiające się mdłości.

– Mary! Potrzebuję luminalu. Jest w łazience.

– Może nie powinna pani, panno Lauren...

– Przynies mi! – krzyknęła w panice, chowając twarz w dłoniach.

Wiedziała, że musi wziąć się w garść. Musi się otrząsnąć i stanąć przed koczującymi na dole dziennikarzami. Bo jeśli tego nie zrobi, niebawem nadejdzie moment, w którym sami ją dopadną i rozerwą na strzępy.

* * *

Konrad obserwował Lauren, jak z wyniosłą pozą gwiazdy filmowej opiera się ramieniem o balustradę tarasu. Była inna niż w chwilach, kiedy tańczyła z Emilką; wówczas stawiała się swobodna, energiczna, naturalna. Była również zupełnie inna niż rano, kiedy dowiedziała się, że osaczyła ją rzesza żądnych sensacji dziennikarzy, a on bez ceregieli obwinił ją o swoje kłopoty z Berrym. Z początku, kiedy dostrzegł na jej twarzy szok, bał się, że Lauren się rozsypie. Że na jego oczach zmieni się w kobietę złamaną i wystraszoną. Ale ona się nie poddała i teraz stała przed nim, odgrywając rolę kobiety niedostępnej.

Ubrana była w długą granatową suknię do ziemi, opinającą biodra, z odkrytymi do połowy plecami, na które spływał złoty łańcuszek zwieńczony szafirem w kształcie łyzy. Jej gładka twarz, pokryta mocnym wieczorowym makijażem, działała hipnotyzująco. Nikt, patrząc na nią, nie miałby wątpliwości, kim była. Emanowała sceniczną charyzmą, dzięki której potrafiła z grzecznej dziewczynki zmieniać się w seksowną uwodzicielkę. Konrad zastanawiał się, kim była naprawdę. Co drzemało w jej wnętrzu? Dlaczego pozwalała, żeby mężczyźni traktowali ją wyłącznie jak obiekt pożądania? Bo że nim była, sam się o tym przekonał. I nie chodziło wyłącznie o sprawę napalonego Ricky'ego Berry'ego ani o facetów otaczających ją wianuszkami w Copacabanie. On, Konrad Rogowski, też jej

pragnął. I tylko resztkami woli powstrzymywał się, żeby jej nie dotknąć. W gruncie rzeczy był pewien, że ona wcale by tego nie chciała, a jej próby uwodzenia go były tylko aktorską grą. Gdyby się jej poddał, odrzuciłaby go tak samo jak wszystkich innych.

– Jesteś pewien, że chcesz znać prawdę? – zapytała cicho, kiedy stanął tuż obok niej.

Patrzył teraz na jej idealnie kształtny profil, oświetlony tarasową latarnią.

– Jeśli chodzi ci o Rudolfa Schultego, to tak. Chcę znać prawdę. Wyłącznie po to tu jestem.

Odwróciła się i popatrzyła mu prosto w twarz. Otaczała ją aura nocnego miasta, a przez to jawiła się jak królowa tego wszystkiego, co mieli w zasięgu wzroku.

– Nie łudzę się, że zjawileś się, aby spędzić ze mną tę noc. Żeby w końcu kochać się ze mną tak jak oboje tego pragniemy, aż zastanie nas świt.

Nie odpowiedział. Nie mógł. Nikt na jego miejscu przy zdrowych, a nawet z gruntu chorych zmysłach nie potrafiłby nie czuć tego, co on czuł w tej chwili.

– Po co ci to? Kim on jest, że tak ci zależy? – zapytała po dłuższej chwili.

Rogowski westchnął. Odwrócił od niej wzrok i zapatrzył się w dal, w stronę dalekiego horyzontu, który był kresem miejskich świateł Nowego Jorku. Mógł się spodziewać, że go o to zapyta.

– Chciałbym go poznać. Stanać z nim twarzą w twarz.

– I uważasz, że ja mogę ci w tym pomóc?

– Tak myślę.

Zaśmiała się gorzko. Delikatny podmuch wiatru zafalował jej włosami. Gdyby miał teraz aparat... Gdyby mu pozwoliła...

– Więc się mylisz, bo nie mam z nim nic wspólnego. Znałam go kiedyś, dawno temu, ale... To było w innym życiu. Nie wiem, skąd ci przyszło do głowy, że wciąż mogłabym... – Głos jej się załamał i uwiązł w gardle.

Jej twarz była jak wykuta z kamienia, zimna, nieprzystępna. Jakby nie należała do niej.

– Kim ty właściwie jesteś? – zapytała, zaskakując go tym pytaniem. – Agentem? Szpiegiem?

Uśmiechnął się ponuro.

– Kimś, kto chciałby wymierzyć sprawiedliwość.

– Sprawiedliwość? – parsknęła. – Coś takiego w ogóle istnieje? Myślałam, że istnieje tylko złudne poczucie dobrze spełnionego obowiązku wobec czyjejś nikczemności.

– Bo po części na tym to polega.

Karminowe usta Lauren delikatnie zadrżały. Konrad miał wrażenie, że spięła się jeszcze bardziej, jakby właśnie tworzyła przed nim pancierz bezpieczeństwa. Jakby budowała między nimi mur, którego on już wkrótce nie będzie w stanie sforsować.

– Więc kim jesteś, Konradzie Rogowski? – ponowiła pytanie.

– Fotografem. I mechanikiem samochodowym.

Uśmiechnęła się sztucznie, choć z jej twarzy nie zniknęło skupienie.

– To już wiem. Chcę wiedzieć, kim jesteś naprawdę.

– Jestem ojcem... A kiedyś byłem też mężem i żołnierzem. I to drugie okazało się dla mnie ważniejsze niż moja moralna powinność

wobec żony i dziecka. Kiedy ja walczyłem za mój kraj, esesman Rudolf Schulte zabił moją żonę.

Pełną napięcia ciszę między nimi tłumiły teraz jedynie odgłosy gwarne miasta. Konrad zacisnął dłoń na balustradzie tarasu.

– W trakcie powstania w Warszawie moja żona i Emilka ukrywały się wraz z innymi w piwnicy zawałonego budynku – odezwał się w końcu. – Aż zjawili się tam esesmani z Rudolfem Schultem na czele. Nie chciałbym ci mówić, co zrobili wtedy kobietom... A Schulte ich nie powstrzymywał, choć przecież mógł to zrobić, wystarczyło jedno jego słowo. Moja córka ukryła się w szczelinie za powaloną ścianą, bo tak nakazała jej Anna. Emilka miała wtedy pięć lat. Jednak to, co widziała...

Konrad urwał, czując w gardle nagłą suchość. Nie mógł mówić, więc tylko patrzył tępo przed siebie. Przed oczami miał piękny, tętniący życiem świat, a w głowie obrazy śmierci gwałtu i zniszczenia. Same zgliszcza. Odniósł wrażenie, że ucisk w klatce piersiowej, który go dopadł, nigdy nie zelżeje, bo oto wróciła cała potworność tego, co się wydarzyło. A wraz z nią ogromne poczucie winy, że nie było go tam, by bronić Anny i Emilki, i że słuchał tych potwornych relacji jedynie z ust ludzi, którzy to przeżyli. Nie zdołał obronić Anny, choć była jego żoną. Nie zdołał obronić własnej córki przed bestialstwem, którego stała się świadkiem.

– Moja żona umarła tam, w tej piwnicy, a moją córką zajęła się kobieta, która cudem zdołała ująć z życiem. Po paru tygodniach, kiedy w zrównanej z ziemią Warszawie zaczęły działać prowizoryczne sierocińce, oddała moją Emilkę, która już wówczas nie widziała. Tam ją znalazłem po miesiącach intensywnych poszukiwań. Wychudzoną, odrętwiałą ze strachu i niewidomą, ale

ocalała. Sama więc rozumiesz, że przybyłem do Nowego Jorku, bo chcę odnaleźć człowieka, który podczas wojny przyczynił się do śmierci mojej żony i poniekąd kalectwa mojej córki. Chcę postawić go przed trybunałem sprawiedliwości, a wiem, że tylko Amerykanie są w stanie mi w tym pomóc.

Lauren niespodziewanie odsunęła się od niego i zaczęła nerwowo krążyć po tarasie. Zdawała się głęboko poruszona. Jej ruchy nie były już płynne, jakby przestała się kontrolować. Unikała go wzrokiem, ale kiedy zatrzymała się na krótką chwilę, odniósł wrażenie, że dostrzega w jej twarzy strach. Potworny strach. Znow zaczęła nerwowo krążyć.

– Lauren... – zaczął. – Wiesz, gdzie on jest? Wiesz, gdzie się ukrywa?

Zatrzymała się w pół kroku i popatrzyła na niego dziwnie gniewnym wzrokiem, jakiego nigdy u niej nie widział.

– Już ci mówiłam, znałam go dawno temu. W Berlinie. Byłam wtedy dzieckiem, a on był kochankiem mojej matki, jeszcze zanim wybuchła wojna. Spotykali się, ale nie mieszkali razem. On łożył na nasze utrzymanie i płacił za nasze nędzne mieszkanie z widokiem na berliński kabaret. Moja matka była tam tancerką rewiiową.

– I co się stało?

– Pewnej nocy mama w pośpiechu spakowała nasze rzeczy i wsiadłyśmy do pociągu. Nie wiedziałam, dokąd jedziemy, ale mama zabroniła mi się odzywać choćby słowem. Sama mówiła doskonale po angielsku i tym językiem posługiwała się przez całą drogę. Miałyśmy przedział sypialniany, ale mama co jakiś czas wychodziła, a mnie zostawiała w ukryciu. Posługiwałyśmy się sfałszowanymi dokumentami na nazwisko Catherine i Sara Northon.

Podróżowałyśmy z mężczyzną, Anglikiem, który był dyplomata i pomógł nam wydostać się z Niemiec. W tym pociągu mama chodziła do niego, bo był jej kochankiem albo... – Lauren wciągnęła głęboko powietrze. – Albo dlatego że to była jej zapłata za pomoc w ucieczce. Nie wiem, jak było naprawdę, bo nigdy mi tego nie wyznała. Dotarliśmy do Francji, a stamtąd przez kanał La Manche do Anglii. W Liverpoolu wsiadłyśmy na statek do Nowego Jorku. Moja matka wiedziała, że nie możemy zostać w Europie, bo mogłyby nas dosięgnąć macki Rzeszy.

– Albo raczej długie ręce nagłe porzuconego kochanka.

Lauren skrzywiła się z pogardą.

– Schulte był już wtedy dowódcą oddziału SS. Musiał być wyjątkowo kiepski, skoro podczas wojny nie zdobył wyższego awansu nad Obersturmführera.

– Za to Hitler wysłał go do Polski, by ustanawiał nowe porządki.

Usiadła na szezlongu. Konrad patrzył, jak układa smukłe ciało na miękkich poduszkach.

– Przykro mi, ale nigdy więcej nie widziałam Rudolfa Schultego – powiedziała chłodno Lauren. – Nie wiem również, gdzie mógłby być teraz. Nie wiem nawet, czy żyje.

– A twoja matka? – zapytał Konrad. – Może ona coś wie? Może Schulte się z nią kontaktował? Mógłbym z nią porozmawiać?

– Nie.

– Dlaczego?

Lauren popatrzyła na niego z pustką w oczach.

– Bo moja matka nie żyje.

* * *

Lauren cała się trzęsała. Konrad wyszedł, a ona została w apartamencie sama i tylko siłą woli powstrzymywała się przed bolesnym krzykiem. Nie wiedziała, jak zdołała to przed nim ukryć. Jak udało jej się nie pokazać mu cierpienia i strachu, jaki nią zawładnął. Przecież mówiąc mu o Rudolffie Schultem, perfidnie kłamiąc na jego temat, każdą komórką ciała odczuwała to wszystko, co jej kiedyś zrobił. Odczuwała to fizycznie i prawdziwie, bo jej ciało poddało się nagłemu, przeszywającemu bólowi.

Dotąd była pewna, że po tylu latach zdołała to w sobie stłumić, ale teraz wiedziała, że jej się nie udało. Nigdy o tym nie zapomni, tak jak nie zapomniała jej matka.

Czując napływającą kolejnymi falami szarpiącą udrękę, Lauren wyszła z apartamentu i zjechała windą do nocnego baru na parterze budynku.

Było już po północy, a mimo to w dyskretnie oświetlonym lokalu wciąż znajdowało się spore grono amatorów mocnych trunków. Przy fortepianie improwizował pianista, a akompaniował mu muzyk na saksofonie.

Lauren skierowała się prosto do baru. Przysiadła na wysokim stołku i oparła ramiona na lakierowanym kontuarze.

– Dawno cię tu nie było. – Ciemnoskóry, przystojny barman był jednym z najmilszych facetów, jakich Lauren kiedykolwiek poznała. Zdarzyło jej się spędzić przy barze długie godziny, gawędząc z tym mężczyzną o wszystkim i o niczym.

– Bo obiecałam swojej przyjaciółce, że będę grzeczna – odparła z goryczą w głosie.

– I co się zmieniło?

– To, że życie bywa parszywe.

Barman przytaknął i uśmiechnął się znacząco.

– Akurat mi nie musisz tego tłumaczyć, ślicznotko. Tacy jak ja wiedzą to najlepiej.

Spuściła głowę.

– Wiedziałam, że zrozumiesz. Więc nalej mi najlepszej brandy.

Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

– Przemyśl to jeszcze, Lauren. Wiesz, że chętnie z tobą pogawędzę i cię wysłucham. I nie potrzebujesz do tego brandy.

Popatrzyła na niego z głębokim cierpieniem w oczach.

– Potrzebuję. Nawet nie wiesz jak bardzo. I nie każ mi cię prosić, bo wiesz, że w innym wypadku pójdę gdzieś, gdzie mi nie odmówią.

Mężczyzna westchnął z rezygnacją i wyciągnął kieliszek.

Dużo później Lauren dowlokła się do apartamentu niepewnym, chwiejnym krokiem. Gdy tylko znalazła się w łazience, zwymiotowała cały wypity alkohol. Dopiero po dłuższej chwili, kiedy trzęsącymi się dłońmi próbowała wyjąć z szuflady luminal, zorientowała się, że coś jest nie tak. Coś bardzo nie tak. Na jej sukni w okolicy ud zaczęła pojawiać się czerwona plama, a na posadzce między nogami utworzyła się mała kałuża. Lauren patrzyła na to zamglonym wzrokiem, aż nagle zaczęła krzyczeć.

* * *

Mdłe światło lampy padało na rozłożone zdjęcia. Konrad raz na jakiś czas wyciągał je z zamkniętej na klucz kasetki pancерnej, przemyconej w bagażu z Warszawy do Nowego Jorku, i sprawdzał, czy na pewno wciąż tam są. Upewniał się, bo były dla niego cenniejsze niż wszystko inne, co posiadał.

Były wszystkie, posegregowane w kilku kopertach, a klisze zamknięte w ciasnych pudełeczkach. Jego fotograficzne dowody zbrodni wojennych.

Rozsunął kilka zdjęć i przyglądał się czarno-białym obrazom, które przedstawiały jego dawny świat spowity wojennym pyłem. Jego Warszawę. Ból i zniszczenia. I ludzi – o twarzach wychudzonych, zrezygnowanych lub tłących się jeszcze ostatnią nadzieją. Patrzył na te zdjęcia i widział w nich twarde świadectwo śmierci swojego miasta. Usypane gruzami bezimienne mogiły, uliczne egzekucje na cywilach, inne masowe groby i las krzyży między zwaliskami kamienic. Na jednej fotografii znajdowała się martwa kobieta z przestrzeloną głową i zadartą sukienką. Inne ukazywały niemieckich żołnierzy prowadzących w kolumnie polskich powstańców, a kolejne grupkę rozochoconych Sowietów siedzących przy ognisku z butelką samogonu w dłoni. Wokół nich leżały martwe ciała.

Zdjęcia swojego oddziału, z którym walczył w konspiracji, trzymał w innej kopercie, ale nie chciał ich oglądać, bo przypominały mu czas, który powinien był wykorzystać na opiekę nad żoną i córką. A on je zostawił na długie lata. Zostawił je na początku czterdziestego roku, niedługo po tym, jak Emilka przyszła na świat, i nie obchodziło go, jak Anna sobie radzi. Raz na jakiś czas zaglądał do ich mieszkania, które dzieliły z rodzicami Anny i Heleny, ale to były krótkie spotkania, podczas których Konrad skupiał się wyłącznie na córce. Nigdy na żonie. Nawet nie wiedział, kiedy dokładnie jej rodzice zginęli w ulicznej łapance, bo gdy pewnego razu przybył w odwiedzin, już ich nie było, a załamana Anna nie mówiła zbyt wiele. Tak naprawdę mało ze sobą rozmawiali. Raz

jeden, kiedy został na kilka dni, spędzili razem noc w jednym łóżku, ale nie pamiętał, co wtedy czuł. Nie pamiętał, czy pożądał jej, bo była jego żoną, czy wyłącznie dlatego, że dawno nie miał kobiety.

Obraz Anny zamazywał się w jego pamięci, jakby ona sama nie chciała, żeby ją pamiętał. Widział jedynie jej oczy – jasne, błękitne, bo dokładnie takie same miała ich córka.

Ich związek od początku był farsą. Pomyłką. Ona – panna z dobrego domu, zbyt dystygowana i skromna jak na swój młody wiek. I on – warszawski bon vivant w oficerskim mundurze, z łatką lekkoducha, udający posłusznego syna zamożnych państwa Rogowskich, a w rzeczywistości nadmiernie lubiący kobiety. Nigdy od nich nie stronił, a one nie miały nic przeciwko. Kiedy więc na wskroś poważna i irytująco sztywna panna Anna Adamczyk pojawiła się na którymś z warszawskich przyjęć, postanowił dla zabawy i sprawdzenia własnego męskiego uroku skłonić ją do grzechu. Zrobił to dla głupiej, idiotycznej rozrywki – a ona mu uległa...

Później był skandal, płacz i wściekłość, kiedy okazało się, że panna Adamczyk zaszła w ciążę. A jeszcze później, krótko po ich wymuszonym ślubie, wybuchła wojna, która całkiem zmieniła oblicze ich wspólnego życia.

Konrad zacisnął powieki. Spokój, jaki panował teraz w jego życiu, wydawał mu się niemal profanacją tego, co przeżył. Uważał, że nie ma moralnego prawa do tego spokoju, bo niczym sobie na niego nie zasłużył. Niemal każdego dnia wyrzucał sobie, że podczas gdy on przeżył tę cholerną wojnę, Anna umarła, zaznawszy najgorszego możliwego okrucieństwa. A Emilka, która stała się ofiarą jego bezmyślności i głupoty, straciła ukochaną matkę. Ta niesprawiedliwość losu Konrada bolała. Karmiła go ciągłymi

wyrzutami sumienia i nie pozwalała spojrzeć na życie inaczej, jak tylko przez pryzmat krzywd.

Trzęsącymi się dłońmi równiutko poskładał zdjęcia i włożył do odpowiednich kopert.

Po tym, co dziś usłyszał od Lauren, stracił nadzieję, że kiedykolwiek odnajdzie Rudolfa Schultego. Tak jak już wcześniej stracił nadzieję, że uda mu się opublikować fotografie z czasów wojny.

ROZDZIAŁ 26

Lauren patrzyła pustym wzrokiem na ścianę przed sobą. Czuła się odrętwiała, niezdolna do tego, żeby oddychać, a co dopiero rozmawiać. Nie mogła poruszać powiekami, bo wiedziała, że jeśli to zrobi, z jej oczu znowu popłyną łzy. A wyplakała ich już tyle...

Lizzie siedziała przy jej łóżku od dobrych kilku godzin i uparcie odmawiała powrotu do domu. Zapewniała, że Robert jest w Waszyngtonie, więc ona i tak nie ma nic do roboty, dlatego zamierza tu siedzieć tak długo, jak będzie trzeba. Raz po raz chwytala Lauren za chłodną dłoń i mocno ścisnęła, by w ten sposób dodać przyjaciółce otuchy. A w chwilach, kiedy Lauren popadała w stan odrętwienia, przemywała wilgotnym kompresem jej spoconą, opuchniętą od płaczu twarz.

Lauren wiedziała, że Lizzie troszczy się o nią, że jest wystraszona tym, co się stało, ale sama w tej chwili była zbyt wstrząśnięta i nieszczęśliwa, żeby właściwie to docenić. Wolałaby zostać sama. Wolałaby, żeby ogarnęła ją ciemność i żeby nikt nie próbował jej z tej ciemności wyciągać.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie – szeptała jej przyjaciółka, czule głaszcząc po dłoni. – Wyzdrowiejesz. Lekarz mówi, że jesteś młoda i silna i że... Wciąż możesz mieć dziecko.

Dziecko. Straciła dziecko.

Szarpiący ból, który męczył ciało Lauren, zanim dotarła do szpitala, był niczym w porównaniu z żalem i rozpaczą, które

poczuła, kiedy lekarz oznajmił jej, że poroniła. Przecież nawet nie wiedziała, że była w ciąży. Nie domyślała się, choć powinna, bo już wcześniej inny lekarz coś na ten temat napomknął. I ta szokująca prawda uderzyła w nią teraz z całą mocą. Kiedy zaczynała głębiej się nad tym zastanawiać, pojawiała się dramatyczne poczucie straty, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyła. Bo w głębi serca czuła, że chciała tego dziecka. Pragnęła je mieć bez względu na to, kto był jego ojcem. To, że Peter ją porzucił i zaręczył się z inną kobietą, również nie miało znaczenia. To dziecko byłoby jej. Należałoby tylko do niej i kochałaby je tak, jak jej matka niegdyś kochała ją. Teraz jednak było po wszystkim, bo zabiła swoje maleństwo. Nieświadomie, ale jednak je zabiła – tak zasugerował lekarz, kiedy bez ogródek oznajmił, że alkohol i barbituran, który zażywała, żeby odegnać ból głowy, nerwowość i bezsenność, okazały się dla dziecka śmiertelne. To miało znaczyć, że była lekkomyślna i nieodpowiedzialna.

Odwróciła twarz od ściany i zamglonym wzrokiem popatrzyła na przyjaciółkę.

– Lizzie... Ja... Nie wiedziałam.

Elizabeth miała współczującą minę. Na jej twarzy malował się głęboki smutek.

– Wiem, kochanie.

– Ty tak bardzo chcesz mieć dziecko, a ja swoje zabiłam.

– Nie mów tak. – Lizzie pokręciła energicznie głową. – Nie zrobiłaś tego celowo.

Lauren poczuła, że znów chce płakać.

– Miałaś rację, gdy upierałaś się, że nie powinnam pić alkoholu. Nie chciałam zabić siebie ani dziecka, chciałam jedynie

zapomnieć... – Jej drżące wargi wygięły się w bolesnym grymasie. – A skrzywdziłam moje biedne maleństwo. Jestem potworem, Lizzie...

– Och, Lauren! – Elizabeth pochyliła się nad nią i mocno ją objęła. – Nie jesteś potworem. Nie możesz tak myśleć. Musisz być silna.

– Nie wiem, czy potrafię... – Szloch zaczął ją dławić. – Nie umiem walczyć o swoje życie. Nie umiem walczyć o siebie...

– Umiesz, kochanie. Jesteś twarda i odważna.

– Ale moje życie to pustka, Lizzie. Ogromna pustka.

Przyjaciółka kołysała ją w ramionach, podczas gdy Lauren wylewała z siebie rozpacz wartkim strumieniem. Lizzie pozwalała jej płakać, rozpaczać i cierpliwie ocierała jej łzy. Bo są takie chwile w życiu człowieka, kiedy trzeba pozwolić wyrazić rozpacz do końca, dać upust emocjom i wyrzucić z siebie cierpienie. Tylko tak można narodzić się na nowo.

– Jeszcze kiedyś będzie pięknie, moja kochana. Zobaczysz.

Lauren spędziła w szpitalu kilka dni, podczas których nie chciała widywać nikogo prócz Lizzie. Lecz któregoś razu w drzwiach sali stanęła Mary, która zamartwiała się o zdrowie swojej pani.

– Czy dziennikarze wciąż koczują pod apartamentowcem? – zapytała ją Lauren zrezygnowanym głosem, przypominając sobie artykuł na temat niej i Rogowskiego.

Wówczas do nich wyszła, porozmawiała, ale to nie wystarczyło. Plotki goniły plotki, a wieść o jej niespodziewanym pobycie w szpitalu tylko dolała oliwy do ognia.

– Nie, pan Taylor ich przepędził. Udzielił im krótkiego wywiadu. Oświadczył, że jesteś chora, i zapewnił, że będzie na bieżąco informował o twoim stanie zdrowia.

– Cholerny hipokryta! – wycedziła Lauren przez zęby. – I pewnie skrupulatnie to robi każdego dnia.

– Może to dobrze, że wziął to na siebie – zauważyła Mary. – Bo inaczej wystawaliby pod szpitalem, a to byłoby znacznie gorsze.

Richard Taylor również próbował odwiedzić Lauren w szpitalu, ale ona zastrzegła lekarzowi i pielęgniarce, że nie życzy sobie jego obecności. Nie chciała też widzieć nikogo więcej. Dlatego dopiero po fakcie dowiedziała się, że na oddziale zjawił się również inny mężczyzna i chciał się z nią zobaczyć, ale nie został wpuszczony.

– Konrad Rogowski? – zapytała Lauren, po cichu mając nadzieję, że to był właśnie on.

Myślała o nim w kategoriach straconej szansy. Miała wrażenie, że coś między nimi było, coś, co wymykało się schematom zwykłego zauroczenia. Jednak rzeczywistość nie dała im możliwości, by się o tym przekonali.

– Nie, szanowna pani. To pan Peter Jones – odpowiedziała jej pielęgniarka, rumieniąc się na wzmiankę o przystojnym aktorze.

Lauren gwałtownie uniosła się na łokciach.

– Czy... Ktoś powiedział mu, co mi dolega? A raczej... Co mi było?

– Doktor rozmawiał z panem Jonesem i chyba wyznał mu, że straciła pani dziecko. W każdym razie pan Jones był mocno zmartwiony. To ładnie z jego strony, że tak się martwi o panią.

Lauren jęknęła głucho i opadła na poduszki. Do diabła! Nie chciała, żeby Peter kiedykolwiek dowiedział się o ciąży. Nigdy. Zwłaszcza że to był przypadek, bo przecież za każdym razem dbali o to, żeby się zabezpieczyć.

Westchnęła ciężko. Teraz wiedziała, że jeśli coś miało pójść nie tak, to już poszło. W dodatku na całej linii.

Ze szpitala wyszła po tygodniu, kiedy lekarze uznali, że wszystko jest w porządku. I owszem, fizycznie Lauren czuła się lepiej, wróciła do sił, ale w środku wciąż rozpaczała i wiedziała, że nigdy to się nie skończy. Nawet jeśli z czasem ból się zmniejszy, stanie się słabiej odczuwalny, to ona i tak będzie myśleć o tym nienarodzonym maleństwie, któremu nie dała szansy na życie. I będzie ją to zabijało dzień po dniu, przez kolejne lata, podobnie jak wspomnienie tego, co spotkało ją, kiedy była ledwie dziewczynką. Kiedy miała czternaście lat.

W apartamencie na 5th Avenue czekała na nią Lizzie, a wraz z nią całe naręczka kwiatów z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia i przeróżne podarki, od belgijskich czekoladek w pięknych bombonierkach po suknie, buty i wyszukaną biżuterię.

– Spójrz, ilu życzliwych ci ludzi miało nadzieję na twój rychły powrót – rzekła, witając ją w progu z promiennym uśmiechem. – Potrzebują cię!

– Chcą mnie wyłącznie na ekranie – odparła Lauren z sarkazmem, rozglądając się po apartamencie, który wyglądał teraz jak ekskluzywny butik, a nie miejsce, w którym mogłaby się wyciszyć i zregenerować.

– I co w tym złego? Przynajmniej masz świadomość, że dajesz ludziom radość. Myślę, że to bardzo dużo.

„Jak mogę dawać radość komuś, skoro sama nie mam jej dla siebie” – myślała Lauren, patrząc obojętnym wzrokiem na dowody sympatii i uwielbienia.

Jeden z bukietów był od Konrada. Lauren, choć zaskoczona, poczuła przyjemne ciepło, czytając dołączony do niego bilecik.

Martwiliśmy się o Ciebie. Bardzo. Wracaj do zdrowia.
Konrad i Emilka

Wpatrywała się w litery ze łzami w oczach, podczas gdy Lizzie krzątała się po salonie.

– Wiesz, że twój film robi furorę? – trąkotała. – Ludzie od tygodnia szturmują kina! Czy to nie wspaniałe?

Lauren uśmiechnęła się z przekąsem, układając ciało na miękkim szeszlengu.

– Więc wystarczy kłamliwy artykuł w gazecie i tygodniowa wizyta w szpitalu, by wszyscy byli oszołomieni – rzuciła z sarkazmem. – Jakie to proste. O, przepraszam, prostackie.

Lizzie wzruszyła ramionami.

– Wiesz, że skandale i plotki zawsze sprzedają się najlepiej.

– Niestety wiem. A Rogowski? Ciekawe, jak on znosi tę nagłą popularność.

– Myślę, że całkiem nieźle – odparła Lizzie z pewnym wahaniem.
– Widziałam się z nim. Spotkaliśmy się w cukierni Helen, bo chciał wiedzieć, jak się czujesz. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe, ale martwił się o ciebie. Chciał nawet przyjechać do szpitala, ale mu stanowczo zabroniłam, bo wiedziałam, że nie chciałabyś tego.

Lauren spuściła głowę.

– Powiedziałaś mu o dziecku?

– Nie. To nie moja sprawa. Wie jedynie, że przedawkowałaś leki.

– Mówił coś?

Lizzie przez chwilę milczała, jakby próbowała znaleźć właściwe słowa. Kiedy się odezwała, jej głos był pełen żalu.

– Powiedział, że mu przykro. Że w innych okolicznościach wasza znajomość mogłaby przejść na inny poziom i że... jego córka tęskni za tobą. Lauren, jeśli uważasz, że on jest dla ciebie...

– Nie! – zaprotestowała gwałtownie. – On nie jest dla mnie, Lizzie.

* * *

Lauren chowała spojrzenie za ciemnymi okularami. Nie potrafiła patrzeć na Richarda Taylora po tym wszystkim, co ostatnio ją spotkało i co on sam jej uczynił. Siedząc teraz naprzeciwko niego przy stoliku kawiarnianym w Central Parku, uświadomiła sobie, że chyba już nigdy nie będzie w stanie spojrzeć na niego normalnie. Uciekała przed jego spojrzeniem w kierunku spacerujących ludzi i wypatrywała zarysu wysokich kamienic na Upper East Side, odbijających się w tafli jeziora. Wszystko, byle nie patrzeć na mężczyznę, który nonszalancko popijał espresso, jakby zupełnie nic się nie wydarzyło.

Kiedy zadzwonił do niej tego ranka i zaproponował spotkanie, w pierwszym odruchu chciała odmówić, ale szybko się zreflektowała. Nadal był jej agentem, nawet jeśli ta myśl obecnie uwierała ją bardziej niż kiedykolwiek.

– Mam złe wieści – zaczął bez ogródek, gdy tylko się spotkali. Nawet nie zapytał jej o samopoczucie. – Z tym filmem z Brando nic nie wyszło. Garrett Moore wycofał się z projektu, a Brando gra z Vivien Leigh w Tramwaju zwanym pożądaniem. Elia Kazan myśli, że skoro przez trzy lata grali Tramwaj... na Broadwayu, to film też okaże się sukcesem. Ale ja bym w to nie szedł. Brando skończy się, zanim porządnie się zacznie.

Lauren uniosła brwi.

– Mówisz tak wyłącznie z czystej złośliwości, bo w rzeczywistości boisz się, że ten film będzie większym hitem niż Nieczysta gra. On i Vivien to świetni aktorzy.

– Kotku, jestem pewien, że Oscara masz już w kieszeni i żaden Marlon Brando nie jest ci do tego potrzebny. Poza tym zarobiliśmy kupę szmalu na Nieczystej grze. Znajdziemy ci nowy film. Choć po tym, jak potraktowałaś Ricky'ego Berry'ego...

– Nie wspominaj o nim w mojej obecności – syknęła przez zęby.

Richard wzruszył ramionami.

– Jak sobie chcesz, laleczko, ale musisz wiedzieć, że rozmawiałem z nim kilka dni temu i wciąż jest mocno wściekły. Ta sprawa z Rogowskim to jakieś straszne gówno. Wdepnęliśmy w nie razem. Nie podoba mi się twoje podejście. Mam wrażenie, że stałaś się zimną suką, Lauren. Nie zdajesz sobie sprawy, dokąd to prowadzi. Jeśli będziesz się stawiać, pójdiesz w odstawkę. Wiesz, że 20th Century ma swoje wymagania i takie zachowanie jest źle widziane.

Lauren nie odpowiedziała. Miała dość udawania, że wszystko jest w porządku, że taka kolej rzeczy jej nie obchodzi, gdy już dosadnie uświadomiła sobie, że Konrad miał rację. Pozwalała, by inni ją krzywdzili. Ciągle im na to pozwalała. Od tamtego straszego momentu, kiedy pewien mężczyzna brutalnie uświadomił jej, że przestała być dzieckiem.

– W przyszłym tygodniu wracamy do gry – rzekł Richard, przerywając przeciągające się milczenie.

– To znaczy?

– Wracamy do Los Angeles. Szkoda czasu na siedzenie tutaj, trzeba brać się do roboty.

– A jak twoja żona?

Taylor zmieszał się i popatrzył na Lauren pytająco.

– Mówiłeś, że nie czuje się najlepiej – podjęła. – Że z tego powodu nie poszedłeś ze mną do Waldorf Astorii. Już jej przeszło?

– Taak... – odparł lekceważąco. – Czuje się znakomicie. Wiesz, jak jest. Wy, kobiety, nieraz przesadzacie z tym złym samopoczuciem.

– Myślę, że twoja żona nie przesadza.

Taylor zmarszczył brwi.

– A co ty możesz o tym wiedzieć?

– Mogę się jedynie domyślać, że ją bijesz.

Mężczyzna zaśmiał się kpiąco.

– Nie masz na to dowodów, laleczko.

– Nie mam, prócz tego, że mnie też uderzyłeś. Ale wiedz, że nigdy więcej na to nie pozwolę. Prędzej cię zabiję.

Richard skrzywił się i dopił espresso. Najwyraźniej uwaga Lauren nie zrobiła na nim wrażenia.

– Więc bez wyrzutów postanowiłeś ją tu zostawić? – zapytała z kpina w głosie.

– Moja żona nie znosi Los Angeles. Hollywood to nie jest świat dla niej.

– A dzięki temu ty bez problemu możesz obracać panienki i nie martwić się, że żona cię przyłapie.

– Jakaś ty staroświecka, Lauren. Naprawdę myślisz, że przejmowałbym się żoną?

Nie odpowiedziała, czując nieopanowany wstręt. Nie miała już ochoty tu siedzieć i patrzeć na człowieka, którym gardziła. Który każdym słowem utwierdzał ją w przekonaniu, że trzyma ją w pułapce szantażu i czyni to wyłącznie dla osobistej satysfakcji.

Gwałtownie wstała od stolika, nie dopiwszy kawy.

– Muszę już iść.

– Dokąd?

– Jestem umówiona z kimś bardzo ważnym.

Nie oglądając się za siebie, szybkim krokiem udała się do wyjścia z Central Parku prowadzącego na 5th Avenue. Musiała jeszcze się przebrać, bo czekała ją kolejna i zarazem ostatnia lekcja tańca z Emilką. Wiedziała, że Konrad nie byłby zadowolony. Wyraźnie zabronił jej kontaktów z córką, ale teraz zapewne pracował w warsztacie, a ona chciała spotkać się z dziewczynką tylko ten raz. Ostatni, zanim wyjedzie.

ROZDZIAŁ 27

– Muzyka jest w tobie, Emily. Czuję, jak się jej poddajesz, jak twoje ciało reaguje na każdy dźwięk.

– To takie fascynujące!

Dziewczynka płynęła, kołysząc się miękko i z wycuciem w rytm energicznej latynoskiej melodii. Bawiła się tym. Jej nogi, biodra i ręce poruszały się zgodnie z tym, czego oczekiwała od niej Lauren. A ta z zachwytem patrzyła na uczennicę.

– Uczysz się szybciej niż ja w twoim wieku. Jesteś urodzoną tancerką.

Emilka z zaangażowaniem poddawała się muzyce. Jej splecione w warkocz włosy, lekko wilgotne od potu, kleiły się do skroni i karku, a twarz nabrała zdrowych rumieńców.

– Tata wciąż uważa, że to nie jest dobry pomysł – rzekła po chwili, łapiąc oddech. – Byłby zły, gdyby nas teraz zobaczył.

Usiadła na podłodze, a Lauren dołączyła do niej.

– Twój tata bardzo się o ciebie boi.

– Ciągłe mnie pilnuje – poskarżyła się dziewczynka. – Panna Alicja też ma na mnie oko, a ja przecież dobrze sobie radzę.

– Nawet bardzo dobrze! – Lauren objęła ją ramieniem i przyciągnęła do siebie.

Emilka ufnie wtuliła się w nią i oparła głowę na jej piersi.

- Ładnie pachniesz. Pamiętam, że tata tak pachniał, jak przyszedł z premiery twojego filmu. Mówił wtedy, że to przez wyperfumowane damy, które tam były.

Lauren się roześmiała.

- Czy on cię przytula? - zapytała dziewczynka ściszym głosem.

- Nie - odparła Lauren, czując falę gorąca. - Zrobił to raz, właśnie wtedy po premierze. Pewnie dlatego tak pachniał.

- Myślę, że tata jest w tobie zakochany.

Lauren zeszywniała. Zdumiona spojrzała na dziewczynkę, która nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w przestrzeń przed sobą, z głową ufnie opartą o jej klatkę piersiową.

- Dlaczego tak uważasz?

- Bo zawsze jak jesteś w pobliżu, czuję, jak mój tata się spina. Jest wtedy taki poważny. A kiedy mówi o tobie, w jego głosie jest coś takiego... miękkiego.

Lauren poczuła zbierające się pod jej powiekami łzy.

- Pewnie tak... - wyszeptała, próbując opanować wzruszenie. Przytuliła policzek do włosów Emilki. - Ale z tym zakochaniem to raczej ci się wydaje.

- Myślę, że nie. Wiesz, tata chyba nigdy wcześniej nie był zakochany. Moja mama umarła, więc nie zdążył się w niej zakochać. Ale myślę, że gdyby żyła, zrobiłby to w końcu. Bo ona była bardzo dobra i piękna. Pewnie nie tak piękna jak ty, ale miała miękkie włosy i takie śliczne oczy. Zawsze śmiała się do mnie i całowała mnie w czubek głowy. I też tańczyła, gdy było jej wesoło. Nawet tańczyliśmy razem, ale tata nigdy tego nie widział.

Lauren starła wierzchem dłoni spływające po policzku łzy.

- Twoja mama była najpiękniejsza... - wyszeptała.

Trwały tak przez chwilę, wsłuchując się w muzykę z płyty. Lauren pomyślała, że ten spokój, który miała w sobie Emilka, jest dla niej zbawienny. Pomagał jej łapać równowagę. Pomyślała również, że kiedy wyjedzie z Nowego Jorku, będzie tęsknić za dziewczynką.

Chwilę później zjawiała się panna Stanicka i nadszedł koniec lekcji tańca. Lauren trudniej niż zwykle było pożegnać się z Emilką, bo wiedziała, że rozstaną się na bardzo długo.

– Ona nabrała niesamowitej energii – rzekła jej nauczycielka na odchodne. – Pracuję z nią od ponad roku i nigdy jej takiej nie widziałam. Od początku pomimo swoich ograniczeń była pilną i zdolną uczennicą, ale nie mogła się otworzyć, wydawała się taka wycofana. Moje próby dotarcia do niej spełzały na niczym. Dopiero pani jej pomogła, panno Evans.

– Nie sądziłam, że taniec może mieć tak duże znaczenie, ale jeśli tak, to bardzo się cieszę. – Lauren poczuła się głęboko wzruszona słowami nauczycielki. – Zanim wyjadę, porozmawiam z jej ojcem i poproszę, żeby wynajął dla Emily nauczycielkę tańca. To jest jej bardzo potrzebne.

– Dziękuję, choć nie sądzę, żeby się zgodził. Pan Rogowski to dobry człowiek, jednak wielu spraw nie rozumie.

* * *

Mężczyzna wszedł do cukierni i rozejrzał się dookoła.

Helena od razu go rozpoznała i na jej policzkach wykwitły rumieńce. Wiedziała, że jego pojawienie się tutaj nie było dziełem przypadku. Odruchowo przejechała dłonią po ufryzowanych włosach i nagle poczuła się jeszcze bardziej zażenowana. Nie dalej jak wczoraj za namową Elizabeth Watson poszła do fryzjera i miała

teraz modną fryzurę do ramion, z wywiniętymi na zewnątrz końcówkami. Pozwoliła nawet rozjaśnić włosy o ton i musiała przyznać, że efekt był bardzo zadowalający. Z początku nie poznała samej siebie, a kiedy wróciła do domu, Konrad na jej widok z wrażenia zapomniał języka w gębie. Patrzył tylko oniemiały, a kiedy się w końcu ocknął, przyznał, że wygląda fantastycznie. I pomimo że nastrój miał wyraźnie ponury, to tym razem Helena czuła, że mówił całkiem szczerze.

Dzisiaj założyła do cukierni jedną z sukienek od Elizabeth, w pasteloworóżowym kolorze, delikatnie rozkloszowaną. Do tego włożyła pantofle na niewysokich obcasach, które choć były niezbyt wygodne, wysmuklały jej nogi.

Na widok Heleny pani Pansy aż otworzyła usta ze zdumienia, a Daisy O'Neill zaśmiała się chrapliwym głosem.

– No, w końcu poszłaś po rozum do głowy! Jaka śliczna z ciebie dziewczyna! Teraz to będziesz łamała męskie serca!

Helena zbyła tę uwagę niby oburzonym spojrzeniem, ale w rzeczywistości jej to schlebiało. Od dawna nie czuła się tak dobrze. Kiedy tego ranka spojrzała w lustro, dostrzegła zmianę w swoich oczach – już nie było w nich wrogości do samej siebie, tylko tańczyły w nich iskielki zadowolenia.

Teraz jednak, patrząc na znajomego dziennikarza, miała ochotę zapaść się pod ziemię.

Spostrzegł ją i uśmiechnął się szeroko, rozbrajająco, a Helena na moment prawie straciła oddech.

– Witam moją śliczną pasażerkę – rzekł, podchodząc do kontuaru.

Poczuła, że robi jej się nienaturalnie gorąco. W samochodzie nie zdołała przyjrzeć mu się na tyle uważnie, by stwierdzić, jak bardzo był przystojny, a teraz od patrzenia na niego odebrało jej mowę. Musiała szybko się opanować.

– Co tu robisz? – zapytała półszepceniem, próbując ukryć zażenowanie.

Była pewna, że siedząca przy stoliku pani O'Neill już nastawiła uszu.

Mężczyzna oparł się niedbale o ladę i ponownie rozejrzał po lokalu.

– A jak myślisz, moja piękna? – rzekł, zwracając na nią spojrzenie. – Mieliśmy umowę i jak na razie jej nie dotrzymałaś.

– Muszę to przemyśleć – rzuciła, skrepowana jego przenikliwym spojrzeniem.

– Przemyśleć? Przecież sama zaproponowałaś mi współpracę, a ja obiecałem ci całkiem spory zysk.

– Wiem – odrzekła, a od jego głębokich oczu przeszły po niej ciarki. – Nie jestem tylko pewna, czy powinnam.

– Och, każdy na początku ma skrupuły, a później okazuje się, że sprawa toczy się gładko i bezboleśnie. Zresztą czekałem na ciebie, bo bardzo chciałem cię znów zobaczyć.

Zalała ją nagła fala gorąca. I właśnie wtedy drzwi cukierni znowu się otworzyły i stanął w nich Konrad. Helena odruchowo wyprostowała się i nieznacznie odsunęła od kontuaru. Zauważyła, że dziennikarz podążył za jej wzrokiem.

– Dzisiaj wrócę trochę później – poinformował ją Konrad. – Muszę zostać dłużej w warsztacie. Emilka jest z nauczycielką.

- W porządku - odparła Helena, starając się zachowywać naturalnie, choć w środku wrzała od nagłych emocji.

Konrad wyszedł, a ona popatrzyła sploniona na dziennikarza.

Ten nagle wyprostował się jak struna, a uśmiech zniknął z jego ust.

- Nie wiedziałem, że jesteś mężatką.

- Bo nie jestem. To nie był mój mąż, tylko szwagier. - Nie zdradziła, że to Konrad Rogowski, o którego Mason pytał kilka tygodni temu.

Wyraźnie się rozluźnił.

- Więc nie będzie zuchwałością z mojej strony, jeśli zaproszę cię na kolację?

Helena zadrżała.

- Po co?

- Po to, żeby porozmawiać o naszej współpracy.

* * *

Helena nigdy wcześniej nie czuła takiej burzy zmysłów. Fala owładnęła jej ciało i umysł aż po palce stóp i końcówki włosów. Kobieta miała wrażenie, że to wszystko, co się dzieje, nie dotyczy jej samej. Że to jakaś inna kobieta zamieszkała w jej ciele. Zupełnie niespodziewanie zaczęła odczuwać ogromną ekscytację, przenikające pragnienie, które spalało ją od środka. Nagle to, kim dotąd była, straciło znaczenie, bo liczył się tylko dotyk, ten jakże szalony pocałunek, który skradziony jej przez Masona Collinsa niby przypadkiem, rozpalił w niej dzikie pożądanie. Helena stała się przez to jednym wielkim pragnieniem, a jej uśpiona dotąd kobiecość tylko czekała, żeby ktoś zuchwale ją rozbudził.

Mason doskonale odgadywał, co działo się w jej głowie i ciele, bo po ich pierwszym spotkaniu i kolacji w przyjemnej restauracji nie odwiózł jej prosto do domu, lecz do swojego mieszkania. I Helena się temu nie sprzeciwiła. Chciała tego. W trakcie kolacji rozmawiali tak swobodnie, a ona śmiała się, patrząc mu w oczy. Czuła się oszołomiona, szczęśliwa jak nigdy wcześniej. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów widziała u mężczyzny – w dodatku tak przystojnego mężczyzny – prawdziwe zainteresowanie jej osobą. Pragnęła więc być z nim jak najdłużej.

Zanim przekroczyli próg, Mason patrzył jej długo w oczy i spojrzeniem pytał: „Jesteś pewna?”. Ale Helena nigdy niczego nie była tak bardzo pewna jak tego, że chce znaleźć się w ramionach tego nieziemsko przystojnego Amerykanina. Było jej obojętne, co wydarzy się jutro. Nie rozważała, co pomyśli, kiedy następnego dnia spojrzy na swoje odbicie w lustrze. Takie bzdury nie miały w tej chwili znaczenia. Liczyło się wyłącznie to, że rozbierając ją powoli, Mason całował każdy centymetr jej ciała, wywołując w niej gwałtowne drżenie, a dotąd nikt tego nie robił. Dotykał ją tam, gdzie nie wiedziała, że może być dotykana, i zaprowadził do świata rozkoszy, o istnieniu którego nie miała pojęcia.

Od tamtej pory spotykali się niemal codziennie, kiedy tylko Helena znajdowała chwilę, żeby wyrwać się z cukierni. To wzmacniało nie tylko ich wzajemną bliskość, ale zacieśniało też współpracę na polu zawodowym, której efekty miały już wkrótce ujrzeć światło dzienne. Helena nie mogła się tego doczekać. Leżąc w łóżku ze swoim mężczyzną, oszołomiona szczęściem, które tak nagle na nią spadło, oczami wyobraźni widziała minę Lauren Evans, kiedy jej plan wreszcie się zrealizuje. Czy mogła wymarzyć sobie coś

wspanialszego? Czy w bardziej efektowny sposób mogła uderzyć również w Konrada, który wyraźnie znajdował się pod wpływem tej głupiej, lalkowatej dziwki?

Helena uniosła się na łokciu. Jeszcze do niedawna czułaby zażenowanie na myśl o własnej nagości, a teraz ostentacyjnie prezentowała przed kochankiem swoje wdzięki.

– Coś jest między nimi. Coś szczególnego. Spotykali się przez jakiś czas.

– Są kochankami? – dopytywał Mason, nawijając na palec pasmo jej długich włosów.

– Początkowo tak podejrzewałam, ale teraz nie jestem tego pewna.

– To po co się spotykali?

Helena wzruszyła ramionami.

– Nie wiem...

Mason zajrzał jej głęboko w oczy. Helena poczuła, jak jego dłoń wędruje w to czułe miejsce jej ciała, które tak kochało być dotykane. Jak to możliwe, że dotąd nie miała pojęcia o miłości? O tym, jak cudownie może być między kobietą i mężczyzną? Jęknęła i wygięła się w łuk, kiedy zanurzył w niej palce.

– Więc się tego dowiedz – rzekł niemal szeptem, pieszcząc ustami jej szyję. – Chcę wiedzieć wszystko...

Jej ciałem wstrząsnęły dreszcze. Chciała krzyknąć, ale zamknął jej usta głębokim pocałunkiem. Nim się zorientowała, już w niej był i poruszał się tak, że traciła oddech.

– Jak to możliwe, że dotąd nie miałaś mężczyzny? To wprost niewiarygodne!

Helena nie lubiła, kiedy o tym wspominał. Wstydziała się tego.

ROZDZIAŁ 28

Pół roku później...

">Przedświąteczny Central Park pokryła gruba warstwa śniegu, więc bardziej niż zwykle czarował przechodniów i zachęcał do powolnych spacerów w zimowej aurze. Zanim Konrad dotarł na miejsce, minął po drodze kilka jarmarków bożonarodzeniowych usytuowanych niby przypadkowo u zbiegu ulic i przy większych placach. Do jego nozdrzy docierały aromatyczne zapachy gorącego ponczu, cydru i przeróżnych smakołyków z ciasteczkami imbirowymi na czele. Owe ciasteczka zagościły nawet w polskiej cukierni Heleny, choć wcześniej jego szwagierka upierała się, że będzie piec wyłącznie według polskich przepisów. Jednak bliższa kulinarna znajomość z Elizabeth Watson pomogła jej się otworzyć na nowe możliwości w tym względzie.

Konrad i Helena nadal mieszkali razem, choć coraz częściej dochodziło między nimi do kłótni i przepychanek słownych. Konrad wiedział, że Helena spotyka się z Masonem Collinsem. Wprawdzie nie znał go i nie wiedział, czym mężczyzna się zajmuje, ale domyślił się, że dość szybko zostali z Heleną kochankami, bo nie potrafiła ukryć ekscytacji. Konrad cieszył się tym niespodziewanym szczęściem szwagierki, a nawet było mu to mocno na rękę. Uznał, że wkrótce nastąpi moment, kiedy Helena oznajmi mu, że się zaręczyła i zamierza się wyprowadzić. Ale nic takiego się nie wydarzyło

i Konrad odniósł nawet wrażenie, że między kochankami coś zaczęło się psuć. Nie wnikał w życie intymne Heleny, ale kiedy wracała do domu wcześniej niż zwykle i od razu zamykała się w swoim pokoju, domyślił się, że coś musiało się wydarzyć. Zapytał ją o to ze zwykłej troski, ale ona zbyła go szybko i poszła do Emilki. Wciąż miała z nią doskonały kontakt i to Konrada bardzo cieszyło, bo po wyjeździe Lauren dziewczynka na powrót zamknęła się w sobie.

On sam starał się poukładać swoje życie, żeby stało się choć trochę bardziej znośne, lecz ponosił porażkę za porażką. Jedyne jego kariera fotografa nabrała tempa i po nowym roku miał otworzyć pierwszą fotograficzną wystawę dla szerszej publiczności. To było zaskoczenie i niewyobrażalne wyróżnienie; zgłosił się do niego nowojorski filantrop polskiego pochodzenia Franciszek Lewczuk z propozycją sfinansowania wystawy autorskich fotografii Konrada. Rogowski zgodził się bez wahania, choć na początku próbował jeszcze przekonać filantropa do wystawienia zdjęć, które trzymał w pancерnej kasetce.

– To nie przejdzie, panie Rogowski – rzekł wówczas Lewczuk. – To nie jest czas i miejsce. Być może kiedyś Ameryka wyda zgodę na publikację takich zdjęć, ale jeszcze nie teraz. Gdyby się pan odważył na taki krok, natychmiast zainteresowałyby się tym amerykańskie służby specjalne, a takie kłopoty są panu niepotrzebne. Proszę posłuchać ludzi, którzy dobrze panu życzą, i zaprzestać starań o te publikacje.

Konrad wiedział, że mężczyzna ma rację. Wiedział również, że najprawdopodobniej nie doczeka się publikacji tych zdjęć za swojego życia, i to wywoływało w nim ogromną frustrację. Te fotografie tkwiły w jego świadomości jak ołowiana kula. Czuł, że chowając je

dla siebie, popełnia niewyobrażalny grzech dla swojego i przyszłego pokolenia Polaków. Bo ludzie mieli prawo wiedzieć, skonfrontować to z powszechnie podawaną wiedzą i domagać się sprawiedliwości oraz zadośćuczynienia. A regularnie odmawiano im do tego prawa.

Teraz szedł miarowym krokiem na spotkanie z Teodorem Raczkim. Nie widzieli się od dwóch miesięcy, od czasu, gdy Konrad z pomocą prokuratora i znajomego adwokata uporał się z oskarżeniami Ricky'ego Berry'ego o napaść. Sprawa ciągnęła się tygodniami, bo Berry nie odpuszczał i próbował przekupić policjantów oraz prawników. I nawet mu się to udało, ale niespodziewanie pogrążyły go zeznania amanta kinowego Petera Jonesa, który opowiedział, że był świadkiem brutalnego wyprowadzenia Lauren Evans z sali balowej w Waldorf Astorii i zaciągnięcia jej do pokoju hotelowego. „A wszyscy wiemy, po co Berry to zrobił. By dokonać czynności seksualnej, na którą panna Evans nie wyraziła zgody” – zakończył swoją wypowiedź Peter. Sprawa odbiła się szerokim echem we wszystkich amerykańskich gazetach, audycjach radiowych, a nawet w telewizji, a film Nieczysta gra z udziałem Evans i Jonesa pobił kasowy rekord i wszystko wskazywało na to, że w konsekwencji para dostanie za swoje role Oscara. W mniemaniu Konrada było to obrzydliwe, że branża filmowa zarabiała krocie na cudzym nieszczęściu.

Rogowski wszedł do urokliwej kawiarenki z widokiem na pokrytą śniegiem aleję, za którą rozpościerało się publiczne lodowisko.

– Dobrze wiedzieć, że wróciłeś do równowagi – rzekł prokurator Raczek, witając się z nim przy stoliku.

– Jeśli chodzi panu o tę sprawę z Berryem, to rzeczywiście szybko się pozbierałem. Ten sukinsyn jedynie zepsuł mi nastrój, nic poza

tym. Wie pan, że tacy jak on nie są w stanie mnie przestraszyć. Nie z takimi musiałem walczyć.

– Wiem.

Podeszła do nich młodziutka kelnerka, więc Konrad szybko zamówił zimową herbatę z dodatkiem imbiru na rozgrzanie. Raczek pił już kawę.

– Musimy się wreszcie spotkać w cukierni twojej szwagierki, Heleny Adamczyk. Dotąd tam nie byłem, a słyszałem wiele dobrego – zagał prokurator.

– Rzeczywiście, Helena świetnie piecze i dba o polski wystrój lokalu. Zna się na tym. Zaprosiłbym tam pana nawet teraz, ale nie chcę, żeby podsłuchiwała naszą rozmowę.

– Domyślam się, że wolisz trzymać to przed nią w sekrecie.

Konrad przytaknął.

– Ona nie wie, że szukam Rudolfa Schultego.

– I niech tak zostanie. Jest siostrą Anny, więc mogłaby podejść do tego zbyt emocjonalnie. Swoją drogą, co myślisz o tym wszystkim, o czym rozpisuje się prasa?

Konrad westchnął. Wiedział, że Raczek poprosił go o spotkanie, aby wytknąć mu, że stracił pół roku, bo głupio i naiwnie uwierzył Lauren Evans w kłamstwa o jej matce. Cała ta sprawa z aktorką stała się jego kolejnym osobistym ciężarem.

– Zadrwiła ze mnie – rzekł z goryczą.

Tak naprawdę sam jej na to pozwolił. Nie zrobił nic, żeby wzbudzić jej zaufanie. Był w stosunku do niej nieufny, powściągliwy, wręcz oschły. Zachowywał się tak, bo wierzył, że to go przed nią ochroni, a prawda była taka, że kiedy Lauren zniknęła z jego życia, poczuł cholerną pustkę. Bo choć pojawiła się na krótko, to zdążyła

wypełnić jego myśli i zburzyć, jak się okazało, cienki mur, który wybudował.

– Mówiłem ci, że żaden z naszych raportów nie wspominał o śmierci Ingi Petersen. Brakowało nam jedynie informacji, gdzie obecnie przebywa. Mieliśmy przeczucie, że mogła gdzieś się zaszyć, i dlatego powiązałem to z Schultem. Przyszło mi do głowy, że mieszkają razem, że ona go ukrywa.

Kelnerka przyniosła herbatę. Konrad podziękował i upił duży łyk. Zapatrzył się na malowniczy, spowity śniegiem Central Park; alejkami spacerowały matki z dziećmi i ludzie z psami na smyczach. Na moment, na ułamek sekundy, wrócił myślami do Warszawy. Dawnej przedwojennej Warszawy, jej urokliwych parków i skwerów, gwarne i wesołe miasto. Tej Warszawy nieznaną śmierci ani zniszczenia. Tej najpiękniejszej.

Wierzył, że stolica kiedyś wróci do równowagi, odbuduje się z gruzów, powstanie dumna i silna, ale już niestety bez niego. Dla niego zapadła żelazna kurtyna i na zawsze odcięła go od dawnego świata.

– Tylko nikomu nie przyszło do głowy, że Inga Petersen może przebywać w zakładzie psychiatrycznym – rzekł ponuro. – To naturalne, że Lauren ukrywała ów fakt przed opinią publiczną. Gdybym był na jej miejscu, też bym nie chciał, żeby taka informacja wypłynęła.

– Akurat w jej przypadku choroba psychiczna matki to jedna z wielu nowych informacji. Sporo osób znalazło bardziej pikantne newsy.

– Tak, wiem...

Konrad bezwiednie zacisnął szczękę. Rzeczywiście, to, co działo się ostatnimi czasy w prasie, przekraczało wszelkie normy i granice. Gazety prześcigały się w podawaniu informacji na temat życia osobistego Lauren z czasów, zanim została znaną aktorką. Ktoś bez skrupułów upublicznił news, że Lauren Evans w rzeczywistości nazywa się Lara Petersen i jest urodzoną w Berlinie Niemką, która w latach trzydziestych wraz z matką uciekła do Nowego Jorku. Najpikantniejsze szczegóły dotyczyły jednak tego etapu jej życia, kiedy została tancerką i w wieku osiemnastu lat zaczęła tańczyć w nocnych klubach, zarabiając pieniądze na rozrywce dla panów. To tam podobno – według licznych szczegółów prasowych – Lara została zauważona przez agenta Richarda Taylora, który obiecał jej karierę aktorską. Sprawa stała się głośna i do gazet zaczęły zgłaszać się inne byłe tancerki, które rzekomo pracowały z Larą Petersen. Opowiadały brukowcom o nocach z życia ślicznej Niemki, nie szczędząc szczegółów na temat tego, jakoby mężczyźni głupieli na widok jej gibkiego ciała wciśniętego jedynie w seksowny gorset.

Konrad czytał te wszystkie plotkarskie doniesienia i zastanawiał się, jak Lauren to znosi. Przed oczami miał jej uderzająco piękną twarz i przejrzyste szczerze oczy, a w głowie myśl, że ta kobieta absolutnie nie zasługuje na to, co ją spotkało. Przypominał sobie jej szalony taniec w Copacabanie, jej lekcje z Emilką, za którymi dziewczynka tak bardzo tęskniła, i czuł gniew, przemożną wściekłość, że ktoś bezczelnie szkalował ją dla pieniędzy. Miał też pretensje do siebie, że tak niesprawiedliwie ją potraktował. Że chciał widzieć w niej wyłącznie rozpieszczoną gwiazdę, obiekt do podziwiania, a nie dostrzegał wrażliwej kobiety. Albo raczej nie

chciał dostrzegać. Bo gdyby to zrobił, uwięziłaby go, a on nie umiałby się uwolnić.

– Mimo wszystko wciąż uważam, że powinieneś z nią porozmawiać – rzekł Raczek, przerywając jego rozważania. – Teraz już wiemy, że kłamała i że jej matka żyje. Być może kłamała również w sprawie Schultego. Może miała z nim jakiś kontakt albo wie, gdzie drań się ukrywa. Po tych wszystkich rewelacjach nie zdziwiłbym się, gdyby okazało się, że ten zbrodniarz jest jej ojcem, bo przecież oficjalnie nic na ten temat nie wiadomo. Petersen to nazwisko panińskiej matki, więc Inga nigdy nie wyszła za mąż.

– Powinienem z nią porozmawiać – powiedział Konrad powoli. – Muszę to zrobić.

– Wiesz, gdzie ona w tej chwili przebywa? Według doniesień prasowych podobno nie ma jej w Hollywood.

Konrad zmarszczył brwi.

– Znam kogoś, kto zapewne wie, gdzie ukryła się Lauren Evans.

* * *

Tak jak przypuszczał, Elizabeth Watson doskonale znała miejsce pobytu Lauren. Spotkali się w rezydencji Watsonów, gdzie kobieta zaprosiła go na lunch. Jej mąż przebywał w Waszyngtonie, więc do posiłku zasiedli tylko we dwoje.

Konrad ponownie zdumiał się wykwintnością zaserwowanych przez Elizabeth dań, ale zaraz przypomniał sobie, że przecież Helena często powtarzała, jak doskonałą kucharką jest Lizzie i czego się od niej nauczyła.

Elizabeth z początku bardzo sceptycznie podchodziła do pomysłu wyjawienia Konradowi kryjówki Lauren, ale kiedy szczerze wyznał,

po co chce się z nią zobaczyć, ustąpiła.

– Zamierzasz do niej pojechać? – zapytała, nakładając mu na talerz spory kawałek pieczonego indyka z szałwią, czosnkiem i chili.

– Jak najszybciej.

– Nie wystarczy zadzwonić? To dość daleka podróż.

– Chcę z nią porozmawiać osobiście. Bardzo mi na tym zależy.

Lizzie zmarszczyła brwi.

– Podam ci zatem adres, ale pod jednym warunkiem – powiedziała. – Jeśli zamierzasz ją skrzywdzić lub zawieść jej nadzieje, nie jedź tam. Pozwól jej zapomnieć. Żadna sprawa nie jest tak ważna, żeby skrzywdzić dla niej drugiego człowieka.

– Nie rozumiem...

Lizzie zachnęła się i zrobiła znaczącą minę.

– Lauren ma do ciebie słabość. Ogromną słabość. Masz w sobie coś, co niezwykle pociąga kobiety, i gdybyś jej na to pozwolił, zakochałaby się w tobie. Więc jeśli tego nie chcesz, daj jej spokój. Bo ona najbardziej potrzebuje spokoju.

Rogowski wciągnął głęboko powietrze. Lizzie zaskoczyła go, ale nie poczuł się dotknięty wyraźną przyganą w jej głosie. Tak naprawdę cieszył się, że dbała o Lauren, bo zwłaszcza teraz, kiedy prasa tak brutalnie kopała Evans, opieka przyjaciółki z pewnością była jej potrzebna.

– Obiecuję, że jej nie skrzywdzę. Nie chciałbym tego zrobić.

Lizzie kiwnęła głową i zapisała mu adres na kartce.

– Wciąż będziesz się upierał, że ci na niej nie zależy? – zapytała bez ogródek.

Konrad odchrząknął. Ta kobieta czytała w nim jak w otwartej księdze. Pewnie przejrzała go już na początku, tylko on był zbyt głupi, by się zorientować.

– Nie... – odparł głucho.

– To dobrze, bo ona cię potrzebuje. Potrzebuje mężczyzny, który będzie ją chronił przed światem i przed nią samą. I ty też jej potrzebujesz. Bo kto, jeśli nie ona, pokazał ci, że nie możesz wciąż udawać? Wiem, że kiedyś miałeś żonę, ale myślę, że po tylu latach masz już prawo do szczęścia.

– Jesteś zbyt spostrzegawcza – odparł z lekką ironią.

– Nic z tych rzeczy! Każdy zobaczyłby to, co ja widzę. Domyślam się, że życie cię nie rozpieszczało i masz swoje demony, ale daj temu szansę. Sobie i jej.

Zaśmiał się. Pomyślał, że z żadną inną kobietą nie rozmawiałby tak szczerze, ale Lizzie miała w sobie coś, co pomogło mu zdobyć się na szczerść. Jakby przy niej przestał wypierać się tego, co dotąd tak skrętnie ukrywał.

– Moja córka widzi to tak samo jak ty, a bardzo liczę się z jej zdaniem.

– I słusznie.

Godzinę później Konrad pożegnał się z Elizabeth.

Kiedy znalazł się za bramą, zerknął na trzymaną w dłoni kartkę. Twin Falls w stanie Idaho. Rzeczywiście czekała go daleka podróż.

* * *

Emilka znów najbezpieczniej czuła się w czterech ścianach swojego pokoju. Od czasu wyjazdu Lauren przestała tańczyć, choć za namową samej Evans i panny Stanickiej Konrad był gotowy

poszukać dla niej nauczycielki tańca. Emilka jednak odmówiła. Kiedy zapytał o powód, oznajmiła mu, że nie chodziło tylko o taniec, po czym dodała, że on nie jest w stanie tego zrozumieć. Tak, z pewnością tego nie rozumiał. Coraz trudniej było mu dotrzeć do własnej córki. Od czasu, gdy odnalazł ją w sierocińcu, był przy niej każdego dnia, opiekował się nią, dbał o jej potrzeby fizyczne, ale nie rozumiał tego, co drzemało głęboko w jej wnętrzu, bo umyślnie zatrzasnęła przed nim drzwi. Martwiło go również, że Emilka nigdy ani jednym słowem nie wspomniała przy nim Anny, jakby zupełnie wymazała ją z pamięci. A przecież Konrad wiedział, że to niemożliwe. Mała spędziła z matką pierwsze pięć lat swojego życia. To Anna uczyła ją chodzić i mówić, zapoznawała ze światem i kochała podwójnie, za siebie i za niego. Czy Emilka mogła o niej zapomnieć? Tego nie wiedział, a mimo to postać Anny stanowiła dla nich temat tabu. Nigdy o niej nie rozmawiali.

– Emilko, muszę wyjechać na jakiś czas – oświadczył, wchodząc do pokoju córki. – Nie na długo, ale z pewnością nie będzie mnie parę dni. Panna Alicja zgodziła zaopiekować się tobą, kiedy ciocia Hela będzie w pracy.

– Wiem, tato.

– Mówiły ci o tym? Ciocia lub panna Alicja?

Dziewczynka zaprzeczyła ruchem głowy. Siedziała po turecku na wyłożonym poduszkami łóżku i czytała książeczkę spisaną alfabetem Braille'a z ilustrowanymi wypukłymi obrazkami. Był to jedyny egzemplarz, jaki udało się zamówić panie Stanickiej w sprzedaży wysyłkowej, ale Emilce to nie przeszkadzało. Konrad pomyślał, że jego córka potrzebuje w tej chwili wyłącznie stałości.

– Nie, sama się domyśliłam – odparła. – Czekałam, kiedy w końcu to zrobisz. Przecież pozwoliłeś jej wyjechać, chociaż wcale tego nie chciałeś. Ja też bardzo tego nie chciałam, ale ty jesteś taki uparty.

– O czym ty mówisz? – zapytał, głęboko zdumiony tym, jaka była szczerza i rezolutna.

– O panie Evans. To z nią jedziesz się spotkać.

– Skąd wiesz?

– Bo dla nikogo innego nie zostawiłbyś mnie na kilka dni. Nie przejmuj się, nie mam ci tego za złe. Jestem tylko rozczarowana, że tak długo kazałeś nam czekać.

Wstrząśnięty słowami córki Konrad przysiadł na łóżku i chwycił ją za rękę. Była drobna i delikatna.

– Emilko, ty nie rozumiesz...

– Wszystko doskonale rozumiem, tato. Wiem, że nie kochałeś mamy, ale już ci to wybaczyłam. – Jej drobna twarz była spowita aurą nadzwyczajnego spokoju. – Jednak chciałabym, żebyś nauczył się okazywać miłość. Bo to w życiu ważne. Tak mówi panna Alicja i ja jej wierzę.

Konrad poczuł gwałtowny ucisk w klatce piersiowej. Coś chwyciło go za serce tak mocno, że niemal nie mógł oddychać.

– Przecież cię kocham, córeczko – wychrypiał.

– Ja to wiem, tato. Ale ona tego nie wie.

– Kto?

– Lauren. Pozwoliłeś jej zniknąć, chociaż było nam z nią dobrze... Westchnął głęboko.

– Skarbie, to, o czym mówisz, jest bardzo skomplikowane, a wręcz niemożliwe.

– Dla mnie jest proste. Bo albo się kogoś kocha i mu się to okazuje, albo nie.

– A skąd wiesz, że ona...

– Po prostu to wiem, tato.

* * *

Cały jej świat zbudowany był na prowizorycznych fundamentach. Helena nie rozumiała, dlaczego niektórzy ludzie wychodzą przed szereg z podniesioną głową, dumni i niezależni, wolni od ciężkiego bagażu doświadczeń, podczas gdy ona ciągnęła za sobą długi cień bezmiłości. Ta bezmiłość, która dotknęła ją w kwiecie wieku, uczyniła z niej kobietę, jaką była teraz – mściwą i zawistną, która bez mrugnięcia okiem sprzedawała intymne informacje o innej kobiecie, by ją upokorzyć, zetrzeć z jej oszałamiająco pięknej twarzy uśmiech. Chciała z poczuciem satysfakcji patrzeć, jak Lauren Evans w atmosferze skandalu spada z piedestału, a jej sława roztrzaskuje się o bruk gorzkiej prawdy. I tak się stało. Z tą różnicą, że Helena nie czuła satysfakcji, lecz gorzką pogardę do samej siebie. Dała się uwieść, poniżyć i wykorzystać, by następnie zostać porzuconą przez swojego pięknego kochanka, który nawet nie ukrywał, dlaczego tak chętnie wziął ją do swojego łóżka. To był dla niej cios, który na jakiś czas pozbawił ją tchu. A później czuła już tylko gorycz i upokorzenie.

Daisy O'Neill, sprytna obserwatorka, szybko przejrzała jej grę. Przesiadując w cukierni i przypatrując się poczynaniom Heleny, która popadała w skrajne stany od euforii do nagłego przygnębienia, bez trudu domyśliła się, że płomienny romans z Masonem Collinsem wyraźnie jej nie służy.

- On cię wykorzystuje - rzekła bez ogródek, wbijając w Helenę znaczące spojrzenie. - Omamił cię, by wykorzystać do własnych celów, a ty poleciałaś na to jak ćma do światła. W sumie nawet ci się nie dziwię, bo brakuje ci miłości, ale budowanie własnego szczęścia na cudzym nieszczęściu nigdy się nie opłaca. I mówi ci to kobieta, która dostała się do szalupy ratunkowej kosztem innej kobiety. Skradłam jej tożsamość i przeżyłam, ale co to było za życie... Każdego dnia gryzły mnie wyrzuty sumienia z powodu tego, co zrobiłam.

Helena prychnęła, lecz starsza pani nie przejęła się jej reakcją.

- Śmiejesz się ze mnie - ciągnęła niezrażona - drwiesz z mojej historii, ale ona mnie dużo nauczyła, Helen. Też kiedyś byłam młoda i naiwna, też chciałam żyć i kochać, i wyłącznie dlatego opuściłam swój kraj i zdecydowałam się na tę szaloną oraz, jak się później okazało, śmiertelnie niebezpieczną podróż „niezatapialnym” transatlantykiem do nowego świata. Byłam wówczas osobistą pokojówką lady Margaret Woodville. Moja pani miała w Nowym Jorku wyjść za mąż za przystojnego i obrzydliwie bogatego młodzieńca, którego tożsamości nie mogę zdradzić, bo zna go całe miasto. Jak się domyślasz, do ślubu nie doszło, bo moja pani... - Odchrząknęła i zaciągnęła się papierosem. - Nie dopłynęła.

Teraz Helena poczuła, jak robi jej się gorąco. Nie miała ochoty słuchać tej historii.

- Świat jest parszywy i niesprawiedliwy, Helen - mówiła dalej Daisy. - Tak było dawniej, tak jest i teraz. Kiedy wiedzieliśmy, że Titanic idzie na dno, a szalup jest zbyt mało, by starczyło dla wszystkich, w pierwszej kolejności ratowano tych z wyższych pokładów. Biedota nie miała szans... - Strużka dymu wypłynęła

z pomarszczonych ust O'Neill, a jej palce lekko zadrgały. – W takich momentach instynkt przetrwania jest ogromny. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że lubiłam moją panią. Wówczas sądziłam, że to była rozpieszczona, zapatrzona w siebie trzpiotka bez wyższych wartości. Przynajmniej ja tak uważałam. Teraz patrzę na to inaczej i wiem, że wcale taka nie była, ale to już nieważne. Nie myślałam, że postępuję źle, kiedy ukradłam jej suknię, płaszcz i buty, a nawet biżuterię. Liczyłam na to, że gdy mnie uratują, sprzedam to wszystko z zyskiem. Moja pani w tym czasie próbowała nieudolnie pomóc w ucieczce swoim śmiertelnie przestraszonym rodzicom, którzy w obliczu tragedii nagle stracili rozum. Hrabia Woodville oznajmił wprost, że to niedorzeczne i on nigdzie się nie ruszy. A ja wiedziałam, że to może być nasz koniec, dlatego uciekłam. Podając się za Margaret Woodville, wsiadłam do szalupy. Domyślasz się pewnie, że oni tam zostali. Dopiero kiedy statek zaczął iść na dno, zdjęło mnie przerażenie, bo uświadomiłam sobie, że oni umierają, wraz z tysiącem innych pasażerów, a ja na to patrzę...

Gwałtownie umilkła i spuściła głowę. Kiedy ponownie uniosła twarz, jej wzrok był zmieniony, pełen żalości i poczucia winy.

– Nie idź tą drogą, Helen, bo ona wie na manowce. A ślepa zazdrość zabija jedynie tego, który ją odczuwa. Zawsze byłam zazdrosna o to, co posiadała moja pani. Uważałam, że to niesprawiedliwe, bo mnie też się coś należy. Myliłam się i życie to zweryfikowało.

Helena nie skomentowała słów pani O'Neill. Nie umiała. Po raz pierwszy poczuła, że wszelki sarkazm i kpina byłyby w stosunku do tej kobiety nie na miejscu, a na gest pocieszenia nie umiała się zdobyć. Nie w sytuacji, kiedy sama tego pocieszenia potrzebowała.

ROZDZIAŁ 29

Konrad poleciał samolotem do Idaho. Stamtąd lokalnym autobusem dotarł do Twin Falls w hrabstwie o tej samej nazwie, gdzie według słów Elizabeth znajdowało się ranczo Lauren. Zdumiał się ogromnie, bo uderzająca prostota miasteczka zupełnie przeczyła jego wyobrażeniu o luksusowych warunkach, w jakich dotąd żyła rozpieszczona aktoreczka, jak zwykł myśleć o Lauren. To miejsce, tak spokojne, że niemal senne, było zupełnie różne od gwarne go, kosmopolitycznego Nowego Jorku i zapewne inne od gwiazdorskiego Hollywood. Konrad zaczął nawet myśleć, że może Elizabeth z niego zadrwiła i celowo wysłała go na koniec świata, żeby nie odnalazł Lauren. Ale kiedy zapytał miejscowych o adres rancza, ci bez problemu wskazali mu kierunek, w którym powinien jechać. Żaden z nich jednak nie potwierdził, że mieszka tam sławna aktorka, on sam również nie wspomniał, że szuka właśnie jej. Podejrzewał, że Lauren przebywała tu incognito, co byłoby rozsądne, biorąc pod uwagę szum, jaki zrobiła prasa wokół jej osoby.

W miasteczku wynajął samochód i wyruszył w stronę parku narodowego Twin Falls, z którego podobno rozciągał się imponujący widok na wodospad Shoshone Falls. I to gdzieś tam, w okolicy, miała mieszkać Lauren.

Kiedy przejeżdżał przez potężny żelazny most Perrine Bridge scalający dwa odległe brzegi rzeki Snake, nie mógł się nadziwić bogactwu natury, jakie ukazywało się jego oczom, oraz niezwykłym

widokom skalistego kanionu pokrytego śnieżną czapą. A im bliżej był celu, do którego prowadziła go wijąca się droga pomiędzy skalistymi urwiskami, tym bardziej się dziwił, że Lauren zaszyła się w takiej dzikiej głuszy, z dala od cywilizacji. Kilka razy zatrzymywał się, wysiadał z samochodu i robił kilka zdjęć, oszołomiony dzikim pięknem otaczającej go natury. Pomyślał przy tym o Emilce i żał ścisnął go za gardło, że jego córka nie może podziwiać oczami urody świata. Chciał, żeby była tu z nim, żeby mogła tak jak on chłonąć całą sobą naturę. A jedyne, na co była skazana, to skromny pokój w nowojorskiej kamienicy i jej własna wyobraźnia.

Na ranczo dotarł przed zmierzchem, dzięki czemu odetchnął z ulgą, bo bał się, że po ciemku straci orientację w terenie i nie dotrze do celu. Nie czuł się na tyle pewnie, żeby nocować samotnie gdzieś w głuszy. Nawet podczas wojny, kiedy nie miał dachu nad głową i spał na gołej ziemi, nie był sam. Zawsze obok znajdował się ktoś, kto mógł w razie czego dostrzec zbliżające się niebezpieczeństwo.

Ranczo nie było duże. Skromna farma z wiatrakiem, porośnięta drzewami, teraz pokryta warstwą śniegu. W oddali widać było skalne urwiska. Dom też był niewielki, ledwie jednopiętrowy z drewnianą werandą. Wydawał się nadzwyczaj skromny, ale murowany i z solidnym dachem. Za budynkiem widać było fragment ogrodzonego wybiegu dla koni.

Konrad zaparkował samochód. Nie wiedział, jak Lauren zareaguje na jego widok. Z pewnością będzie zdumiona, ale czy pozwoli mu zostać na noc? Bo jeśli nie, będzie zmuszony wracać po ciemku do miasteczka, a tego wolał uniknąć.

Ku jego zdumieniu przed dom wyszli starsi ludzie, mężczyzna i kobieta. Oboje wyglądali na rdzennych mieszkańców Idaho.

- Czy tu mieszka Lauren Evans? - zapytał z rezerwą, gdy nie odezwali się ani słowem. Stali jedynie przed werandą z poważnymi wyrazami twarzy i obserwowali go.

- A ty to kto? - zapytał mężczyzna ostro, z nieznanym Konradowi akcentem.

Świdrował go przy tym bystrym spojrzeniem ciemnych oczu.

- Nazywam się Konrad Rogowski. Przyjechałem zobaczyć się z panną Evans.

- Panna Evans nie chce nikogo widzieć - odparła kobieta, rzucając w jego stronę iskry gniewu.

Konrad zauważył, że jej gęsty czarny warkocz był przetykany gdzieś w siodło. Twarz miała śniadą, ogorzałą, usta wąskie, ale znać, że dawniej musiała być urodziwa. W oczach czaiły się mądrość i serdeczność. Rogowski złapał się na tym, że chętnie zrobiłby jej zdjęcie.

- Nie jestem dziennikarzem - wyjaśnił spokojnie - lecz znajomym. Dostałem ten adres od przyjaciółki panny Evans, Elizabeth Watson. Przyjechałem z Nowego Jorku.

- W porządku, Luise. - W otwartych drzwiach werandy pojawiła się Lauren. - To rzeczywiście mój znajomy.

Konrad patrzył na nią zdumiony. Nie poznawał jej. Zniknęła gdzieś wyniosła i doskonale piękna gwiazda filmowa z idealną fryzurą i w nieskazitelnym makijażu, a jej miejsce zajęła delikatna, skromna kobieta w spodniach i kraciastej koszuli, z jasnymi włosami niedbale spiętymi na karku. Były teraz dłuższe, niż je zapamiętał. Wydawała się też bledsza i chudsza. Tylko jej oczy, choć wyraźnie

znużone, wciąż pozostały przejrzyste i przenikliwe, wnikające głęboko w serce.

Dopiero teraz, patrząc na nią, Konrad uświadomił sobie, jak bardzo za nią tęsknił.

* * *

Lauren zmrużyła oczy od słońca odbijającego się w krystalicznej wodzie i zaciągnęła się wilgotnym i rześkim powietrzem. Czuła zewsząd zapach lasu, wilgoci i kamieni. Przez szum wodospadu Shoshone Falls przebijał się skrzek wlatującego w przestworzach jastrzębia, który jeszcze chwilę wcześniej szybował nad ich głowami.

Ukradkiem zerknęła na Konrada, który opierał się ramieniem o metalową barierkę mostu. Oboje podziwiali stąd niezwykły cud natury. Rogowski ubrany był w grubą futrzaną kurtkę, którą pożyczył mu mąż Luise – Toby, bo jego własna okazała się zbyt lekka na wyprawę nad wodospad w zimowej aurze.

Kiedy Konrad zjawił się na ranchu Lauren dwa dni temu, w pierwszym odruchu miała ochotę wyrzucić go na zbity pysk. Nie chciała go widzieć ani z nim rozmawiać. Sama nie wiedziała wówczas, dlaczego czuje taką złość i bezsilność, kiedy na niego patrzy. Przecież to nie jego wina, że wszystkie gazety w Ameryce rozpisywały się o niej, wymyślając coraz to barwniejsze historie, w tym o chorej matce przebywającej w zakładzie psychiatrycznym. Pozwoliła jednak Konrowi zostać, bo zdumiało ją, że zadał sobie tyle trudu, by do niej dotrzeć. W dodatku zostawił w Nowym Jorku Emilkę, a nigdy dotąd nie rozstawali się na dłużej niż kilka godzin.

Pierwszego dnia niemal ze sobą nie rozmawiali, choć Konrad próbował nawiązać do tego, o czym od kilku tygodni rozpisywała się

prasa. Lauren widziała, że był ciekaw wszystkiego, co o niej opowiadano. Ona jednak uparcie milczała.

Konrad nie miał pojęcia, przez co przeszła, żeby utrzymać się w pionie i nie zwariować, a ona nie zamierzała mu tego tłumaczyć. Po wyjeździe z Nowego Jorku kompletnie się załamała. Myślami bezustannie wracała do tragicznie utraconego dziecka, obwiniała się i nie umiała zapomnieć. Hollywood ją męczyło, plotki nie dawały spokoju, więc nie słuchając ludzi z wytwórni filmowej, że powinna wziąć się w garść, i pomimo usilnych namawiań Richarda Taylora do udziału w filmowych castingach, pewnego dnia spakowała walizki i wyjechała do Twin Falls.

To niewielkie ranczo w Idaho nabyła dwa lata temu po tym, jak podpisała kontrakt na rolę w Nieczystej grze. Była tu już wcześniej, na planie innego filmu, i do szaleństwa zakochała się w tym miejscu. Taylor wyszydzał jej pomysł zakupu jakiejś „mało cywilizowanej farmy”, jak się wyraził, zamiast eleganckiej willi w Malibu, którą jej proponował, ale ona wiedziała, że tu, w Twin Falls, będzie czuła się dobrze. Że to będzie jej azyl z dala od wielkiego świata. I tak się stało.

Kiedy amerykańskie gazety dzień po dniu zaczęły nachalnie rozpisywać się o jej niemieckim pochodzeniu – że naprawdę nazywa się Lara Petersen i z pewnością miała w rodzinie nazistów – Lauren odcięła się od wszystkiego. Nie odbierała telefonów, nie czytała plotek, nie pozwoliła nikomu się do siebie zbliżyć. Bo bała się, że jeśli to zrobi, oszaleje. Jedynie raz na kilka dni dzwoniła do Lizzie z kawiarni w miasteczku, bo na farmie nie było telefonu.

Przez cały ten czas dużo czytała i zaczęła dzień po dniu spisywać w zwykłym zeszycie wszystko to, co tkwiło w niej bardzo głęboko.

Wpierw pisała o szaleństwie gwiazdorskiego życia w Hollywood, o potrzebie sławy, chęci podobania się i niezrozumieniu. O wszechobecnej samotności i tęsknocie. Nie bała się przyznać do nadużywania alkoholu i leków, które pomagały jej przetrwać trudne chwile. Później zaczęła nieśmiało wyrażać na papierze swój ból po utracie dziecka. A na koniec jej myśli zaczęły krążyć wokół tego, co stało się załączkiem jej życiowego dramatu. Wokół Rudolfa Schultego.

– Wciąż się dziwisz, że schowałam się właśnie tu? – zapytała, przyglądając się Konradowi z uwagą.

W otoczeniu tego dzikiego krajobrazu wydawał jej się jeszcze bardziej interesujący niż w Nowym Jorku. Złapała się na tym, że niezmiernie się cieszy, że przyjechał, nawet jeśli powodem jego przyjazdu nie była ona, a jedynie prawda, której wciąż poszukiwał.

– Nie, wcale mnie to nie dziwi – odparł, wpatrując się w wodę. – Każdy z nas szuka swojego miejsca, do którego może uciec. Gdzie może ukryć się przed światem.

Lauren się zaśmiała. Lubiła czuć na twarzy delikatną wilgoć spienionego wodospadu i ożywczy wiatr, który muskał jej włosy. Było zimno, ale ona nie czuła chłodu.

– Ty uciekłeś do Nowego Jorku.

Popatrzył na nią. Miał tak przenikliwe spojrzenie, że znów poczuła znajome rozlewające się po ciele ciepło.

– Doskonałe miejsce na ukrycie się przed światem – zadrwił.

– Idealne, żeby zgubić się w tłumie.

– To prawda.

Przysunęła się do niego, a on się nie odsunął, choć obawiała się, że to zrobi. Przecież już nieraz pokazał, że unika bliskości z nią.

A ona jak zwykle, choć głęboko zraniona i nauczona złym doświadczeniem, wciąż nie umiała się powstrzymać.

– To dlatego nie zabiegasz o rozgłos? Na pewno zdajesz sobie sprawę, że jesteś świetnym fotografem, a Nowy Jork kocha ludzi takich jak ty. Bohaterów znikąd, z trudną przeszłością i talentem. To pobudza zbiorową wyobraźnię.

– I rodzi plotki.

– To też...

Wciąż przyglądał jej się z uwagą.

– A twój sposób na radzenie sobie z nimi to ucieczka w nieznane – bardziej stwierdził, niż zapytał, a Lauren przytaknęła.

– Nie znam lepszego sposobu, żeby nie oszaleć. A jak wiesz, do szaleństwa mam szczególne predyspozycje. Prasa rozpisuje się na temat moich alkoholowych ekscesów.

– Rozpisuje się również na temat twojej matki.

Lauren zadrżała. Wiedziała, że kiedyś ten temat musiał wypłynąć. Przecież wyłącznie po to Konrad tu przyjechał – żeby dowiedzieć się, dlaczego go okłamała. Nie dla niej samej.

Objęła wzrokiem skalisty krajobraz i powoli odsunęła się od barierki, po czym ruszyła w stronę samochodu.

– Kiedyś będziesz musiała mi powiedzieć! – usłyszała za sobą jego głos.

Odwróciła się.

– Powiem ci. Ale chodźmy już, bo robi się zimno.

Wrócili do domu. Luise, która wraz z mężem przez cały rok zajmowała się domem i farmą, a teraz z troską opiekowała się Lauren, przygotowała dla nich obiad, po czym wraz z mężem wsiedli

do swojej furgonetki i pojechali do miasteczka. Gdy wyszli, Lauren uśmiechnęła się pod nosem.

– Wyjechali tak bez wyjaśnienia? – zapytał Konrad.

– Nie martwią się, że jestem tu sama, więc postanowili zrobić sobie wolne – wyjaśniła z błyskiem w oku. – Na pewno nie wrócą przez co najmniej dwa dni, bo mają w mieście dom, w którym mieszka ich córka z mężem i dziećmi.

– Skąd ta pewność, że nie wrócą?

– Zostawili nam zapas jedzenia i drewno na opał. Wiedzą, że musimy... Porozmawiać.

– A więc wzbudziłem ich zaufanie?

– Jak tylko przekroczyłeś próg tego domu. Inaczej nie traktowaliby cię tak serdecznie. Znają wszystkie plotki, wiedzą, co o mnie pisze prasa, więc są nieufni w stosunku do obcych.

– Dbają o ciebie.

– Tak. I jestem im za to wdzięczna.

Zjedli posiłek w milczeniu, przy niewielkim okrągłym stole nakrytym kolorowym obrusem. Lauren starała się skupić na jedzeniu, ale obecność Konrada sprawiała jej przyjemność, więc raz po raz zerknęła na niego. Zauważył to i sam też się w nią zapatrzył.

– Rumienisz się – stwierdził z lekkim uśmiechem.

– Bo nie mam przy sobie makijażystki, która mogłaby ukryć ten niedyskretny efekt uboczny tego, że się we mnie wpatrujesz.

Nawet jeśli uciekał od niej wzrokiem, by jej nie peszyć, to i tak po chwili wracał do jej twarzy, oczu, ust. Wracał do niej całe.

– Pozwól mi zrobić sobie zdjęcie – powiedział nagle.

– Takie zdjęcia nie będą nadawały się do publikacji.

- Wiem... - odparł. - Będą tylko moje.

Uśmiechnęła się.

- Więc proponujesz mi prywatną sesję?

- Bardzo prywatną.

Czuła się niespodziewanie odprężona, kiedy nieco później zasiadła na miękkich skórkach, tuż przy palącym się kominku. Miała na sobie proste spodnie ze skórzanym paskiem i kraciastą koszulę, a włosy związała w luźny węzeł. Żar ognia odbijał się w jej aksamitnej twarzy i oczach, kiedy uśmiechnęła się do obiektywu po raz pierwszy.

Już nie chciała uwodzić Konrada - nie tym razem. Chciała być wyłącznie sobą, ze wszystkimi emocjami. Pragnęła być swobodna i naturalna, bez gwiazdorskiej maniery. Pragnęła być kobieca. I nim zorientował się, co zamierza, ona nagle rozpięła guziki koszuli i zsunęła ją z ramion.

- Podczas naszej pierwszej sesji powiedziałeś, że to ja decyduję, jak daleko się posuniemy.

Wstała i nie spuszczać z niego wzroku, rozpięła pasek, po czym płynnym ruchem zsunęła spodnie.

Konrad nic nie mówił, próbując skupić się na zdjęciach, ale widziała, że im intensywniej na nią patrzył, im bardziej się do niej zbliżał z aparatem w dłoni, tym bardziej jej pożądał. Już tego nie ukrywał. Jakby w końcu zabrakło mu sił. Jakby w końcu się poddał. Miała wrażenie, że próbuje pochłonać ją wzrokiem, i ta myśl sprawiła jej bezgraniczną przyjemność.

- Lauren, nie chciałbym stać się dla ciebie wyłącznie tym, czym byli inni mężczyźni - rzekł w końcu ochryplym głosem, kiedy

zgrabnym ruchem rozpięła biustonosz i odrzuciła go na bok. – Nie po to tu przyjechałem.

Uśmiechnęła się.

– Przecież jesteś moim fotografem – odparła z prostotą. – Więc nie będziesz jak inni.

Tylko resztkami woli panowała nad drzeniem ciała, bo czuła, że spala się pod naporem jego spojrzenia. Dziwiła się, że nadal jest w stanie robić jej zdjęcia, bo widziała, jak zaciskał usta.

A ona tak bardzo chciała poczuć smak jego warg.

* * *

Jeśli zamierzała z niego zadrwić, to Konrad nie chciał jej na to pozwolić. Nie była pierwszą kobietą, która rozebrała się przed nim z życzeniem zrobienia sobie zdjęć. Jeszcze przed wojną co odważniejsze dziewczęta przychodziły do niego właśnie po to i żeby pograć na nosie swoim nadzwyczaj przyzwoitym rodzicom. Lauren nie była też pierwszą kobietą, która w ten sposób próbowała wzbudzić w nim pożądanie. Ale z pewnością była pierwszą, która po tym, jak zupełnie stracił głowę, jak gdyby nigdy nic ubrała się i poszła do swojej sypialni. Miał ochotę wyć z wściekłości, bo miał wrażenie, że bawi się nim na każdym kroku, igra umyślnie, testując jego cierpliwość. Nie wiedziała tylko, że on już tę cierpliwość stracił. I dlatego tu przyjechał. Nie wyłącznie po to, aby poznać prawdę o jej matce, o Rudolfie Schultem i o niej samej, ale dlatego że tak cholernie jej chciał. Chciał jej tak, jak nigdy w całym swoim życiu nie pragnął żadnej kobiety. Przez te wszystkie miesiące umniejszał swoje uczucia względem niej i nim sam do tego doszedł, uświadomiła mu to jego własna córka. Jednak czy miał do tego

moralne prawo? Czy po tym, jak umyślnie skrzywdził swoją żonę, mógł sobie teraz pozwolić na miłość?

Nie spał całą noc, wsłuchując się w nocną ciszę, która tutaj wręcz porażała wszystkie członki. W Nowym Jorku nigdy nie było cicho. Myślał o tym, że Lauren jest obok, tak blisko, że dzieli ich ledwie ściana, ale nie zdobył się na odwagę, by do niej pójść.

Kiedy wstał o świcie i zszedł na dół, już tam była. Stała przy oknie i obejmując się ramionami, patrzyła na dziki i bezkresny zaśnieżony krajobraz. Była boso, z zarzuconym na ramiona grubym indiańskim pledem. Był przekonany, że pod nim jest naga. Długie rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona.

– Kiedy musisz wracać? – zapytała, nie odwracając się ku niemu.

– Jak najszybciej. Chcę wrócić do Emilki.

– Jak ona się miewa?

– Bez zmian.

– Tańczy?

– Nie. Odkąd wyjechałaś, przestała to robić. Słucha jedynie płyt, które zostawiłaś. Tak jak ty uwielbia Armstronga.

Lauren się odwróciła. Jej oczy błyszczały, jakby przed chwilą płakała.

– Czy wiesz, dlaczego cię okłamałam? – zapytała nagle zdławionym od emocji głosem. – Bo nie mogłam znieść myśli o prawdzie. Odpychałam ją od siebie, sądząc, że w ten sposób zapomnę.

– Zapomnisz o czym? – niemal wyszeptał.

Widział, jak drży, ale obawiał się do niej podejść, żeby jej nie spłoszyć.

– Powiedziałeś, że chcesz znaleźć Rudolfa Schultego, aby dosięgła go sprawiedliwość, bo skrzywdził twoją żonę. Ale widzisz... On skrzywdził nie tylko ją... – Z jej oczu spłynęły łzy. – I otrzymał już sprawiedliwy wyrok.

– O czym ty mówisz? – zapytał wstrząśnięty.

Instynktownie podszedł do niej, ale gwałtownie potrząsnęła głową, żeby się nie zbliżał, więc nie spuszczać z niej wzroku, osunął się na kanapę.

– Być może myślisz, że Rudolf Schulte był moim ojcem. Ale nie, nie jest. Nie znałam swojego ojca, matka nigdy mi o nim nie opowiadała. Była tancerką rewiową, mężczyźni ją uwielbiali, więc podejrzewam, że jestem owocem jakiegoś przypadkowego romansu. Rudolfa Schultego też poznała w kabarecie, miałam wtedy kilka lat. Był przystojny, bardzo elokwentny. Należał do NSDAP i do SS, a już wtedy oznaczało to nobilitację. Dziś wiem, że moja mama szczerze go wtedy kochała i wierzyła, że się z nią ożeni. Liczyła na to, bo czuła się nieszczęśliwa i samotna. Zanim go poznała, mężczyźni traktowali ją jak zabawkę. Jednak nazistowska SS nie pozwalała swoim członkom, a szczególnie oficerom, na małżeństwa z kobietami o wątpliwej reputacji, a za takie uważano przecież tancerki kabaretowe. – Lauren starła płynące łzy wierzchem dłoni. – Moja mama była więc skazana na status wiecznej kochanki...

Umilkła i odwróciła twarz w stronę okna. Mdłe światło dnia spłynęło na jej drobną, teraz nieco przygarbioną sylwetkę, jakby ugięła się pod ciężarem bolesnych wspomnień.

– Czy to dlatego uciekłyście z Niemiec? Bo twoja matka się domyśliła, że Schulte nigdy się z nią nie ożeni? Bo nie chciała być

wyłącznie kochanką? – Konrad zadał pytanie i cierpliwie czekał na odpowiedź, ale ta nie nadchodziła.

Lauren zaczęła nienaturalnie drżeć i spuściła głowę.

Podszedł do niej i obrócił twarzą do siebie. Takiego bólu i strachu nigdy nie widział w jej pięknych oczach.

– Co on zrobił? – zapytał głucho, wpatrując się w nią z uporem. – Co zrobił Schulte?

Dygotała, a jej usta wygięły się w grymasie cierpienia. Oparła głowę o jego pierś i zaczęła płakać.

Pogłaskał ją po włosach.

– Uciekłyśmy, bo... Moja matka któregoś razu wróciła szybciej z próby i nakryła go... Ze mną.

– Z tobą? – Konrad głośno przełknął ślinę.

– Tak. W łóżku. Ten drań mnie zgwałcił. Miałam wtedy czternaście lat. Przyszedł do nas, ale kiedy zobaczył, że mojej mamy nie ma... Mówił, że jestem piękna, że jestem pączkiem róży...

– Dobry Boże...

Konrad poczuł, jak Lauren zwiotczała w jego ramionach, więc wziął ją na ręce i położył na kanapie. Zwinęła się w kłębek, ale chwyciła jego dłoń i mocno uściśnęła.

– Po tym, co zrobił, moja matka znienawidziła go tak samo jak ty. Może nawet bardziej. Skrzywdził ją głęboko, bo ona go kochała. Ale bez względu na to mnie kochała najbardziej. Dlatego nie mogłyśmy dłużej mieszkać w Berlinie. Pozostała nam tylko ucieczka. Gdybyśmy tam zostały, on nadal by mnie krzywdził. Przychodziłby i żądał...

Lauren uniosła zapłakaną twarz i spojrzała mu głęboko w oczy. W jej spojrzeniu były wstyd, rozpacz i głęboko skrywany lęk, który odbijał się w jej źrenicach.

- Pewnie już wiesz, że moja mama jest w zakładzie psychiatrycznym. Jak widzisz, prawda bywa okrutna, więc nieraz lepiej posłużyć się kłamstwem, by się przed nią obronić.

Konrad odsunął z jej twarzy mokry od łez kosmyk włosów.

- Jak tam trafiła? Nie wytrzymała tego? Załamała się?

- To była silna i bardzo odważna kobieta. Nosiła głowę wysoko, pomimo że uważano ją za gorszą, bo tańczyła w kabarecie. Słusznie szukałeś w Ameryce Schultego, bo rzeczywiście zjawił się tu zaraz po wojnie. Uciekł z Niemiec pod fałszywym nazwiskiem, by schronić się przed sprawiedliwością, która koniec końców i tak go dopadła. Zjawił się tu pod koniec czterdziestego piątego roku i jak się domyślasz, odszukał moją matkę. Liczył na jej pomoc, chciał, by go ukryła. Wciąż zastanawiam się, jak mógł być tak głupi, że nie docenił jej gniewu? Jak mógł przypuszczać, że po tym, co zrobił, ona go przyjmie?

- Pomogła mu?

Lauren zaprzeczyła gwałtownie i wykrzywiła usta w grymasie.

- Zrobiła coś więcej. Coś, co ją oczyściło i co jej pomogło unicestwić demona. Po tym, jak po latach odnowili kontakt, pewnego razu zaprosiła go do siebie na kolację. Podała mu alkohol, omamiła pięknymi słówkami, aż wreszcie... dźgnęła nożem. Tak po prostu, raz, drugi, trzeci. Zrobiła to wielokrotnie, mszcząc się za to, co nam wyrządził. Co zrobił mnie. Po wszystkim sama zgłosiła się na policję i przyznała do morderstwa. Byłam wtedy w Los Angeles. Możesz sobie wyobrazić, co czułam, kiedy dowiedziałam się z gazety, że moja matka, Inga Petersen, zabiła człowieka. Wówczas posługiwałam się już nazwiskiem Evans, więc nikt nie skojarzył jej ze mną. Szybko się okazało, że zabity mężczyzna to poszukiwany

nazistowski zbrodniarz wojenny, ale z uwagi na międzynarodowe perturbacje jego danych nie podano do publicznej wiadomości. I dlatego nie znaleźliście żadnych wzmianek na temat śmierci Rudolfa Schultego. W ramach złagodzenia wyroku amerykański sąd skazał moją matkę na zamknięcie w zakładzie psychiatrycznym, co nie było szczególnym nadużyciem, bo gdy poddano ją badaniom, stwierdzono u niej poważne zaburzenia. Do tej pory tam przebywa, a ja dbam, żeby miała jak najlepsze warunki.

– Tak mi przykro... Mój Boże, tak bardzo mi przykro.

Konrad tulił ją i głaskał po włosach, twarzy, plecach. Chciał zdjąć z niej ten ból i wziąć go na siebie, byle tylko dodać jej siły do dalszej walki o każdy kolejny dzień.

Kiedy w końcu zasnęła w jego ramionach, leżał przy niej i rozmyślał nad tym, jak dziwnie potoczył się jego los. Oczekiwał zemsty, szukał jej, bo liczył na odkupienie własnych win. Zdawało mu się, że gdy dostanie w swoje ręce Rudolfa Schultego, Anna w końcu mu wybaczy. A tymczasem sprawiedliwości stało się zadość w zupełnie inny sposób.

Sprawa zabójstwa Rudolfa Schultego wstrząsnęła nim, ale nie miał powodu, żeby nie wierzyć wyznaniu Lauren. Wiedział, że powiedziała mu całą prawdę. Widział to w jej oczach, pełnych strachu i bólu, który po tylu latach nadal w niej tkwił i miał tam zapewne pozostać na zawsze. On sam czuł się dziwnie z myślą, że człowiek, którego szukał i który wypełniał sporą część jego myśli, nie żyje. I że nie umarł śmiercią naturalną, tylko dopadła go ręka sprawiedliwości. Ręka kobiety, która pomściła krzywdę córki.

Lauren opowiedziała mu później o tym, jak żyły wraz z matką zaraz po przybyciu do Nowego Jorku, kiedy Inga, nie chcąc już

występować, zatrudniła się w sklepie odzieżowym na Brooklynie, a Lauren wbrew jej woli postanowiła związać swoją przyszłość z tańcem. Matka stanowczo odmówiła opłacenia córce lekcji w szkole Marty Szuman na Broadwayu, więc Lauren, by zdobyć pieniądze, zatrudniła się w nocnych klubach.

– Potem mój agent latami mnie szantażował, że wyjawি prawdę o moim nocnym życiu – wyznawała Konradowi z goryczą w głosie. – A tymczasem okazało się, że ktoś go ubiegł.

– Nie domyślasz się, kto mógł to zrobić?

Wzruszyła ramionami.

– Skoro ludzie z twojego instytutu zdobyli informacje na mój temat, to tak naprawdę mógł je zdobyć każdy. W tych czasach nie da się pozostać anonimowym, nikt nie może czuć się bezpieczny. Teraz to już bez znaczenia, kto grzebał w mojej przeszłości. Tak naprawdę ulżyło mi, że już nie muszę się bać.

– Ale cała Ameryka wie o tobie to, co chciałaś ukryć.

– Tak. I pewnie dla filmu jestem skończona – odparła drwiąco. – Ludzie nienawidzą tych, którzy odnieśli sukces. Cudzy sukces należy stłamsić, zohydzić i zniszczyć, a tego, który ten sukces odniósł, postawić pod pręgierzem. Niemka z burzliwą przeszłością? Kto będzie chciał mnie do filmu? 20th Century Fox pewnie już omawiają z prawnikami zerwanie kontraktu, zwłaszcza że nie mogą się ze mną skontaktować. – Popatrzyła na niego z determinacją w oczach. – Chciałabym jednak, żebyś wiedział, że nie wszystko, co o mnie piszą, jest prawdą. Tańczyłam w nocnych klubach, ale nigdy nie poszłam z żadnym mężczyzną. Nigdy nie dałam się żadnemu dotknąć. To, co robiłam, to była wyłącznie gra dla pieniędzy. I... Nie miałam wielu mężczyzn, choć możesz tak myśleć. Związek mój i Petera...

- Nie chcę tego wiedzieć, Lauren - przerwał jej. - Ja też nie byłem święty. Robiłem rzeczy, których nie powinienem był robić, i skrzywdziłem tym matkę mojej córki. I pomimo że jej nie kochałem, a ona nie kochała mnie, nie powinienem był.

Lauren nie próbowała go zatrzymać, kiedy oznajmił, że wraca do domu. Zasugerował, żeby wyjechała z nim, ale odparła, że to nie jest właściwy moment. Że jeszcze nie jest gotowa stanąć twarzą w twarz z tamtą rzeczywistością.

- Musimy to sobie poukładać, Konradzie. Oboje.

- Mam na kliszy twoje zdjęcia.

- Wiem - odpowiedziała, patrząc mu głęboko w oczy. - Jeśli nie zobaczę ich w żadnej gazecie, będę wiedziała, że mogę ci zaufać.

Stojąc w drzwiach i szykując się do wyjścia, chciał do niej podejść i ją pocałować. Pragnął tego. Ale wiedział, że jeśli to zrobi, nie będzie w stanie wyjechać. Nie będzie w stanie wypuścić jej z ramion.

Dwa dni przed Bożym Narodzeniem wrócił do Nowego Jorku. Przed podróżą bał się jeszcze, że coś się wydarzy i jego lot z Idaho nagle zostanie odwołany przez złą pogodę albo inne okoliczności, a on myślał już jedynie o tym, żeby wrócić do Emilki.

Z lotniska zadzwonił do prokuratora Raczkę i opowiedział, co wyznała mu Lauren. Raczek zapewnił, że sprawdzi wszystkie informacje, ale Konrad wiedział, że i bez tego sprawę Obersturmführera Rudolfa Schultego mógł uznać za zamkniętą.

* * *

Lauren leżała na wznak. Wcześniej próbowała skupić się na czytaniu, później wzięła się za notowanie w zeszycie, ale i to nie pomogło. Bezustannie czuła, jak mocno dudni jej serce, jak uparcie

wybija tylko jeden rytm. A gdyby tak – wolna od przeszłości – zaufała tej tłącej się w niej nadziei? Gdyby uwierzyła, że można przepracować wszystko, co było złe, co tak bolało i nie pozwalało podejmować właściwych decyzji, i że mimo wszystko mogłaby spróbować żyć inaczej? Przecież gdzieś tam wciąż było życie. Świat szedł do przodu – a nawet pędził, wystarczyło tylko wsiąść do właściwego pociągu i pędzić wraz z nim. Przecież nie można przez całe życie chować się przed ludźmi. Pomalutku docierało do niej, że to, co o niej piszą i jak ją widzą, nie ma zupełnie żadnego znaczenia. Dotąd nie wykazywała się zbytym rozsądkiem, skoro pozwalała, żeby to inni decydowali o niej samej. Aktorstwo było piękne, ale cena za nie zbyt wysoka. Teraz zaczynała rozumieć, że to, jak będzie żyć, zależy wyłącznie od niej. Była naznaczona traumą, została boleśnie skrzywdzona, ale powoli odnajdowała w sobie siłę, żeby się podnieść. Przecież jej matka zapłaciła najwyższą cenę, żeby ona, Lauren, mogła żyć spokojnie. Więc musi to zrobić. Dla niej.

* * *

Konrad wstrząśnięty patrzył na list, który zostawiła Helena. Zrobiła to trzy dni temu, kiedy on był z Lauren w Twin Falls, zupełnie nieświadomy tego, że pod dachem jego nowojorskiego mieszkania również rozgrywa się dramat.

Kiedy wrócił i przywitał się z Emilką, panna Stanicka już w progu drżącą ręką wręczyła mu list, nawet nie próbując kryć, jak bardzo jest zdumiona decyzją Heleny.

– Próbowałam ją odwieść od tego beznadziejnego pomysłu, ale nie chciała mnie słuchać. Miałam wrażenie, że już wcześniej

wszystko sobie zaplanowała i jedynie czekała na dogodny moment, żeby odejść.

– Odejść? – Konrad głęboko wstrząśnięty chwycił list i ignorując córkę oraz nauczycielkę, skierował się do kuchni. Usiadł przy stole i zaczął czytać.

Konradzie,

pomysł wspólnego wyjazdu do Nowego Jorku był najgorszą i najbardziej nieprzemyślaną decyzją, jaką podjęliśmy. Staram się myśleć, że zrobiliśmy to nieświadomie, kierując się troską o Emilkę. Musisz wiedzieć, że bardzo ją kocham, traktuję jak swoją córkę i będę za nią tęsknić. Pod wieloma względami jest podobna do Anny i nawet jeśli nie we wszystkim się z Anną zgadzałyśmy, to jednak wspomnienie o niej wciąż było we mnie żywe właśnie dzięki jej córce. Ania i ja byłyśmy razem w trudnych chwilach wojny i nigdy tego nie zapomnę. Podczas gdy Ty ją opuściłeś, ja byłam z nią tak długo, jak długo okoliczności nam na to pozwoliły. Łudziłam się, że zabierając mnie ze sobą z Polski, chcesz wszystko naprawić, ale to było z mojej strony bardzo naiwne. Teraz już wiem, że Ty nigdy się nie zmienisz.

Wiedz, że nie mogłam już dłużej patrzeć, jak szargasz pamięć o mojej siostrze, pożądamy innej kobiety. Dlatego podałam do gazet pierwsze informacje o Lauren Evans. Znalazłam je w teczce, którą trzymałeś w ciemni. Wciąż jednak nie mogę pojąć, dlaczego ta kobieta tak Cię interesowała. Dlaczego trzymałeś notatki o niej? Nie chcę

myśleć, że stała się Twoją obsesją, bo szczerze jej nienawidzę. Informacje o niej przekazałam Masonowi Collinsowi z „Daily News”. Poruszyłam kamyczek, który wywołał lawinę. W ślad za mną do gazet zaczęli zgłaszać się inni z rewelacjami o życiu tej Twojej aktoreczki. Jak widzisz, nie była święta, ale Tobie to najwyraźniej nie przeszkadza. Ty lubisz kobiety bezwstydne, które same pchają Ci się w ramiona. Zawsze taki byłeś i dlatego stałeś się przekleństwem mojej biednej siostry. Pociesza mnie jedynie myśl, że nigdy nie zdołałeś Anny w sobie rozkochać.

Jak wiesz, Mason okazał się takim samym nędznym draniem jak Ty, a ja zostałam sama ze straconymi złudzeniami. Nie jestem w stanie już dłużej żyć w tym niemoralnym mieście. Nie jestem też w stanie mieszkać z Tobą pod jednym dachem. Wiedz, że jedyne, czego będę żałować po życiu w tym parszywym miejscu, to moja cukiernia. Próbowałam stworzyć w niej namiastkę Polski, ale teraz już wiem, że nie da się zadowolić namiastką.

Nie spotkamy się już nigdy więcej, bo nie sędzę, abym po raz drugi zdołała wyjechać z Warszawy. I wątpię, abyś Ty kiedykolwiek odważył się tam wrócić.

Tylko Emilki mi żal, bo wyjeżdżając, mam świadomość, że być może nigdy więcej jej nie zobaczę.

Helena

Konrad bardziej wyczuł, niż usłyszał, że w drzwiach kuchni stanęła Emilka. Odwrócił się do niej, a ona podeszła do niego wolno

i bezwiednie objęła go za szyję. Przez chwilę trwali tak w uścisku, a on gładził dłonią jej wąskie plecy.

– Miałam nadzieję, że ciocia zostanie na Boże Narodzenie, ale nie chciała. Postanowiła odejść, póki ciebie nie było. Będzie mi bez niej trudno, tato.

– Tak mi przykro, córeczko...

– Mama kiedyś powtarzała, że ciocia Hela jest jak anioł. Wtedy nie wiedziałam, czemu tak mówiła, ale teraz już wiem. Ona się nami opiekowała, kiedy ciebie nie było.

Konrad z całej siły zacisnął zęby. Nie chciał czuć tej ogromnej, dławiącej żalości. Nie chciał, żeby jego umysłem zawładnął kolejny wyrzut sumienia. Przecież popełnił już w życiu tyle błędów.

– Przepraszam cię, córeczko. Spróbujemy odszukać ciocię i sprowadzimy tu z powrotem.

Dziewczynka pokręciła głową.

– Ona tego nie chce. Pożegnała się ze mną, ale najpierw długo rozmawialiśmy. Powiedziała mi wszystko o niej i o tobie. O tym, że przyjeżdżając tu, liczyła na to, że ty i ona... – Westchnęła. – No wiesz.

– Sprawy między dorosłymi bywają skomplikowane – odparł.

Był zakłopotany, że rozmawia na ten temat ze swoją córką. Ale wiedział, że Emilka również odczuwa emocje po odejściu Heleny.

– To dlatego nie mieszkałeś z nami, kiedy byłam mała?

– Właśnie dlatego... – odparł głucho, czując, jak te słowa go przygniatają.

Nie mógł powiedzieć nic więcej. Nie potrafił.

Na drugi dzień pojechał do cukierni. Była zamknięta, ale w środku wszystko zdawało się nienaruszone. Jakby Helena za

chwile miała tam wejść i znów ożywić to miejsce zapachem pieczonych ciast.

– To wprost trudne do zrozumienia, że naprawdę się na to odważyła.

Konrad odwrócił się w stronę zmierzającej powoli ku niemu pani Daisy O'Neill. Szła, podpierając się laską, bo na zaśnieżonym chodniku łatwo było o wywrotkę. Konrad podszedł do niej i podał jej ramię.

– Spodziewała się pani tego?

Starsza kobieta sapnęła z przejęciem.

– Przewidywałam, że może tak zrobić. Ciągle gadała o tej waszej Polsce, o Warszawie, a miniona wojna to jej z głowy nie wychodziła. Myślałam, że się z tego otrząśnie, ale widać nie.

– Widocznie nie czuła się tu dobrze – odparł z goryczą w głosie.

Nadal wyrzucał sobie, że to wyłącznie jego wina, choć czuł także rozgoryczenie na myśl, że Helena z premedytacją odważyła się zniszczyć życie innej kobiecie. Wiadomość, że to ona puściła w publiczny obieg informacje o niemieckim pochodzeniu Lauren, była dla niego szokiem. Pomyślał teraz, że nieszczęśliwa kobieta może być zdolna do wielu rzeczy.

– Szkoda mi tego miejsca – odezwała się Daisy. – Znów będę siedzieć w domu, bo nie będzie dokąd wyjść. U Helen czułam się dobrze. Nowy Jork taki wielki, ale ja jestem wybredna.

– Pani O'Neill – zachnął się Konrad – a może wstąpi pani nieraz do mnie i Emilki na herbatę? Wprawdzie nie umiem piec ptysi jak Helena, ale zawsze się znajdzie na poczęstunek.

– Nie będę łażyła do chłopca! – obruszyła się żartobliwie staruszka.

– To by dopiero było, że stara baba do takiego kawalera chodzi!

Swoją drogą powinieneś coś z tym zrobić. Helena nie była dla ciebie, ale ta ślicznotka Lauren... Jeśli kiedyś przyjdzie z wizytą, to i ja się wproszę. W towarzystwie innej kobiety to zawsze różnie. Gdybym była młodsza, to wiesz, nie musiałbyś długo na mnie czekać.

Konrad uśmiechnął się pod nosem.

Zauważył, że starsza pani wpatruje się w ciemną witrynę cukierni ze wzruszeniem w oczach.

- Będzie mi jej brakowało - odezwała się po chwili. - Jeśli poznasz jej adres, to bądź łaskaw mi go przekazać. Napiszę do niej parę słów.

ROZDZIAŁ 30

Tłum gości był wprost zadziwiający. W alejkach galerii panował taki tłok, że ludzie zmuszeni byli się zatrzymać i czekać cierpliwie, by dojść do któregoś z wystawianych zdjęć i obejrzeć je z bliska. Lauren była szczerze zdumiona, choć tak naprawdę nie powinna się temu dziwić. Przecież od początku wiedziała, że Konrad Rogowski jest doskonałym fotografem i ukazanie jego talentu szerszej publiczności to tylko kwestia czasu. Cieszyła się, że tak szybko znalazł się sponsor, który miał potrzebę wystawienia zdjęć Konrada, ale i sam wernisaż zrobił na niej ogromne wrażenie. Wystawę zorganizowano w industrialnym budynku z czerwonej cegły, mieszczącym się w samym centrum Soho, a lokal surowością ścian i prostotą wyposażenia idealnie pasował do klimatu prezentowanych zdjęć. Wśród zaproszonych gości znaleźli się ludzie ze śmietanki towarzyskiej nowojorskiej socjety i bohemy, a to znaczyło, że Konrad mógł czuć się w pełni zauważony i doceniony.

Lauren oglądała fotografie z zaciekawieniem; przeczuwała, że wśród kilkunastu prezentowanych modelek znajdzie również swoje zdjęcia. Przez chwilę przeszło jej przez myśl, że Rogowski upublicznił te, które zrobił jej na ranczu, ale zaraz szybko się zreflektowała. Przecież obiecał, że tamte będą należeć wyłącznie do niego.

Kelner podszedł do niej z lampką szampana, ale grzecznie odmówiła. Od kilku miesięcy, a tak naprawdę od powrotu ze szpitala

po poronieniu, nie tknęła alkoholu i zamierzała się tego trzymać. Powoli krążyła po zatłoczonej sali i gdy tłum się przeredzał, z zaciekawieniem zatrzymywała się raz przy jednym, raz przy drugim zdjęciu. Nie dostrzegła nigdzie Konrada, ale domyślała się, że pewnie jest rozchwytywany przez potencjalnych klientów.

W którymś momencie stanęła przed jednym ze zdjęć, wywołanym w dużym powiększeniu i zaprezentowanym w centralnej części wystawy. Poczowała przyjemny, gorący dreszcz. To była jedna z fotografii, które Rogowski zrobił jej tamtej nocy, kiedy się poznali. Jedną z tych, których nie sprzedał do „Vogue”. Miała na nim odchyloną do tyłu głowę i patrzyła z półprofilu w obiektyw. Na pierwszy plan wysuwał się jej tajemniczy uśmiech i zmysłowe spojrzenie lekko przymkniętych oczu. Gdyby o tym dobrze nie wiedziała, uznałaby, że kobieta na zdjęciu patrzy na stojącego przed nią mężczyznę z tęsknotą i pożądaniem. Z pragnieniem miłości. To było tak namacalne, że aż bolesne. A przecież wtedy nawet nie знаła Konrada, była jedynie upojona szampanem i chciała stłumić zawód po złamanym sercu.

A może jej podświadomość już wówczas wiedziała?

– Od razu widać, że jesteś dziwką. To zdjęcie jest tego dowodem.

Lauren drgnęła i spojrzała na stojącego przy niej Richarda Taylora. Skąd wiedział, że to ona? Jak ją poznał? Ubrała się przecież skromnie, nie nałożyła także makijażu, żeby nie rzucać się w oczy, a włosy schowała pod apaszką zawiązaną pod szyją.

– Jak mnie tu znalazłeś? – zapytała sucho, odwracając wzrok na swoją podobiznę.

– To akurat nie było trudne, laleczko. Skoro nie ma cię w Hollywood ani na tym twoim pieprzonym końcu świata, to znaczy,

że musisz być w Nowym Jorku. Zastanawiam się tylko, co tu robisz.

– Nie twoja sprawa. Domyślam się, że dostałeś już dokumenty?

Choć nie chciała tego robić, musiała na niego spojrzeć.

– Od twojego prawnika? Tego durnego żółtodzioba? Tak, dostałem. – Uśmiechnął się z lekceważącą pobłażliwością. – Myślisz, że możesz tak po prostu zerwać ze mną kontrakt? Po tylu latach współpracy?

– Myślę, że tak – odparła spokojnym tonem.

– Więc się mylisz, Laro Petersen. Wiesz, że cię zniszczę. Nie zostawię na tobie suchej nitki. Opowiem wszystkim o twoich słabostkach, o tym, jak pływałaś nago w basenie na przyjęciu urodzinowym Franka Sinatry i jak próbowałaś oskarżyć o kradzież brylantowego naszyjnika Dorothy Dandridge, bo byłaś tak pijana, że nie pamiętałaś, jak oddałaś go pokojówce.

Lauren poczuła wpełzający na kark oślizgły dotyk strachu, ale szybko się z niego otrząsnęła. Mimowolnie zacisnęła pięści.

– Sporo masz tych historyjek w zanadrzu – zadrwiła i popatrzyła mu śmiało w oczy. – Nie pomyślałeś tylko, że to z czasem stanie się nudne. Ludzie się nasycą, stracą zainteresowanie, a ty będziesz spłukany, bo za zniesławienie mojej osoby mój prawnik oskubie cię ze wszystkiego, co posiadasz. Radzę ci więc, żebyś poszedł na ugodę. Dla własnego dobra rozwiąż kontrakt polubownie i znajdź sobie inną aktoreczkę, na której będziesz zarabiał forszę.

Wściekły Taylor złapał ją za ramię, ale wyrwała mu się z obrzydzeniem.

– I nigdy więcej mnie nie dotykaj! – wysyczała przez zaciśnięte zęby. – Chyba że chcesz, abym doniosła na ciebie na policję.

– Wiesz, że jesteś skończona.

Uniosła brwi w wyrazie zdumienia.

- Doprawdy? To dziwne, bo nie dalej jak za dwa tygodnie odbędzie się rozdanie Oscarów i raczej na pewno jeden z nich powędruje w moje ręce.

Richard prychnął.

- Jesteś cholernie pewna siebie, laleczko. Wiesz, czemu nigdy cię nie przeleciałem? Bo wiedziałem, że taka dziwka jak ty nie ma nic do zaoferowania. Peter Jones też to wiedział i dlatego tak ochoczo puścił cię kantem. Jesteś nudną, oziębłą suką, Laro Petersen. - Spojrzał z pogardą na jej podobiznę na ścianie. - Swoją drogą ten twój fotograf chyba myśli podobnie, skoro po jednym razie już więcej nie miał na ciebie ochoty.

Odszedł, a Lauren poczuła, że zaczyna drżeć. Przygryzła wargi. Mogła się spodziewać, że jej były już agent tak łatwo się nie podda, skoro szantażował ją od lat. Teraz będzie ją szkalował i wyciągał wszystko, co ma w zanadrzu, byle ją dobić. Ale przecież nie po to wróciła do świata z podniesioną głową, nie po to zniosła plotki i pomówienia, nie po to przetrwała skandale, żeby teraz poddać się tylko dlatego, że wypłuł z siebie kilka szyderczych słów.

- To jedno z najpiękniejszych zdjęć, jakie w życiu zrobiłem.

Lauren drgnęła. Odwróciła się gwałtownie i popatrzyła prosto w ciemne oczy Konrada. Wyglądał bardzo uroczyście w eleganckim garniturze i przystrzyżonych włosach.

- Winszuję wystawy - rzekła z uśmiechem. Nie chciała dać po sobie poznać, że spotkanie z Richardem nią wstrząsnęło. - Jestem pod wrażeniem.

Skinął głową.

– Miałaś rację: Nowy Jork kocha takich jak ja. Może trudno w to uwierzyć, ale chyba stałem się pełnoetatowym fotografem.

– Wyczuwam lekki sarkazm.

Uśmiechnął się.

– Bo mam wrażenie, że to się dzieje gdzieś poza mną. Nie wiem, czy tego sobie życzyłem. Ale jestem szczęśliwy, że moja córka docenia moją pracę. Emilka jest ze mnie dumna. Ja jednak chciałbym pokazać zdjęcia, które są częścią mojej historii. Mojego życia. One wciąż czekają i boję się, że nigdy nie ujrzą światła dziennego, a ja zrobię karierę wyłącznie fotografa amerykańskich gwiazd.

– A to mało? Większość dałaby się pociąć dla takiego prestiżu.

– Umiem docenić to, co mam, ale w głębi duszy wciąż będę czekał na dzień, kiedy ktoś pozwoli mi zrobić wystawę, jakiej pragnę. Sporo widziałem i chciałbym to pokazać innym. Bo to jest najprawdziwsza prawda. – Popatrzył znacząco na wiszące przed nimi zdjęcie. – Tak jak prawdą jest to, co widać na tym portrecie.

– A co na nim widać? – zapytała cicho.

Konrad zmrużył oczy.

– Kobieta, która tamtej nocy chciała dać mężczyźnie to, co miała najpiękniejszego. A on... Nie miał odwagi tego przyjąć, bo uważał, że nie powinien. A później każdego dnia myślał o tym, jak bardzo chciałby wziąć ją w ramiona, bo zakochał się w niej głupio, szaleńczo, jak szczeniak. I to uczucie było dla niego zupełnie nowe. Zupełnie jakby los z niego zadrwił. Bo ten facet zakochał się w sławnej aktorce, którą kochała cała Ameryka. Bo kto tak naprawdę jej nie kocha?

Lauren przygryzła wargi. Tylko siłą woli powstrzymała napływające do oczu łzy wzruszenia. Odchrząknęła.

– A co, jeśli ta kobieta też jest w nim zakochana?

Oderwał wzrok od zdjęcia.

– To może powinna mu o tym powiedzieć?

EPILOG

marzec 1951 roku
Los Angeles, Stany Zjednoczone

Ten dzień był wyjątkowy. Stał się zwieńczeniem wszystkiego, na co Lauren Evans z takim zaangażowaniem pracowała przez ostatnie kilka lat. Chyba nigdy nie czuła takiej dumy i nie trzymała tak wysoko podniesionej głowy jak teraz, tego marcowego wieczora, kiedy w złotych pantoflach na obcasach kroczyła pełna wdzięku po czerwonym dywanie, prowadzącym do Pantages Theatre przy Hollywood Boulevard.

Oślepił ją nieustający błysk fleszy, a dziennikarze rozpychali się łokciami, żeby zrobić aktorce jak najpiękniejsze zdjęcie w olśniewającej kreacji z beżowobiałego szyfonu, zaprojektowanej przez znaną kostiumolożkę Helen Rose. Lauren szła zmysłowym krokiem, rozdając uśmiechy. Robiła to najpiękniej, jak umiała, bo wiedziała, że to jej ostatni raz. Że już nigdy tak wielka rzesza fotografów nie skradnie jej wizerunku i nie zamknie go w kliszy. Wiedziała również, że w tłumie tych fotografów był ten jeden, najważniejszy, i to dla niego chciała być dzisiaj gwiazdą. Taką, jakiej pragnął. Taką, jaką sama chciała dla niego być.

Tuż za nią na czerwonym dywanie pojawił się jak zwykle czarujący Peter Jones z żoną Betty Lee. Tylko naprawdę wprawne oko było w stanie zauważyć, że pod fałdami olśniewającej sukni

chowała ciężowy brzuszek, ale Lauren to wiedziała. Domyśliła się od razu, jak tylko zatrzymała wzrok na żonie Petera. Przez chwilę, przez malutki ułamek sekundy, poczuła coś na kształt bolesnego ukłucia i pomyślała o swoim dziecku, ale zaraz odsunęła te myśli. Nie chciała być zazdrosna. Szczerze życzyła Peterowi i jego żonie szczęścia i w duchu wierzyła, że ją też kiedyś spotka takie szczęście. Może nawet niedługo.

Teraz czuła się dumna i spełniona, bo w końcu uwolniła się od palących wspomnień swojej przeszłości. Każdy z obecnych tu dziś dziennikarzy i filmowców wiedział, kim dawniej była Lauren Evans. Znali jej prawdziwą tożsamość i ją zaakceptowali. Przyjęli do wiadomości, że bajkowy świat gwiazd Hollywood wcale nie jest taki nieskazitelny i idealny, jak wszyscy by chcieli.

– Wiesz, że masz u mnie rolę? – rzekł jej reżyser Garrett Moore już po uroczystej gali rozdania Oscarów, kiedy zarówno ona, jak i on dumnie dzierżyli w dłoniach swoje złote statuetki za Nieczystą grę; ona za kobiecą rolę pierwszoplanową, on za reżyserię.

– Wiem – odparła nie bez wzruszenia – ale muszę odmówić.

Moore uniósł brwi.

– Naprawdę zamierzasz odejść z Hollywood? Porzucić aktorstwo? Kiedy przeczytałem o tym w gazecie, myślałem, że to jakaś kolejna bzdura. Przecież ty kochasz grać!

Lauren prosiła go w myślach, żeby nie próbował jej przekonywać, bo wtedy będzie jej trudniej. Już podjęła decyzję i nie zamierzała z niej rezygnować. Po odebraniu statuetki definitywnie zdecydowała, że odejdzie z filmu. Tygodnie spędzone na ranczu w Idaho uświadomiły jej, że nie chce dłużej żyć na świeczniku albo ukrywać się przed ludźmi, jeśli naprawdę ma kiedyś odnaleźć swoje

szczęście. Musi próbować żyć inaczej, bez presji bycia wiecznie piękną i wyłącznie dla przyjemności innych. Teraz w końcu zacznie żyć po swojemu.

– Uwielbiam aktorstwo, ale nie mam już siły na kolejne skandale prasowe. Nie chcę bać się, że kiedyś jakiś dziennikarz znowu wyciągnie coś z mojego życia, a inni będą się tym karmić.

– Więc co zamierzasz?

– Wrócę do tańca.

– Tańca?

– Tak. Postanowiłam założyć szkołę na Broadwayu i wiem, że jest ktoś, komu szczególnie na tym zależy. Po raz pierwszy od bardzo dawna znów wiem, czego pragnę, Garrett.

Uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Czy to ma coś wspólnego z tym polskim fotografem z Nowego Jorku i jego niewidomą córką?

Lauren poczuła, jak spływa na nią przyjemne ciepło.

– Bardzo dużo. Ale... Zostaw to dla siebie. Chciałabym wreszcie zacząć żyć bez rozgłosu. I na własnych zasadach.

KONIEC

Spis treści

Strona tytułowa

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Epilog

Reklama

Karta redakcyjna

Copyright © by Barbara Wysoczańska, 2022
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2023

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie na okładce: © ILINA SIMEONOVA / Trevillion Images

Redakcja: Malwina Kozłowska
Korekta: Agnieszka Luberadzka, Jarosław Lipski
Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-791-2

FILIA

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.

HISTORIE, KTÓRE PODBIJĄ WASZE SERCA!



MIŁOŚĆ I CZŁOWIECZEŃSTWO POTRAFI STANAĆ
NAPRZECIW WSZELKIEMU ZŁU.

FILIA